

ROBIN
COOK

GORACZKA



ROBIN COOK

GORĄCZKA

(Fever)

Tłumaczenie Marek Mastalerz

TMN

Wydanie polskie: 1993

Wydanie oryginalne: 1982

Dla uczczenia radości życia rodzinnego
- zapoczątkowanej przez moich rodziców,
a teraz dzielonej z żoną

PROLOG

Trujące cząsteczki benzenu wtargnęły do szpiku kostnego narastającym strumieniem. Rozprowadzony przez krew obcy związek chemiczny przeniknął między cienkimi beleczkami kostnymi do najdalszych zakątków delikatnej tkanki. Przypominało to najazd rozszalałej hordy barbarzyńców na Rzym, a rezultaty były równie katastrofalne. Skomplikowana tkanka szpiku, mająca za zadanie produkcję większości komórkowych składników krwi, uległa najeźdźcy.

Cząsteczki benzenu dostały się do wszystkich komórek szpiku wystawionych na jego działanie, przenikając przez błony komórkowe jak nóż przez masło. Krwinki białe czy czerwone, dojrzałe czy młode - wszystko jedno, W niektórych komórkach, do których zdołało przeniknąć jedynie niewiele cząsteczek benzenu, układy enzymatyczne zdołały poradzić sobie z najeźdźcą. W zdecydowanej większości doszło do natychmiastowego zniszczenia błon wewnątrzkomórkowych.

W ciągu kilku minut stężenie benzenu wzrosło tak gwałtownie, że tysiące trujących cząsteczek przeniknęło do mieszczących się w szpiku najistotniejszych dla jego funkcjonowania komórek - tak zwanych komórek pnia, dzielących się nieustannie, i służących jako źródło składników komórkowych krążących we krwi. Ich czynność świadczy o milionach lat ewolucji, której są wynikiem. Co chwila rozgrywa się w nich niewiarygodna tajemnica życia, przechodząca najśmielsze naukowe marzenia. Cząsteczki benzenu na chybił trafił przenikały do

raptownie mnożących się komórek, zakłócając powielanie molekuł DNA. Większość tych komórek albo nagle obumierała wskutek rozprzęgnięcia się wewnętrznych pętli kontroli, albo zamiast umierać zaczynała się niepohamowanie rozmnażać.

Oczyszczony z cząsteczek benzenu kolejnymi porcjami krwi tłoczonej przez serce szpik mógł wrócić całkowicie do normy - z wyjątkiem jednej komórki pnia. Komórka ta przez lata pilnie wytwarzała białe ciała krwi, których celem jest - o ironio - ochrona ustroju przed obcymi, wrogimi organizmami. Benzen, który wniknął do jej jądra, wywołał uszkodzenie ściśle określonego odcinka DNA, nie powodując jednak jej obumarcia, ale zakłócając równowagę pomiędzy mnożeniem się a dojrzewaniem. Komórka natychmiast podzieliła się. To samo uczyniły komórki potomne, nie słuchając już bliżej nam nie znanych sygnałów kontrolnych, każących im dojrzewać i przekształcać się w zwykłe krwinki białe. Spełniały jedynie nakaz natychmiastowego reprodukowania siebie samych. Choć w obrębie szpiku mogłyby ująć za normalne, w rzeczywistości różniły się od innych młodych krwinek białych. Nie występowała u nich zwykła skłonność do adhezji - zlepiania się z innymi komórkami - za to w zastraszającym tempie samolubnie pochłaniały składniki odżywcze. Stały się pasożytami organizmu, z którego pochodziły.

Po zaledwie dwudziestu podziałach tych wyłamujących się spod prawa komórek było ponad milion. Po dwudziestu siedmiu podziałach ich liczba przekroczyła miliard; wówczas zaczęły się odrywać od reszty klonu. Strumyczek komórek przenikających do krwiobiegu przekształcił się w równy potok, a ten w powódź. Wyrzucone poza szpik komórki osiedlały się w całym organizmie i zaczęły tworzyć kolonie. Po czterdziestu podziałach było ich już z górą trylion.

Tak w organizmie Michelle Martel rozpoczęła się 28 grudnia, dwa dni po jej dwunastych urodzinach, ostra, gwałtownie postępująca białaczka mieloblastyczna. Dziewczyna nie miała pojęcia, co się z nią dzieje; wiedziała jedynie, że ma gorączkę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zimny styczniowy poranek powoli rozlewał się po skutym mrozem miasteczku Shaftesbury w stanie New Hampshire. W miarę jak zimowe niebo powoli jaśniało, cienie niechętnie ustępowały, obnażając monotonną szarą powłokę chmur. Zanosiło się na śnieg i pomimo zimna w powietrzu czuć było wilgoć - przypominającą, że niedaleko na wschód leży Atlantyk.

Czerwone ceglane budynki starego Shaftesbury tuliły się do rzeki Pawtomack niczym widmo przeszłości. Rzeka stanowiła ostoję, życiodajny strumień miasta; brała początek z ośnieżonych Gór Białych i na południowym wschodzie wpadała do morza. Gdy docierała do miasta, jej gładki bieg przerywały rozpadająca się tama i nieczynne już koło starego młyna. Wzdłuż brzegów rozciągały się kwartały pustych zabudowań fabrycznych, pozostałości z czasów, gdy tkalnie Nowej Anglii stanowiły centrum przemysłu włókienniczego. Na południowym krańcu miasta u początku Main Street, ostatni ceglany budynek zajmowała obecnie fabryka pod nazwą Recycle Ltd, zajmująca się przetwarzaniem odpadów gumy, plastyku i winylu. Strużka szarego, kwaśnego dymu unosiła się z komina o fallicznym kształcie i stapała z chmurami. Nad całą okolicą wisiał odstręczający, dławiący smród palonego plastyku i kauczuku. Fabrykę otaczały ze wszystkich stron sterty używanych opon, niczym odchody jakiegoś gigantycznego potwora.

Na południe od miasta rzeka toczyła swe wody przez łagodne, zalesione wzgórza oraz pokryte śniegiem pastwiska, ogrodzone trzysta lat temu murkami z kamieni przez pierwszych osadników. Sześć mil dalej zataczała łagodny łuk ku wschodowi, tworząc idylliczny sześćoakrowy półwysep, na środek którego rzeczna odnoga doprowadzała wodę do płytkiego stawu. Za stawem wznosiło się wzgórze zwieńczone wiejskim domem w stylu wiktoriańskim, z białymi framugami okien, dachem ze szczytami i piernikowymi zdobieniami. Długi kręty podjazd obsadzony dębami i klonami prowadził w dół do międzystanowej autostrady nr 301, biegnącej na południe do Massachusetts. Dwadzieścia pięć jardów na północ od domu znajdowała się zniszczona kaprysmi aury stodoła okolona kępą iglastych drzew. Na skraju stawu stała na palach miniaturowa wersja domu - szopa zamieniona w domek zabaw.

Ten piękny nowoangielski krajobraz mógłby wyglądać jak wyjęty ze styczniowej ilustracji do kalendarza, gdyby nie jeden szczegół w stawie nie było ryb, a w promieniu sześciu stóp od jego brzegu nic nie rośło.

Błade światło poranka przesączało się do wnętrza domu przez koronkowe firanki, stopniowo wytrącając Charlesa Martela z głębi spokojnego snu. Przewrócił się na lewy bok, z tym przyjemnym uczuciem, jakie towarzyszyło mu od dwóch lat. W jego życiu ponownie zapanowały ład i bezpieczeństwo; po wykryciu u jego pierwszej żony białaczki Charles nie spodziewał się, że to jeszcze kiedykolwiek nastąpi. Umarła dziewięć lat temu, pozostawiając go z trojgiem małych dzieci. Z trudem przetrwał lata, które później nastąpiły.

Teraz należało to jednak do przeszłości, a straszliwa rana powoli się zagoiła. Udało mu się nawet zapełnić nieznośną pustkę. Dwa lata temu ponownie się ożenił, lecz wciąż bał się przyznać przed samym sobą, jak bardzo jego życie zmieniło się na lepsze. Łatwiej było koncentrować się na pracy i życiu codziennym w nowej rodzinie, niż dopuszczać do siebie myśl, że odzyskał spokój i znowu, mimo wszystko, jest szczęśliwy. Trudno jednak było temu zaprzeczyć; Cathryn dawała mu radość życia. Charles zakochał się w niej w dniu, w którym ją poznał, i

pobrali się pięć miesięcy później. Minione dwa lata jedynie wzmocniły jego uczucie.

W bladym świetle brzasku wpatrywał się w profil swej śpiącej żony. Leżała na wznak z prawą ręką niedbale odrzuconą nad głowę. Wcale nie wyglądała na swoje trzydzieści dwa lata, co z początku jedynie pogłębiało świadomość dzielącej ich różnicy wieku. Charles miał czterdzieści pięć lat i zdawał sobie sprawę, że na tyle wygląda. Cathryn natomiast można by dać najwyżej dwadzieścia pięć. Wsparłszy się na łokciu, Charles wpatrzył się w jej delikatne rysy. Przesunął wzrokiem wzdłuż prowokującej wypukłości obojczyka aż do ramienia, dokąd spływały jej miękkie ciemne włosy. Jej twarz oświetlona łagodnym światłem poranka wydawała się promienna, gdy wodził spojrzeniem po lekko zakrzywionym nosie i rozszerzających się nieznacznie przy każdym oddechu nozdrzach. Patrząc tak na nią poczuł, jak wzrasta w nim napiętność.

Spojrzał na budzik; zadzwoni dopiero za dwadzieścia minut. Z zadowoleniem wsunął się głębiej w wygrzane miejsce pod puchową kołdrą i przytulił do Cathryn. Jeszcze raz ogarnęło go zdziwienie, że może odczuwać taką radość. Cieszył się nawet na pracę w Instytucie; posuwała się coraz szybciej. Poczul dreszcz podniecenia. A gdyby tak rzeczywiście właśnie jemu, Charlesowi Martelowi, chłopakowi z Teaneck w stanie New Jersey, udało się zrobić pierwszy krok w rozwiązaniu tajemnicy raka? Wiedział, że staje się to coraz bardziej prawdopodobne; ironia polegała na tym, że formalnie rzecz biorąc nie był naukowcem. Kiedy zachorowała jego pierwsza żona Elizabeth, pracował jako internista, specjalizujący się w alergologii. Po jej śmierci rzucił lukratywną praktykę, by cały czas poświęcić na prowadzenie badań w Instytucie Weinburgera i choć niektórzy koledzy mówili mu, że to nie najlepszy sposób na poradzenie sobie ze strapieniem, osiągnął przecież pewne wyniki.

Wyczuwając, że mąż się obudził, Cathryn obróciła się ku niemu i znalazła w mocnym uścisku. Przecierając oczy ze snu, spojrzała na Charlesa i uśmiechnęła się - wyglądał niezwykle jak na siebie

szelmowsko.

- I co ci tam chodzi po głowce? - zapytała z uśmiechem.

- Po prostu ci się przyglądałem.

- Cudownie. Lepiej już nie mogę wyglądać - powiedziała Cathryn.

- Wyglądasz oszałamiająco - rzekł żartobliwie Charles, odgarniając gęste włosy z jej czoła.

Rozbudzona już Cathryn uświadomiła sobie podniecenie męża. Przesunęła dłonią po jego ciele i natrafiła na wyprężony członek.

- A to co takiego? - zapytała.

- Nie biorę za to odpowiedzialności - powiedział Charles. - Ta część mojej anatomii kieruje się własnym rozumem.

- Nasz polski papież twierdzi, że mężczyzna nie powinien pożądać swej żony.

- Nie ciebie pożądałem. Myślałem o pracy - zażartował Charles.

Gdy pierwsze płatki śniegu opadły na dach ze szczytami, doznali wspólnego spełnienia, namiętności i czułości, które zawsze wprawiały Charlesa w oszołomienie. Potem odezwał się budzik. Zaczynał się dzień.

Michelle usłyszała dobiegający z daleka głos Cathryn wybijający ją ze snu; śniła, że właśnie idzie z ojcem przez jakieś pole. Usiłowała tam pozostać, ale głos był nieustępliwy. Poczowała dłoń na swoim ramieniu. Otworzywszy oczy, zobaczyła nad sobą roześmianą twarz macochy.

- Czas wstawać - powiedziała rażno Cathryn.

Michelle zaczerpnęła głęboko powietrza i kiwnęła głową na znak, że rozumie. Źle spała tej nocy, męczyły ją złe sny, budziła się zlaną potem. Pod przykryciem było jej gorąco, lecz gdy je odrzucała, ogarniały ją dreszcze. Kilkakrotnie w ciągu nocy zastanawiała się, czy nie pójść do ojca. Zrobiłaby tak na pewno, gdyby był sam.

- Rany boskie, masz wypieki - powiedziała Cathryn, rozsuwając story. Podeszła z powrotem do Michelle i dotknęła dłonią jej czoła. Było rozpalone. - Chyba znów masz gorączkę. Jesteś chora?

- Nie - odrzekła natychmiast Michelle. Nie chciała znów chorować, chciała iść do szkoły. Miała ochotę wstać i jak co dzień przygotować sok

pomarańczowy. Upodobała sobie tę czynność.

- Lepiej zmierz temperaturę - Cathryn przeszła do wspólnej łazienki między sypialniami. Wynurzyła się z niej po chwili, na przemian potrząsając termometrem i sprawdzając w nim słupek rtęci. - Potrwa to tylko chwilę i będziemy wiedzieć na pewno. - Wsunęła termometr Michelle do ust. - Weź go pod język. Wrócę, kiedy pobudzę chłopaków.

Gdy drzwi się zamknęły, Michelle wyjęła termometr. Już w ciągu tego krótkiego czasu słupek rtęci podniósł się do 37,2° C. Miała gorączkę i czuła to. Bolały ją nogi, doznawała też nieprzyjemnego uczucia w dołku. Włożyła termometr z powrotem do ust. Ze swego łóżka widziała przez okno domek zabaw, na który zgodnie z jej życzeniem Charles przerobił dawną szopę. Na widok pokrytego śniegiem dachu przeszył ją zimny dreszcz. Zatęskniła za wiosną i dniami nieróbstwa, które spędzała w domku. Wyłącznie z ojcem.

Kiedy Cathryn otworzyła drzwi, zastała piętnastoletniego Jeana Paula wspartego o oparcie łóżka z podręcznikiem fizyki w ręku. Niewielkie radio z zegarem wypełniało pokój łagodnym rock-and-rollem. Chłopiec miał na sobie flanelową ciemnoczerwoną piżamę z niebieskimi aplikacjami, którą podarowała mu na Boże Narodzenie.

- Masz dwadzieścia minut - powiedziała pogodnie Cathryn.

- Dzięki, mam - odrzekł z uśmiechem Jean Paul.

Przystanęła w drzwiach i spojrzała na niego z rozczuleniem. Miała ochotę rzucić się ku niemu i złapać go w objęcia, oparła się jednak pokusie. Nauczyła się, że wszyscy Martelowie zachowywali pewną powściągliwość, jeśli chodzi o bezpośredni kontakt fizyczny. Z początku dość trudno było jej do tego przywyknąć. Cathryn pochodziła z włoskiej dzielnicy North End w Bostonie, gdzie dotyk i uścisk nie były niczym niezwykłym. Jej ojciec był wprawdzie Litwinem, ale zostawił żonę i dzieci, gdy Cathryn miała dwanaście lat, dorastała więc bez jego wpływu. Czuła się stu procentową Włoszką.

- Zobaczmy się przy śniadaniu - powiedziała.

Jean Paul wiedział, że Cathryn uwielbia, gdy mówi do niej „mamo”, i chętnie robił jej tę przyjemność. Mógł jej w ten sposób odplacić za ciepło i uwagę, jaką mu poświęcała. Jeana Paula wychowywał najpierw bardzo zapracowany ojciec, czuł się też nieco w cieniu zarówno swojego starszego brata Chucka, jak i uroczej siostrzyczki, Michelle. Potem pojawiła się Cathryn i całe zamieszanie związane z jej wejściem do rodziny, a wreszcie prawna adopcja Chucka, Jeana Paula i Michelle. Jean Paul mówiłby do macochy nawet „babciu”, gdyby tylko sobie tego życzyła. Uważał, że kocha Cathryn równie głęboko, jak swą rodzoną matkę, a przynajmniej jej wspomnienie. Miał sześć lat, gdy umarła.

Chuck zamrugnął oczyma przy pierwszym dotknięciu Cathryn, udawał jednak, że jeszcze śpi, wtulając dalej głowę w poduszkę. Wiedział, że jeśli nie będzie reagował, spróbuje go obudzić ponownie, tym razem jednak potrząsając nim bardziej zdecydowanie. Miał rację: Cathryn oburącz wyciągnęła spod niego poduszkę i zaczęła tarosić go za barki. Chuck miał osiemnaście lat i za sobą pierwsze półrocze na Uniwersytecie Północno-Wschodnim. Nie szło mu zbyt dobrze i bał się nadchodzącej sesji egzaminacyjnej. Wypadnie fatalnie. Ze wszystkiego z wyjątkiem psychologii.

- Został ci kwadrans - rzekła Cathryn. Potargła jego długie włosy. - Ojciec chce wcześniej pojechać do laboratorium.

- Cholera - mruknął Chuck pod nosem.

- Charlesie juniorze! - wykrzyknęła Cathryn, udając oburzenie.

- Nie wstaję - wyrwał jej poduszkę i zakrył nią głowę.

- Owszem, wstajesz - powiedziała Cathryn, zdzierając z niego pościel. Chłodne poranne powietrze owiało ubranego jedynie w spodenki Chucka. Podskoczył na łóżku, otulając się kocem.

- Mówiłem ci, żebyś nigdy tego nie robiła! - warknął.

- A ja ci mówiłam, żebyś nie używał przy mnie brzydkich słów - Cathryn nie zwróciła uwagi na ton jego głosu. - Masz piętnaście minut!

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Twarz Chucka spąsowiała z

zawodu. Przyglądał się, jak macocha przechodzi korytarzykiem do pokoju Michelle. Miała na sobie stary, jedwabny, kupiony na pchlim targu szlafrok, którego ciemnobrzoskwiniowa barwa nie odbiegała właściwie od karnacji jej skóry. Bez większego trudu mógł sobie wyobrazić Cathryn nagą. Była za młoda na jego matkę.

Wyciągnął rękę i zatrzasnął drzwi. Tylko dlatego, że ojciec lubi być w laboratorium przed ósmą, on musi wstawać o bladym świetle jak jakiś chłop! Wielki mi naukowiec. Chuck otarł twarz i spojrzął na leżącą koło łóżka otwartą książkę. Była to „Zbrodnia i kara”. Czytał ją prawie cały poprzedni wieczór. Nie należała do zestawu lektur obowiązkowych i pewnie dlatego tak go wciągnęła. Powinien przyłożyć się do chemii, bo groziło mu jej oblanie. Chryste, co na to powiedziałby Charles! Już i tak było tyle hałasu, gdy Chuckowi nie udało się dostać do alma mater Charlesa, Harvardu. Jeśli teraz zawali chemię... Charles zdawał na studiach końcowe egzaminy właśnie z chemii.

- Nie mam zamiaru być pieprzonym lekarzem - warknął pod nosem Chuck, wciągając swe brudne dżinsy. Chłubił się tym, że nigdy nie były prane. W łazience postanowił się nie golić. Przyszło mu na myśl, żeby zapuścić brodę.

Ubrany w polinezyjskiego kroju spódniczkę nazywaną lava-lava z materiału frotte, niefortunnie podkreślającą piętnaście funtów, które przybyły mu przez ostatnie dziesięć lat, Charles namydlał podbródek. W myślach usiłował uporządkować tysiączne fakty związane z prowadzonymi właśnie pracami badawczymi. Złożoność układów immunologicznych żywych organizmów nie przestawała wprawiać go w podziw i zachwyty, zwłaszcza teraz, gdy zdawało mu się, że bliski jest odpowiedzi na ważne pytania dotyczące nowotworów. Zdarzało mu się już odczuwać podniecenie i mylić się, z czego dobrze zdawał sobie sprawę. Swe nowe koncepcje oparł jednak na latach starannych eksperymentów, zakończonych dającymi się powtórzyć wynikami.

Przygotował w myślach plan zajęć na ten dzień. Chciał zacząć pracę

nad nowym szczepem myszy oznaczonym HR7, u którego występował wrodzony rak gruczołu piersiowego. Miał nadzieję wywołać u nich uczulenie na własny nowotwór. Czuł, że jest coraz bliżej tego celu.

Do łazienki weszła Cathryn i precyzyjnie się koło niego. Ściągnęła przez głowę szlafrok i weszła pod prysznic. Zza parawanu wzbily się kłęby pary wodnej. Po chwili odsunęła zasłonkę i rzekła do Charlesa:

- Chyba będę musiała pójść z Michelle do prawdziwego lekarza - po czym zniknęła z powrotem pod prysznicem.

Charles przerwał golenie, usiłując jakoś przełknąć jej sarkastyczną uwagę o „prawdziwych” lekarzach. Był na tym punkcie drażliwy.

- Myślałam, że jeśli wyjdę za lekarza, będę miała przynajmniej zapewnioną dobrą opiekę medyczną dla swojej rodziny. Ależ się omyliłam! - zawołała Cathryn, przekrzykując szum prysznica.

Charles zajął się oględzinami swej do połowy ogolonej twarzy. Dostrzegł, że ma nieco opuchnięte powieki. Usiłował nie dać się wciągnąć w sprzeczkę. Fakt, że kłopoty zdrowotne w ich rodzinie samorzutnie ustępowały w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie docierał do Cathryn. Jej świeżo rozbudzone instynkty matczyne nakazywały wzywać specjalistę do każdego kichnięcia, bólu czy biegunki.

- Michelle wciąż się podle czuje? - zapytał. Lepiej od razu przejść do konkretów.

- Nie mam ochoty jeszcze raz powtarzać, że przez cały czas czuje się niewyraźnie - powiedziała Cathryn.

Charles z rozdrażnieniem odsunął zasłonę prysznica.

- Cathryn, zajmuję się badaniami nad nowotworami, a nie pediatrią.

- Och, przepraszam - podstawiała twarz pod strumień wody. - Myślałam, że jesteś lekarzem.

- Nie dam się sprowokować do kłótni - powiedział gniewnie. - Wszędzie szaleje grypa. Michelle pewnie ją gdzieś złapała. Pomęczy się przez tydzień i wszystko będzie dobrze.

Cathryn odsunęła się spod sitka prysznica i popatrzyła na Charlesa.

- Kłopot w tym, że Michelle czuje się podle od czterech tygodni.

- Czterech tygodni? - spytał z niedowierzaniem. Pochłonięty swymi badaniami tracił poczucie czasu.

- Czterech tygodni - powtórzyła Cathryn. - Nie myśl, że wpadam w panikę przy byle przeziębieniu. Chyba zabiorę ją do Kliniki Pediatricznej na wizytę u doktora Wileya. Odwiedzę też przy okazji chłopaka Schonhauserów.

- No dobrze, obejrzę Michelle - zgodził się Charles, odwracając się do umywalki. Cztery tygodnie to trochę za długo jak na grypę. Może Cathryn przesadzała, wiedział jednak, że mądrzej będzie tego nie mówić. Lepiej zmienić temat.

- Co się stało z chłopakiem Schonhauserów? - spytał.

Schonhauserowie mieszkali o milę od nich w górę rzeki. Henry Schonhauser, chemik z Massachusetts Institute of Technology, należał do nielicznych osób, z którymi Charles lubił się spotykać na gruncie towarzyskim. Ich syn, Tad, był o prawie rok młodszy od Michelle, jednak daty urodzin tak się ułożyły, że chodzili do tej samej klasy.

Cathryn wyszła spod prysznicza zadowolona, że udało się jej skłonić Charlesa do zajęcia się Michelle.

- Leży w szpitalu od trzech tygodni - powiedziała. - Słyszałam, że jest bardzo chory, ale nie miałam ostatnio okazji rozmawiać z Marge.

- Co u niego rozpoznano? - Charles przyłożył żyłkę pod bokobrody po prawej stronie.

- Anemię elastyczną czy coś w tym rodzaju. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Anemię aplastyczną? - rzekł z niedowierzaniem.

- Chyba tak.

- Mój Boże, to okropne - powiedział, opierając się o umywalkę.

- A co to takiego? - Cathryn poczuła mimowolny przyпіływ strachu.

- Choroba, w której szpik kostny przestaje produkować krwinki.

- To poważna choroba?

- Zawsze jest poważna, a często śmiertelna.

Ręce Cathryn opadły wzdłuż boków. Zapomniała o wytarciu strzechy mokrych włosów. Odczuwała współczucie połączone z lękiem.

- To zaraźliwe?

- Nie - odparł z roztargnieniem Charles. Właśnie usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o tym schorzeniu. Było dość rzadkie.

- Michelle i Tad spędzali mnóstwo czasu razem - powiedziała niepewnie Cathryn. Charles spojrzał na nią i uświadomił sobie, że chce, by ją uspokoił.

- Chwileczkę, nie myślisz chyba, że Michelle może chorować na anemię aplastyczną, co? - spytał.

- To możliwe?

- Nie! Boże, zachowujesz się jak student medycyny. Słyszysz o nowej chorobie i pięć minut później chorujesz na nią albo ty, albo dzieciaki. Anemia aplastyczną jest piekielnie rzadka. Zazwyczaj występuje wskutek działania jakiegoś leku lub związku chemicznego. Dochodzi wówczas albo do zatrucia, albo do reakcji alergicznej. W każdym razie w przeważającej części przypadków nigdy nie udaje się dojść przyczyny. Zapewniam cię, nie jest to zaraźliwe. Szkoda tylko chłopaka.

- Pomyśleć, że nawet nie zadzwoniłam do Marge - powiedziała Cathryn. Pochyliła się i przyjrzała swej twarzy w lustrze. Usiłowała sobie wyobrazić napięcie, w jakim musi żyć Marge. Postanowiła wrócić do zwyczaju zapisywania sobie wszystkiego, o czym powinna pamiętać - jak przed ślubem. Taka bezmyślność jest niewybaczalna.

Goląc lewą połowę twarzy Charles zastanawiał się, czy nie należałoby się zająć również anemią aplastyczną. Być może kryła się w niej odpowiedź na któreś z pytań dotyczących regulacji funkcji żywego ustroju. Jak wyglądały mechanizmy kontrolne regulujące pracę szpiku? Pytanie było istotne, ponieważ właśnie kwestie regulacji czynności ustroju uważał Charles za kluczowe dla zrozumienia chorób nowotworowych.

Zapukał delikatnie do drzwi Michelle. Wsłuchawszy się, rozróżnił jedynie odgłosy prysznic z sąsiedniej łazienki. Otworzył cicho drzwi. Michelle leżała na łóżku, odwrócona do niego plecami. Obróciła się raptownie i spojrzała na ojca. Drobnutka strużka łez ściekających po jej rozpalonym policzku zabłysła w porannym świetle. Serce ścisnęło się Charlesowi w piersi.

Usiadł na brzegu łóżka i pocałował ją w czoło. Wargami wyczuł, że ma gorączkę. Wyprostował się i spojrzał na córeczkę. W jej twarzy bez trudu doszukiwał się rysów Elizabeth, swej pierwszej żony. Miała te same gęste, czarne włosy, te same wystające kości policzkowe i pełne usta, tę samą nieskazitelną oliwkową skórę. Po Charlesie Michelle odziedziczyła niebieskie oczy, proste białe zęby i niestety trochę za szeroki nos. Charles uważał ją za najpiękniejszą dwunastolatkę na świecie.

Grzbietem dłoni otarł jej policzki.

- Przepraszam, tatusiu - powiedziała Michelle przez łzy.

- Co to znaczy, przepraszam? - spytał łagodnie.

- Przepraszam, że znowu choruję. Nie chcę sprawiać kłopotów.

Charles przytulił ją do siebie. Wydała mu się bardzo krucha.

- Nie robisz żadnych kłopotów. Nie chcę niczego podobnego więcej słyszeć. Pozwolisz, że cię obejrzę.

Zakłopotana Michelle odwróciła wypełnione łzami oczy, gdy Charles wypuścił ją z ramion, by ją zbadać. Ujął jej podbródek w dłoń i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Powiedz mi, jak się czujesz. Co ci dolega?

- Jestem tylko trochę słaba, to wszystko. Mogę iść do szkoły. Naprawdę.

- Boli cię gardło?

- Trochę, nie bardzo. Cathryn powiedziała, że nie mogę iść do szkoły.

- Coś jeszcze cię boli? Głowa?

- Trochę, ale już mi lepiej.

- Uszy?

- Nie.

- Brzuch?

- Może trochę pobolewa.

Charles ściągnął w dół powieki Michelle. Spojówki były blade. W ogóle cała jej twarz była blada.

- Wsuń język.

Uświadomił sobie, od jak dawna nie miał do czynienia z medycyną kliniczną. Michelle wysunęła język i przyglądała się Charlesowi, szukając najmniejszych oznak zmartwienia. Schowała język, gdy Charles zaczął obmacywać jej podbródek.

- Boli? - spytał, wyczuwszy pod palcami lekko powiększone węzły chłonne.

- Nie - odrzekła Michelle.

Kazał córce usiąść na brzegu łóżka plecami do niego. Zaczął podciągać jej koszulę nocną, gdy z sąsiadującej z obydwoma sypialniami łazienki wyszedł Jean Paul z informacją, że prysznic jest wolny.

- Zwiewaj stąd! - zawołała Michelle. - Tato, powiedz Jeanowi Paulowi, żeby sobie poszedł.

- Znikaj! - zarządził Charles. Chłopiec zniknął. Słychać było, jak za drzwiami śmieje się z Chuckiem.

Nieco niezręcznie Charles opukał plecy Michelle, upewnił się jednak, że w płucach jest czysto. Następnie kazał się jej położyć i podciągnął koszulę tuż pod dojrzewające piersi. Jej płaski brzuch wznosił się i opadał rytmicznie. Była tak chuda, że widział każde uderzenie jej serca. Prawą dłońią zaczął obmacywać brzuch córki.

- Rozluźnij się i powiedz, jeśli zabol.

Michelle usiłowała leżeć bez ruchu, ale skuliła się, gdy poczuła dotyk zimnej dłoni Charlesa. Powiedziała, że czuje ból.

- Gdzie? - zapytał. Pokazała. Stwierdził tkliwość w linii środkowej. Przyłożył palce tuż pod łukiem żebrowym po prawej stronie i kazał jej wciągnąć powietrze. Gdy to zrobiła, wyczuł pod palcami przesuwający się tępy brzeg wątroby. Michelle powiedziała, że to ją trochę boli.

Wsunąwszy lewą rękę pod plecy córki, Charles spróbował wymacać śledzionę; udało mu się od razu, co go trochę zaskoczyło. Zawsze miał z tym trudności na praktykach. Zaczął się zastanawiać, czy jest powiększona.

Wstał i spojrzał z góry na małą. Wydawała mu się chuda, ale zawsze była szczupła. Zaczął przesuwac dłonią po jej nogach, sprawdzając napięcie mięśniowe, i urwał, dostrzegłszy kilka sińców.

- Skąd się to wzięło? - spytał.

Michelle wzruszyła ramionami.

- Bolał cię nogi?

- Trochę. Głównie kolana i kostki, po wuefie. Ale nie będę musiała iść na wuef, jeśli dostanę zwolnienie.

Charles znów się wyprostował i przyjrzał córce. Była blada, odczuwała niewielkie bóle, miała gorączkę i kilka powiększonych węzłów chłonnych. Mogła to być jakaś błaha infekcja wirusowa. Ale żeby ciągnęła się przez cztery tygodnie! Może Cathryn miała rację, może Michelle powinien zbadać jakiś „prawdziwy” lekarz.

- Proszę, tato - powiedziała błagalnie Michelle. - Nie mogę więcej opuszczać szkoły, jeśli mam być doktorem, tak jak ty.

Charles uśmiechnął się. Michelle zawsze była nad wiek rozwinięta. Takie chytre pochlebstwo było doskonałym tego przykładem.

- Opuszczenie paru dni w szóstej klasie nie powinno zaszkodzić twojej karierze - powiedział. - Cathryn zabierze cię dzisiaj do Kliniki Pediatricznej do doktora Wileya.

- To lekarz od dzieci! - zaprotestowała Michelle.

- To pediatra, i przyjmuje pacjentów do lat osiemnastu, spryciaro.

- Chcę, żebyś ty mnie zawiózł.

- Nie mogę, kochanie. Muszę być w laboratorium. Ubierzesz się i zejdiesz na śniadanie?

- Nie jestem głodna.

- Michelle, nie rób fochów.

- Nie robię fochów, po prostu nie jestem głodna.

- To chodź zrobić sok - uszczypnął ją żartobliwie w policzek.

Michelle popatrzyła za ojcem, wychodzącym z pokoju. Łzy wezbrały na nowo w jej oczach. Czuła się okropnie, nie chciała jechać do szpitala, a co najgorsze, czuła się osamotniona. Chciała, by ojciec kochał ją najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie; wiedziała też, że Charlesa drażni, gdy któreś z jego dzieci choruje. Pomimo zawrotów głowy zmusiła się, by usiąść.

- Mój Boże, Chuck, wyglądasz jak świnia - powiedział Charles z niesmakiem.

Chuck udał, że nie słyszy. Nałożył sobie trochę zimnej owsianki, zalał ją mlekiem i zabrał się do jedzenia. Przy śniadaniu obowiązywała zasada, że każdy obsługuje się sam, jedynie Michelle przygotowuje sok pomarańczowy dla wszystkich. Tego ranka przyrzadziła go Cathryn.

Chuck miał na sobie poplamiony sweter i wytarte dżinsy, które nosił tak długo, że przydeptywał teraz ich wystrzępione nogawki. Nie uczesał się, nie sposób też było nie zauważyć, że się nie ogolił.

- Naprawdę musisz być taki niechlujny? - ciągnął Charles. - Myślałem, że hippizm wychodzi z mody i studenci znowu zaczynają wyglądać jak ludzie.

- Masz rację, hippisi to przeszłość - powiedział Jean Paul, który właśnie wszedł do kuchni i nalewał sobie soku pomarańczowego. - Teraz nastał czas punków.

- Punków? - spytał Charles. - Chuck jest punkiem?

- Nie - roześmiał się Jean Paul. - Chuck to po prostu Chuck.

Tamten podniósł wzrok znad owsianki, by ułożyć usta w kilka bezgłośnych przekleństw skierowanych do brata. Jean Paul, nie zwracając na niego uwagi, otworzył podręcznik fizyki. Przyszło mu do głowy, że ojciec nigdy nie zauważa, co on ma na sobie. Zawsze tylko Chuck to, Chuck tamto.

- Naprawdę, Chuck, musisz wyglądać tak okropnie? - nalegał Charles. Chłopak nie raczył odpowiedzieć. Ojciec przyglądał mu się z rosnącym rozdrażnieniem. - Chuck, mówię do ciebie.

Cathryn wyciągnęła rękę i położyła ją mężowi na ramieniu.

- Nie zwracajmy sobie głowy takimi dyskusjami przy śniadaniu. Wiesz, jacy są chłopcy w college'u. Zostaw go w spokoju.

- Zasłużyłem sobie chyba przynajmniej na odpowiedź - uparł się Charles.

Nabierając głęboko powietrze w płuca i wydmuchując je przez nos dla podkreślenia swej irytacji, Chuck podniósł wreszcie oczy znad talerza.

- Nie jestem lekarzem - powiedział. - Nie muszę przestrzegać sztywnych reguł ubierania się.

Napotkawszy wzrok ojca, powiedział w duchu: „Przełknij to, cwany sukinsynu. Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, bo miałeś dobre stopnie z chemii, ale się mylisz”. Charles zapatrzył się w twarz syna, zastanawiając się, skąd ten chłopak czerpie tyle arogancji. Chuck był dość inteligentny, ale beznadziejnie leniwy. Obijanie się w liceum sprawiło, że Uniwersytet Harvarda odrzucił jego kandydaturę na studia. Charles czuł, że synowi nie najlepiej idzie również na Uniwersytecie Północno-Wschodnim. Zastanawiał się, w którym miejscu popełnił błąd jako ojciec. Podobne rozmyślania utrudniała jednak osobowość Jeana Paula. Spojrzał na swego drugiego syna: zgrabnego, ujmującego, pracowitego. Trudno było uwierzyć, że obydwaj chłopcy wywodzili się z tej samej puli genetycznej i wychowywali razem. Ponownie skierował wzrok na Chucka.

Chłopak nadal był nastroszony, ale Charles poczuł, że przestaje go to obchodzić. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Mam nadzieję, że twój wygląd nie pozostaje w żadnym stosunku do twoich ocen - powiedział spokojnie. - Liczę, że dobrze sobie radzisz. Niewiele nam na ten temat mówisz.

- Jakoś ciągnę - odparł wreszcie Chuck, spuszczać oczy na talerz z owsianką. Stawianie czoła ojcu było dla niego czymś nowym. Przed pójściem na studia unikał jakichkolwiek starć. Teraz chciał się z nim zmierzyć. Był pewien, że Cathryn dostrzegła to i popierała. Przecież ją także Charles tyranizował.

- Jeśli mam pojechać kombi do Bostonu, potrzebuję więcej gotówki - powiedziała Cathryn, pragnąc zmienić temat. - A skoro już mowa o pieniądzach, dzwoniłi ludzie od oleju i powiedzieli, że nie przywiozą go więcej, jeśli nie wyrównamy rachunku.

- Przypomnij mi o tym wieczorem - odparł szybko Charles. Nie miał ochoty na rozmowę o pieniądzach.

- Czesne za semestr jest też nie zapłacone - dorzucił Chuck.

Cathryn podniosła wzrok znad jedzenia i spojrzała na męża, mając nadzieję, że temu zaprzeczy. Czesne stanowiło poważną sumę w ich budżecie.

- Dostałem wczoraj pismo, że moje czesne jeszcze nie wpłynęło, choć termin minął. Jeśli nie zostanie zapłacone, nie dopuszczą mnie do sesji - ciągnął Chuck.

- Przecież pieniądze zostały podjęte z konta - rzekła Cathryn.

- Wydałem je na laboratorium - przyznał się Charles.

- Co? - Cathryn osłupiała.

- Zwrócą mi je. Potrzebowałem nowego szczepu myszy, a kolejne pieniądze na badania wpłyną dopiero w marcu.

- Kupiłeś szczury za pieniądze na czesne Chucka? - zapytała Cathryn.

- Myszy - poprawił Charles.

Chuck z rozkoszą podglądacza obserwował narastający konflikt. Od miesięcy dostawał pisma od płatnika, ale nie przynosił ich do domu, czekając z ich ujawnieniem na odpowiednią chwilę, kiedy będzie mógł to poruszyć, nie wywołując jednocześnie kwestii swoich ocen. Wspaniale się złożyło.

- No, po prostu cudownie - powiedziała Cathryn. - A jak myślisz, co będziemy jeść do marca, po zapłaceniu za Chucka?

- Jakoś sobie poradzę - burknął Charles, pokrywając bezradność gniewem.

- Chyba powinnam pójść do jakiejś pracy - stwierdziła Cathryn. - Potrzebują maszynistek w instytucie?

- Na miłość boską, nic wielkiego się nie stało! - wykrzyknął Charles.

- Panuję nad sytuacją. Może byś tak lepiej skończyła doktorat, żeby w razie czego rzeczywiście dostać porządną pracę?

Od trzech lat Cathryn nie mogła skończyć rozprawy z literaturoznawstwa.

- Wychodzi więc na to, że chesne Chucka jest nie zapłacone dlatego, że nie skończyłam doktoratu - odparła sarkastycznie.

W tym właśnie momencie do kuchni weszła Michelle. Charles i Cathryn utkwili w niej wzrok, na chwilę zapominając o swojej kłótni. Na biały bawełniany golf włożyła różowy sweter z monogramem, przez co sprawiała wrażenie starszej. Okolona smolistoczarnymi włosami twarz wydawała się niezwykle blada. Podeszła do blatu przy zlewie i naląła sobie soku pomarańczowego.

- Błee - rzuciła spróbowawszy. - Nie cierpię, kiedy sok jest pełen bąbelków.

- No proszę - powiedział Jean Paul. - Mała księżniczka zgrywa chorą, żeby się wywinąć ze szkoły.

- Nie dokuczaj siostrze - uciął Charles.

Michelle nagle podrzuciła głowę przy gwałtownym kichnięciu, rozlewając przy tym sok na podłogę. Poczula, że coś płynie jej z nosa i odruchowo pochyliła się, nadstawiając dłoń. Ku jej zgrozie była to krew.

- Tato! - zawołała, gdy ciecz przelewając się z garści zaczęła ściekać na podłogę.

Charles i Cathryn równocześnie zerwali się na nogi. Cathryn złapała ściereczkę do naczyń, a Charles wziął na ręce Michelle i przeniósł ją do salonu.

Chłopcy przenieśli spojrzenie z małej kałuży krwi na talerze, starając się ustalić, jaki wywarło to wpływ na ich apetyt. Cathryn wpadła z powrotem do kuchni, wyciągnęła z lodówki tackę z kostkami lodu, i zawróciła do salonu.

- Obrzydliwość - powiedział Chuck. - Nie zostanę lekarzem, choćby mi dawano milion dolarów. Nie znoszę krwi.

- Michelle zawsze się udaje skupić na sobie uwagę - stwierdził Jean Paul.

- Powtórz to.

- Michelle zawsze udaje się... - powtórzył Jean Paul. Znajdował przyjemność w prowokowaniu starszego brata.

- Zamknij się, głuptaku - Chuck wstał i wyrzucił do kubła resztki śniadania, po czym skierował się do swego pokoju, omijając krew na podłodze.

Jean Paul skończył szybko owsiankę i odstawił talerz do zlewu. Potem papierowym ręcznikiem wytarł krew Michelle.

- Święci pańscy - powiedział Charles, wychodząc kuchennymi drzwiami. - Co za smród. - Po burzy pojawił się północny wiatr, który niósł woń palonej gumy z przetwórci odpadów.

- I żyj tu w takim sraczu - dorzucił Chuck.

Charles poczuł, że jeży się wewnętrznie na jego wulgarność, ale zdecydował się nic nie mówić. Już i tak rano zaczął się niewesoło. Zacinawszy zęby wetknął podbródek w kurtkę na baranku dla ochrony przed zacinającym śniegiem i pobrnął w stronę szopy.

- Jak tylko będę mógł, wybędę do Kalifornii - powiedział Chuck, idąc po jego śladach. Na ziemi leżał mniej więcej cal nowego śniegu.

- Tak jak teraz wyglądasz, będziesz tam idealnie pasować - stwierdził Charles.

Zamykający korowód Jean Paul roześmiał się. Jego oddech wydobywał się gęstymi kłębamii pary. Chuck obrócił się na pięcie i zepchnął brata z odgarniętej ścieżki w głębszy śnieg. Zaczęli się kłócić, Charles nie zwracał jednak na nich uwagi. Było zbyt zimno, by przystawać. Słabe powiewy wiatru podrażniały skórę jak szorowanie papierem ściernym. Śmierdziało okrutnie. Nie zawsze tak było. Fabrykę otwarto w 1991 roku, kupili z Elizabeth ten dom rok wcześniej. Przenosiny były właściwie jej pomysłem. Chciała, żeby jej dzieci dorastały w świeżym, krzepiącym wiejskim powietrzu. Co za ironia, pomyślał Charles, otwierając szopę. Nie było jednak jeszcze tak źle. Śmierdziało tylko przy północno-wschodnim wietrze, czyli na szczęście

niezbyt często.

- Psiakrew - powiedział Jean Paul, wpatrując się w staw. - Będę musiał po tej zamieci od nowa oczyścić swoją ślizgawkę. Tato, dlaczego koło domku Michelle woda nigdy nie zamarza?

Charles przystawił kawałek rury, żeby drzwi się nie zamknęły, i spojrzał tam, gdzie pokazywał Jean Paul.

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Musi to mieć coś wspólnego z prądem odnogi łączącej z rzeką. Ona też nie zamarza.

- Uhm - mruknął Chuck, wyglądając za domek zabaw. Na pasie zamrożonego mułu okalającym staw leżała martwa krzyżówka. - Jeszcze jedna zdechła kaczka. One też pewnie nie wytrzymują smrodu.

- To dziwne. Od lat nie było tutaj kaczek - powiedział Charles. - Kiedy się tu wprowadziliśmy, można było jeszcze na nie polować, chowając się w domku Michelle. Później zniknęły.

- Tam jest jeszcze jedna! - wykrzyknął Jean Paul. - Ta żyje, podryguje.

- Wygląda jak zalana - rzekł Chuck.

- Chodźmy jej pomóc.

- Mamy niewiele czasu - ostrzegł Charles.

- Och, chodźcie. - Jean Paul ruszył po chrzęszczącym śniegu. Ani Charles, ani Chuck nie podzielali jego entuzjazmu, lecz obaj ruszyli za nim. Kiedy do niego dołączyli, pochylał się nad biednym ptakiem, którym wstrząsały drgawki.

- Chryste, ma padaczkę! - zawołał Chuck.

- Co jej się stało? - spytał Jean Paul.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Nie jestem najsilniejszy w ptasiej medycynie.

Jean Paul nachylił się, by jakoś uspokoić miotającą się spazmatycznie kaczkę.

- Nie jestem pewien, czy powinienes jej dotykać - powiedział Charles. - Nie pamiętam, czy kaczki przenoszą chorobę papuzią.

- Uważam, że powinniśmy ją zabić, żeby nie cierpiała - podsunął Chuck.

Charles obejrzał się na starszego syna, który nie odrywał wzroku od chorego ptaka. Z niewiadomej przyczyny odebrał jego sugestię jako okrutną, choć najprawdopodobniej była słuszna.

- Mogę ją na razie zanieść do szopy? - spytał błagalnie Jean Paul.

- Pójdę po strzelbę pneumatyczną, niech się nie męczy - powiedział Chuck. Miał okazję odegrać się na bracie.

- Nie! Mogę ją zanieść do szopy, tato? Proszę.

- Zgoda. Ale jej nie dotykaj. Weź jakieś pudełko albo coś takiego.

Jean Paul puścił się biegiem. Charles i Chuck stanęli naprzeciw siebie po dwóch stronach chorego ptaka.

- Nie czujesz żadnego współczucia? - spytał Charles.

- Współczucia? Szukasz u mnie współczucia po tym, co sam wyprawiasz ze zwierzętami laboratoryjnymi? Chyba żartujesz!

Charles przypatrzył się synowi badawczo. Wydawało mu się, że dostrzegął coś więcej niż brak szacunku - nienawiść. Chuck stanowił dla niego zagadkę od dnia, kiedy wszedł w okres dojrzewania. Z trudem powstrzymał się od spoliczkowania chłopaka.

Jean Paul ze zwykłą sobie zaradnością wygrzebał duże kartonowe pudło oraz starą poduszkę. Rozciął powłoczkę i przesypał pierze do pudła. Wykorzystując poszwę jako okrycie, podniósł ptaka z ziemi i włożył do kartonu. Wyjaśnił ojcu, że pierze zarówno da kaczce ciepło, jak i ochroni ją w przypadku następnego napadu. Ten skinieniem głowy wyraził aprobatę, po czym wsiedli do samochodu.

Pięcioletni czerwony zardzewiały pinto zaczął rzeźić, gdy Charles przekręcił kluczyk w stacyjce. Gdy wreszcie zapalił, z powodu dziur w tłumiku brzmiało to jak rozruch czołgu AMX. Charles wyjechał tyłem z garażu, zjechał po podjeździe i ruszył autostradą 301 na północ w stronę Shaftesbury. Poczuł ulgę, gdy stary grat nabrał prędkości. W życiu rodzinnym nie da się w końcu uniknąć zgrzytów. Przynajmniej w laboratorium zmienne mieściły się w przewidywalnych granicach, a problemy dawało się rozwiązać metodą naukową. Coraz trudniej przychodziło Charlesowi znoszenie ludzkiej nieobliczalności.

- Dość tego dobrego! Żadnej muzyki! - wyłączył radio. Chłopcy

klócili się, której stacji słuchać. - Dobrze zacząć dzień chwilą kontemplacji w ciszy.

Bracia popatrzyli po sobie i przewrócili oczyma.

Droga prowadziła wzdłuż rzeki Pawtomack. Woda migąła im z boku, wyłaniając się spomiędzy falujących pól. Im bardziej zbliżali się do Shaftesbury, tym intensywniejszy stawał się smród z przetwórnicy odpadów Recycle Ltd. Najpierw ukazał się komin wypływający w niebo czarny pióropusz dymu. Kiedy przejeżdżali koło fabryki, ciszę rozdarł chrapliwy dźwięk gwizdka oznajmiającego zmianę.

Gdy tylko minęli przetwórnice, odór zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wokół opustoszałych tkalni przy Main Street nie było widać żywej duszy. O szóstej czterdzieści pięć rano miasto wyglądało jak wymarłe. Rzekę spinały trzy rdzewiejące mosty - również relikty ery rozwoju sprzed wielkiej wojny. Jeden z mostów był nawet kryty, lecz nikt z niego nie korzystał. Był zbyt niebezpieczny, utrzymywano go wyłącznie dla turystów; ojcom miasta jakoś nie zaświtało, że żadni turyści tu nie przybywali.

Jean Paul wysiadł przy liceum na północnym skraju miasta. Z raptowności, z jaką się pożegnał, widać było, że spieszo mu do swych zajęć. Mimo wczesnej pory przed szkołą czekało na niego kilku kolegów. Wspólnie weszli do środka. Jean Paul grał w drużynie koszykówki juniorów; musieli ćwiczyć przed lekcjami. Charles przyglądał się, jak jego młodszy syn znika w budynku, po czym wyjechał na ulicę wiodącą na autostradę 93, a stamtąd do Bostonu. Na większy ruch natrafili dopiero, gdy przekroczyli granicę stanu Massachusetts.

Prowadzenie samochodu wywierało zwykle na Charlesie efekt hipnotyzujący. Pozostawiając kierowanie autem niższym, prymitywniejszym partiom umysłu, zazwyczaj błędził myślami po zawilosciach budowy antygenów i przeciwciał czy struktury i sekwencji aminokwasowej białek. Tego dnia jednak odczuwał zrazu dotkliwie, a potem z irytacją, milczenie Chucka. Usiłował sobie wyobrazić, o czym myśli jego pierworodny. Mimo najszczęśliwszych chęci musiał jednak

przyznać, że nie ma pojęcia. Rzucając szybkie, ukradkowe spojrzenie na jego znudzoną twarz, zastanawiał się, czy nie marzy o dziewczynach. Uświadomił sobie, że nawet nie wie, czy Chuck z jakąś chodzi.

- Jak tam w szkole? - spytał jakby od niechcienia.

- Świetnie! - odparł Chuck, natychmiast się nastroszywszy. Znów milczenie.

- Wiesz, z czego będziesz zdawać egzamin kierunkowy?

- Nie, jeszcze nie.

- Musisz się przecież na coś zdecydować. Czy nie czas już wybrać przedmioty na przyszły rok?

- Na razie nie.

- No dobrze, a jaki przedmiot ci się najbardziej podobał w tym roku?

- Chyba psychologia. - Chuck wyjrzał przez okno po swojej stronie.

Nie miał ochoty na rozmowę o studiach. Wcześniej czy później doszliby do chemii.

- Żartujesz - powiedział Charles, potrząsając głową.

Chuck spojrzał na gładko ogoloną twarz ojca, jego szeroki, lecz wyraźnie zarysowany nos, na lekko odchyloną do tyłu głowę, kiedy przybierał ton protekcyjny. Był zawsze bardzo pewny siebie i szybki w sądach. Chuck dosłyszał lekceważenie w jego głosie. Zebrał się na odwagę i powiedział:

- Dlaczego miałbym żartować? - Psychologia była dziedziną, na której ojciec na pewno się nie znał.

- Psychologia to strata czasu - powiedział Charles. - Opiera się na z gruntu fałszywym założeniu, że wszystko przebiega na zasadzie bodziec - reakcja. W rzeczywistości mózg pracuje zupełnie inaczej. Nie jest czystą tablicą, tabula rasa. To system dynamiczny, tworzący idee, a nawet emocje, bez powiązania z otoczeniem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak! - Chuck odwrócił głowę. Nie miał pojęcia, o czym mówi Charles, ale jak zwykle nieźle to brzmiało. Poza tym łatwiej było przytakiwać, przytakiwał więc przez następny kwadrans, gdy ojciec rozwodził się nad wadami behawiorystycznego podejścia do

psychologii.

- Może byś tak wpadł dziś po południu do laboratorium? - spytał Charles po chwili. - Robię bajeczne postępy i wydaje mi się, że znajduję się na progu jakiegoś przełomowego odkrycia. Chciałbym cię jakoś w to włączyć.

- Dzisiaj nie mogę - odrzekł szybko Chuck. Krążenie po instytucie, w którym wszyscy płaszczyli się przed wielkim naukowcem, Charlesem Martelem, było ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę. Zawsze czuł się tam niezręcznie, zwłaszcza że nie miał zielonego pojęcia, czym się zajmuje jego ojciec. Wyjaśnienia Charlesa wydawały się mu zbyt skomplikowane; bez przerwy czuł lęk, że padnie jakieś pytanie obnażające głębię jego niewiedzy.

- Możesz wpaść, kiedy tylko ci będzie pasować, o każdej porze, Chuck. - Charles zawsze marzył o tym, by syn podzielał jego entuzjazm badawczy, tamten nigdy jednak nie wykazywał cienia zainteresowania jego pracą. Charlesowi wydawało się, że gdyby tylko Chuck zobaczył, jak wygląda naprawdę praca badawcza, oddałby się jej z zapalem.

- Nie. Mam zajęcia z biologii, a później parę spotkań.

- Szkoda. Może jutro - powiedział Charles.

- Taak, może jutro - zgodził się Chuck.

Chuck wysiadł na Huntington Avenue i spiesznie pożegnawszy się z ojcem, pobrał w wilgotnym bostońskim śniegu. Charles patrzył, jak się oddala. Wyglądał jak z karykatury z późnych lat sześćdziesiątych, nie na miejscu wśród swych rówieśników. Inni studenci wydawali się bardziej rozgarnięci, lepiej ubrani, i wszyscy bez wyjątku szli grupkami. Jedynie Chuck maszerował samotnie. Charlesowi przyszło na myśl, że może to najstarszego syna najbardziej dotknęły choroba i śmierć Elizabeth. Miał nadzieję, że obecność Cathryn okaże się zbawienna, ale od ich ślubu Chuck stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie i obcy. Charles wrzucił bieg i ruszył Fenway w stronę Cambridge.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przejeżdżając przez most Uniwersytetu Bostońskiego, Martel układał plan dnia. Nieskończenie łatwiej było wgłębiać się w zawiłości budowy komórki niż w trudno uchwytnie problemy wychowywania dzieci. Z Memoriał Drive zjechał w prawo i niedaleko potem skręcił na parking Instytutu Badawczego Weinburgera. Humor zaczął mu się poprawiać.

Wysiadając z wozu zauważył, że na parkingu znajduje się nadzwyczaj duża jak na tę porę liczba samochodów. Na wyznaczonym miejscu stał nawet błękitny mercedes dyrektora. Pomimo zimna Charles zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, co ich sprowadzało tak wcześnie, po czym ruszył do wejścia instytutu. Była to nowoczesna budowla o czterech kondygnacjach z cegły i szkła, przypominająca nieco pobliski Hotel Wyatt, choć w odróżnieniu od tamtego nie miała kształtu piramidy. Gmach znajdował się bezpośrednio przy rzece, między budynkami Uniwersytetu Harvarda i MIT. Nic dziwnego, że instytut nie miał żadnych kłopotów z naborem pracowników.

Recepcjonistka dostrzegła zbliżającego się Martela przez zwierciadlaną szybę i przycisnęła guzik odblokowujący rozsuwane drzwi. Instytut był ściśle chroniony ze względu na cenną aparaturę oraz rezultaty niektórych prac, zwłaszcza tych, które dotyczyły inżynierii genetycznej. Charles przeszedł przez wykładany dywanem korytarz, witając się ze świeżo zatrudnioną kokietką, panną Andrews, a ta

skłoniła głowę i spojrzała na niego spod starannie wyskubanych brwi. Ciekaw był, jak długo panna Andrews się tu utrzyma. Recepcjonistki zwykle pracowały w instytucie bardzo krótko.

Przesadnym, defiladowym krokiem Charles przemierzył hol główny, po czym zatrzymał się i cofnął, by zajrzeć do poczekalni. Kręciło się tam niespokojnie wśród kłębow papierosowego dymu sporo ludzi.

- Panie doktorze... doktorze Martel! - zawołał jeden z nich.

Zaskoczony Charles wszedł do środka. Natychmiast ze wszystkich stron otoczyli go mówiący naraz ludzie. Mężczyzna, który go zawołał, podetknął mu pod nos mikrofon.

- Jestem z Globe - wykrzyknął. - Czy mogę zadać panu kilka pytań?

Odepchnąwszy mikrofon, Charles spróbował wycofać się na korytarz.

- Panie doktorze, czy to prawda, że ma pan przejąć prowadzenie badań? - krzyknęła jakaś kobieta, chwytając go za płaszcz.

- Nie udzielam wywiadów - oznajmił głośno, wrywając się z tłumem. Bóg wiecie czemu, reporterzy zatrzymali się na progu poczekalni.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - mruknął Charles, gdy wreszcie zwolnił po spiesznym marszu. Nie cierpiał środków masowego przekazu. Z niejasnych przyczyn choroba Elizabeth przyciągnęła uwagę prasy i przez dłuższy czas odczuwał to jako swego rodzaju gwałt, gdy jego osobistą tragedię trywializowano na użytek publiki czytającej gazety przy porannej kawie. Wszedł do swojego laboratorium i zatrasnął za sobą drzwi.

Ellen Sheldon, laborantka od sześciu lat asystująca Charlesowi, podskoczyła do góry. Pracowała właśnie w skupieniu nad nastawianiem aparatury do rozdziału białek surowicy. Jak zwykle zjawiła się o siódmej piętnaście, by przygotować wszystko, zanim nieodmiennie o siódmej czterdzieści pięć wkroczy Charles. Lubił już o ósmej być przy pracy, zwłaszcza teraz, gdy wszystko zdawało się iść jak po maśle.

- Gdybym to ja tak trzasnęła drzwiami, dopiero bym usłyszała -

powiedziała z rozdrażnieniem.

Była to ciemnowłosa atrakcyjna trzydziestolatka, z misternym kokiem spiętrzoną na czubku głowy z wyjątkiem niedbale spadających na kark kosmyków. Kiedy Charles ją zatrudnił, spotkał się z zazdrośnymi docinkami ze strony kolegów, lecz prawdę mówiąc, z egzotycznej urody Ellen zdał sobie sprawę dopiero po kilku latach współpracy. Wzięte z osobna jej rysy nie odznaczały się niczym szczególnym; całość wywierała jednak fascynujące wrażenie. Dla niego wszakże najbardziej liczyły się jej inteligencja, gorliwość i doskonałe wykszolenie, jakie odebrała w MIT.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem - powiedział, wieszając płaszcz. - Wpadłem na bandę dziennikarzy. Wiesz, co o nich myślę.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać korespondencję. Laboratorium mieściło się w sporej prostokątnej sali, a w głębi za drzwiami znajdował się jego gabinet. Ponieważ go nie znośli, wstawił do laboratorium funkcjonalne metalowe biurko, gabinet zaś zmienił w zwierzętarnię. Główna zwierzętarnia znajdowała się w oddzielnym skrzydle z tyłu budynku, lecz Charles chciał mieć w pobliżu przynajmniej te zwierzęta, nad którymi przeprowadzał badania wymagające stałego nadzoru. Wyniki eksperymentów zależały w dużym stopniu od właściwej opieki nad zwierzętami, a on przykładał dużą wagę do szczegółów.

- Skąd właściwie się tu wzięli dziennikarze? - spytał. - Czyżby nasz nieustraszony przywódca naukowy dokonał wczoraj wieczorem w wannie jakiegoś przełomowego odkrycia?

- Mógłbyś być dla niego trochę pobłażliwszy - skarciła go Ellen. - Ktoś musi się zajmować administracją.

- Najmocniej przepraszam - trudno było nie słyszeć sarkazmu w głosie Charlesa.

- Rzeczywiście chodzi o coś ważnego - powiedziała Ellen. - Sprawa Brightona dostała się do prasy. Ktoś coś przewąchał w New York Timesie.

- Nowe pokolenie lekarzy z pewnością nie gardzi rozgłosem -

zauważył Charles, potrząsając głową z niesmakiem. - Myślałem, że wystarczy mu ten bałwochwalczy artykuł w Time w zeszłym miesiącu. Co on, u diabła, jeszcze wymyślił?

- Nie powiesz mi, że nie słyszałeś? - spytała z niedowierzaniem asystentka.

- Ellen, przychodzę tu pracować. Wydawało mi się, że kto jak kto, ale ty o tym wiesz.

- Zgadza się, ale historia z Brightonem... Wszyscy o tym słyszeli. Co najmniej od tygodnia to tajemnica poliszynela.

- Gdybym nie znał cię tak dobrze, mógłbym pomyśleć, że usiłujesz mnie urazić. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, to nie mów. Zresztą sądząc po twoim tonie, lepiej byłoby chyba nie wiedzieć.

- No, sprawa jest kiepska - przyznała Ellen. - Kierownik zwierzętami doniósł dyrektorowi, że doktor Thomas Brighton zakradał się potajemnie do laboratorium i podmieniał myszy, u których rozwinął się rak, na zdrowe.

- Cudownie - stwierdził sarkastycznie Charles. - Oczywiście chodziło o to, żeby wyglądało, że jego lek jest niesłychanie skuteczny.

- Właśnie. A przecież to z powodu raka tyle ostatnio o nim pisano.

- I z powodu jego pozycji w instytucie - dodał Charles, czując, że twarz mu czerwienieje z pogardy. Miał za złe doktorowi Thomasowi Brightonowi rozgłos, jaki ten sobie zapewnił, zauważył jednak, że ilekroć występował z podobną opinią, poczytywano to za objaw zawiści.

- Żal mi go - powiedziała Ellen. - Pewnie mu to zaszkodzi w dalszej karierze.

- Czy mnie słuch nie myli? - spytał Charles. - Żal ci tego tandetnego, pokrętnego drania? Mam nadzieję, że kopną go w dupę i wyleją z medycyny. I to ma być lekarz. Kantowanie przy badaniach jest tak samo ohydne jak oszukiwanie w leczeniu. Nie, jeszcze gorsze! Takie badania mogą w końcu przynieść więcej szkody.

- Nie byłabym taka pochopna w sądach. Może czuł się pod

naciskiem opinii publicznej. Niewykluczone, że znalazłyby się dla niego okoliczności łagodzące.

- W sprawach etyki zawodowej nie ma okoliczności łagodzących.

- Hmm, nie zgadzam się z tobą. Ludzie miewają kłopoty. Nie wszyscy jesteśmy nadludźmi jak ty.

- Przestań mi tu wciskać psychologiczny kit - rzucił Charles. Zaskoczyła go niechęć przebijająca ze słów Ellen.

- Dobrze, nie będę. Przydałoby ci się jednak trochę współczucia i sympatii dla ludzi, Charlesie Martel. Masz gdzieś uczucia innych. Potrafisz jedynie brać - głos Ellen drżał z emocji.

W laboratorium zapadła pełna napięcia cisza. Ellen ostentacyjnie wróciła do pracy. Charles otworzył książkę eksperymentów, nie mógł się jednak skoncentrować. Żałował, że okazał taki gniew, poza tym najwyraźniej obraził Ellen. Czyżby rzeczywiście był niewrażliwy na uczucia innych? Po raz pierwszy usłyszał z ust Ellen nieprzychylnie słowa. Zastanawiał się, czy ma to jakiś związek z przelotnym romanssem, jaki miał z nią, zanim poznał Cathryn. Doszło do niego raczej wskutek wzajemnej bliskości w ciągu lat wspólnej pracy niż z zauroczenia, pomógł też Charlesowi wydobyć się z przygnębienia, w jakie popadł po śmierci Elizabeth. Trwał jedynie miesiąc, potem w instytucie w charakterze sezonowej pomocy pojawiła się Cathryn. Od tamtego czasu Charles nigdy nie rozmawiał z Ellen o ich związku. Wydawało mu się, że lepiej pozwolić temu epizodowi bezpowrotnie odejść w przeszłość.

- Przepraszam, jeśli wypadło to za ostro - rzekł. - Nie chciałem, poniosło mnie.

- A ja przepraszam, że powiedziałam to, co powiedziałam - odparła Ellen, choć wciąż nieco drżącym głosem.

Jej odpowiedź nie przekonała Charlesa. Miał ochotę ją zapytać, czy rzeczywiście jest nieczuły, nie potrafił się jednak na to zdobyć.

- Aha - dodała Ellen - doktor Morrison chce się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Dzwonił przed twoim przyjściem.

- Morrison może zaczekać - odrzekł Charles. - Zabierajmy się do

pracy.

Cathryn czuła złość na Charlesa. Nie należała do osób tłumiących podobne uczucia; poza tym uważała, że w tym przypadku jej gniew jest uzasadniony. Po krwotoku Michelle Charles mógł zmienić swój uświęcony rozkład dnia i zawieźć ją do Kliniki Pediatrycznej. Mimo wszystko był przecież lekarzem. Oczami wyobraźni widziała Michelle zakrwawiającą cały samochód. Czy mogła wykrwawić się na śmierć? Nie była pewna, przerażała ją jednak taka ewentualność. Nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z chorobami, krwią i szpitalami. Nie wiedziała, dlaczego przejmowały ją takim lękiem, prawdopodobnie wiązało się to z powikłanym zapaleniem wyrostka, które przeszła jako dziesięcioletnia dziewczynka. Były kłopoty z jego rozpoznaniem, najpierw w gabinecie lekarskim, później w szpitalu. Do dzisiaj miała żywo w pamięci białe kafelki i zapach środków odkażających. Najgorszym jednak przeżyciem było badanie ginekologiczne. Nikt nie zadał sobie trudu, by jej cokolwiek wyjaśnić, ograniczono się do przytrzymania jej na fotelu. Charles znał jej odczucia, a mimo to uparł się, by pojechać do laboratorium jak zwykle, pozostawiając Cathryn martwienie się o Michelle.

Doszedłszy do wniosku, że w towarzystwie będzie jej rażniej, Cathryn zadzwoniła do Marge Schonhauser, czy nie podrzucić jej do Bostonu. Jeśli Tad jest jeszcze w szpitalu, jego matka zapewne skorzysta z zaproszenia. Dzwoniła z kuchni. Po drugim dzwonku odebrała Nancy, szesnastoletnia córka Schonhauserów.

- Mama jest już w szpitalu.

- Cóż, miałam nadzieję, że się na coś przydam - powiedziała Cathryn. - Spróbuję ją tam złapać. Gdyby mi się nie udało, przekaż jej, że dzwoniłam.

- Jasne - odrzekła Nancy. - Na pewno będzie jej miło.

- Jak tam Tad? - spytała Cathryn. - Wraca wkrótce do domu?

- Jest strasznie chory, proszę pani. Musi mieć przeszczep szpiku.

Przebadali nas wszystkich i okazało się, że tylko Lisa może być dawcą. Trzymają go pod namiotem, żeby uchronić przed zarazkami.

- To okropnie przykre - powiedziała Cathryn. Poczula, jak ubywa jej sił. Nie miała pojęcia, co to takiego przeszczep szpiku, brzmiało jednak dość przerażająco. Pożegnała się z Nancy i odwiesiła słuchawkę. Przez moment siedziała zamyślona. Bała się trochę spotkania z Marge, miała poczucie winy, że nie zadzwoniła wcześniej. W porównaniu z chorobą Tada krwotok z nosa Michelle i związane z nim obawy wydawały się błahe. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, przeszła do salonu.

Oparta o poduszki sofy Michelle oglądała program „Today”. Wypiwszy trochę soku pomarańczowego i odpocząwszy, poczuła się lepiej, wciąż jednak była niespokojna. Choć Charles nic takiego nie powiedział, miała wrażenie, że go w jakiś sposób zawiodła. Krwotok z nosa jedynie nasilił to odczucie.

- Dzwoniłam do doktora Wileya - odezwała się Cathryn tak pogodnie, jak potrafiła. - Pielęgniarka powiedziała, że powinniśmy przyjechać zaraz, inaczej grozi nam długie czekanie. Zbierajmy się więc.

- Czuję się o wiele lepiej - Michelle zdobyła się na uśmiech. Jej wargi drżały.

- Dobrze, ale nie wstawaj. Przyniosę ci płaszczyk i resztę - powiedziała Cathryn i ruszyła ku schodom.

- Cathryn, chyba nic mi już nie jest. Mogłabym pójść do szkoły.

Na poparcie tych słów Michelle przerzuciła nogi przez brzeg sofy i wstała. Uśmiech zniknął z jej warg, gdy zachwiała się, ogarnięta falą słabości.

Cathryn obróciła się i utkwiała wzrok w adoptowanej córce, czując przyływ czułości do dziewczynki tak ukochanej przez Charlesa. Sądziła, że Michelle chce ukryć swą chorobę jedynie z lęku przed szpitalem, który sama znała tak dobrze. Podeszła do Michelle, otoczyła ją ramionami i przytuliła silnie do siebie.

- Nie masz się czego bać - powiedziała.

- Nie boję się - odrzekła Michelle, opierając się uściskowi Cathryn.

- Czyżby? - spytała Cathryn, żeby tylko coś powiedzieć. Zawsze

zaskakiwało ją, gdy odtrącano jej uczucia. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, nie zdejmując rąk z ramion Michelle.

- Myślę, że powinnam iść do szkoły. Nie będę musiała ćwiczyć na wuefie, jeśli dasz mi zwolnienie.

- Michelle, od miesiąca nie czujesz się najlepiej. Dziś rano miałaś gorączkę. Chyba nadszedł czas, żeby coś z tym zrobić.

- Ale czuję się już świetnie i chcę iść do szkoły.

Zdejmując dłonie z ramion Michelle, Cathryn wpatrzyła się w zaciętą twarz stojącej naprzeciw niej dziewczynki. Pod wieloma względami Michelle stanowiła dla niej tajemnicę; była taką pedantyczną, poważną osobką, nazbyt rozwiniętą jak na swój wiek, a ponadto z sobie tylko znanych powodów trzymała macochę na dystans. Cathryn zastanawiała się, czy to dlatego, że matka Michelle umarła, gdy dziewczynka miała trzy lata. Wiedziała co nieco, jak wygląda wzrastanie w obecności jednego tylko rodzica, sama przecież wychowywała się bez ojca.

- Wiesz, co zrobimy? - powiedziała, myśląc szybko, jak wybrnąć z sytuacji. - Zmierzymy jeszcze raz temperaturę. Jeśli masz gorączkę, jedziemy; jeśli nie, zostajemy.

Okazało się, że Michelle ma 38,2°C.

Półtorej godziny później Cathryn wjechała starym dodge'em kombi do garażu Kliniki Pediatrycznej. Podróż na szczęście minęła im bez przeszkód. Michelle prawie wcale nie odzywała się po drodze, reagując jedynie na bezpośrednio do niej skierowane pytania. Robiła wrażenie wyczerpanej, trzymała dłonie nieruchomo na kolanach, niczym marionetki, czekające na poruszenie sznurkami.

- O czym myślisz? - spytała Cathryn, przerywając milczenie. Brak było wolnych miejsc, musiały więc jeździć z jednego piętra garażu na drugie.

- O niczym - odpowiedziała Michelle, nie poruszając się. Cathryn spojrzała na nią kątem oka. Tak bardzo chciała, by Michelle przestała się bronić przed jej miłością.

- Nie chcesz podzielić się swoimi myślami? - nalegała.

- Nie czuję się dobrze, Cathryn. Prawdę mówiąc, czuję się fatalnie. Chyba będziesz musiała pomóc mi wysiąść.

Cathryn obrzuciła tylko spojrzeniem twarz Michelle i gwałtownie zatrzymała samochód. Przytuliła dziewczynkę do siebie. Michelle tym razem nie opierała się, lecz przytuliła do jej piersi. Cathryn poczuła na ramieniu gorące łzy.

- Bardzo chcę ci pomóc, Michelle. Pomogę ci, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować. Obiecuję.

Cathryn miała uczucie, że wreszcie przekroczyła jakiś nie dający się określić próg. Kosztowało ją to dwa i pół roku cierpliwości, ale się opłaciło.

Buczenie klaksonów przywołało ją do rzeczywistości. Wrzuciła bieg i ruszyła, zadowolona, że Michelle nie przestawała jej obejmować. Poczua się prawdziwą matką bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Gdy przechodziły Przez obrotowe drzwi, osłabiona Michelle pozwoliła się jej podtrzymać.

W holu kliniki Cathryn natychmiast poprosiła o wózek, choć dziewczynka zrazu protestowała.

Szczęście z poczucia nie znanej dotąd bliskości z przybraną córką przesłoniło Cathryn widmo lęku przed szpitalem. Sprzyjało temu również samo wnętrze: hol wyłożony był płytkami w stylu meksykańskim o ciepłych barwach, a krzesła miały jaskrawopomarańczowe obicia. Wszędzie było mnóstwo roślin. Przypominało to bardziej luksusowy hotel niż klinikę.

Oddziały pediatryczne kliniki były równie uspokajające. W poczekalni czekało już pięcioro pacjentów do doktora Wileya. Rozgoryczona Michelle zauważyła, że żadne z dzieci nie ma więcej niż dwa lata. Nic jednak nie powiedziała, bo przez uchylone drzwi zajrzała do gabinetu i przypomniała sobie, po co się tu znalazła. Nachyliła się ku Cathryn i szepnęła:

- Chyba nie zrobią mi zastrzyku?

- Nie mam pojęcia - odrzekła Cathryn. - Ale potem, jeśli będziesz miała siłę, pozwolimy sobie na jakąś przyjemność. Na jaką tylko

będziesz miała ochotę.

- Mogłybyśmy pojechać do taty? - oczy Michelle pojaśniały.

- Pewnie - powiedziała Cathryn. Ustawiła wózek Michelle obok pustego krzesła, po czym sama usiadła.

Z gabinetu lekarskiego wyszła matka z pięcioletnim popłakującym chłopcem. Jedna z czekających kobiet podniosła drobne niemowlę i weszła do środka.

- Spytam pielęgniarkę, czy mogę zadzwonić - powiedziała Cathryn.

- Chcę się dowiedzieć, gdzie leży Tad Schonhauser. Możesz zostać sama?

- Oczywiście - odparła Michelle. - Właściwie znowu czuję się lepiej.

- Świetnie - odrzekła Cathryn i wstała. Michelle patrzyła na jej włosy unoszące się lekko na ramionach przy każdym kroku, gdy podchodziła do pielęgniarki, a potem wykręcała numer telefonu. Michelle przypomniała sobie, jak bardzo włosy Cathryn podobały się jej ojcu. Chciała mieć podobne. Nagle zapragnęła również być dorosła, mieć ze dwadzieścia lat, by móc pracować w laboratorium Charlesa i prowadzić z nim poważne rozmowy. Ojciec mówił, że lekarze nie muszą dawać zastrzyków, jedynie pielęgniarki. Miała nadzieję, że nie będzie zastrzyku; nie cierpiała ich.

- Panie doktorze - powiedział doktor Peter Morrison, stając w drzwiach laboratorium Charlesa. - Nie przekazano panu, że chcę pana widzieć?

Prostując się znad próbek surowicy krwi umieszczonych w automatycznym liczniku promieniowania, Charles spojrzął na Morrisona, szefa administracji wydziału fizjologii. Morrison opierał się o framugę drzwi, świetlówki odbijały się w jego okularach w szylkretowej oprawie. Na spiętej twarzy malował się gniew.

- Będę u pana za dziesięć - piętnaście minut - powiedział Charles. - Teraz muszę coś skończyć.

Morrison przez chwilę rozważał oświadczenie Charlesa.

- Czekam na pana w swoim gabinecie.

Drzwi zamknęły się za nim cicho.

- Nie powinieneś go drażnić - powiedziała Ellen po wyjściu Morrisona. - Napytasz sobie tylko kłopotów.

- Dobrze mu to robi - odrzekł Charles. - Da mu trochę do myślenia. Nie ma przecież nic lepszego do roboty w tym swoim gabinecie. Nie rozumiem, po co mu to.

- Ktoś musi się zajmować zarządzaniem - powiedziała Ellen.

- Ironia polega na tym, że kiedyś był przyzwoitym badaczem - rzekł Charles - Teraz pochłania go wyłącznie ambicja dyrektorowania. Zajmuje się tylko przekładaniem papierów, uczestniczeniem w obiadach i naradach oraz pokazywaniem się na imprezach dobroczynnych.

- Dzięki temu udaje mu się załatwić nam pieniądze.

- Być może. Do tego chyba jednak nie potrzeba doktoratu z fizjologii. Uważam, że się marnuje. Gdyby ludzie łożący ma badania kiedykolwiek dowiedzieli się, ile z ich pieniędzy rzeczywiście idzie na cele naukowe, pospadaliby z krzesel.

- W tym się z tobą zgadzam - przyznała Ellen. - Może jednak ja skończę napełniać próbki, a ty idź do Morrisona i dowiedz się, czego chce, bo będę cię potrzebowała przy pobieraniu krwi od szczurów.

Dziesięć minut później Charles wspinał się po metalowych schodach przeciwpożarowych na pierwsze piętro. Nie miał pojęcia, dlaczego Morrison chce się z nim widzieć, choć domyślał się, że czeka go kolejne kazanie i próba wymuszenia na nim jakiegoś referatu na zbliżające się posiedzenie naukowe. Martel nie podzielał opinii środowiska na temat publikacji. Nigdy nie był skłonny do spieszego płodzenia kolejnych artykułów. Choć badaczy często oceniano według liczby opublikowanych tekstów, zdolności i uporczywa praca Charlesa zdobyły mu u kolegów większe uznanie. Wielu twierdziło, że to właśnie tacy ludzie jak on dokonują wielkich odkryć. Na jego wstrzemięźliwość w druku uskarżała się jedynie administracja.

Gabinet doktora Morrisona znajdował się w skrzydle

administracyjnym na pierwszym piętrze. Korytarze miały odcień przyjemnego beżu, a na ścianach wisiały ponure olejne portrety byłych dyrektorów w akademickich togach. Panująca tu atmosfera krańcowo odbiegała od użytkowego wystroju laboratoriów na parterze, kojarzyła się raczej z szacowną firmą prawniczą, niż z nie nastawionym na zysk instytutem badawczym. Wystawność skrzydła administracyjnego zawsze drażniła Charlesa; wiedział, że kryły się za nią pieniądze pochodzące od ludzi przekonanych, iż zostały przeznaczone na badania.

W takim właśnie nastroju Charles dotarł do gabinetu Morrisona. Miał już tam wejść, gdy zdał sobie sprawę, że wszystkie sekretarki się mu przypatrują. Wyczuwało się tu tę samą atmosferę stłumionego podniecenia, z którą zetknął się rano po przybyciu do pracy. Jak gdyby wszyscy czekali, że coś się stanie.

Gdy Charles wszedł do środka, Morrison wyszedł zza szerokiego mahoniowego biurka z wyciągniętą w jego stronę dłońią. Jego wcześniejsza irytacja ulotniła się. Charles uściśnął mu rękę z rozpędu, zaskoczyła go jednak taka wylewność. Nic go nie łączyło z Mormonom, który ubrany był w świeżo odprasowany prążkowany garnitur, nakrochmaloną białą koszulę i jedwabny krawat. Martel natomiast miał na sobie, jak zwykle, płócienną koszulę, rozpiętą pod szyją i z podwiniętymi rękawami, krawat rozluźniony, zatknięty między drugi i trzeci guzik, oraz workowate spodnie koloru khaki i rozdeptane półbuty.

- Witam - powiedział Morrison, jakby go jeszcze tego dnia nie widział. Wskazał mu miejsce na skórzanej sofie w głębi gabinetu, skąd roztaczał się widok na rzekę. - Kawy? - uśmiechnął się, ukazując drobne, bardzo białe i bardzo równe zęby.

Charles odmówił, usiadł na sofie i skrzyżował ramiona. Działo się coś osobliwego, co pobudziło jego ciekawość.

- Czytał pan dzisiejszy New York Times? - spytał Morrison.

Charles potrząsnął przecząco głową.

Tamten wstał, podszedł do biurka, podniósł z niego gazetę i wskazał

na nagłówek na pierwszej stronie: SKANDAL W INSTYTUCIE ONKOLOGICZNYM WEINBURGERA. Z rękawa wysliznęła mu się złota bransoleta identyfikacyjna.

Charles przeczytał pierwszy akapit, z którego dowiedział się mniej więcej tego samego, co powiedziała mu Ellen. Zdawał sobie wprawdzie sprawę, że podobny artykuł spowoduje przez jakiś czas kłopoty ze zdobywaniem funduszy, miał jednak nadzieję, że rozwieje również niezasłużony entuzjazm dla nowego specyfiku, kanceranu, dzięki czemu uwaga badaczy zwróci się znów ku bardziej obiecującym polom. Osobiście uważał kanceran jedynie za pospolity czynnik alkilujący. W jego odczuciu kuracji na raka należało szukać w immunologii, nie w lekach cytostatycznych, choć wiedział, ile wyleczeń odnotowano dzięki nim w ostatnich latach.

- Doktor Brighton powinien się być zastanowić, co robi - rzekł Morrison. - Jest za młody, zbyt niecierpliwy.

Charles czekał, aż dyrektor administracyjny przejdzie do rzeczy.

- Będziemy musieli pozwolić mu odejść - powiedział Morrison.

Charles skinął głową słuchając, jak tamten tłumaczy sobie postępek Brightona i spoglądając na jego lśniącą łysinę. Resztki włosów nad uszami łączyły się z tyłu starannie zaczesanym kosmykiem.

- Chwileczkę - przerwał mu wreszcie. - To wszystko jest bardzo ciekawe, ale prowadzę właśnie bardzo ważny eksperyment. Czy chciałby mi pan powiedzieć coś szczególnego?

- Oczywiście - odparł Morrison, poprawiając mankiet. Złączył koniuszki palców i powiedział poważniejszym tonem. - Rada dyrektorów przewidziała ten artykuł w New York Times i spotkała się wczoraj wieczorem w trybie nagłym. Zdecydowaliśmy, że jeśli nie zadziałamy szybko, prawdziwą ofiarą skandalu padnie nowy, obiecujący lek, kanceran. Zakładam, że rozumie pan nasze motywacje?

- Oczywiście - powiedział Charles, czując wszakże niejasny niepokój.

- Zdecydowano również, że jedynym sposobem uratowania sytuacji jest dla instytutu publiczne opowiedzenie się za nowym lekiem i

przekazanie dokończenia prób nad nim któremuś z najznamienitszych naszych naukowców. Miło mi pana powiadomić, panie doktorze, że wybór padł na pana.

Charles zamknął oczy i plasnął się dłonią w czoło. Miał ochotę wybiec z gabinetu, ale się powstrzymał. Powoli otworzył oczy. Wąskie wargi Morrisona ułożyły się w uśmiech. Charles nie mógł się zorientować, czy dyrektor przewidywał jego reakcję i kpił z niego, czy też rzeczywiście uważał, że przekazuje mu dobrą wiadomość.

- Nie umiem wyrazić, jak się cieszę - ciągnął Morrison - że rada wybrała kogoś z mojego wydziału. Choć wcale mnie to nie dziwi. Wszyscy przecież pracujemy dla instytutu z całych sił. Zawsze to jednak miło, gdy od czasu do czasu ktoś to doceni. Oczywiście sam pana wysunąłem.

- Cóż - zaczął Charles tak spokojnie, jak tylko zdołał. - Liczę, że przekaże pan radzie dyrektorów wyrazy mej wdzięczności za zaufanie, niestety jednak nie jestem w stanie poprowadzić badań nad kanceranem. Widzi pan, moje własne badania posuwają się wyjątkowo dobrze. Trzeba będzie znaleźć kogoś innego.

- Mam nadzieję, że pan żartuje, doktorze - powiedział Morrison. Jego uśmiech przygasł, po czym zniknął zupełnie.

- Bynajmniej. Przy wynikach, jakie teraz uzyskuję, w żaden sposób nie mogę przerwać badań. Osiągnęliśmy z moją asystentką duże postępy i idzie nam coraz lepiej.

- Ależ nie opublikował pan od kilku lat ani jednej pracy. Trudno to nazwać wielkimi postępami. Poza tym fundusze na pańskie badania pochodzą prawie w całości z ogólnych funduszy dyspozycyjnych instytutu; od bardzo, bardzo dawna nie udało się panu załatwić dla instytutu żadnych poważniejszych darowizn. Wiem, że to skutek pańskiego obstawania przy immunologicznym podejściu do leczenia nowotworów, i jak dotąd popierałem pana w całej rozciągłości. Teraz jednak potrzebujemy pańskich usług. Gdy tylko skończą się eksperymenty nad kanceranem, będzie mógł pan wrócić do swoich badań. Niczego więcej nie żądam.

Morrison wstał i przeszedł z powrotem za biurko, by zaznaczyć, że jeśli o niego chodzi, sprawa jest załatwiona, a spotkanie zakończone.

- Nie mogę rzucić swojej pracy - powiedział Charles, czując, jak narasta w nim gniew. - Nie teraz, za dobrze mi idzie. A co z moimi badaniami nad tworzeniem komórek hybridomy¹? To chyba coś znaczy.

- Ach tak, hybridoma - powtórzył Morrison. - Wspaniała praca. Kto by pomyślał, że można dokonać fuzji uczulonych limfocytów z komórkami nowotworowymi, tworząc swego rodzaju fabrykę przeciwciał. Bardzo pomysłowe! Są tylko dwa problemy. Po pierwsze: było to wiele lat temu; po drugie: nie opublikował pan swoich wyników! Mogliśmy zbić na tym niezły kapitał. A tak zasługa przypadła komu innemu. Na pana miejscu nie liczyłbym, że chwalenie się hybridomą przekona radę dyrektorów.

- Nie wstrzymywałem badań, żeby publikować szczegóły procesu tworzenia hybridomy, ponieważ był to zaledwie jeden element założonego przeze mnie programu. Nigdy nie rwałem się do publikowania.

- Wszyscy o tym wiemy. Prawdę mówiąc, zapewne tylko dlatego nie jest pan kierownikiem wydziału.

- Nie chcę być kierownikiem wydziału! - zawołał Charles, zaczynając tracić cierpliwość. - Chcę prowadzić badania, a nie przerzucać papierzyska i obijać się po przyjęciach.

- Zdaje się, że pije pan do mnie - powiedział Morrison.

- Niech pan traktuje to jak chce - Charles nie próbował już pohamować gniewu. Wstał, podszedł do biurka Morrisona i wymierzył

1 Hybridoma: komórka powstająca z fuzji komórki śledziony uczulonego zwierzęcia i komórki szpiczaka (szpiczak to nowotwór powstający z przekształconych nowotworowo białych krwinek, zwanych limfocytami B). Cechuje się zdolnością produkcji przeciwciał monoklonalnych, czyli skierowanych wyłącznie przeciw jednemu antygenowi - właśnie tej substancji, na którą było uczulane zwierzę doświadczalne. Technika ta wydawała się wielce obiecująca w zwalczaniu nowotworów metodami immunologicznymi (przyp. tłumacza).

w niego oskarżycielsko palec. - Powiem panu, dlaczego nie mam ochoty przejąć badań nad kanceranem. Nie wierzę w niego.

- A co to, u diabła, ma znaczyć? - Cierpliwość Morrisona również zaczynała się wyczerpywać.

- To, że środki hamujące namnażanie się komórek, cytostatyki, takie jak kanceran, nie stanowią skutecznej metody leczenia nowotworów. Stosujemy je przy założeniu, że zabijają komórki nowotworowe szybciej od zwykłych, dzięki czemu, gdy powstrzymamy wzrost raka, pacjentowi zostaje jeszcze dość sprawnych komórek, żeby żyć. To jednak tylko półśrodek. Prawdziwe leczenie raka zacznie się dopiero wtedy, gdy lepiej zrozumiemy działanie żywego organizmu, zwłaszcza więzi chemiczne między komórkami.

Charles zaczął przemierzać gabinet, nerwowo przeczesując palcami włosy. Morrison natomiast nie ruszył się z miejsca, wodził jedynie wzrokiem za swym rozmówcą.

- Mówię panu, że całe podejście do leczenia nowotworów jest błędne - ciągnął podniesionym głosem Charles. - Raka nie można traktować tak, jak na przykład choroby zakaźne, i szukać na niego cudownie działającego leku w rodzaju właściwego antybiotyku. - Charles zatrzymał się i przechylił nad biurkiem w stronę Morrisona. Zniżył głos, pobrzmiwało w nim jednak jeszcze więcej emocji. - Bardzo dużo nad tym rozmyślałem, panie doktorze. Nowotwór nie jest chorobą w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, lecz ujawnieniem się bardziej pierwotnej formy życia, takiej jak te, które istniały u zarania dziejów, gdy powstawały organizmy wielokomórkowe. Proszę tylko pomyśleć: miliardy lat temu istniały tylko stworzenia jednokomórkowe, samolubne i nie zważające na siebie nawzajem. Później jednak, po wielu milionach lat, niektóre z nich zaczęły się skupiać w większe grupy, bo dzięki temu działały skuteczniej. Komunikowały się za pomocą substancji chemicznych, które umożliwiły powstanie organizmów wielokomórkowych, takich jak człowiek. Dlaczego komórka wątroby, serca, czy mózgu robi tylko to, co do niej należy? Odpowiedzi trzeba szukać w sygnałach o naturze chemicznej. Komórki nowotworowe nie

są jednak podatne na zwykłą komunikację chemiczną. Wyrwały się spod kontroli, cofnęły do prymitywniejszego stadium, przypominającego te organizmy jednokomórkowe, istniejące miliony lat temu. Rak to nie choroba, lecz raczej klucz do podstawowej organizacji życia. A immunologia - to badania nad chemicznym komunikowaniem się komórek.

Charles skończył monolog i pochylił się ku Morrisonowi, wsparłszy ręce o jego biurko. Zapadło niezręczne milczenie. Dyrektor odchrząknął, odsunął swój skórzany fotel i usiadł.

- To bardzo ciekawe - powiedział wreszcie. - Niestety nie zajmujemy się tu metafizyką. Muszę panu również przypomnieć, że nad immunologicznym aspektem chorób nowotworowych pracuje się już od dobrych dziesięciu lat i jak na razie nie udało się dzięki tym badaniom przedłużyć życia pacjentów.

- O to właśnie chodzi - wtrącił Charles. - Immunologia da lekarstwo, nie paliatywy, środki łagodzące dolegliwości i przedłużające cierpienie.

- Wysłuchałem pana, proszę więc teraz mnie posłuchać - powiedział łagodnie Morrison. - W obecnym czasie na immunologię przeznaczają się bardzo mało pieniędzy. Taka jest prawda. Na badania nad rakiem bardzo duże fundusze wyłożyły zarówno Narodowy Instytut Onkologiczny, jak i Amerykańskie Stowarzyszenie Onkologiczne. Nasz instytut potrzebuje tych pieniędzy.

Charles usiłował przerwać Morrisonowi, ten jednak nie dopuścił go do głosu. Martel osunął się w fotel. Miał wrażenie, że cała biurokratyczna machina instytutu dławi go jak jakaś gigantyczna ośmiornica.

Morrison zdjął okulary rytualnym gestem i położył je na suszce do atramentu.

- Jest pan wspaniałym naukowcem, Charles. Wszyscy o tym wiemy i właśnie dlatego potrzebujemy pana w tej chwili. Jest pan jednak również umysłem niezależnym, toteż nie tyle się pana ceni, co toleruje. Narobił pan sobie tu sporo wrogów, może przez zazdrość, może z racji pańskiej prostolinijności. Dotąd pana broniłem. Są jednak tacy, którzy

woleliby, żeby pan stąd zniknął. Mówię to dla pańskiego własnego dobra. Wspomniałem na wczorajszym zebraniu, że może pan odrzucić ofertę kontynuacji badań nad kanceranem. Zdecydowano, że jeśli pan odmówi, straci pan u nas pracę. Nietrudno będzie znaleźć kogoś, kto pociągnie zamiast pana te badania.

Utrata pracy! Te dwa słowa łomotały Charlesowi w głowie. Usiłował zebrać myśli.

- Mogę coś powiedzieć? - spytał.

- Oczywiście - odrzekł Morrison. - Proszę mi powiedzieć, że wyraża Pan zgodę na prowadzenie badań nad kanceranem. To właśnie chcę usłyszeć.

- Mam bardzo napięty program w laboratorium i posuwam się bardzo szybko do przodu - Martel zdawał się nie zwracać uwagi na słowa Morrisona. - Dotychczas celowo nic nie ujawniałem, ale sądzę, że jestem już naprawdę blisko zrozumienia tajemnicy powstawania nowotworów i ich leczenia.

Morrison przyjrzał się badawczo twarzy Charlesa, usiłując dociec, ile w tym prawdy. Czy to tylko wybieg? Mania wielkości? Spojrzał w błękitne oczy Charlesa, potem na jego wysokie pobrużdżone czoło. Dobrze znał przeszłość Martela, wiedział, że umarła mu żona, że przerzucił się nagle z medycyny klinicznej na badania naukowe. Zdawał sobie sprawę, że to znakomity naukowiec, podejrzewał jednak, iż w jego rozumieniu „naprawdę blisko” równie dobrze mogło znaczyć dziesięć lat.

- Lekarstwo na raka - rzekł Morrison, nie usiłując taić sarkastycznej nutki w głosie. Nie spuszczał oczu z twarzy Charlesa. - To byłoby cudowne. Wszyscy bylibyśmy bardzo dumni. Ale... będzie musiało poczekać do zakończenia badań nad kanceranem. Firma Lesley Pharmaceuticals, która opatentowała lek, chce go wdrożyć do produkcji. Wybacz pan, panie doktorze, ale mam mnóstwo pracy. Sprawa jest zamknięta. Ma pan do dyspozycji laboratorium oraz protokoły doświadczeń nad kanceranem, niech więc pan bierze się do roboty, i powodzenia. Gdyby miał pan jakieś problemy, proszę dać mi znać.

Oszołomiony, Charles wyszedł chwiejnym krokiem z gabinetu Morrisona. Przytłaczała go perspektywa oderwania od własnych badań w tak kluczowej chwili. Świadom pytającego spojrzenia wychuchanej sekretarki dyrektora prawie biegiem wypadł na przeciwpożarową klatkę schodową, z rozmachem otwierając drzwi. Schodził po stopniach powoli, mając w głowie zamęt. Nigdy dotąd nie grożono mu wyrzuceniem z pracy. Był wprawdzie pewien, że w razie czego nie miałby kłopotu z zatrudnieniem, nie mógł się jednak pogodzić z myślą, że choćby na krótko byłby bez pracy i to mając tyle bieżących wydatków i zobowiązań. Rezygnując z prywatnej praktyki zrezygnował również ze względnej zamożności. Płaca w instytucie ledwie pozwalała wiązać koniec z końcem, zwłaszcza po pójściu Chucka na studia.

Zszedłszy na parter Charles skręcił korytarzem w stronę swego laboratorium. Potrzebował czasu do namysłu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nadeszła ich kolej. Pielęgniarka, która wyglądała jak z filmu z Doris Day z późnych lat pięćdziesiątych, wywołała nazwisko Michelle i przytrzymała otwarte drzwi. Gdy wchodziły do gabinetu, dziewczynka schwyciła macochę za rękę. Cathryn nie była pewna, która z nich jest bardziej spięta.

Doktor Wiley spojrzął na nie znad karty przez półkoliste okulary. Cathryn nigdy przedtem go nie widziała, znały go jednak wszystkie jej przybrane dzieci. Słyszała od Michelle, że przyszedł do nich po raz pierwszy, gdy mała przechodziła wietrzną ospę, cztery lata temu. Cathryn natychmiast ujął ten mężczyzna. Dobiegał sześćdziesiątki i tchnął tym ojcowskim spokojem, jaki ludzie zazwyczaj kojarzą z profesją lekarza. Był dość wysoki, miał krótko ostrzyżone siwiejące włosy i krzaczaste siwe wąsy. Mała, ręcznie tkana czerwona muszka zdawała się podkreślać jego siłę. Wielkie dłonie sprawiały jednak wrażenie delikatnych, gdy położył kartę Michelle na biurku i nachylił się ku pacjentce.

- No proszę - powiedział. - Zrobiła się z panny mała dama. Ślicznie wyglądasz, trochę blado, ale przepięknie. Przedstaw mnie swojej nowej mamie.

- Ona nie jest nowa - obruszyła się Michelle. - Jest moją mamą już od dwóch lat.

Cathryn i doktor Wiley roześmieli się i po chwili wahania Michelle

im zawtórowała, nie bardzo jednak rozumiejąc, dlaczego się śmieją.

- Proszę, siadajcie - doktor Wiley wskazał im fotele stojące po drugiej stronie biurka. Jak każdy wytrawny klinicysta rozpoczął badanie już w chwili, gdy Michelle weszła do gabinetu. Prócz bladoci dziewczynki zauważył jej niepewny chód, przygarbioną postawę i szklane spojrzenie niebieskich oczu. Rozłożył przejrzaną wcześniej kartę i wziął do ręki pióro.

- No dobrze, co się stało?

Cathryn zaczęła opisywać dolegliwości Michelle, która tu i ówdzie wtrącała co nieco od siebie. Wszystko zaczęło się od gorączki i ogólnego złego samopoczucia. Myślały, że Michelle ma grypę, dolegliwości jednak nie ustępowały. W niektóre poranki dziewczynka czuła się doskonale, w inne okropnie. Cathryn zakończyła stwierdzeniem, że zdecydowała się przywieźć Michelle na badanie na wypadek, gdyby potrzebowała antybiotyku czy czegoś podobnego.

- Bardzo dobrze - podsumował doktor Wiley. - A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zostać sam z Michelle.

Wyszedł zza biurka i otworzył drzwi do poczekalni.

Nieco ociągając się, Cathryn wstała. Spodziewała się, że będzie cały czas obecna.

Doktor Wiley uśmiechnął się ciepło i jak gdyby czytając w jej myślach, powiedział:

- Michelle nic się przy mnie nie stanie. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Uściskawszy delikatnie ramię Michelle, Cathryn podeszła do drzwi.

Przed wyjściem do poczekalni zatrzymała się.

- Długo to potrwa? Zdażę wpaść tu do kogoś w szpitalu?

- Z pół godziny - powiedział doktor Wiley. - Myślę, że pani zdaży.

- Wrócę wcześniej, Michelle - zapewniła Cathryn i gdy dziewczynka pomachała jej ręką, zamknęła za sobą drzwi.

Wypytawszy pielęgniarkę o drogę, Cathryn wróciła do głównego holu i wsiadła do windy. Tam dopiero opanował ją dawny strach przed szpitalami. Wpatrując się w małą dziewczynkę na wózku, uświadomiła

sobie, że szpitale pediatryczne szczególnie wytrącają człowieka z równowagi. Na samą myśl o chorych dzieciach robiło jej się słabo. Usiłowała skupić uwagę na tabliczce ze światełkami pięter, lecz coś, sama nie wiedziała co, kazało jej wciąż wracać spojrzeniem do chorej dziewczynki. Kiedy drzwi otworzyły się na czwartym piętrze, wyszła z windy na nogach jak z waty, ze spotniałymi dłońmi.

Szła na oddział izolatek imienia Marshalla, na czwartym piętrze znajdowały się jednak również ogólny oddział intensywnej opieki medycznej i sale pooperacyjne oddziału chirurgii. W stanie podwyższonej wrażliwości, w jakim się znajdowała, wszelkie dźwięki i odgłosy związane z walką o życie małych pacjentów docierały do niej wyjątkowo dobitnie. Popiskiwanie kardiomonitorów mieszało się z krzykami przestraszonych dzieci. Wszędzie pełno było przewodów, butelek i syczących urządzeń. W tym obcym świecie krzątał się personel, który wydawał się Cathryn dziwnie obojętny wobec otaczającej ich grozy. Nie docierało do niej, że w gruncie rzeczy dzieciom niesiono tu pomoc.

Przystanąwszy w wąskim korytarzu z rzędami okien po obu stronach, zorientowała się, że dotarła do przejścia z jednego skrzydła szpitala do drugiego. Korytarz stanowił spokojny łącznik między nimi. Znalazła się sama; po paru chwilach minął ją na elektrycznym wózku chłopak z napisem GONIEC na plecach kombinezonu. W metalowym stelażu brzęczały szklane probówki i słoje wypełnione wszelkiego rodzaju płynami ustrojowymi. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Poczowała się lepiej. Nabrawszy hartu ducha, ruszyła dalej.

Oddział izolacyjny nie wywarł na niej takiego wrażenia. Wszystkie drzwi do sal były pozamykane, a na korytarzu nie widziała żadnych pacjentów. Cathryn podeszła do dyżurki pielęgniarek, która wyglądała bardziej jak stanowisko sprzedaży biletów w nowoczesnym porcie lotniczym niż ośrodek szpitalnego oddziału. Sporą kwadratową przestrzeń zastawiały rzędy monitorów. Sekretarka podniosła na Cathryn wzrok i spytała pogodnie, czy może w czymś pomóc.

- Szukam Tada Schonhausera - powiedziała Cathryn.

- Pięćset dwadzieścia jeden - odrzekła sekretarka, wskazując kierunek.

Cathryn podziękowała i podeszła do zamkniętych drzwi. Zapukała delikatnie.

- Proszę wchodzić - powiedziała sekretarka. - Niech pani tylko nie zapomni o fartuchu.

Cathryn nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się i weszła do niewielkiego przedsionka z półkami na pościel i inne zapasy oraz koszem na brudną bieliznę. Dalej znajdowały się kolejne drzwi z niewielkim okienkiem. W tej samej chwili wyszła z nich postać ubrana w fartuch i z maseczką na twarzy. Gdy wrzuciła do kosza na śmieci papierowy czeppek i maseczkę, okazało się, że to młoda pielęgniarka, rudowłosa i piegowata.

- Dzień dobry - powiedziała. - Chce się pani zobaczyć z Tadem?

Rękawiczki powędrowały do śmieci, fartuch do kosza z brudną bielizną.

- Chciałabym - odparła Cathryn. - Pani Schonhauser też tam jest?

- Tak, biedaczka, przychodzi codziennie. Niech pani nie zapomni o fartuchu. Tutaj trzeba zachowywać szczególne środki ostrożności.

- Ja... - zaczęła Cathryn, ale pielęgniarka już wyszła.

Cathryn pogrzebała na półkach, dopóki nie znalazła maseczki i czepka. Nałożyła je, czując się śmiesznie. Mimo że fartuch był wiązany z tyłu, nałożyła go tak, jak płaszcz. Z gumowymi rękawiczkami poszło jej jeszcze gorzej; nie zdołała dociągnąć palców w lewej. Ze zwieszającymi się z dłoni końcówkami palców rękawiczki przeszła przez drugie drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był plastikowy namiot otaczający łóżko jak klatka. Pomimo zniekształcającego tworzywa udało się jej rozróżnić sylwetkę Tada Schonhausera. W ostrym świetle neonówek twarz chłopca miała blady, zielonkawy odcień. Słychać było słaby syk tłoczonego tlenu. Po lewej stronie łóżka przy oknie siedziała z książką Marge Schonhauser.

- Marge? - szepnęła Cathryn.

Kobieta w maseczce i fartuchu podniosła wzrok.

- Tak?

- To ja, Cathryn.

- Cathryn?

- Cathryn Martel.

- O rany - powiedziała Marge, gdy wreszcie dotarło do niej, z kim rozmawia. Wstała i odłożyła książkę. Zanim ujęła Cathryn za rękę i wyprowadziła ją do przedsionka, to w drzwiach raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem Tada. Chłopiec się nie poruszał, chociaż miał otwarte oczy.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała Marge. - Naprawdę to doceniam.

- Jak on się czuje? - spytała Cathryn. Niesamowita sala, stroje ochronne... to wszystko nie dodawało otuchy.

- Bardzo źle - Marge zsunęła maseczkę. Twarz miała ściągniętą i pełną napięcia, oczy zaczerwienione i podpuchnięte. - Miał dwa przeszczepy szpiku od Lisy, ale się nie przyjęły. Wcale.

- Rozmawiałam dziś rano z Nancy - rzekła Cathryn. - Nie miałam pojęcia, że Tad jest tak bardzo chory. - Wyczuwała trawiące Marge emocje lada chwila mogące wybuchnąć jak wulkan.

- Nigdy nie słyszałam o anemii aplastycznej - powiedziała Marge, usiłując się zaśmiać. Zamiast tego jednak w jej oczach pojawiły się łzy.

Cathryn spostrzegła, że ze współczucia sama zaczyna płakać. Objęły się i przez kilka minut stały tak, płacząc. W końcu Marge westchnęła, odsunęła się od Cathryn i zajrzała jej w twarz.

- Och, jak dobrze, że przyszedłeś. Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna, W ciężkich chorobach okropne jest to, że ludzie zwykle o nas zapominają.

- Nie miałam o niczym pojęcia - powtórzyła Cathryn, czując wyrzuty sumienia.

- Nie mówię o tobie - powiedziała Marge. - Chodziło mi o ludzi ogólnie. Pewnie albo nie wiedzą, jak się zachować, albo boją się

nieznanego, ale zdarza, się to właśnie wtedy, gdy ich najbardziej potrzebujemy.

- Strasznie mi przykro. - Nic lepszego nie przychodziło Cathryn do głowy. Żałowała, że nie zadzwoniła do Marge kilka tygodni wcześniej. Marge była od niej starsza, bardziej zbliżona wiekiem do Charlesa, ale okazała jej pomoc i troskę, gdy Cathryn wprowadziła się do Shaftesbury i bardzo się polubiły. Pozostali sąsiedzi zachowywali o wiele większy chłód.

- Nie chcę zwać ci tego wszystkiego na głowę, ale czuję się rozpaczliwie - mówiła dalej Marge. - Lekarze powiedzieli mi dziś rano, że nie rokują wielkich nadziei. Wiesz, co to znaczy. Próbują mnie przygotować. Nie chcę, żeby cierpiał, ale przecież nie chcę również, żeby umarł.

Cathryn stała jak ogłuszona. Nie rokują nadziei? Nie wyjdzie z tego? Takie zwroty stosowano w odniesieniu do starców, nie pasowały do chłopaka, który kilka tygodni temu szalał po kuchni, tryskając energią i radością życia. Z trudnością opanowała odruch, by uciec stąd natychmiast, zamiast tego przytuliła do siebie przyjaciółkę.

- Ciągle zadaję sobie pytanie dlaczego? - wyszlochała Marge, usiłując nad sobą zapanować. Nie próbowała się już uwolnić z objęć Cathryn. - Mówi się, że Pan ma swoje ścieżki, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego spotkało to właśnie Tada. To niesprawiedliwe. Był takim dobrym chłopcem.

Zebrawszy siły, Cathryn zaczęła ją uspokajać. Nie obmyśliła sobie, co powinna mówić, słowa przychodziły same. Mówiła o Bogu i śmierci w sposób nawet dla siebie nieoczekiwany, ponieważ nie była religijna w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Wychowywała się w środowisku katolickim i gdy miała dziesięć lat, mówiła nawet o pójściu do klasztoru. Ale już w college' u zbuntowała się przeciw obrządkowi kościoła i stała się swego rodzaju agnostyczką, nie zadając sobie trudu zastanawiania się, w co wierzy. Mimo to jednak najwidoczniej nie mówiła tak głupio, gdyż jej słowa odniosły pewien skutek. Nie wiedziała, czy rzeczywiście ją przekonała, czy tylko uspokoiła samym swoim towarzystwem, ale

Marge ucichła i nawet zdołała się słabo uśmiechnąć.

- Muszę już iść - powiedziała w końcu Cathryn. - Michelle na mnie czeka. Obiecuję, że zadzwonię do ciebie wieczorem.

Marge skinęła głową i pocałowawszy przyjaciółkę wróciła do swego syna. Cathryn wyszła na korytarz i zatrzymała się przy drzwiach, oddychając z wysiłkiem. Wszystkie lęki, jakie budził w niej szpital, znalazły swe potwierdzenie.

- Nie mamy chyba wielkiego wyboru - powiedziała Ellen, odstawiając na blat kubek z kawą. Siedziała na stoiku laboratoryjnym, wpatrując się w zgarbionego w fotelu za biurkiem Charlesa. - Szkoda, że będziemy musieli spowolnić nasze badania właśnie teraz, ale co możemy na to poradzić? Może trzeba było informować Morrisona na bieżąco o naszych postępach.

- Nie - odrzekł Charles. Wsparty łokciami na biurku krył twarz w dłoniach, nie tknąwszy swej kawy. - Gdybyśmy go informowali, z dziesięć razy kazałby nam wypocić jakiś artykuł. Przez niego byłibyśmy kilka lat do tyłu.

- Tylko tak udałoby się nam uniknąć tego, co się stało - powiedziała Ellen. Położyła Charlesowi dłoń na ramieniu. Zapewne lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę, jak mu było ciężko. Nie znosił wszelkiego wtrącania się do swojej pracy, zwłaszcza przez administrację. - Masz słuszność. Gdyby wiedzieli, czym się tu zajmujemy, codziennie zwalaliby się nam na głowę. - Nie zdejmowała ręki z jego ramienia. - Wszystko będzie dobrze, musimy tylko trochę przyhamować.

Charles spojrzał jej w oczy, tak ciemne, że źrenice zlewały się z tęczęwkami. Bardzo wyraźnie czuł dotyk jej ręki. Od ich romansu starannie unikała jakiegokolwiek fizycznego kontaktu, za to dziś, tego samego dnia, najpierw oskarżyła go o nieczułość, a potem położyła dłoń na jego ramieniu. Nie wiedział, co począć z tak sprzecznymi sygnałami.

- Ta bzdura z kanceranem zajęłaby nam parę miesięcy - powiedział.

- Pół roku, może rok, a i to tylko wtedy, jeśli wszystko szłoby jak po maśle.

- Może pociągniemy równocześnie badania nad kanceranem i nasze własne? - spytała Ellen. - Możemy przedłużyć czas pracy, zostawać wieczorami. Chętnie to dla ciebie zrobię.

Charles wstał. Pracować wieczorami? Spojrzał na kobietę, z którą kiedyś sypiał, choć przypominał to sobie jak przez mgłę. Wydawało się to tak dawno temu. Miała taką samą oliwkową karnację jak Michelle i Elizabeth. Mimo że odczuwał fizyczny pociąg do Ellen, zawsze wychodziło z nią jakoś nie tak; mogli być partnerami w badaniach, współpracownikami, kolegami, ale nie kochankami. Ich romans był niezręczny, akty miłosne niezgrabne jak u pary nastolatków. Cathryn nie dorównywała urodą Ellen, od początku jednak czuł się z nią swobodniej, pewniej.

- Mam lepszy pomysł - powiedział. - Chyba przeskoczę Morrisona i pójde od razu do dyrektora. Wyłożę przed nim karty na stół, wyjaśnię mu, że pozostanie przy naszych badaniach jest nieskończenie ważniejsze.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to coś dało - przestrzegła go Ellen. - Morrison powiedział ci przecież, że decyzja zapadła na naradzie dyrektorów. Doktor Ibanez nie odwoła jej teraz. W ten sposób sam prosisz się o kłopoty.

- A ja uważam, że warto spróbować. Pomóż mi uzupełnić księgi laboratoryjne. Pokażę mu, czym się zajmowaliśmy.

Ellen ześliznęła się ze stołka i ruszyła w stronę drzwi.

- Ellen?! - zawołał za nią zaskoczony. Nie zatrzymała się.

- Rób, co chcesz, Charles. I tak zawsze stawiasz na swoim.

Zniknęła za drzwiami.

W pierwszej chwili miał ochotę rzucić się za nią. Szybko jednak ochłonął. Spodziewał się, że go poprze. Poza tym miał na głowie istotniejsze sprawy niż kaprysy i humory Ellen. Z gniewem odsunął myśl o niej i skupił się na głównej księdze z protokołem eksperymentów oraz wynikami najnowszych doświadczeń, zarejestrowanymi w

książkach bieżących. Powtarzając w myślach, co ma powiedzieć, Charles wspinał się po schodach przeciwpożarowych.

Rząd siedzących w holu sekretarek uważnie śledził jego wejście. Wszystkie już wiedziały, że polecono mu przejęcie badań nad kanceranem i że wcale mu to nie odpowiadało.

Charles starał się nie zwracać uwagi na ich spojrzenia, choć podchodząc do sekretarki doktora Carlosa Ibaneza, panny Veroniki Evans, czuł się jak lis w kurniku. Jak przystało na stanowisko sekretarki dyrektora, jej biurko było odgrodzone od reszty sali intarsjowanymi przegrodami. Panna Evans pracowała w instytucie nawet dłużej niż sam Ibanez. Była to zadbana kobieta w nieokreślonym średnim wieku.

- Chcę się widzieć z dyrektorem - powiedział Charles tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

- Miał pan umówione spotkanie? - Nikt nie był w stanie zastraszyć panny Evans.

- Proszę mu po prostu powiedzieć, że tu jestem - odparował Charles.

- Obawiam się... - zaczęła panna Evans.

- Jeśli nie powie mu pani, że przyszedłem, wejść tam bez pytania - Charles ze wszelkich sił usiłował nie stracić panowania nad głosem.

Przybrawszy swój osławiony pogardliwy wyraz twarzy, panna Evans powoli podniosła się i zniknęła w gabinecie. Kiedy wyłoniła się z niego z powrotem, przytrzymała jedynie drzwi i dała Charlesowi znak, by wszedł.

Gabinet Ibaneza mieścił się w narożniku, okna tego sporego pokoju wychodziły na południe i wschód. Za częściowo zamarznąłą rzeką prócz Uniwersytetu Bostońskiego widać było także fragmenty sylwetki miasta na tle nieba. Ibanez siedział za antycznym hiszpańskim biurkiem monstrualnych rozmiarów, plecami do okien. Naprzeciw niego siedział doktor Thomas Brighton.

Śmiejąc się z czegoś, co padło w rozmowie przed wejściem Charlesa, doktor Carlos Ibanez długim, cienkim cygarem, które właśnie palił, wskazał mu krzesło. Otoczka siwego dymu wisiała nad głową dyrektora jak deszczowe chmury nad tropikalną wyspą. Był to

niewysoki mężczyzna nieco po sześćdziesiątce, skłonny do niespodziewanych, raptownych ruchów, zwłaszcza gestykulacji. Jego wiecznie opaloną twarz okalały siwe włosy i kozia bródka. Obdarzony był nadspodziewanie donośnym głosem.

Wytrącony z równowagi obecnością Brightona Charles usiadł. Z jednej strony był na niego wściekły zarówno z przyczyn zawodowych, jak i osobistych, z drugiej jednak współczuł mu, że znalazł się w obliczu skandalu i końca kariery naukowej.

Doktor Brighton obrzucił Charlesa szybkim, niedwuznacznie pogardliwym spojrzeniem, po czym wrócił wzrokiem do doktora Ibaneza. To wystarczyło, by wybić Martelowi z głowy współczucie. Przyjrzał się profilowi Brightona. W porównaniu z nim tamten był młody: miał trzydzieści jeden lat, a wyglądał jeszcze młodziej - przystojny blondyn, w stylu najlepszych sfer akademickich.

- Ach, Charles - powiedział z niejakim zakłopotaniem Ibanez. - Właśnie zegnałem się z Thomasem. Szkoda, że w swej gorliwości, by doprowadzić do końca badania nad kanceranem, tak się wygłupił.

- Wygłupił?! - wybuchnął Charles. - Należałoby raczej powiedzieć, że popełnił przestępstwo.

Brighton poczerwieniał.

- Ależ, Charles, Thomas miał jak najlepsze intencje. Wierny, że nie chciał wystawić instytutu na szwank. Prawdziwym przestępcą jest osoba, która wypaplała to prasie. Marny szczyry zamiar dowiedzieć się, kto to taki, i surowo go ukarać.

- A doktor Brighton? - spytał Charles, jak gdyby tamtego nie było w gabinecie. - Jemu ma to ujść na sucho?

- Oczywiście, że nie - odparł Ibanez. - Wydaje się jednak, że takie obsmarowanie go w prasie stanowi wystarczającą karę. Przez kilka najbliższych lat będzie miał pewnie kłopoty ze znalezieniem pracy odpowiadającej jego zdolnościom. Instytut Weinburgera bez wątpienia nie może dalej sponsorować jego kariery. Prawdę mówiąc, właśnie mówiłem mu o grupie internistów na Florydzie, w której, jestem pewny, znalazłoby się dla niego miejsce.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Cóż - rzekł doktor Ibanez, podnosząc się z fotela i wychodząc zza biurka. Brighton wstał. Dyrektor położył dłoń na jego ramieniu i odprowadził go do drzwi gabinetu, nie zwracając uwagi na Charlesa.

- Będę wdzięczny za wszelką pomoc, której mi pan udzieli - powiedział Brighton.

- Mam nadzieję, że rozumie pan przyczyny, dla których musieliśmy się tak nagle rozstać - rzekł Ibanez.

- Oczywiście - odrzekł Brighton. - Kiedy prasa się do czegoś dorwie, już nie popuści. Proszę się o mnie nie martwić, cieszę się, że na jakiś czas przestaną się mną tak interesować.

Zamknawszy drzwi za Brightonem, Ibanez wrócił za biurko i usiadł. Jego nastrój raptownie przeszedł w rozdrażnienie i znużenie.

- Właściwie miałbym ochotę udusić dwóch ludzi. Tego, kto to wygadał, i pismaczyne, który to opisał. Świetny przykład, jak prasa potrafi wszystko rozdmuchać ponad wszelką miarę. Pierwsza strona w New York Timesie! Idiotyizm!

- Wydaje mi się, że obwinia pan niewłaściwych ludzi - powiedział Charles. - Mimo wszystko to kwestia moralna, nie tylko niedogodność.

Doktor Ibanez obrzucił Charlesa ostrym spojrzeniem z przeciwnej strony biurka.

- Doktor Brighton nie powinien był tego robić, kwestia moralna jednak mniej mnie obchodzi niż to, że cała ta sprawa zaszkodzi instytutowi i kanceranowi. Wskutek jakiegoś drobiazgu grozi nam katastrofa.

- Nie uważam naruszenia etyki zawodowej za drobiazg - rzekł Charles.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan wygłaszać kazania, doktorze. Coś panu powiem. Doktorem Brightonem nie powodowały żadne złe intencje. Wierzył w kanceran i pragnął, żeby jak najszybciej stał się dostępny dla ogółu. Jego zachowanie było skutkiem młodzieńczego zapału, który jest w mniejszym czy większym stopniu udziałem nas wszystkich. Na nieszczęście w tym wypadku entuzjazm poniósł go za

daleko i w rezultacie straciliśmy bardzo zdolnego pracownika, fenomenalnego zdobywcę funduszy.

Charles przesunął się na brzeg krzesła. Dla niego cała sprawa była jasna jak słońce. Zdumiewało go, że Ibanez może na nią patrzeć z tak krańcowo odmiennej perspektywy. Już miał się wdać w diatrybę na temat różnicy między dobrem a złem, gdy przerwała mu panna Evans.

- Panie dyrektorze - powiedziała, stając w drzwiach gabinetu. - Miałam pana powiadomić, gdy zjawi się pan Bellman. Właśnie przyszedł.

- Niech wejdzie! - zawołał Ibanez, zrywając się na nogi niczym bokser wypuszczony z narożnika.

Jules Bellman, rzecznik prasowy instytutu, wszedł do pokoju jak psiak z podkulonym ogonem.

- Dopiero dziś rano dowiedziałem się, co nawypisywano w Timesie - powiedział piskliwym głosem. - Nie wiem, jak doszło do przecieku, ale nie był to nikt z mojego biura. Na nieszczęście wiedziało o tym mnóstwo osób.

- Asystentka powiedziała mi, że mówił o tym cały instytut - rzekł Charles, przychodząc na pomoc Bellmanowi. - Wydaje mi się, że byłem jedynym, który o niczym nie wiedział.

Ibanez wbił w Bellmana ponury wzrok.

- No dobrze, chcę wiedzieć, kto się wygadał - powiedział po chwili. Nie poprosił rzecznika, by usiadł.

- Oczywiście - Bellman mówił teraz nieco pewniej. - Myślę, że już wiem, kto jest za to odpowiedzialny.

- Czyżby? - spytał Ibanez, unosząc brwi.

- Pracownik zwierzętami, który pierwszy zameldował panu, co wyprawia doktor Brighton. Słyszałem, że się wkurzył, bo nie dostał premii.

- Chryste, wszyscy chcieliby medali za swoją robotę! - rzucił Ibanez. - Nic nie rób, dopóki się nie upewnisz. Zajmijmy się teraz prasą. Oto, jak chcę, żeby załatwić tę sprawę. Urządzisz konferencję prasową. Przyznasz, że dopuszczono się uchybień w protokole badań

dotyczących kanceranu, i że wynikały one z nałożonych nam ograniczeń czasowych, ale zaprzeczysz, jakoby popełniono jakiekolwiek oszustwo. Proszę po prostu stwierdzić, że w czasie rutynowych kontroli administracyjnych natrafiono na pewne nieprawidłowości, i że doktorowi Brightonowi udzielono bezterminowego urlopu naukowego. Powiesz, że w badaniach nad kanceranem znajdował się pod wielką presją opinii publicznej, domagającej się szybszego wypuszczenia leku na rynek, oraz zaznaczysz, że kanceran jest jednym z najbardziej obiecujących specyfików przeciwnowotworowych, jakie się ostatnio pojawiły. Podkreślisz również, że wszystkie błędy zawinione zostały przez Brightona, a instytut nadal jest w pełni przekonany co do wartości kanceranu. Oświadczysz, że dalsze badania powierzamy naszemu najznamienitszemu naukowcowi, doktorowi Charlesowi Martelowi.

- Panie dyrektorze, nie... - zaczął Charles.

- Jeszcze chwilę, Charles - przerwał mu Ibanez. - Proszę mi dać skończyć. Zapamiętałeś wszystko, Jules?

- Panie dyrektorze - Charles nie dawał za wygraną. - Naprawdę mam do powiedzenia coś ważnego.

- Za minutę, Charles. Słuchaj, Jules, chcę, żeby Charles wyszedł na wcielonego Louisa Pasteura, jasne?

- Rozumie się samo przez się - powiedział z podnieceniem Bellman.

- Panie doktorze - zwrócił się do Martela - proszę mi podać swoje ostatnie Publikacje.

- Cholera! - wybuchnął Charles i walnął książkami laboratoryjnymi o blat biurka. - Ta rozmowa jest niedorzeczna. Wiecie, że nic ostatnio nie publikowałem, głównie dlatego, żeby nie tracić czasu. Tak czy inaczej, udało mi się bardzo wiele osiągnąć. To wszystko jest w tych księgach. Coś wam pokażę.

Ibanez powstrzymał go wyciągnięciem ręki, gdy zaczął otwierać jedną z ksiąg.

- Charles, proszę się uspokoić. Na miłość boską, nie jest pan przed sądem. W gruncie rzeczy może nawet lepiej, że nic pan nie publikował. W tej chwili zainteresowanie i fundusze łożone na immunologiczne

badania z zakresu onkologii zmalały. Prawdopodobnie nie najlepiej by się stało, gdyby Jules przyznał, że pracował pan wyłącznie na tym polu, ponieważ opinia publiczna mogłaby odnieść wrażenie, że nie ma pan kwalifikacji, by przejąć badania nad kanceranem.

- Chryste, daj mi siły - westchnął Charles do siebie przez zaciśnięte zęby. Utkwił wzrok w Ibanecie, oddychając ciężko. - Pozwoli pan, dyrektorze, że teraz ja coś powiem! Cała społeczność lekarska podchodzi do kwestii nowotworów od niewłaściwej strony. Leki cytostatyczne, takie jak kanceran, mają tylko paliatywne działanie. Prawdziwe lekarstwo może powstać jedynie dzięki badaniom nad chemicznymi zależnościami w funkcji komórek. Immunologia wywodzi się w prostej linii z tej właśnie sfery. To ona przyniesie rozwiązanie!

Charles mówił coraz głośniej, a ostatnie zdanie wyrzucił z siebie z zapalem religijnego fanatyka. Bellman opuścił wzrok i zaszurał stopami. Ibanecz pyknął z cygara i powoli wypuścił dym wąską smużką.

- Cóż - powiedział, przerywając długie, niezręczne milczenie. - To, co pan mówi, Charles, jest interesujące, obawiam się jednak, że nie wszyscy by się z panem zgodzili. Faktem jest, że pieniędzy na badania nad cytostatykami jest pod dostatkiem, podczas gdy na prace w zakresie immunologii o nie trudno...

- To dlatego, że cytostatyki daje się opatentować, podczas gdy procesów immunologicznych przeważnie nie - przerwał dyrektorowi w pół słowa Charles.

- Wydaje mi się, że stare powiedzenie „nie podcinaj gałęzi, na której siedzisz” ma i tu zastosowanie - rzekł chłodno Ibanecz. - Żyje pan na koszt społeczeństwa onkologicznego, doktorze.

- Za co jestem mu wdzięczny - odpowiedział Charles. - Nie jestem buntownikiem ani rewolucjonistą. Chcę tylko, by pozwolono mi w spokoju kontynuować moje badania. Po to właśnie tu przyszedłem: powiedzieć panu, że nie jestem w stanie przejąć badań nad kanceranem.

- Nonsens! - rzucił Ibanecz. - Oczywiście, że jest pan w stanie. Do takiego wniosku doszła rada dyrektorów.

- Nie mówiłem o moich zdolnościach umysłowych - warknął

Charles. - Po prostu to mnie nie interesuje. Nie wierzę ani w kanceran, ani w podejście do nowotworów, którego jest przejawem.

- Panie doktorze - powiedział powoli Ibanez, wpijając się wzrokiem w twarz Charlesa. - Czy pan sobie uświadamia, że znaleźliśmy się w sytuacji kryzysowej? Zamierza mi pan spokojnie oznajmić, że nam nie pomoże, bo go to nie interesuje? Pan sobie wyobraża, że co ja niby prowadzę, college finansowany przez rząd federalny? Jeśli stracimy dotacje na badania nad kanceranem, cały instytut znajdzie się w opałach. Jest pan jedyną osobą, która dostała już stypendium z Narodowego Instytutu Onkologicznego, i której pozycja zawodowa jest na tyle wysoka, że cały rejwach, który powstał w światku naukowym, ucichnie, jeśli przejmie pan prowadzenie badań.

- Ale znajduję się w kluczowym momencie własnych badań - powiedział błagalnie Charles. - Wiem, że nic nie publikowałem i niewiele mówiłem o swoich pracach. Może to był błąd. Ale wreszcie osiągnąłem jakieś rezultaty, pozwalające mi sądzić, że jest to przełomowe odkrycie. Wszystko jest tutaj - poklepał okładkę jednej z ksiąg laboratoryjnych. - Proszę posłuchać, mogę z komórki nowotworowej, komórki każdego nowotworu, wyizolować substancje odróżniające ją od zdrowych komórek tego samego organizmu.

- U jakich zwierząt? - spytał doktor Ibanez.

- Myszy, szczurów i małp - odparł Charles.

- A co z ludźmi? - zapytał Ibanez.

- Jeszcze nie próbowałem, ale jestem pewny, że mi się uda. Cała procedura sprawdzała się bezbłędnie u wszystkich gatunków, na których eksperymentowałem.

- Czy ta różnica wywołuje odpowiedź antygenową w organizmie gospodarza?

- Powinna. W każdym razie białka wydają się na tyle odmienne, by wywoływać efekt antygenowy, niestety jednak nie byłem jeszcze w stanie uwrażliwić zwierząt, u których występuje nowotwór. Wydaje się, że istnieje u nich jakiś system hamujący; nazwałem to czynnikiem blokującym. Kiedy tylko uda mi się go wyizolować, za pomocą techniki

tworzenia hybridomy wytworzę przeciwciała przeciw niemu. Jeśli uda mi się go wyeliminować, u zwierzęcia powinna natychmiast zajść reakcja immunologiczna na nowotwór.

- Kurczę! - Beliman gwizdnął, nie wiedząc, co właściwie powinien zapisać w notesie.

- Najbardziej ekscytujące jest to, że z punktu widzenia nauki to takie logiczne - ciągnął z entuzjazmem Charles. - Nowotwory to pozostałości pradawnego układu pozwalającego organizmom przyjmować nowe składniki komórkowe.

- Poddaję się - powiedział Bellman i zatrzasnął notes.

- Innymi słowy, doktorze - odezwał się Ibanez - ma pan jeszcze przed sobą mnóstwo pracy.

- Oczywiście - przyznał Charles. - Ale posuwam się coraz szybciej.

- Poza pańskimi preferencjami chyba nie ma żadnego powodu, dla którego nie mógłby pan odłożyć na jakiś czas swoich badań?

- Tylko taki, że wyniki są bardzo obiecujące. Jeśli badania okażą się w końcu równie owocne jak na obecnym etapie, przerwanie ich będzie czymś tragicznym, może nawet zbrodniczym.

- Musi się pan jednak zgodzić, że tylko pańskim zdaniem wyniki są obiecujące. Przyznaję, że wygląda to interesująco, i zapewniam pana, że w przyszłości instytut będzie pana popierał tak jak dotąd, ale najpierw pan musi zrobić coś dla nas. Może pan na jakiś czas odłożyć swoje prace; teraz musi się pan zająć kanceranem. I to natychmiast. Jeśli pan odmówi, doktorze, będzie pan musiał kontynuować badania gdzie indziej. Koniec dyskusji, to moje ostatnie słowo.

Przez chwilę Charles siedział z twarzą pozbawioną wyrazu, zdumiony, jak w końcu niepewna okazała się jego pozycja. Entuzjazm, z jakim przedstawiał swoje wyniki, bardzo podsylił jego nadzieje i zbycie go przez Ibaneza miało efekt paraliżujący. Groźba wyrzucenia z instytutu brzmiała w ustach Ibaneza o wiele poważniej niż w ustach Morrisona. Poczucie własnego „ja” tak bardzo łączyło się u Charlesa z pracą, że nie potrafił ich rozdzielić. Z wysiłkiem zebrał księgi laboratoryjne.

- Nie cieszy się pan popularnością wśród naszych pracowników - dodał spokojnie Ibanez. - Teraz ma pan jednak szansę to zmienić, włączając się w ważne dla nas prace. Proszę mi odpowiedzieć, panie doktorze, czy jest pan z nami?

Charles skinął głową, nie podnosząc wzroku. Czuł się ostatecznie upokorzony bezwarunkową kapitulacją. Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Bellman obrócił się ku Ibanezowi.

- Dziwnie zareagował. Mam nadzieję, że nie narobi nam kłopotów. Śmiertelnie się boję takiej ewangelicznej postawy.

- Ja również - powiedział w zamyśleniu Ibanez. - Na nieszczęście stał się naukowym fanatykiem i, jak z wszystkimi fanatykami, trudno sobie z nim poradzić. Fatalnie, ponieważ jest pierwszorzędnym badaczem, może nawet najlepszym, jakiego mamy. Tacy ludzie mogą nas jednak wysadzić z siodła, zwłaszcza w obecnej dobie zmniejszonych fundacji. Ciekaw jestem, skąd zdaniem Charlesa bierzemy pieniądze na to wszystko. Gdyby ludzie z Narodowego Instytutu Onkologii usłyszeli jego monolog o chemioterapii, dostaliby szału.

- Nie zamierzam dopuszczać do niego prasy - powiedział Bellman. Doktor Ibanez roześmiał się.

- Przynajmniej to będzie łatwe. Charlesowi nigdy nie zależało na rozgłosie.

- Jest pan pewien, dyrektorze, że jest najodpowiedniejszą osobą do zajęcia się kanceranem?

- Wręcz jedyną. Nie mamy na podorędziu nikogo o podobnej reputacji naukowej. Niech tylko skończy te badania.

- A jak coś pochrzani... - martwił się Bellman.

- Nawet o tym nie wspominaj - uciął Ibanez. - Jeśli nawali z kanceranem, będziemy zmuszeni uciec się do drastycznych środków, inaczej wszyscy stracimy pracę.

Czując niesmak do siebie samego, Charles powlókł się z powrotem do laboratorium. Po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat przypomniał sobie z nostalgią prywatną praktykę lekarską. Zażęknął nie tyle za bezpośrednim kontaktem z pacjentem, jaki dawała medycyna kliniczna, ile za samodzielnością. Przywykł do bycia panem samego siebie i dopiero teraz zrozumiał, ile w rzeczywistości ma do powiedzenia w instytucie.

Po raz drugi tego samego dnia trzasnął drzwiami laboratorium. Szkło zabrzęczało na półkach, szczury i myszy w zwierzętami wpadły w przerażenie. Po raz drugi przestraszył także Ellen, która zżęcznie schwyła pipetę, straconą z blatu stołu laboratoryjnego, gdy obracała się w jego stronę. Już miała go zbesztać, powstrzymała się jednak, zobaczywszy jego minę.

W przypiływie nie wyładowanego dotąd gniewu Charles cisnął książki laboratoryjne na blat. Jedna spadła na podłogę, reszta ześliznęła się na aparat destylacyjny. Wokół posypały się kawałki szkła. Ellen odskoczyła i zasłoniła twarz dłonią. Charlesowi wciąż było mało - złapał erlenmayerkę i z rozmachem posłał ją da zlewu. Jeszcze nigdy podczas sześciu lat współpracy Ellen nie widziała swego szefa w takim stanie.

- Jeśli powiesz „a nie mówiłam”, zacznę wrzeszczeć - Charles rzucił się na metalowy obrotowy stołek.

- Ibanez nie chciał cię słuchać? - spytała ostrożnie Ellen.

- Owszem, wysłuchał mnie, ale nic do niego nie dotarło. Skasował mnie jak papierowego tygrysa. To było straszne.

- Chyba nie miałaś wyboru - powiedziała Ellen. - Więc nie osądzaj się tak surowo. No dobrze, na czym stanęło?

- Na tym, że kończymy badania nad skutecznością kanceranu.

- Zaczynamy od razu? - spytała Ellen.

- Od razu - powtórzył znużonym głosem Charles. - No właśnie, może Przyniesiesz książki z protokołem badań. Na razie nie chce mi się z nikim rozmawiać.

- Dobrze - powiedziała łagodnie Ellen.

Przyjęła z ulgą polecenie pozwalające jej wymknąć się na kilka

minut z laboratorium. Czują, że Charles potrzebuje trochę czasu na osobności na dojsie do siebie.

Po jej wyjściu Charles nie ruszył się z miejsca. Starał się nie myśleć o niczym. Jego samotność nie trwała jednak długo. Drzwi otworzyły się z łoskotem i do środka wpadł jak burza Morrison.

Charles obrócił się na stołku i utkwiał spojrzenie w nabrzmiątych na skroniach Morrisona żyłach, przypominających spaghetti. Szef wydziału był wściekły.

- Dłużej już nie mogę tego tolerować! - wykrzyknął Morrison zbielałymi wargami. - Mam dość pańskiego braku szacunku. Skąd wbił pan sobie do głowy, że jest pan na tyle ważny, by nie trzymać się ustalonego trybu postępowania? Przypominam panu, że to ja jestem kierownikiem wydziału. Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, powinien się pan z tym zwrócić do mnie, a nie ganiać do dyrektora!

- Bądź pan tak dobry i wynoś się z mojego laboratorium - rzekł Charles. Małe oczy Morrisona napłynęły bladym szkarłatem. Na jego czole pojawiły się maleńkie kropelki potu.

- Powiem panu tylko tyle, że gdyby nie wyjątkowa sytuacja, z chęcią dopilnowałbym, by jeszcze dziś wywalono pana z instytutu. Na szczęście dla pana nie możemy sobie pozwolić na jeszcze jeden skandal. Niech pan się dobrze stara przy tym kanceranie, jeśli w ogóle chce pan się tu utrzymać.

Nie czekając na odpowiedź, Morrison wypadł z laboratorium. Po jego wyjściu zapanowała cisza przerywana jedynie cichym szumem sprężarek i tykaniem automatycznych liczników promieniowania. Znajome dźwięki wywierały na Charlesa kojący wpływ. Pomyślał, że może nie będzie tak źle z tym kanceranem; może uda się w miarę szybko ukończyć resztę badań, jeśli protokół eksperymentów był przyzwoicie prowadzony; może Ellen miała rację, że udałoby się prowadzić ich własne doświadczenia wieczorami.

Nagle zadzwonił telefon. Gdy przebrzmiały kolejne dwa - trzy sygnały, jeszcze się zastanawiał, czy odebrać. Przy piątym dzwonku podniósł słuchawkę.

- Halo? - usłyszał głos po drugiej stronie. - Moje nazwisko Crane, pracuję w biurze płatnika na Uniwersytecie Północno-Wschodnim.

- Słucham - rzekł Charles. Minęła chwila, nim skojarzył tę nazwę ze studiami Chucka.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała pani Crane - ale pański syn podał nam ten numer. Niestety, nie wpłynęło do nas jeszcze tysiąc sześćset pięćdziesiąt dolarów jego czesnego, choć termin już dawno minął.

Charles bawił się niewielką puszką ze spinaczami, nie wiedząc, co powiedzieć. Niemożność uregulowania rachunków była dla niego czymś nowym.

- Pan Martel, prawda?

- Doktor Martel - poprawił ją Charles i natychmiast poczuł się idiotycznie.

- Przepraszam, panie doktorze - pani Crane była szczerze zakłopotana. - Czy możemy spodziewać się tych pieniędzy w najbliższej przyszłości?

- Oczywiście - zapewnił ją. - Natychmiast wystawię czek. Przepraszam za niedopatrzenie.

Odwiesił słuchawkę. Bezzwłocznie musiał skądś pożyczyć pieniądze. Miał nadzieję, że Chuck sobie nieźle radzi i że nie będzie zdawać egzaminu kierunkowego z psychologii. Podniósł słuchawkę, nie wykręcił jednak numeru. Zdecydował, że zaoszczędzi trochę czasu, jeśli pójdzie prosto do banku. Poza tym poczuł, że dobrze mu zrobi przechadzka na świeżym powietrzu z dala od Ibanezów i Morrisonów tego świata.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przerzucając kartki starego numeru Time'a, Cathryn walczyła z nową falą lęku. Z początku gabinet doktora Wileya wydawał się jej ażylem wobec koszmarów reszty szpitala, w miarę upływu czasu powracały jednak niepewność i złe przeczucia. Spojrzawszy na zegarek stwierdziła, że badanie Michelle trwa już ponad godzinę. Coś musi być nie w porządku!

Popadała w coraz większe zaniepokojenie, krzyżując i prostując nogi, bez przerwy spoglądając na zegarek. Sytuację pogarszała panująca w poczekalni cisza i bezruch, przerywany jedynie drobnymi ruchami dłoni szydełkujących kobiet i brzdąców bawiących się klockami. W jednej chwili Cathryn pojęła, co wytrąca ją z równowagi: wszystko wydawało się płaskie, pozbawione emocji. Przypominało to dwuwymiarową projekcję trójwymiarowej sceny.

Wstała, niezdolna siedzieć dłużej.

- Przepraszam - podeszła do pielęgniarki. - Chodzi mi o moją córkę; Michelle Martel. Nie wie pani przypadkiem, ile jeszcze potrwa jej badanie?

- Doktor nam nie powiedział - odrzekła uprzejmie pielęgniarka. Siedziała wyprostowana; jej obfite pośladki wystawały po obydwu stronach krzesła.

- Czekam już dość długo - powiedziała Cathryn, pragnąc, by ją uspokojono.

- Doktor Wilej jest bardzo dokładny. Na pewno niedługo skończy.

- Często trwa to u niego ponad godzinę? - spytała Cathryn.

Właściwie bała się o cokolwiek pytać, czując zabobonny lęk, że może to wpłynąć na wyniki badania.

- Oczywiście - odpowiedziała pełniąc funkcję rejestratorki pielęgniarka. - Bada pacjentów tak długo, jak to potrzebne. Nigdy się nie spieszy. Taki ma zwyczaj.

Ale na co mu aż tyle czasu, zastanawiała się Cathryn, wracając na swoje miejsce. W jej skołatany umyśle bez przerwy pojawiał się obraz Tada pod plastikowym namiotem. Uświadomienie sobie, że dzieci również mogą zapadać na straszne choroby, było dla niej wstrząsem. Uważała, że to rzadkie przypadki, które zawsze zdarzają się dzieciom obcych ludzi. Tad jednak mieszkał w sąsiedztwie, był synem jej przyjaciółki. Przebiegł ją dreszcz.

Wzięła do ręki kolejny magazyn i zaczęła przeglądać reklamy. Ukazywały roześmianych, szczęśliwych ludzi, połyskliwe posadzki, nowe samochody. Postanowiła zaplanować obiad na ten dzień, ale nie udało się jej dokończyć tej myśli. Dlaczego Michelle tak długo tam siedzi? Pojawiły się dwie kolejne matki z zawiniątkami, w których bez wątplenia były niemowlęta. Później zjawiła się jeszcze jedna matka z dzieckiem, którego połowę twarzy pokrywała fioletowa wysypka. Był to mniej więcej dwuletni chłopczyk.

W poczekalni zrobiło się tłoczno. Cathryn zaczęła odczuwać duszność. Wstając, by zrobić miejsce dla drugiej z matek z niemowlęciem, za wszelką cenę starała się nie patrzeć w stronę chłopczyka z obrzydliwą, zniekształcającą rysy wysypką. Jej lęk narastał. Od chwili gdy zostawiła Michelle, minęło ponad osiemdziesiąt minut. Zorientowała się, że drży.

Jeszcze raz podeszła do pielęgniarki i czując się nieswojo stała przed nią w milczeniu, dopóki tamta nie zwróciła na nią uwagi.

- Czym mogę pomóc? - zapytała pielęgniarka przesadnie uprzejmym tonem. Cathryn miała ochotę potrząsnąć tą kobietą, której nakrochmalony biały strój działał na nią jak dolewanie oliwy do ognia.

Nie potrzebowała uprzejmości, ale ciepła i zrozumienia, szczypty sympatii.

- Jak pani sądzi, czy można się dowiedzieć, dlaczego to tyle trwa? - spytała Cathryn.

Nim rejestratorka zdążyła odpowiedzieć, drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich doktor Wiley. Rozejrzał się, dopóki jego spojrzenie nie natrafiło na Cathryn.

- Pani Martel, mógłbym panią poprosić na chwilę? - Z jego tonu trudno było coś wywnioskować, odwrócił się plecami, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Cathryn pospieszyła za nim, nerwowo poprawiając grzebienie z kwiatuskami we włosach. Ostrożnie zamknęła drzwi za sobą. Wiley wycofał się za biurko, lecz nie usiadł. Zamiast tego przycupnął na jego skraju, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Wyczulona na najmniejsze nawet szczegóły, Cathryn przyjrzała się uważnie. Czoło przecinały mu zmarszczki, których nie było tam wcześniej. Nie uśmiechał się.

- Potrzebujemy pani zgody na badanie - powiedział.

- Wszystko w porządku? - spytała Cathryn. Starła się mówić normalnie, jej głos brzmiał jednak piskliwie.

- Panujemy nad sytuacją - odrzekł doktor Wiley. Sięgnął po jakiś dokument leżący na biurku. - Musimy jednak wykonać szczegółowe badanie diagnostyczne. Potrzebny nam pani podpis na tym formularzu - podał go Cathryn, która ujęła go drżącymi rękami.

- Gdzie jest Michelle? - przejrzała dokument, napisany typową medyczną chińszczyzną.

- Jest w jednym z gabinetów diagnostycznych. Może ją pani zobaczyć, choć wolałbym, żebyśmy najpierw wykonali badanie - biopsję szpiku kostnego.

- Szpiku kostnego? - Cathryn podniosła głowę. Te słowa wywołały w jej umyśle okropny obraz Tada Schonhausera pod plastikowym namiotem.

- Nie ma powodu wpadać w panikę - powiedział doktor Wiley, dostrzegłszy jej reakcję. - To proste badanie, bardzo przypominające

pobranie krwi.

- Michelle ma anemię aplastyczną? - wyjąkała Cathryn.

- Z całą pewnością nie - Doktor Wiley był wyraźnie zaskoczony. - Chcemy przeprowadzić badanie, żeby postawić właściwą diagnozę, już teraz jednak mogę panią zapewnić, że Michelle nie ma anemii aplastycznej. Skąd przyszło to pani na myśl, jeśli wolno zapytać?

- Właśnie odwiedziłam syna sąsiadki, który na to choruje. Kiedy pan powiedział „szpik kostny” ... - Cathryn nie zdołała dokończyć zdania.

- Rozumiem - powiedział doktor Wiley. - Proszę się nie martwić, ręcę pani, że anemia aplastyczną nie wchodzi tu w grę. Musimy jednak przeprowadzić to badanie... tylko po to, by się upewnić.

- Myśli pan, że powinnam zawiadomić Charlesa? - spytała Cathryn. Czują ulgę, że Michelle nie ma anemii aplastycznej i była wdzięczna doktorowi Wileyowi za wykluczenie tej ewentualności. Choć Charles zapewniał, że anemia aplastyczną nie jest zaraźliwa, zdarzyła się jednak przerażająco blisko.

- Oczywiście, proszę zadzwonić, jeśli ma pani ochotę. Pozwoli pani jednak, że wyjaśnię, na czym polega badanie. Biopsji aspiracyjnej szpiku kostnego dokonuje się igłą podobną do tych, którymi pobiera się krew. Stosujemy przy niej miejscowe znieczulenie, jest więc praktycznie bezbolesna, zabiera poza tym zaledwie kilka minut. Kiedy tylko ją przeprowadzimy, będziemy mieli pewne rozpoznanie. To naprawdę proste badanie, bardzo często je wykonujemy.

Cathryn zdobyła się na uśmiech i zgodziła się na przeprowadzenie biopsji. Polubiła doktora Wileya i odczuwała płynącą gdzieś z głębi ufność do tego człowieka, szczególnie że Charles wybrał go spośród pediatrów, których bez wątpienia dobrze znał, jeszcze z dawnych czasów, od narodzin Chucka. Podpisała formularz w miejscach wskazanych przez lekarza, po czym pozwoliła się wyprowadzić z gabinetu z powrotem do zatłoczonej poczekalni.

Michelle leżała na stole zabiegowym bardzo spokojnie. Mimo że pod głowę wsunięto jej poduszkę, widziała prawie wyłącznie sufit z ukrytymi pod mlecznym szkłem świetłówkami. Dostrzegała jednak też kawałek tapety z roześmianymi klaunami, końmi na biegunach i dziećmi z balonikami. Umywalki nie widziała, ale słyszała kapiące z kranu krople wody.

Lęk Michelle przed szpitalem okazał się uzasadniony. Trzy razy była kłuta - dwa razy igłami w ramię, a raz w palec. Za każdym razem pytała, czy to już ostatni, lecz nikt nie chciał odpowiedzieć, bała się więc, że znowu to zrobią, zwłaszcza jeśli będzie się wiercić - dlatego właśnie starała się wcale nie ruszać.

Skąpo ubrana, czuła się zawstydzona. Miała na sobie tylko strój przypominający koszulę nocną, ale jej plecy były nagie, czuła pod nimi pokrywające stół papierowe prześcieradło. Patrząc w dół widziała pod przykrywającym ją drugim prześcieradłem niewielkie wybrzuszenie stóp. Dłonie również miała przykryte, ścisnęła je na brzuchu. Miała dreszcze, nikomu jednak o tym nie powiedziała. Marzyła wyłącznie o tym, by się ubrać i wrócić do domu. Wiedziała, że wciąż ma gorączkę, i bała się, by ktoś tego nie zauważył i nie kłuł jej znowu. Powiedziano jej, że dlatego właśnie pobierają krew - żeby dowiedzieć się, skąd te ciągle gorączki.

Rozległ się jakiś zgrzyt i do gabinetu weszła tyłem, zagradzając całe wejście, znów ta sama tłusta pielęgniarka. Coś ciągnęła za sobą - Michelle słyszała wyraźne szczękanie metalu. Gdy pielęgniarka odwróciła się, ukazał się mały wózek na kółeczkach, przykryty niebieską serwetą. Zdaniem Michelle nie wróżyło to niczego dobrego.

- Co to? - zapytała dziewczynka z lękiem.

- Parę narzędzi dla pana doktora, kochanie - powiedziała panna Hammersmith, jak gdyby chodziło o smakołyki. Plakietkę z nazwiskiem miała przypiętą wysoko na ramieniu jak proporczyk bojowy. Zdawało się, że ma na sobie tyle samo ciała z tyłu co z przodu.

- Będzie bolało? - zapytała Michelle.

- Kochanie, dlaczego o to pytasz? Chcemy ci tylko pomóc - w głosie

panny Hammersmith słycać było urazę.

- Wszystko, co robią lekarze, boli - powiedziała Michelle.

- Głupstwa pleciesz, malutka - skarciła ją pielęgniarka.

- Ach, moja ulubiona pacjentka - powiedział doktor Wiley, otwierając sobie drzwi ramieniem. Dłonie trzymał z daleka od ciała; były mokre i woda kapłała na posadzkę. Pielęgniarka rozerwała papierowe opakowanie, z którego doktor ostrożnie wyjął kciukiem i palcem wskazującym sterylną serwetę. Najbardziej zaniepokoiło Michelle to, że miał na sobie chirurgiczną maseczkę.

- Co pan będzie robić? - zapytała, wytrzeszczając oczy. Zapomniała, że obiecała sobie leżeć nieruchomo, i podniosła się na łokciu.

- Cóż, obawiam się, że mam dobre i złe wiadomości - rzekł doktor Wiley. - Chyba będziemy musieli cię jeszcze raz ukłuć, ale na pociechę mogę ci powiedzieć, że to na razie koniec. Co ty na to?

Odrzucił serwetę na półeczkę koło umywalki i wyjął z podsunętego mu przez pannę Hammersmith opakowania parę rękawiczek. Z narastającym przerażeniem Michelle przyglądała się, jak naciąga je na dłonie, poprawiając je w nadgarstku i starannie wygładzając aż po czubki palców.

- Nie chcę, żeby mnie więcej kluto - oczy Michelle napęłniły się łzami. - Chcę do domu. - Usiłowała nie płakać, im bardziej jednak się starała, tym mniej jej się udawało.

- Już dobrze, dobrze - uspokajała ją pielęgniarka, głaszcząc po włosach.

Michelle odepchnęła jej dłoń i spróbowała usiąść, przytrzymał ją jednak pas na biodrach.

- Proszę! - zawołała błagalnie.

- Michelle! - powiedział ostro doktor Wiley, po czym dodał łagodniej: - Wiem, że źle się czujesz i jest ci ciężko, musimy to jednak zrobić. Jeśli nam pomożesz, potrwa to tylko chwilkę.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Chcę do taty.

Doktor Wiley dał znak pielęgniarce.

- Czy siostra Levy mogłaby przyjść na chwilę i nam pomóc?

Panna Hammersmith kaczym chodem wyszła z gabinetu.

- No dobrze, Michelle, leż spokojnie i odpręż się - powiedział lekarz.

- Jestem pewien, że tata będzie z ciebie bardzo dumny, kiedy się dowie, jaka byłaś dzielna. Obiecuję ci, że to potrwa tylko minutkę.

Michelle położyła się płasko i zamknęła oczy, czując, jak łyzy spływają jej po policzkach. Intuicyjnie wiedziała, że Charles byłby zawiedziony, gdyby się dowiedział, że zachowywała się jak dzieciak. W końcu to miało być ostatnie ukłucie. Pobierano jej już krew z obydwu rąk, zastanawiała się więc, gdzie lekarz wkłuje się tym razem.

Drzwi otworzyły się znowu. Michelle wsparła się na łokciu, by zobaczyć, kto wszedł. Wróciła panna Hammersmith z dwiema pielęgniarkami. Jedna z nich niosła skórzane pasy.

- Chyba nie będą potrzebne - rzekł doktor Wiley. - Dobrze, Michelle, leż teraz spokojnie.

- Wszystko będzie dobrze, malutka - powiedziała pieszczotliwie panna Hammersmith, stając koło niej. Jedna z pielęgniarek okrążyła stół i stanęła z drugiej strony, podczas gdy ta, która przyniosła skórzane pasy, zatrzymała się przy nogach Michelle. - Pan doktor jest najlepszym lekarzem na świecie i powinnaś być dumna, że tak się o ciebie troszczy - dodała panna Hammersmith, ściągając prześcieradło na nogi Michelle. Trzymając dłonie sztywno przy bokach dziewczynka stawiała niezdecydowany opór, gdy pielęgniarka podciągnęła jej koszulkę, odsłaniając ją od kościstych kolan do sutków.

Michelle przyglądała się, jak jedna z pielęgniarek ściąga serwetę z wózka. Odwróciwszy się do niej tyłem, doktor Wiley zajął się instrumentami. Usłyszała brzęknięcie szkła i chlupnięcie jakiegoś płynu. Kiedy lekarz się odwrócił, w obydwu dłoniach miał nasączone tampony.

- Przetrę ci skórę - wyjaśnił, zaczynając szorować gazikami kość biodrową Michelle.

Spływająca po biodrze pod pośladki ciecz wydała się niepokojąco zimna. Było to coś nowego, zdecydowanie odmiennego od poprzednich pobrań krwi. Napięła się, by spojrzeć w dół, lekarz jednak delikatnie

przytrzymał jej głowę.

- Zaraz kończymy - powiedziała siostra Hammersmith.

Michelle popatrzyła po twarzach pielęgniarek. Wszystkie się uśmiechały, ale jakoś nieszczerze. Zaczęła ją ogarniać panika.

- Gdzie mnie ukłujecie?! - krzyknęła, znów usiłując się poderwać, lecz silne ręce przytrzymały ją na miejscu. Nawet jej kostki znalazły się w stalowym uścisku. Przyciśnięto ją mocno do stołu, i to wprawilo ją w krańcowe przerażenie. Próbowwała się jeszcze szamotać, wtedy jednak ścisano ją jeszcze silniej. - Nie! - krzyknęła.

- Tylko spokojnie - powiedział doktor Wiley, zarzucając stalowej barwy serwetę z otworem w środku na miednicę Michelle tak, by otwór wypadł na kości biodrowej, po czym znów zajął się jakimiś instrumentami na wózku. Kiedy się odwrócił, w dłoniach trzymał wielką strzykawkę z trzema uchwyty z nierdzewnej stali po bokach.

- Nie! - wrzasnęła Michelle, ze wszystkich sił usiłując wyrwać się z uścisku pielęgniarek. Natychmiast poczuła na piersiach miazdzący ciężar panny Hammersmith. Trudno jej było oddychać. Potem poczuła ostre ukłucie igły przebijającej skórę na biodrze, po którym nastąpiło uczucie żaru.

Charles odgryzł kawałek pastrami z białym pieczywem, chwytając skrawek mięsa, nim upadł na blat biurka. Tak gigantyczne kanapki serwowano jedynie kafeteria instytutu. Ellen przyniosła jedzenie do laboratorium, ponieważ Charles nie miał ochoty nikogo oglądać. Poza krótkim wypadem do Pierwszego Banku Narodowego nie wstawał od biurka, zatopiony w protokołach doświadczeń nad kanceranem. Przejrzał wszystkie księgi laboratoryjne i ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że były porządnie prowadzone. Zaczynał żywić nadzieję, że dokończenie badań nad lekiem nie będzie tak trudne, jak mu się zrazu wydawało. Może zdołają poradzić sobie z tym w pół roku. Przełknął kęs i popił go łykiem letniej kawy.

- Jediną zaletą całej tej sprawy są rozmiary dotacji - powiedział,

ocierając usta wierzchem dłoni. - Po raz pierwszy nie będziemy musieli dusić każdego grosza. Założę się, że uda nam się dostać nowy licznik automatyczny i ultrawirówkę.

- Chyba powinniśmy sprowadzić nowy zestaw do chromatografii - Podsunęła Ellen.

- Dlaczego nie? - rzekł Charles. - Władowano nas w te badania, więc czemu mamy się krępować? - Odłożył kanapkę na papierową tackę i wziął do ręki ołówek. - Zrobimy tak: zaczniemy od jednej szesnastej LD50.

- Zaczekaj - powiedziała Ellen. - Długo siedziałam w immunologii i nie wszystko dobrze pamiętam. O ile sobie przypominam, LD50 to dawka leku powodująca śmierć pięćdziesięciu procent badanej populacji zwierząt laboratoryjnych, zgadza się?

- Tak - potwierdził Charles. - Przed przejściem do badań nad skutecznością kanceranu oznaczono w badaniach toksykologicznych LD50 dla myszy, szczurów, królików i małp. Zacznijmy od myszy. Wykorzystamy szczep RX7, z rakiem sutka, ponieważ Brighton je zamówił, nim wybuchła cała afera.

Zaczął szkicować ołówkiem plan doświadczeń. Jednocześnie tłumaczył Ellen każdy krok, jak będą zwiększać dawkę leku i jednocześnie w miarę pojawiania się rezultatów doświadczeń na myszach dołączać do prób szczury i króliki. Ze względu na to, że małpy były wyjątkowo drogie, mieli ich użyć dopiero w końcowej fazie prób, gdy będzie już można przez ekstrapolację wyników eksperymentów nad innymi zwierzętami i matematyczne opracowanie rezultatów doświadczeń nad znaczącymi statystycznie populacjami określić, w jaki sposób należy podejść do małp. Zakładając, że osiągnięto by wyniki pozytywne, należało następnie, w odniesieniu do wszystkich gatunków, przeprowadzić próby losowe jako kontrolę wyników. Polegałoby to na zastosowaniu optymalnych dawek kanceranu wobec owych zwierząt kontrolnych tak, by nawet Charles czy Ellen nie wiedzieli, którym jest on podawany, aż do przeprowadzenia badań pośmiertnych i ustalenia wyników.

- O rany - przeciągnęła się Ellen. - Sama nie wiedziałam, w co się ładuję.

- Dobiję cię, to nie wszystko - odrzekł Charles. - Każde zwierzę trzeba będzie przebadać przy sekcji nie tylko za pomocą mikroskopu świetlnego, ale i elektronowego. Poza tym...

- Wystarczy - powiedziała Ellen. - Mam już ogólne pojęcie. A co z naszą pracą? Jak będziemy sobie z nią radzić?

- Nie jestem pewny - odrzekł Charles, odkładając ołówek. - Myślę, że to zależy od nas obojga.

- Chyba bardziej od ciebie. - Ellen siedziała na wysokim stołku, wsparta plecami o stół laboratoryjny z łupkowym blatem. Miała na sobie rozpięty fartuch, pod którym widać było beżowy sweter i pojedynczy sznur naturalnych perłę. Delikatne dłonie złożyła na kolanach.

- Mówiłaś poważnie, że możesz pracować wieczorami?

Charles usiłował jakoś pogodzić w myślach równoległą pracę nad kanceranem i tajemniczym czynnikiem blokującym. Było to możliwe, choć oznaczałoby mnóstwo godzin spędzanych codziennie w laboratorium i wolne posuwanie się do przodu. Gdyby jednak udało im się wyizolować przynajmniej u jednego gatunku, jedno białko pełniące funkcję czynnika blokującego, byłoby to już dużo. Uodpornienie choćby jednej myszy na jej nowotwór oznaczałoby spektakularny sukces. Charles uświadamiał sobie, że na podstawie takiego pojedynczego przypadku trudno byłoby generalizować, czuł jednak, że nawet tak skromne powodzenie mogłoby przekonać instytut, że trzeba wesprzeć jego prace.

- Słuchaj - powiedziała Ellen. - Wiem, ile dla ciebie znaczą te badania, wiem też, że znajdujesz się w punkcie przełomowym. Nie wiem, czy zyskasz stateczne potwierdzenie czy nie, ale to bez znaczenia. Musisz się dowiedzieć i dowiesz się. Jesteś najbardziej upartą osobą, jaką spotkałam.

Charles spojrział na nią badawczo. Dlaczego powiedziała, że jest uparty? Nie wiedział, czy potraktować to jako komplement czy zarzut, i

nie miał pojęcia, jakim cudem rozmowa zeszła na jego osobowość. Ellen zachowywała jednak obojętny wyraz twarzy, nie spuszczając z Charlesa nieprzeniknionych oczu.

Widząc, jak się w nią wpatruje, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie bądź taki zaskoczony. Jeśli chcesz pracować wieczorami, to ja również. Będę przynosiła w te dni coś na kolację.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jakie to będzie ciężkie - odparł z wahaniem. - Praktycznie mieszkalibyśmy w laboratorium.

- Jest większe od mieszkania, które wynajmuję - odparła ze śmiechem Ellen. - Moje koty same zatroszczą się o siebie.

Charles przeniósł wzrok na świeżo sporządzony plan doświadczeń z kanceranem. Nie myślał jednak o leku. Zmagał się z wątpliwościami, czy powinien skorzystać z propozycji Ellen.

- Rozumiesz, że nie mam pojęcia, czy uda mi się namówić Morrisona do płacenia ci za nadgodziny? - powiedział.

- To nie ma... - zaczęła Ellen i nie skończyła. Przeszkodził jej telefon.

- Odbierz - rzekł Charles. - Nie mam ochoty z nikim rozmawiać.

Ellen ześliznęła się ze stołka i opierając się na ramieniu Charlesa sięgnęła po słuchawkę. Powiedziała „Halo” i natychmiast cofnęła rękę. Szybko rzuciła mu słuchawkę na kolana i odeszła.

- Twoja żona.

Szarpnąwszy za skręcony sznur Charles wyciągnął słuchawkę, która ześliznęła się mu pomiędzy nogi. Że też musi dzwonić właśnie teraz, pomyślał.

- O co chodzi? - spytał niecierpliwie.

- Chcę, żebyś natychmiast przyjechał do gabinetu doktora Wileya - powiedziała Cathryn sztywnym, opanowanym głosem.

- Coś się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

- Cathryn, miałem bardzo zły ranek. Powiedz mi, o co chodzi.

- Charles, po prostu tu przyjedź!

- Słuchaj, wszystko mi się od rana wali. Nie mogę teraz przyjechać.

- Czekam na ciebie - oświadczyła Cathryn i odłożyła słuchawkę.

- Kurwa! - krzyknął Charles, rzucając słuchawką na widełki. Obrócił się w fotelu i spostrzegł, że Ellen wycofała się za swoje biurko. - Na domiar wszystkiego Cathryn każe mi teraz przyjechać do pediatry i nie chce powiedzieć, co się stało. Boże, co jeszcze może mnie dzisiaj spotkać!

- Tak to jest, jak się ktoś żeni z maszynistką.

- Co? - zapytał Charles. Usłyszał dobrze, uwaga wydała mu się jednak zupełnie bez związku z sytuacją.

- Cathryn nie rozumie, czym się tu zajmujemy. Prawdopodobnie nie jest w stanie pojąć napięcia, w jakim żyjesz.

Charles posłał jej zdziwione spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

- Pewnie masz rację. Najwyraźniej wyobraża sobie, że mogę tu wszystko rzucić i pognać do niej. Chyba powinienem zadzwonić do Wileya i dowiedzieć się, o co chodzi. - Zaczął wybierać numer, urwał jednak w połowie i powoli odłożył słuchawkę. Myśl o Michelle pomimo irytacji zasiała ziarno troski. Stał mu przed oczyma jej poranny krwotok z nosa. - Lepiej tam pojedę. To nie potrwa długo.

- A co z planem badań? - spytała Ellen.

- Pogadamy o nim jeszcze, jak wrócę. Postaraj się przez ten czas przygotować roztwór kanceranu dla myszy. Gdy tylko wrócę, wstrzykniemy pierwszą dawkę. Każ przenieść myszy do naszej zwierzętami. Tak będzie nam o wiele łatwiej.

Podszedł do metalowej szafki przy drzwiach i wyciągnął swą kurtkę.

Ellen patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi. Bez względu na to, co postanawiała sobie poza laboratorium, gdy tylko znajdowała się z Charlesem twarzą w twarz, czuła się zraniona. Teraz zaś z gniewu i rozczarowania gotowa była się rozpląkać. Dopuszczała, by podniecił ją pomysł wspólnej pracy wieczorami. Zareagowała jak głupia nastolatka. W głębi ducha wiedziała, że to niczego nie zmieni, a jedynie przysporzy jej więcej bólu.

Ciesząc się, że ma coś konkretnego do zrobienia, zmusiła się, by

podejść do blatu, na którym stały sterylne fiolki z kanceranem. Był to biały proszek, przypominający cukier puder, do którego dodawało się wody destylowanej. Ponieważ w roztworze był nietrwały, rozpuszczalnik należało dodawać bezpośrednio przed użyciem. Przyniosła wodę destylowaną i za pomocą komputera na biurku obliczyła optymalne rozcieńczenie.

Gdy wyciągała strzykawkę, do laboratorium wszedł doktor Morrison.

- Doktora Martela nie ma - powiedziała.

- Wiem - odrzekł Morrison. - Widziałem, jak wychodził z instytutu. Nie jego szukam. Chciałem porozmawiać z panią.

Odłożywszy strzykawkę, Ellen wetknęła ręce do kieszeni i okrążyła biurko, stając naprzeciw Morrisona. To, że głowa wydziału szukała jej, zwłaszcza poza plecami Charlesa, było czymś niezwykłym. Jednakże po wydarzeniach tego ranka zbytnio jej to nie zaskoczyło. Ponadto Morrison miał tak makiaweliczny wyraz twarzy, że nie ulegało wątpliwości, iż coś knuje.

Podchodząc bliżej, wydobył płaską złotą papierośnicę, otworzył ją z trzaskiem i podsunął Ellen. Gdy potrząsnęła głową, sam wyjął papierosa.

- Mogę tu zapalić? - spytał.

Wzruszyła ramionami. Charles na to nie pozwalał, ponieważ twierdził, że to niebezpieczne. W istocie nie znosił po prostu zapachu tytoniu. Czując przekorną przyjemność, bez słowa skinęła głową przyzwalająco.

Z kieszeni kamizelki Morrison wydobył zapalniczkę stanowiącą komplet ze złotą papierośnicą i z namaszczeniem przypalił papierosa. Przedłużał te wystudiowane ruchy celowo, by kazać Ellen czekać.

- Chyba pani wie, co się zdarzyło dziś rano w związku ze sprawą Brighton - powiedział w końcu.

- Trochę - przyznała Ellen.

- Wie pani również, że Charlesowi powierzono dokończenie badań nad kanceranem?

Skinęła głową.

Morrison urwał i wydmuchnął dym w postaci serii kółeczek.

- Dla instytutu jest wyjątkowo ważne, żeby te badania zakończyły się sukcesem.

- Doktor Martel zaczął już nad nimi pracować - powiedziała Ellen.

- Dobrze, bardzo dobrze - rzekł Morrison. Znow zapadło milczenie.

- Nie wiem dokładnie, jak to sformułować - odezwał się po chwili Morrison - ale martwię się, żeby Charles nie zepsuł eksperymentów.

- Nie sądzę, by musiał się pan o cokolwiek martwić - odrzekła Ellen.

- Jeśli na coś może pan liczyć w przypadku Charlesa, to na zawodową rzetelność.

- Nie martwię się o jego zdolności intelektualne - wyjaśnił dyrektor administracyjny. - Chodzi mi o jego równowagę emocjonalną. Będę całkowicie szczery: wydaje mi się zbyt impulsywny. Stale krytykuje pracę wszystkich wokół siebie i wydaje mu się, że on jeden posiadał tajniki właściwej metody.

Impulsywny? To określenie nieźle oddawało jej odczucia. Pamiętała ostatni wieczór spędzony z Charlesem, jakby to było wczoraj. Zjedli kolację w restauracji „Harvest”, wrócili do jej mieszkania na Prescott Street i kochali się. Była to ciepła, czuła noc, jak zwykle jednak Charles nie został do rana. Powiedział, że musi być w domu, kiedy dzieci się obudzą. Następnego dnia zachowywał się tak jak zawsze, ale nigdy już potem nie umówili się na spotkanie, a Charles nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić chociaż słowem. Niedługo potem ożenił się z dziewczyną przyjętą do instytutu czasowo w charakterze maszynistki. Tak jakby jednego dnia usłyszał, że ktoś taki w ogóle istnieje, a już następnego poprowadził ją do ołtarza. Ellen zgadzała się, że określenie „impulsywny” pasuje do Charlesa: impulsywny i uparty.

- Czego pan po mnie oczekuje? - spytała, usiłując wrócić myślami do rzeczywistości.

- Chyba chciałbym, żeby mnie pani uspokoiła - odrzekł Morrison.

- Cóż. Zgadzam się, że Charles bywa humorzasty, nie sądzę jednak, by wpływało to na jego pracę. Myślę, że może pan na niego liczyć, jeśli

chodzi o badania nad kanceranem.

Morrison rozluźnił się i uśmiechnął, ukazując zza wąskich warg niewielkie zęby.

- Dziękuję pani. Właśnie to chciałem usłyszeć. - Odkręcił kurek, podstawił pod strumień wody wypalony do połowy papieros i wyrzucił go do kosza na śmieci. - Jeszcze jedno. Zastanawiam się, czy mogłaby mi pani wyświadczyć wielką przysługę. Chciałbym, żeby powiadomiła mnie pani gdyby w czasie badań nad kanceranem dostrzegła pani w zachowaniu Charlesa coś odbiegającego od normy. Wiem, że to niezręczna prośba, lecz cała rada dyrektorów byłaby pani wdzięczna za współpracę.

- Dobrze - powiedziała szybko Ellen, niepewna, jak właściwie powinna zachować się w takiej sytuacji. Jednocześnie pomyślała, że Charles sobie na to zasłużył. Tak się dla niego starała, a on wcale tego nie doceniał. - Zrobię to pod warunkiem, że czegokolwiek się pan ode mnie dowie, nie ujawni pan źródła tych wiadomości.

- Oczywiście - zgodził się Morrison. - To się rozumie samo przez się. I, oczywiście, niech o wszystkim powiadamia mnie pani osobiście. - W drzwiach zatrzymał się jeszcze. - Miło mi było z panią rozmawiać. Już od pewnego czasu miałem na to ochotę. Jeśliby pani czegoś potrzebowała, mój gabinet zawsze stoi dla pani otworem.

- Dziękuję - powiedziała Ellen.

- Może zjemy któregoś dnia wspólnie kolację?

- Może - odrzekła.

Patrzyła, jak drzwi się zamykają. Morrison wyglądał osobliwie, był jednak stanowczy i miał władzę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przejeżdżając przez most Harvarda Charles mocował się z opornym systemem ogrzewania. Nie udawało mu się przestawić uruchamiającej go dźwigni. W rezultacie jego wysiłków pinto skręcił ostro, wywołując przerażenie u sąsiadów na drodze i zewsząd rozległy się klaksony. Zdesperowany Charles uderzył w plastikową dźwigienkę grzbietem dłoni, przez co osiągnął jedynie tyle, że trzasnęła i spadła na podłogę wozu.

Godząc się z zimnem, powtórnie skupił uwagę na drodze. Najszybciej jak mógł skręcił z Massachusetts Avenue, omijając Black Bay Fens, zaniedbany, zaśmiecony park w centrum niegdyś atrakcyjnej dzielnicy rezydencyjnej. Minał Bostońskie Muzeum Sztuk Pięknych, a potem Muzeum imienia Gardnera. Kiedy ruch wokół niego przerzedził się, zaczął błędzić myślami. Wydawało mu się okrucieństwem ze strony Cathryn, że pozostawiła go w niepewności, na pastwę wyobraźni. Czyżby u Michelle od nowa zaczęło się krwawienie z nosa? Nie, to chyba zbyt proste. Może chciano przeprowadzić jakieś badanie, na które Cathryn nie wyraziła zgody? Też nie; w takim razie wyjaśniłaby mu co nieco przez telefon. Na pewno chodzi o samą chorobę Michelle. Może ma zapalenie wyrostka robaczkowego? Przypomniał sobie bóle brzucha Michelle i niewielką gorączkę. Może to podostre zapalenie wyrostka i chcą ją operować? Charles wiedział, jak szpitale działają na Cathryn. Budziły w niej grozę.

Gdy wszedł do poczekalni przed gabinetem doktora Jordana Wileya, znalazł się w tłumie przestraszonych matek i płaczących dzieci. Od tego właśnie się uwolnił porzucając praktykę. Jak w przypadku wszystkich lekarzy, jego rejestratorki miały nieprzyjemny zwyczaj umawiania pacjentów wymagających dokładnego zbadania w terminach zarezerwowanych na wizyty kontrolne, co powodowało beznadziejne opóźnienia i tłok. Upomnienia nie odnosiły żadnego skutku. Nigdy nie mógł zdążyć i bezustannie tłumaczył się przed pacjentami.

Charles poszukał wzrokiem Cathryn w tłumie kłębiącym się w poczekalni, ale nie znalazł. Przedarł się do pielęgniarki przez babiniec matek pragnących się dowiedzieć, kiedy zostaną przyjęte przez lekarza. Usiłował je przekrzyczeć, wkrótce jednak uświadomił sobie, że będzie musiał poczekać na swoją kolej. W końcu udało mu się zwrócić uwagę pielęgniarki, która w tym otaczającym ją chaosie zachowywała zupełny spokój.

- Szukam mojej żony - Charles musiał niemal krzyczeć.

- Jak nazwisko? - spytała pielęgniarka, złożwszy dłonie na stosie kart chorobowych.

- Martel, Cathryn Martel.

- Chwileczkę. - Jej twarz przybrała wyraz powagi. Odsunęła fotel i wstała, kobiety stłoczone wokół biurka patrzyły na Charlesa z mieszaniną szacunku i rozdrażnienia. Najwyraźniej zazdrościły mu, że tak szybko zdołał wymusić na pielęgniarce jakąś reakcję.

Wróciła prawie natychmiast, prowadząc za sobą kobietę imponujących rozmiarów, mogącą w opinii Charlesa śmiało iść w zawody z człowiekiem z opon, znakiem firmowym firmy Michelin. Zauważył plaketkę z nazwiskiem: A. Hammersmith. Skinęła ręką na Charlesa, który posłusznie przeszedł na drugą stronę biurka.

- Proszę za mną - powiedziała pielęgniarka. Gdy mówiła, w jej twarzy poruszały się jedynie usta zawieszony między dwoma pyzatymi policzkami.

Pospieszył za nią korytarzem, którego perspektywy w ogóle nie

dostrzegał spoza skutecznie blokującego widok ciała panny Hammersmith. Minęli ciąg drzwi, za którymi, jak podejrzewał, znajdowały się gabinety diagnostyczne. Pielęgniarka otworzyła wykładane boazerią drzwi na końcu korytarza i odsunęła się, by przepuścić Charlesa.

- Przepraszam - powiedział, przeciskając się koło niej.

- Chyba obydwójgu nam przydałoby się zrzuć kilka kilogramów - stwierdziła.

Pozostała na zewnątrz i delikatnie zamknęła za nim drzwi. Na półkach wypełniających jedną ścianę gabinetu znajdowały się czasopisma medyczne i kilka podręczników. Pośrodku stał okrągły stół z jasnego dębu, otoczony sześcioma krzesłami. Jedno z nich raptownie skrzypnęło i podniosła się z niego Cathryn. Oddychała nierówno, słychać było powietrze wciągane i wypuszczane przez nos.

- Co się... - zaczął Charles.

Nim zdążył dokończyć, podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Objął ją w pasie i przytulił do siebie na kilka chwil, by mogła dojść do równowagi.

- Cathryn - czuł, że ogarnia go lęk. Zachowanie żony obalało jego hipotezy o zapaleniu wyrostka, operacji, czymś zwyczajnym.

Nieproszone wróciło okropne, przytłaczające wspomnienie dnia, w którym dowiedział się, że Elizabeth ma białaczkę.

- Cathryn - powiedział ostrzejszym tonem. - Cathryn! Co się stało? Co się z tobą dzieje?

- To moja wina - wyszlochała. Po jej policzkach pociekły łzy. Charles czuł, jak dygocze w jego ramionach. Odczekał, błędząc wzrokiem po gabinecie. Zauważył portret Hipokratesa na ścianie naprzeciwko półek, piękny drewniany parkiet oraz podręcznik pediatrii Nelsona na stoliku.

- Cathryn - odezwał się w końcu. - Proszę, powiedz mi, co się stało. Co za twoja wina?

- Powinnam wcześniej przyprowadzić tu Michelle. Wiem, że powinam - jej słowa przerywane były szlochem.

- Co z Michelle? - zapytał Charles. Narastała w nim panika.

Doznawał przerażającego uczucia déjà vu...

Cathryn zacisnęła jeszcze silniej dłonie na jego karku, jak gdyby stanowiło to jedyny ratunek. Zniknęło całe opanowanie, które zdołała sobie narzucić przed jego przyjazdem.

Gdy, wkładając w to sporo sił, Charlesowi udało się rozerwać jej uścisk, wydawało się, że Cathryn zemdleje. Podprowadził ją do krzesła, na które opadła jak przekłuty balon, po czym usiadł koło niej.

- Cathryn, musisz mi powiedzieć, co się stało.

Z wielkim wysiłkiem podniosła na niego załzawione niebieskie oczy. Otworzyła usta, zanim jednak zdążyła wyrzec choć słowo, do pokoju wkroczył doktor Jordan Wiley.

Nie spuszczając dłoni z ramion Cathryn, Charles odwrócił się, usłyszawszy zamykające się drzwi. Na widok doktora Wileya wstał, chcąc wyczytać coś z jego twarzy. Znał go od prawie dwudziestu lat; była to znajomość bardziej zawodowa niż towarzyska. Początki jej sięgały czasów, gdy Charles studiował jeszcze na akademii medycznej. Wiley był jego opiekunem podczas trzyletniego kursu pediatrii i wywarł na nim wielkie wrażenie swą wiedzą, inteligencją i współczuciem. Gdy później Charles potrzebował pediatry, wzywał doktora Wileya.

- Miło cię znów widzieć, Charles - lekarz ścisnął mu dłoń. - Przykro mi, że w tak nieprzyjemnych okolicznościach.

- Może pan mi wreszcie powie, co to za okoliczności - Charles pokrywał strach rozdrażnieniem.

- Jeszcze nie wiesz? - spytał doktor Wiley. Cathryn potrząsnęła głową. - Może wyjdę na chwilę - zaproponował. Ruszył już w stronę drzwi, lecz Charles go powstrzymał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Uważam, że pan powinien mi wszystko powiedzieć - rzekł.

Doktor Wiley spojrzał na Cathryn, która skinieniem głowy wyraziła zgodę. Nie szlochała już, lecz nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

- No dobrze - Wiley obrócił się znów w stronę Charlesa. - Chodzi o Michelle.

- Domyśliłem się.

- Może usiądziesz - zaproponował lekarz.

- Lepiej niech mi pan powie.

Doktor Wiley wpatrzył się uważnie w pełną niepokoju twarz Charlesa. Zauważył, że jego dawny student bardzo się postarzał. Z niechęcią myślał, że znowu przyszło mu być zwiastunem złych wieści i cierpienia; był to jeden z tych nielicznych obowiązków lekarza, których nie znośli.

- Michelle ma białaczkę.

Szczęka Charlesa powoli opadła. Jego niebieskie oczy zaszkliły się, jak gdyby był w transie. Nie poruszył żadnym mięśniami, wstrzymał nawet oddech. Słowa doktora Wileya wyzwoliły w nim spiętrzony potok pogrzebanych wspomnień. Słyszał wciąż: „Przykro mi, panie doktorze, ale pańska żona ma gwałtownie postępującą białaczkę... Ogromnie mi przykro, ale leczenie nie daje żadnych skutków... panie doktorze, przykro mi, ale pańska żona weszła w końcowe stadium kryzysu białaczkowego... panie doktorze, okropnie mi przykro - pańska żona zmarła kilka minut temu”.

- Nie! To nieprawda! To niemożliwe! - wykrzyknął z taką gwałtownością, że doktor Wiley i Cathryn się przerazili.

- Charles - Wiley położył mu uspokajającym gestem dłoni na ramieniu.

Błyskawicznym ruchem Charles strącił jego rękę.

- Proszę mnie nie traktować jak dziecko!

Mimo łez Cathryn schwyciła męża za ramię. Zaskoczony doktor Wiley odsunął się.

- To jakiś marny dowcip? - warknął Charles, strząsając dłoń Cathryn.

- To nie dowcip - powiedział lekarz łagodnie, lecz zdecydowanie. - Charles, wiem, że to dla ciebie trudne, zwłaszcza po tym, co stało się z Elizabeth, musisz się jednak opanować. Michelle cię potrzebuje.

Charles nie potrafił sobie poradzić z naporem strzępów myśli i uczuć. Starał się doprowadzić je jakoś do ładu, uchwycić się czegoś konkretnego.

- Dlaczego uważa pan, doktorze, że Michelle ma białaczkę? - spytał

powoli, z wielkim wysiłkiem. Cathryn usiadła.

- Diagnoza jest jednoznaczna - powiedział cicho doktor Wiley.

- Jaką białaczkę? - spytał Charles, przeczesując włosy palcami i wyglądając przez okno na ceglany mur w sąsiedztwie. - Limfoblastyczną?

- Nie - odrzekł Wiley. - Bardzo mi przykro, ale ostrą mieloblastyczną. Bardzo mi przykro... bardzo mi przykro... Wytarty zwrot, do którego uciekają się lekarze, gdy nie wiedzą, co powiedzieć, kołatało w mózgu Charlesa. Bardzo mi przykro, ale pańska żona umarła... Czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu nóż w serce.

- Krążące blasty białaczkowe? - spytał, zmuszając inteligencję, by wzięła górę nad wspomnieniami.

- Przykro mi, ale są obecne - odpowiedział doktor Wiley. - Ma ponad pięćdziesiąt tysięcy białych krwinek.

W gabinecie zapadła śmiertelna cisza.

Charles niespodziewanie zaczął krążyć po pokoju. Drobiąc szybko, splatał i rozplatał dłonie, co sprawiało wrażenie, jakby niezależnie od niego walczyły ze sobą.

- Rozpoznanie białaczki nie jest pewne przed biopsją szpiku - powiedział nagle.

- Wykonaliśmy ją - odrzekł doktor Wiley.

- Nie mogliście - burknął Charles. - Nie udzieliłem zgody.

- Ja jej udzieliłam - powiedziała niepewnym głosem Cathryn, bojąc się, że postąpiła niewłaściwie.

Nie zwracając na nią uwagi, Charles dalej wpatrywał się wrogo w doktora Wileya.

- Chcę sam obejrzeć rozmazy.

- Zbadali je już hematolodzy - powiedział Wiley.

- Nie obchodzi mnie to - odrzekł z gniewem Charles. - Chcę je sam zobaczyć.

- Dobrze - Wiley pamiętał, że Charles był trochę narwanym, ale sumiennym studentem. Najwidoczniej wcale się nie zmienił. Choć lekarz wiedział, jak ważne jest dla Martela potwierdzenie rozpoznania,

w tym momencie wolałby porozmawiać z nim o planowanym leczeniu Michelle.

- Chodź ze mną - powiedział w końcu i wyprowadził Charlesa z salki posiedzeń. Gdy tylko otworzył drzwi, do środka wtargnęła kakofonia dziecięcego płaczu. Nie wiedząc, co ma z sobą począć, Cathryn pospieszyła za mężczyznami.

Przeszli korytarzem do niewielkiego pomieszczenia służącego za małe laboratorium kliniczne, mieszczące zaledwie stół laboratoryjny i kilka stołków. Próbkę moczu sprawiały, że pachniało tu jakby rybami. Pryszczata dziewczyna w wyświechtanym białym fartuchu podniosła się z szacunkiem z najbliższego wysokiego stołka. Przeprowadzała właśnie rutynowe analizy moczu.

- Tutaj, Charles - powiedział doktor Wiley, zdejmując pokrowiec z binokularnego mikroskopu Zeissa. Charles usiadł, włączył oświetlenie i wyregulował rozstaw soczewek. Wiley wyciągnął z szuflady tekturowe pudełko na rozmazy na szkiełkach podstawowych. Wyjął ostrożnie jedno z nich, trzymając je tylko za boki. Gdy podawał je Charlesowi, napotkał jego wzrok - wzrok zaszczutego zwierzęcia.

Lewą dłonią Charles ujął szkiełko, trzymając je między kciukiem i palcem wskazującym. Na środku preparatu znajdowało się szkiełko nakrywkowe, ochraniające niewinną z pozoru rozmazaną plamę. Obok widniał napis: MICHELLE MARTEL, NR 882673, SZPIK KOSTNY. Drżącą dłonią Charles położył szkiełko na przesuwanym stoliku i umieścił na nim kroplę oleju. Przechylił głowę w bok i ostrożnie opuścił okular z soczewką immersyjną, dopóki ten nie zatrzymał się tuż nad szkiełkiem i zanurzył w oleju.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu. Charles przyłożył oczy do okularów mikroskopu i powoli zaczął unosić tubus. W jednej chwili niewyraźne plamy zamieniły się w mnóstwo bladoniebieskich komórek. Zaparło mu dech, poczuł, jak krew łomocze mu w skroniach. Przeszył go dreszcz strachu tak silny, jakby patrzył na własny wyrok śmierci. W szpiku Michelle miejsce prawidłowej populacji komórek we wszystkich stadiach dojrzewania zajęły duże, niezróżnicowane komórki o dużych,

nierównej wielkości jądrach, zawierających liczne jąderka. Poczuł, że bez reszty ogarnia go panika.

- Zgodzisz się chyba, że obraz jest dostatecznie jasny - powiedział łagodnie doktor Wiley.

Charles zerwał się na równe nogi, z łoskotem przewracając stołek.

Zaślepił go niepokonany gniew, który wzbierał przez cały ten nieznośny poranek, by wreszcie wybuchnąć.

- Dlaczego?! - wrzasnął na Wileya, jak gdyby pediatra należał do osaczającego go spisku. Chwytał go za koszulę i zaczął nim gwałtownie potrząsać.

Cathryn rzuciła się między nich i otoczyła męża ramionami.

- Charles, przestań! - krzyknęła bojąc się, że Charles zrazi sobie jedynego jej zdaniem człowieka, który był w stanie pomóc Michelle. - To nie wina doktora Wileya. Jeśli ktoś tu jest winien, to my.

Jak gdyby budząc się ze snu, Charles, zakłopotany, puścił lekarza. Schylił się, postawił stołek i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie ma co mówić o winie - doktor Wiley nerwowo poprawił przekrzywioną muszkę. - Musimy pomówić o leczeniu.

- Gdzie jest Michelle? - spytał Charles. Cathryn wciąż kurczowo trzymała go za ramię.

- Została przyjeta do szpitala - odrzekł Wiley. - Jest na szóstce w skrzydle imienia Andersena. Mamy tam wspaniałe pielęgniarki.

- Chcę ją zobaczyć - powiedział cicho Charles.

- Oczywiście. Uważam jednak, że najpierw powinniśmy porozmawiać o jej leczeniu. - Wiley już wyciągnął współczującym gestem dłoń, rozmyślił się jednak i włożył ręce do kieszeni. Furia Martela wytrąciła go z równowagi. - Słuchaj, Charles, w klinice pracuje jeden z najwybitniejszych światowych autorytetów w białaczkach u dzieci, doktor Stephen Keitzman. Za zgodą Cathryn już się z nim skontaktowałem. Michelle jest bardzo chora i im szybciej zajmie się nią specjalista od onkologii dziecięcej, tym lepiej. Umówiłem się z nim, że przyjdziemy, gdy tylko się zjawisz. Uważam, że powinniśmy się najpierw z nim zobaczyć, a później pójść do Michelle.

Z początku Cathryn miała wątpliwości co do doktora Stephena Keitzmana. Zewnętrznie stanowił przeciwieństwo doktora Wileya. Był niskim, młodo wyglądającym mężczyzną z dużą głową, pokrytą wijącymi się, gęstymi czarnymi włosami. Nosił okulary bez oprawek na szczupłym nosie, na którym bardzo wyraźnie odznaczały się pory skóry. Zachowywał się niespokojnie, nerwowo gestykulując, a w przerwach w rozmowie uwidaczniał się jego tik: górna warga unosiła się raptownie w górę w krzywym uśmiechu, obnażając pokryte koronkami zęby. Rozszerzały się mu przy tym nozdrza. Trwało to tylko chwilę, wystarczyło jednak, by wprowadzić w zakłopotanie każdego, kto stykał się z nim po raz pierwszy. Niemniej jego pewność siebie i władczy ton sprawiły, że Cathryn poczuła do niego zaufanie.

Pewna, że zapomni, co do nich mówią, Cathryn wyciągnęła niewielki notes i długopis. Niepokoiło ją, że Charles zdawał się w ogóle nie słuchać. Zamiast tego gapił się przez okno, jak gdyby ciekawił go ruch uliczny na Longwood Avenue. Północno-wschodni wiatr przywiał nad Boston arktyczne powietrze, przez co mieszanina mżawki i śniegu zamieniła się w silną zawieję. Zrazu Cathryn poczuła ulgę, że Charles wreszcie się zjawiał i zajmie się wszystkim, co ją przerastało; ale zachowywał się tak dziwnie - albo się złościł, albo był jakby nieobecny.

- Krótko mówiąc - podsumował doktor Keitzman - diagnoza ostrej białaczki mieloblastycznej została ustalona ponad wszelką wątpliwość.

Powoli wodząc wzrokiem dookoła, Charles rozejrzał się po gabinecie. Miał świadomość, że z trudem nad sobą panuje i nie bardzo może skupić się na tym, co mówi Keitzman. Gniewem napełniała go myśl, że od rana jest świadkiem, jak rozwiewa się jego poczucie bezpieczeństwa, spokój rodziny i niedawno odzyskane szczęście. Rozum podpowiadał mu, że jest wielka różnica między Morrisonem i Ibanzem z jednej strony, a Wileym i Keitzmanem z drugiej, w tej chwili jednak wszyscy oni wyzwalali w nim tę samą ślepą wściekłość. Nie mógł wprost uwierzyć, że Michelle ma białaczkę, i to najgorszego rodzaju, o największej śmiertelności. Przeżył już taką katastrofę; teraz powinno paść na kogoś innego.

Słuchając jednym uchem, Charles przyglądał się doktorowi Stephenowi Keitzmanowi, który przybrał typowy protekcyjny ton lekarza rozmawiającego z rodziną pacjenta i cedził informacje, jakby wygłaszał wykład. Najwidoczniej przechodził już przez to wielokrotnie, bo wyświechtane zwroty w rodzaju „bardzo mi przykro” dźwięczały nieszczerze, zdawkowo. Charles miał niemiłe uczucie, że onkolog znajduje w tym wszystkim pewną przyjemność, nie taką, jakiej dostarcza dobry film czy posiłek, lecz pewną subtelną formę samozadowolenia: to na nim skupiała się uwaga w sytuacjach trudnych. Taka postawa jeszcze bardziej wytrącała Charlesa z równowagi, zwłaszcza że aż nadto dobrze znał ogólne zagadnienia, o których mówił Keitzman. Zmuszał się do milczenia, podczas gdy umysł podsuwał mu kalejdoskopowe migawki z dzieciństwa Michelle.

- By rozwiązać nieuniknione w takich wypadkach poczucie winy - mówił doktor Keitzman, właśnie wyszczerzywszy zęby w nerwowym grymasie - Pragnę podkreślić, że przyczyna i dokładny moment wywiązania się białaczki takiej, jak u Michelle, są nieznane. Rodzicom pacjentów nie wolno winić ani siebie, ani jakichś określonych wydarzeń za zachorowanie ich dziecka. Naszym celem jest leczenie choroby i doprowadzenie do remisji - ustąpienia jej objawów. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że mamy bardzo dobre wyniki w leczeniu ostrej białaczki mieloblastycznej, o niebo lepsze niż dziesięć lat temu. Jesteśmy obecnie w stanie osiągnąć remisję w osiemdziesięciu procentach przypadków.

- Cudownie - odezwał się po raz pierwszy Charles. - Może mi pan jednak powie, ile wynosi pięcioletnie przeżycie nie we wszystkich postaciach białaczki, lecz właśnie w tej, na którą choruje Michelle?

Charles świadomie chciał sprowokować Keitzmana, by od razu powiedział najgorsze.

Onkolog poprawił okulary na nosie i odchrząknął.

- Panie doktorze, rozumiem, że wie pan o chorobie swej córki o wiele więcej niż rodzice, z którymi mam zazwyczaj do czynienia. Ponieważ jednak białaczki u dzieci nie są pana specjalnością, nie mam

pojęcia, co pan wie, a czego nie. Uznałem więc, że najlepiej będzie, jeśli przedstawię zagadnienie tak, jakby nie wiedział pan nic. Jeśli nawet panu znane są te zagadnienia, na pewno są obce pani Martel.

- Dlaczego nie odpowiedział pan na moje pytanie? - ponaglił go Charles.

- Myślę, że będzie korzystniej, jeśli skupimy się na osiągnięciu remisji - odrzekł Keitzman. Jego nerwowy tik stał się częstszy. - Moje doświadczenia z postęпами w zakresie chemioterapii skłaniają mnie do wręcz codziennego rewidowania poglądów co do perspektyw leczenia. Udaje się nam odnosić spektakularne sukcesy.

- Z wyjątkiem białaczki takiego typu, jak u Michelle - prychnął Charles. - Niech pan da spokój i powie otwarcie, jaka jest szansa pięcioletniego przeżycia pacjenta z ostrą białaczką mieloblastyczną.

Doktor Keitzman przeniósł spojrzenie od wyzywających oczu Charlesa na przestraszoną twarz Cathryn, która przestała notować i utkwiała w nim wzrok. Zorientował się, że spotkanie przebiega zupełnie inaczej, niż powinno. Zerknął na doktora Wileya, szukając u niego wsparcia, ten jednak spuścił głowę, przesuwając kciukiem po paznokciach pozostałych palców. Starając się unikać oczu Charlesa, Keitzman powiedział cichym głosem:

- Pięcioletnie przeżycia w ostrej białaczce mieloblastycznej są nieczęste, nie są jednak wykluczone.

- No, wreszcie zbliżył się pan do prawdy. - Charles zerwał się na równe nogi i przechylił ku niemu przez biurko. - Ale mówiąc ściślej, średnie przeżycie w ostrej białaczce mieloblastycznej, jeśli uda się osiągnąć remisję, wynosi zaledwie rok do dwóch lat. A w przypadku Michelle, przy krążących w krwiobiegu komórkach białaczkowych, jej szansę na remisję są o wiele mniejsze niż osiemdziesiąt procent. Zgodzi się pan ze mną, doktorze?

Zdjąwszy okulary, Keitzman milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

- W tym, co pan mówi, tkwi trochę prawdy, lecz nie nazwałbym tego konstruktywnym podejściem do leczenia. Na przebieg terapii

wpływa mnóstwo czynników.

Charles niespodziewanie podszedł do okna, spoglądając na unoszące się w powietrzu płatki śniegu.

- Może powie pan, doktorze, mojej żonie, ile wynosi przeżycie u osób, u których kuracja nie daje żadnych skutków... to znaczy u takich, u których nie udaje się uzyskać remisji?

- Nic jestem pewien, jaki to ma... - zaczął Keitzman. Charles obrócił się na pięcie.

- Nie wie pan, jaki to ma sens? Pan jeszcze śmie pytać? Powiem panu jaki. W chorobie najgorsza jest niepewność. Ludzie są zdolni przystosować się do wszystkiego, jeśli tylko wiedzą. To szamotanina w niepewności doprowadza ich do szaleństwa. - Charles rzucił się z powrotem w stronę biurka Keitzmana. Po drodze zauważył notes Cathryn, wyrwał go jej z rąk i wrzucił do kosza na śmieci. - Nie potrzebujemy notatek z tego zebrania! To nie wykład, do cholery! Aż za dobrze wiem, co to takiego białaczka! - Z wypiekami na twarzy obrócił się ku Keitzmanowi. - No dalej, niech pan powie, jakie są rokowania w przypadkach bez remisji.

Keitzman odchylił się w fotelu, chwytając dłońmi krawędź biurka, jak gdyby gotował się do walki.

- Nie najlepsze - powiedział w końcu.

- Mało! - warknął Charles. - Proszę konkretniej.

- Dobrze! Tygodnie, najwyżej miesiące.

Charles nie odpowiedział. Gdy już udało mu się przyprzeć Keitzmana do muru, nagle opadł z sił. Powoli osunął się w fotel. Twarz Keitzmana wykrzywiały przez chwilę tiki. Gdy ustąpiły, wymienił z doktorem Wileym współczujące spojrzenia. Odwróciwszy się w stronę Cathryn, ponownie przybrał ton pouczający.

- Jak już mówiłem, najlepiej nie myśleć o białaczce jako o chorobie śmiertelnej i skupiać się na zwalczaniu jej niejako z dnia na dzień.

- To tak, jakby mówić skazańcowi, żeby nie myślał o śmierci - wymamrotał Charles.

- Panie doktorze - powiedział Keitzman ostro. - Można by się

spodziewać, że jako lekarz inaczej podejdzie pan do tej sytuacji.

- Łatwo jest podchodzić inaczej, gdy nie dotyczy to kogoś z własnej rodziny - odparował Charles. - Na nieszczęście już raz przez to przeszedłem.

- Chyba powinniśmy omówić leczenie - odezwał się doktor Wiley.

- Zgadza się - odrzekł Keitzman. - Musimy zacząć terapię jak najszybciej. Chciałbym zacząć już dzisiaj, natychmiast po otrzymaniu wyników badań podstawowych. Ze względu na naturę leków będziemy oczywiście potrzebować pańskiej zgody.

- Jest pan pewien, że przy tak małej szansie na remisję warto narażać Michelle na efekty uboczne? - Charles mówił już spokojniej. Wciąż miał przed oczyma koszarne obrazy Elizabeth w ostatnich miesiącach życia, jej gwałtowne torsje, wypadające włosy... Przymknął oczy.

- Tak, jestem pewien - oświadczył zdecydowanie doktor Keitzman. - Uważam za fakt nie podlegający dyskusji, że osiągnęliśmy wielkie postępy w leczeniu białaczek u dzieci.

- Bezsprzecznie - dodał doktor Wiley.

- Zgadza się, są postępy - rzekł Charles. - Niestety jednak w innych rodzajach białaczek niż u Michelle.

Cathryn przerzucała spojrzenie z Charlesa na Keitzmana i Wileya. Oczekiwała, pragnęła jednomyślności, na której mogłaby zbudować nadzieję, tymczasem obserwowała wyłącznie rozbieżność zdań i wrogość.

- Hmm - powiedział Keitzman. - Jestem zwolennikiem leczenia dawkami uderzeniowymi we wszystkich przypadkach, bez względu na szansę remisji. Każdy pacjent zasługuje na szansę przeżycia bez względu na cenę. Liczy się każdy dzień, każdy miesiąc.

- Nawet jeśli pacjent wolałby, by nadszedł kres jego cierpień? - spytał Charles, przypominając sobie ostatnie dni Elizabeth. - Nie jestem przekonany, czy warto narażać dziecko na dodatkowy ból, gdy szansę na remisję, nie mówiąc o wyleczeniu, są mniejsze niż dwadzieścia procent.

Doktor Keitzman wstał raptownie, odpychając fotel.

- Najwyraźniej całkowicie różnimy się w poglądach na wartość ludzkiego życia. Wierzę, że chemioterapia jest rzeczywiście dobrą bronią przeciw nowotworom. Ma pan jednak prawo do własnego zdania, doktorze. Ale nie ulega wątpliwości, że wolałby pan znaleźć innego onkologa bądź też samemu prowadzić terapię córki. Powodzenia!

- Nie! - zawołała Cathryn, zrywając się na nogi. Przeraziła ją myśl, że doktor Keitzman, w opinii Wileya najlepszy specjalista, zrzeknie się leczenia Michelle. - Panie doktorze, potrzebujemy pana, Michelle pana potrzebuje.

- Nie sądzę, by pani mąż podzielał pani zdanie - odrzekł Keitzman.

- Podziela, jest tylko wytracony z równowagi - powiedziała Cathryn.

- Proszę, panie doktorze! - Zwróciła się do Charlesa: - Charles, proszę cię! Nie poradzimy sobie z tym sami. Dziś rano sam powiedziałeś, że nie jesteś pediatrą. Potrzebujemy doktora Wileya i doktora Keitzmana!

- Myślę, że powinien pan z nami współpracować - ponaglił go Wiley. Charles zgarbił się, przytłoczony własną niemocą. Wiedział, że nie byłby w stanie wyleczyć Michelle, mimo że uważał ogólnie przyjęte podejście do leczenia nowotworów za błędne. Nie dysponował jednak niczym innym; w jego umyśle panował zamęt.

- Charles, proszę cię - powtarzała błagalnie Cathryn.

- Michelle to biedna, chora dziewczynka - powiedział doktor Wiley.

- Zgoda - rzekł cicho Charles, znów zmuszony do kapitulacji. Cathryn spojrzała na doktora Keitzmana.

- Proszę! Zgodził się!

- Panie doktorze - zwrócił się do Martela Keitzman. - Czy chce pan, bym jako onkolog zajął się tym przypadkiem?

Z westchnieniem sprawiającym wrażenie, jak gdyby było mu bardzo ciężko oddychać, Charles niechętnie skinął głową. Keitzman usiadł i przełożył jakieś papiery na biurku.

- Dobrze - rzekł w końcu. - Nasz schemat leczenia białaczki mieloblastycznej przewiduje następujące leki: daunorubicynę, tioguaninę i cytarabinę. Po przeprowadzeniu badań zaczniemy

natychmiast od podania w szybkim wlewie kroplowym sześćdziesięciu miligramów daunorubicyny na metr kwadratowy powierzchni ciała.

Gdy Keitzman przedstawiał plan leczenia, udręczony umysł Charlesa podsuwał mu potencjalne efekty uboczne daunorubicyny. Gorączka u Michelle najprawdopodobniej wywołana była infekcją wskutek spadku odporności na bakterie. Daunorubicyna obniży ją jeszcze bardziej. Lek nie tylko ogromnie zwiększy podatność na zakażenia różnymi bakteriami i grzybami, lecz także najprawdopodobniej zrujnuje układ pokarmowy, być może i serce... do tego włosy... Boże!

- Chcę zobaczyć Michelle - powiedział nagle, podrywając się na równe nogi, by odsunąć dręczące myśli. Natychmiast uświadomił sobie, że przerwał Keitzmanowi w pół zdania. Wszyscy patrzyli na niego tak, jakby popełnił coś niewybaczalnego.

- Charles, chyba powinieneś posłuchać - rzekł doktor Wiley, wyciągając rękę i ujmując go za ramię. Był to gest odruchowy, i dopiero gdy go wykonał, przyszło mu do głowy, że może nie powinien. Charles jednak nie zareagował. Zwiesił ręce wzdłuż ciała i gdy tylko Wiley lekko go pociągnął, usiadł z powrotem.

- Jak mówiłem - kontynuował Keitzman - w moim przekonaniu trzeba dostosować podejście psychologiczne do pacjentów. Zazwyczaj dzielę ich na trzy grupy: do pięciu lat, w wieku szkolnym i młodzież. Z dziećmi do lat pięciu sprawa jest prosta: wymagają bezustannego okazywania troski i miłości. Kłopoty zaczynają się w wieku szkolnym, gdy dla dziecka największymi problemami stają się odłączenie od rodziców oraz nieprzyjemności związane z pobytem w szpitalu.

Charles poruszył się niespokojnie. Nie miał ochoty wyobrazić sobie, jak wygląda choroba z perspektywy Michelle; było to zbyt bolesne.

Zęby Keitzmana błysnęły na moment, gdy nerwowy tik wykrzywił mu twarz.

- Pacjentom w wieku szkolnym mówi się tylko to, o co konkretnie pytają. Oddziaływanie psychologiczne ogranicza się przede wszystkim do zmniejszenia napięcia i lęku wywołanego oddzieleniem od rodziny.

- Wydaje mi się, że Michelle bardzo ciężko przeżyje rozłąkę - Cathryn starała się nadażać za tłumaczeniami doktora Keitzmana okazać chęć współpracy, byle tylko go nie zrazić.

- W przypadku młodzieży - mówił dalej Keitzman, nie zwracając uwagi na jej słowa - postępowanie jest właściwie takie, jak z dorosłymi. Terapia psychologiczna ma na celu wyeliminowanie zamętu i niepewności, nie niszczy się jednak mechanizmu obronnego, jakim bywa niekiedy nieprzyjmowanie przez pacjenta do wiadomości, że jest chory. Na nieszczęście Michelle znajduje się na etapie przejściowym między wiekiem szkolnym a dojrzewaniem. Nie jestem pewny, jaka metoda postępowania jest wobec niej najodpowiedniejsza. Może państwo jako rodzice mogliby udzielić mi jakichś wskazówek.

- Chodzi panu o to, czy trzeba powiedzieć Michelle, że ma białaczkę? - rzekła Cathryn.

- Między innymi - odpowiedział Keitzman.

Cathryn spojrzała na Charlesa, ten jednak znów zamknął oczy. Doktor Wiley popatrzył na nią ze współczuciem, co podniosło ją nieco na duchu.

- Cóż, trzeba się nad tym zastanowić - rzekł doktor Keitzman.

- Nie musimy decydować już teraz. Na razie Michelle można mówić, że staramy się ustalić, na co choruje. Przed przystąpieniem do leczenia muszę jeszcze spytać, czy Michelle ma rodzeństwo?

- Tak - odparła Cathryn. - Dwóch braci.

- Dobrze - powiedział Keitzman. - Trzeba ich przebadać, czy występuje u nich zgodność grupy krwi i podstawowych antygenów tkankowych. Michelle prawdopodobnie będzie potrzebowała transfuzji płytek, granulocytów, a może nawet przeszczepu szpiku kostnego, mam więc nadzieję, że przynajmniej jeden z nich może być dawcą.

Cathryn ponownie spojrzała na Charlesa, szukając u niego wsparcia, ale miał wciąż zamknięte oczy. Nie miała pojęcia, o czym mówi doktor Keitzman, zakładała jednak, że Charles wie. Tylko że zdawał się to wszystko przyjmować jeszcze gorzej niż ona.

W windzie Charles usiłował wziąć się w garść. Jeszcze nigdy nie

doznawał równie sprzecznych uczuć. Chciał jak najszybciej zobaczyć córkę, przytulić ją do siebie i pocieszyć; z drugiej strony bał się tego spotkania, bo przecież znał diagnozę. Zbyt dobrze wiedział, co oznaczała, a Michelle wyczyta wszystko z jego twarzy.

Winda zatrzymała się. Gdy wysiedli, rozpostarł się przed nimi jasnoniebieski korytarz z obrazkami na ścianach, przedstawiającymi zwierzęta i przypominającymi kalkomanie. Pełen był ubranych w pidżamy dzieci w najprzeróżniejszym wieku, pielęgniarek i rodziców; na drabinach pracowała ekipa konserwatorska, wymieniająca oświetlenie.

Doktor Wiley poprowadził ich obok drabin i dyżurki pielęgniarek. Dostrzegłszy go spoza stojaków z historiami chorób, dyżurna pielęgniarka pospiesznie ich dogoniła. Charles wlepił spojrzenie w podłogę i noski butów, mając wrażenie, że patrzy na stopy innej osoby. Cathryn szła koło niego, trzymając go pod ramię.

Michelle leżała w jednoosobowej sali, utrzymanej w tym samym pastelowym odcieniu błękitu co korytarz. Po lewej stronie koło drzwi do toalety na ścianie namalowany był wielki tańczący hipopotam. W drugim końcu pokoju znajdowało się okno z żaluzjami. Po prawej umieszczono szafę, szafkę nocną i standardowe szpitalne łóżko, przy którym stał stelaż z nierdzewnej stali z zawieszoną butelką z płynem do kroplówki i plastikowym woreczkiem. Prowadziły od nich przewody do wklucia w ramieniu Michelle. Gdy usłyszała wchodzących, odwróciła się od okna.

- Cześć, orzeszku - powiedział pogodnie doktor Wiley. - Popatrz, kogo przyprowadziłem ze sobą.

Przy pierwszym rzucie oka na córkę obawa Charlesa zniknęła, zmieciona falą czułości i troski. Podszedł do niej szybko i przytulił ją do siebie, mocno przyciskając. Zarzuciła mu wolną rękę na szyję i przyciągnęła jeszcze silniej. Cathryn stanęła po drugiej stronie łóżka. Widziała, że Charles próbuje powstrzymać łzy. Po chwili wypuścił Michelle z uścisku, opierając jej głowę na poduszce i głaszcząc ciemne gęste włosy okalające bladą twarz. Michelle wyciągnęła rękę i chwyciła

mocno dłoń macochy.

- Jak się czujesz? - spytał Charles. Bał się, że Michelle od razu dostrzeże jego niepokój i lęk.

- Teraz świetnie - odparła rozradowana widokiem rodziców. Zaraz jednak zachmurzyła się i patrząc ojcu w oczy zapytała: - To prawda, tato?

Charlesowi serce podskoczyło do gardła. Wie, pomyślał ze zgrozą. Zerknął na Keitzmana, starając sobie przypomnieć, co ten mówił o właściwym podejściu psychologicznym.

- Czy co jest prawdą? - spytał beztrąsko Wiley, podchodząc do łóżka.

- Tatusiu? - Michelle podniosła na ojca błagalny wzrok. - To prawda, że będę tu musiała zostać na noc?

Charles zamrugał, z początku nie mogąc uwierzyć, że Michelle nie chodziło o potwierdzenie diagnozy. Gdy zrozumiał wreszcie, że córka nie wie, co jej jest, uśmiechnął się z ulgą.

- Tylko na kilka dni - powiedział.

- Ale nie chcę opuszczać lekcji - rzekła Michelle.

- Nie przejmuj się szkołą - Charles z nerwowym śmiechem rzucił okiem na Cathryn, która roześmiała się podobnie nieszczerze. - Trzeba, żebyś tu została na parę dni. Zrobią ci badania, żeby dowiedzieć się, dlaczego masz gorączkę.

- Nie chcę więcej badań - powiedziała Michelle, z oczami rozszerzonymi strachem. Dość się nacierpiała.

Charlesa uderzyło, jak drobno wyglądało jej ciało na szpitalnym łóżku. Wąskie ramiona wystające ze szpitalnej koszuli wydawały się niewiarygodnie kruche. Dość pokaźna dotąd szyja teraz nie była grubsza niż jego przedramię; Michelle sprawiała wrażenie delikatnego, bezbronnego ptaszka. Wiedział, że gdzieś w jej szpiku kostnym znajduje się grupa komórek, która wszczęła wojnę przeciw reszcie ciała. A on nie mógł jej w żaden sposób pomóc - w żaden.

- Doktor Wiley i doktor Keitzman zrobią tylko te badania, które okażą się niezbędne - powiedziała Cathryn, głaszcząc Michelle po

włosach. - Musisz się zachowywać jak duża dziewczynka.

Słowa Cathryn obudziły w Charlesie opiekuńczość. Nie może pomóc córce, ale może ją przecież uchronić przed zbędnym cierpieniem. Aż za dobrze wiedział, że pacjenci z rzadkimi schorzeniami poddawani są najprzeróżniejszym, często nader uciążliwym badaniom, zależnie od kaprysu lekarza prowadzącego. Prawą dłonią obrócił miękki plastikowy woreczek, by przeczytać etykietę. Płytki krwi. Nie wypuszczając worka z dłoni, zwrócił się ku Wileyowi.

- Naszym zdaniem trzeba je było podać natychmiast - wyjaśnił doktor Wiley. - Miała jedynie dwadzieścia tysięcy.

Charles skinął głową.

- No, muszę już iść - Keitzman chwycił stopę Michelle przez kołdrę i powiedział: - Zobaczymy się później. Przyjdzie do ciebie dzisiaj jeszcze kilku doktorów. Podamy ci jeszcze jedno lekarstwo przez tę rurkę, więc dbaj o nią i nie ruszaj ręką.

Charles rzucił okiem na kroplówkę: daunorubicyna! Przeszył go nowy dreszcz strachu i zapragnął natychmiast zabrać ukochaną córkę ze szpitala. Przez głowę przeleciała mu irracjonalna myśl: może cały koszmar zniknie, jeśli wyrwie Michelle z rąk tych ludzi.

- Jestem do dyspozycji o każdej porze, jeśli zechcą państwo ze mną porozmawiać - rzucił doktor Keitzman, podchodząc do drzwi.

Cathryn przyjęła to uśmiechem i skinieniem głowy. Zauważyła, że Charles nawet nie oderwał wzroku od Michelle. Nie pożegnał się z Keitzmanem; usiadł na łóżku córki i zaczął szeptać jej coś do ucha. Cathryn miała nadzieję, że jego zachowanie nie zrazi onkologa jeszcze bardziej.

- Zaczekam na zewnątrz - doktor Wiley poszedł w ślady kolegi. Pielęgniarka, która przez cały czas się nawet nie odezwała, również wyszła.

Na korytarzu Keitzman zwolnił kroku, czekając na Wileya. Wspólnie ruszyli w stronę dyżurki pielęgniarek.

- Wygląda na to, że z Martelem będą kłopoty - powiedział Keitzman.

- Obawiam się, że ma pan rację - zgodził się Wiley.

- Gdyby nie to chore biedactwo, kazałbym mu się wypchać - ciągnął Keitzman. - Słyszał pan te bzdury o zaniechaniu chemioterapii - niewiarygodne! Boże! Można by się spodziewać, że ktoś taki jak on powinien wiedzieć, jakie postępy osiągnęliśmy w tej dziedzinie, zwłaszcza w białaczkach limfoblastycznych i chłoniakach hodgkinowskich.

- I wie - powiedział Wiley. - Poniosło go. To rozumiałe, zwłaszcza że już raz przeszedł przez to wszystko, gdy umierała jego żona.

- Mimo to nie wolno mu się tak zachowywać. Jest przecież lekarzem. - Ale siedzi wyłącznie w badaniach naukowych - rzekł doktor Wiley. - Nie miał styczności z medycyną kliniczną od prawie dziesięciu lat. To tylko dowodzi, że naukowcy nie powinni tracić całkiem kontaktu z praktyką. W końcu wszystkim nam chodzi o dobro pacjentów.

Dotarli do dyżurki i obaj oparli się o biurko, patrząc wokół nie widzącym wzrokiem.

- Jego wybuch gniewu naprawdę mnie przeraził - przyznał doktor Wiley. - Myślałem, że całkowicie stracił panowanie nad sobą.

- Niewiele lepiej zachowywał się u mnie w gabinecie - Keitzman potrząsnął głową. - Nieraz miałem do czynienia z podobnymi wybuchami, pan pewnie też, ale nigdy jeszcze z czymś takim. Ludzie złością się na los, a nie na lekarzy stawiających diagnozy.

Patrzyli, jak salowy z bloku operacyjnego zręcznie wytacza wózek noszowy z windy. Przez chwilę milczeli. Wózek z dzieckiem zniknął w jednej z sal. Kilka pielęgniarek pospieszyło za nim.

- Myśli pan o tym samym co ja? - spytał Keitzman.

- Prawdopodobnie. Zastanawiałem się nad równowagą psychiczną doktora Martela.

- Czyli myśleliśmy o tym samym - rzekł Keitzman. - Te jego raptowne zmiany nastroju.

Doktor Wiley pokiwał głową.

- Nawet zważywszy na okoliczności, jego reakcje wydają się przesadne. Zawsze był dziwakiem. Mieszka na jakimś zadupiu w New Hampshire. Twierdzi, że to był pomysł jego żony, ale nie przeprowadził

się po jej śmierci. Teraz zabrał tam nową żonę. Bo ja wiem? W końcu co kto lubi.

- Ta nowa żona wydaje się całkiem niezła.

- Och, to skarb. Zaadoptowała dzieciaki i traktuje je jak własne. Gdy za niego wychodziła, obawiałem się, że przecenia własne możliwości, ale wspaniale sobie radzi. Kiedy jej powiedziałem, że dziewczynka ma białaczkę, była zdruzgotana, ale nie miałem wątpliwości, że zniesie to lepiej niż Charles. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego jej powiedziałem najpierw.

- Może powinniśmy z nią chwilę porozmawiać, jak pan myśli, doktorze? - zasugerował Keitzman.

- Spróbujmy. - Doktor Wiley rozejrzał się po dyżurce. - Panno Shannon, mógłbym prosić na chwilę?

Pielęgniarka podeszła do lekarzy. Wiley wyjaśnił jej, że chcieliby pomówić z panią Martel na osobności, i poprosił, by poszła do izolatki Michelle i spróbowała to dyskretnie załatwić.

Panna Shannon różnym krokiem ruszyła w głąb korytarza. Rysy Keitzmana ponownie wykrzywił tik.

- Nie muszę chyba panu mówić, że stan dziecka jest fatalny.

- Tak pomyślałem, gdy zobaczyłem jej rozmaz krwi - odrzekł Wiley.

- Kiedy obejrzałem rozmaz szpiku, byłem pewny.

- To może pójść bardzo szybko - powiedział Keitzman. - Chyba doszło już do zajęcia ośrodkowego układu nerwowego. To znaczy, że jeszcze dziś musimy zacząć leczenie. Chciałbym, żeby natychmiast ją skonsultowali doktor Nakano i doktor Sheetman. Co do jednego Martel ma rację. Szansę na remisję są bardzo nikłe.

- Trzeba będzie jednak próbować - odrzekł doktor Wiley. - W takich przypadkach nie zazdrozczę panu pańskiej specjalności.

- Oczywiście, że spróbuję - potwierdził Keitzman. - O, idzie pani Martel.

Cathryn wyszła za panną Shannon na korytarz. Spodziewała się, że zobaczy Marge Schonhauser, ponieważ pielęgniarka powiedziała jej tylko, że ktoś na nią czeka. Nie przychodził jej do głowy nikt inny, kto

wiedziałyby, że jest w szpitalu. Dopiero gdy wyszły z sali, dowiedziała się, że to lekarze zajmujący się Michelle chcą porozmawiać z nią na osobności. Zabrzmiało to złowieszczo.

- Dziękuję, że pani przyszła - powiedział doktor Wiley.

- Nie ma za co - odrzekła Cathryn, wodząc po lekarzach niespokojnym wzrokiem. - O co chodzi?

- O pani męża - zaczął ostrożnie Keitzman. Urwał, szukając właściwych słów.

- Obawiamy się, że może ingerować w leczenie Michelle - dokończył myśl doktor Wiley. - To dla niego trudne. Po pierwsze dużo wie o tej chorobie. Po drugie patrzył, jak mimo chemioterapii umiera osoba, którą kochał.

- Oczywiście rozumiemy jego uczucia. Chcemy jedynie, by Michelle miała wszelkie możliwe szansę na osiągnięcie remisji bez względu na skutki uboczne.

Cathryn utkwiała wzrok w ostrych, jastrzębich rysach doktora Keitzmana i szerokiej, okrągłej twarzy doktora Wileya. Zewnętrznie byli bardzo odmienni, a przecież wyczuwała w nich podobne napięcie.

- Nie wiem, czego panowie ode mnie oczekują.

- Chcielibyśmy tylko usłyszeć coś od pani o stanie emocjonalnym męża - powiedział Keitzman. - Wolelibyśmy wiedzieć, czego się po nim spodziewać.

- Myślę, że sobie z tym poradzi - zapewniła ich Cathryn. - Bardzo trudno było mu przyjść do siebie po śmierci pierwszej żony, ale nie ingerował w jej leczenie.

- Często traci równowagę tak jak dziś? - spytał Keitzman.

- Przeżył okropny wstrząs, to chyba zrozumiałe - rzekła Cathryn. - Poza tym od śmierci Elizabeth poświęcił się badaniom nad nowotworami.

- To okrutna ironia losu - zgodził się doktor Wiley.

- Ale co pani sądzi o wybuchu, jakiego byliśmy dziś świadkami? - obstawał przy swoim Keitzman.

- Rzeczywiście bywa impulsywny, ale zazwyczaj trzyma emocje na

wodzy.

- Cóż, brzmi to pocieszająco - powiedział doktor Keitzman. - Może nie będzie sprawiać kłopotów. Dziękujemy pani. Bardzo nam pani pomogła, choć wiemy, że pani również przeżywa straszliwy wstrząs. Przepraszam, jeśli powiedzieliśmy coś, co panią zaniepokoiło, ale zapewniam panią, że chodzi nam jedynie o dobro Michelle. - Odwrócił się do doktora Wileya: - Trzeba brać się do roboty. Porozmawiamy później.

Oddalił się szybko.

- Zachowuje się czasem dziwnie, ale trudno o lepszego onkologa - powiedział doktor Wiley. - Jest jednym z najlepszych na świecie specjalistów od białaczek u dzieci.

- Bałam się, że nas zostawi, kiedy Charles wpadł w złość - wyznała Cathryn.

- Jest na to zbyt dobrym lekarzem - odrzekł Wiley. - Martwi go tylko stosunek Charlesa do chemioterapii. Musimy natychmiast rozpocząć kurację uderzeniowymi dawkami leków, by wywołać u Michelle remisję.

- Jestem pewna, że Charles nie będzie się wtrącał do jej leczenia - powtórzyła.

- Miejmy nadzieję - rzekł Wiley. - Będziemy musieli jednak liczyć na pani siły, Cathryn.

- Moje siły? - Cathryn była wyraźnie zdumiona. - Nie jestem najmocniejsza, jeśli chodzi o szpitale i medycynę.

- Obawiam, się, że będzie musiała się pani przemóc. Terapia Michelle może być bardzo ciężka.

W tym momencie Cathryn dostrzegła wychodzącego z pokoju córki Charlesa. Poszukał jej wzrokiem i ruszył w stronę dyżurki pielęgniarek, pobiegła mu więc na spotkanie. Uścisnęli się w milczeniu, dodając sobie nawzajem otuchy. Potem zawrócili wolno w kierunku doktora Wileya. Charles sprawiał wrażenie bardziej opanowanego.

- To dobre dziecko - powiedział. - Chryste, przejmuje się, że będzie musiała zostać tu na noc. Mówi, że chce być rano w domu, żeby

przygotować sok pomarańczowy, dasz wiarę?

- Czuje się odpowiedzialna - tłumaczyła Cathryn. - Dopóki się nie pojawiłam, była panią domu. Boi się, że cię straci, Charles.

- To zdumiewające, jak mało się zna własne dzieci - rzekł Charles. - Spytałem ją, czy mogę wrócić do laboratorium. Powiedziała, że tak, jeśli ty z nią zostaniesz.

Cathryn była wzruszona.

- Rozmawialiśmy trochę w drodze do szpitala. Wydaje mi się, że po raz pierwszy mnie zaakceptowała.

- Szczęściara z niej, że ma ciebie - powiedział Charles. - Tak jak ja. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się, że cię tutaj zostawię. Czuję się tak strasznie bezradny. Muszę coś zrobić.

- Rozumiem - rzekła Cathryn. - Chyba masz rację. Nie możesz jej nijak w tej chwili pomóc i lepiej, żebyś się teraz skupił na czymś innym. Zostanę, oczywiście. Zadzwońię do matki. Przyjedzie do nas i zajmie się domem.

Doktor Wiley patrzył na zbliżającą się parę, rad z ich nie ukrywanej wzajemnej czułości. To dobrze, że przyjmowali do wiadomości to, co ich spotkało, i wspólnie starali się poradzić sobie ze swoim bólem. Uważał, że to pomyślny znak. Uśmiechnął się, gdy podeszli, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Powinien wrócić do gabinetu, w poczekalni panował na pewno kompletny chaos, przedtem jednak chciał się upewnić, czy nie może im w coś pomóc.

- Zostało jeszcze trochę krwi Michelle? - spytał rzeczowym, chłodnym tonem Charles.

- Pewnie tak - odpowiedział Wiley. Nie spodziewał się takiego pytania. Charles miał niezwykłą zdolność zbijania go z pantałyku.

- Gdzie może być? - spytał Charles.

- W laboratorium klinicznym.

- Świetnie. Chodźmy tam. - Martel skierował się ku windzie.

- Zostanę tu z Michelle - oświadczyła Cathryn. - Zadzwońię, jeśli będzie coś nowego. Jeśli nie, widzimy się w domu na kolacji.

- Dobrze - Charles ruszył zdecydowanym krokiem.

Zaskoczony Wiley podążył za nim, szybkim skinieniem głowy żegnając się z Cathryn. Wszystkie jego wątpliwości co do stanu psychicznego Charlesa odżyły na nowo. Najwidoczniej nastąpiła kolejna, nieprzewidziana zmiana nastroju. Próbkę krwi córki? Cóż, był w końcu lekarzem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ściskając w dłoni fiolkę z krwią Michelle Charles wpadł do holu Instytutu Weinburgera i mijając bez słowa kokieterijną recepcjonistkę i strażnika, pobiegł do swego laboratorium.

- Dzięki, że raczyłeś wrócić - przywitała go sarkastycznie Ellen. - Przydałby mi się ktoś do pomocy przy wstrzykiwaniu myszom kanceranu.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Martel zaniósł próbkę krwi Michelle do aparatu, którego używali do oddzielania komórkowych składników krwi od osocza. Zabrał się do skomplikowanego nastawiania wirówki.

Ellen przechyliła się przez półkę ze szkłem laboratoryjnym i uważnie przyjrzała Charlesowi.

- Hej! - zawołała. - Powiedziałam, że mógłbyś mi pomóc...

Charles dalej grzebał przy wirówce.

Wycierając dłonie, Ellen okrążyła stół laboratoryjny, by ustalić, co tak zajmuje uwagę Martela.

- Wstrzyknęłam lek pierwszej grupie myszy - powtórzyła, gdy znalazła się tak blisko, że nie mógł jej nie słyszeć.

- Cudownie - odrzekł obojętnie. Ostrożnie włożył do urządzenia kapilarę z krwią Michelle, po czym włączył wirowanie.

- Co robisz? - zapytała Ellen, śledząc każdy jego ruch.

- Michelle ma białaczkę mieloblastyczną - odrzekł Charles tonem tak

beznamiętnym, jak gdyby podawał prognozę pogody.

- Och, nie! - Na chwilę zabrakło jej tchu. - Charles, tak mi przykro. - Chciała go objąć i pocieszyć, lecz się powstrzymała.

- Zdumiewające, prawda? - zaśmiał się Charles. - Gdyby kłopoty, które się dziś na mnie zwały, ograniczały się tylko do instytutu, pewnie bym się rozplakał. Ale choroba Michelle to już trochę za wiele. Chryste!

Choć śmiech Charlesa brzmiał sztucznie i tak wydał się Ellen nie na miejscu.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Świetnie, po prostu świetnie - otworzył niewielką lodówkę, w której trzymali odczynniki.

- Jak się czuje Michelle?

- Na razie całkiem dobrze, ale nie ma pojęcia, co ją czeka. Boję się, że będzie bardzo źle.

Ellen nie wiedziała, co powiedzieć. Obserwowała w bezruchu, jak Charles zabiera się do dokończenia badania. W końcu odzyskała mowę.

- Charles, co robisz?

- Mam próbkę krwi Michelle. Chcę sprawdzić, czy uda się przy wykorzystaniu naszej metody wyizolować antygeny nowotworowe z jej komórek białaczkowych. Łudzę się, że w ten sposób coś dla niej robię.

- Och, Charles - rzekła Ellen ze współczuciem. W tym przyznaniu się do bezradności było coś rozczulającego. Wiedziała, że z natury musiał być czynny. Powiedział jej kiedyś, że w czasie choroby Elizabeth najgorsza dla niego była właśnie bezradność. Mógł jedynie biernie czekać na jej śmierć. A teraz Michelle!

- Zdecydowałem, że nie przerwiemy naszych badań - powiedział. - Pociągniemy je równocześnie z pracą nad kanceranem. Będziemy tu siedzieć po nocach, jeśli będzie trzeba.

- Ale Morrison bardzo nalegał, żebyśmy zajęli się wyłącznie kanceranem - odrzekła Ellen. - Prawdę mówiąc, kiedy cię nie było, przyszedł tu, żeby mi o tym przypomnieć.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć Charlesowi o

prawdziwym powodzie wizyty Morrisona. Po wszystkim, co zaszło, wołała jednak nie składać jeszcze i tego na jego barki.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi Morrison. Teraz, kiedy Michelle jest chora, rak znów przestał być dla mnie pojęciem metafizycznym. Nasze badania są o wiele bardziej obiecujące, niż babranie się przy kolejnym cytostatyku. Poza tym Morrison nawet nie musi wiedzieć, czym się właściwie zajmujemy. I tak powinien być szczęśliwy, że poprowadzimy badania nad kanceranem.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ważny jest dla dyrekcji kanceran - powiedziała Ellen. - Uważam, że naprawdę nie należy tego torpedować, zwłaszcza z powodów osobistych.

Charles na chwilę zamarł, po czym wybuchnął. Uderzył otwartą dłońią o blat stołu z taką siłą, że z półki nad nim spadło kilka menzurek.

- Dość! - krzyknął. - Mam dość ludzi mówiących mi, co mam robić. Jak nie chcesz ze mną pracować, to spieprzaj! - Natychmiast wrócił do pracy, przeczesując palcami włosy. Przez kilka minut zajmował się w milczeniu próbką krwi, po czym nie odwracając się powiedział: - Nie stój tak, podaj mi znakowane radioaktywnie nukleotydy.

Ellen podeszła do szafki z preparatami izotopowymi. Otwierając zamek zauważyła, że wyraźnie drżą jej dłonie. Charles ledwie panował nad sobą. Zastanawiała się, co powinna powiedzieć doktorowi Morrisonowi. Nie miała wątpliwości, że coś mu w każdym razie powie, ponieważ jej lęk ustępował miejsca złości. Nic nie usprawiedliwiło zachowania Charlesa wobec niej. Nie była służącą.

Wyjęła naczynia z preparatami i rozstawiła je na blacie.

- Dziękuję - powiedział zwyczajnie, jak gdyby nic się nie stało. - Gdy tylko wyizolujemy limfocyty B, chcę je inkubować ze znakowanymi nukleotydami i komórkami białaczkowymi.

Ellen skinęła głową. Nie nadażała za raptownymi zmianami nastroju swego szefa.

- Kiedy tu jechałem, przyszedł mi do głowy świetny pomysł - ciągnął Charles. - W naszej pracy największą zawadą okazał się czynnik blokujący. Przez niego nie mogliśmy uzyskać odpowiedzi

immunologicznej na antygeny nowotworowe u chorych zwierząt. Zastanawiałem się, jak zaoszczędzić czas i przyszła mi do głowy pewna myśl. Dlaczego nie mielibyśmy wstrzyknąć antygeny nowotworowego zdrowym zwierzętom tego samego gatunku? U nich możemy być właściwie pewni, że zajdzie reakcja immunologiczna. Co o tym sądzisz?

Ellen spojrzała na niego badawczo. W ciągu paru chwil dokonała się w nim przemiana z rozkapryszonego dziecka w całkowicie oddanego swej pracy naukowca. Zapewne w ten sposób radził sobie ze wstrząsem wywołanym chorobą Michelle.

Nie czekając na jej odpowiedź, Charles kontynuował:

- Gdy tylko antygen wywoła u zdrowego zwierzęcia odpowiedź immunologiczną, wyizolujemy powodującą ją limfocyty T, oczyścimy czynnik przenoszenia odporności i podamy go chorym zwierzętom. To tak proste, że dziwię się, że wcześniej nie wpadło mi to do głowy. Hmm... co ty na to?

Ellen wzruszyła ramionami. Właściwie bała się cokolwiek powiedzieć. Choć główna przesłanka wydawała się obiecująca, to przecież tajemniczy czynnik przenoszenia odporności nie sprawdzał się najlepiej w układach zwierzęcych, na których pracowali. W rzeczywistości najlepiej działał u ludzi. W tej chwili jednak nie to ją naprawdę interesowało. Zastanawiała się, czy po prostu nie opuścić laboratorium pod byle pretekstem i pójść od razu do Morrisona.

- Możesz przynieść glikol polietylenowy? - spytał Charles. - Trzeba będzie zebrać sprzęt do stworzenia hybridy z limfocytami T Michelle. Zadzwoń też do zwierzętami i powiedz im, że potrzebujemy świeżej partii myszy kontrolnych, którym wstrzykniemy antygen raka gruczołu piersiowego. Boże, żałuję, że doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

- Proszę o ziemniaki - powiedział Jean Paul po kilku minutach zastanawiania się, czy przerwać milczenie, które zapadło przy stole. Nikt nie powiedział ani słowa od chwili, kiedy oświadczył, że kaczka,

którą zaniósł rano do szopy, była „martwa jak kamień, sztywna jak deska”. W końcu głód sprawił, że zdecydował się odezwać.

- Dobrze, podaj mi w zamian zrazy - odrzekł Chuck, odrzucając kosmyk włosów znad oczu.

Chłopcy wymienili się półmiskami. Rozległo się szczekanie sztućców o porcelanę.

Gina Lorenzo, matka Cathryn, obrzuciła spojrzeniem rodzinę córki. Były do siebie podobne. Miały takie same kościste grzbiety nosów i takie same duże, wyraziste usta. Tym, co je najbardziej różniło, poza oczywistą różnicą dwudziestu kilku lat, była nadwaga Giny. Przyznawała, że ma o dwadzieścia funtów za dużo, w rzeczywistości jednak powinna zrzucić z sześćdziesiąt. Przepadała za makaronem i nie należała do osób, które sobie czegoś odmawiają.

Podnosząc półmisek z fettucini Gina wykonała gest, jakby chciała nałożyć dokładkę na nietknięty talerz Cathryn.

- Musisz coś zjeść - powiedziała.

Zdobywając się na uśmiech, Cathryn potrząsnęła przecząco głową.

- O co chodzi? Nie smakuje ci? - spytała Gina.

- Jest wspaniale - odrzekła Cathryn. - Po prostu nie mam apetytu.

- Powinnas zjeść - nalegała matka. - Ty też, Charles.

Zięć skinął głową.

- Przyniosłam na deser świeże cannolis - dodała.

- Och, rany! - zawołał Jean Paul.

Charles posłusznie przełknął fettucini, ale żołądek odmawiał jego przyjęcia. Następny kęs zatrzymał więc w ustach, nie połykając. Gdy tylko opuścił laboratorium, gdzie pogrążony był w wirze pracy, rzeczywistość nieszczęść, które spadły na niego tego koszmarne dnia, dopadła go z siłą huraganu. Praca stanowiła dla niego środek znieczulający, przytłumiający emocje i z żalem zeń rezygnował, gdy nadszedł czas, by podjechać pod uczelnię po Chucka i wracać do domu. Odczekał, aż znajdą się z dala od bostońskiego tłoku, nim powiedział synowi, że jego siostra ma bardzo ciężki typ białaczki. Chuck zareagował prostym „Och”, po czym zamilkł. Po kilku chwilach

zapytał, jaka jest szansa, że i on się zarazi.

Z początku Charles nic nie powiedział; ścisnął jedynie mocniej kierownicę, zdumiony niezmaconą głębią egoizmu swego pierworodnego. Chuck nawet nie zapytał, jak czuje się Michelle. Teraz przyglądając się, jak syn zmiata z talerza porcję zrazów, Charles miał ochotę złapać go za kołnierz i wyrzucić z domu.

Nie ruszył się jednak. Zamiast tego zaczął mechanicznie przeżuwać kęsy fettucini, zażenowany swymi myślami. Chuck był niedojrzały. Przynajmniej Jean Paul zachował się właściwie. Kiedy dowiedział się o chorobie siostry, rozplakał się, a potem zapytał, kiedy Michelle wróci do domu i czy będzie mógł ją odwiedzić. Był dobrym dzieckiem.

Charles spojrział na Cathryn, która nie podniosła głowy, wodząc widelcem po talerzu i ze względu na matkę udając, że je. Był wdzięczny losowi, że ma ją przy sobie. Nie sądził, by był w stanie sam poradzić sobie z chorobą Michelle, Równocześnie uświadomił sobie, jak żonie musi być ciężko. Toteż nie powiedział jej nic o kłopotach w instytucie. Nawet nie zamierzał tego zrobić; dość miała zmartwień.

- Nałóż sobie jeszcze zrazów, Charles - powiedziała Gina, bezceremonialnie wrzucając mu na talerz porcję mięsa.

Zanim zdążył zaprotestować, zraz zatoczył już balistyczną krzywą. Odwrócił głowę, starając się zachować spokój. Uważał Ginę za nieznośną nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, zwłaszcza że nigdy nie ukrywała swej dezaprobaty dla małżeństwa jedynaczki z mężczyzną starszym o trzynaście lat i mającym trójkę dzieci. Usłyszał kolejne „plop” i gdy otworzył oczy, stwierdził, że stos fettucini na jego talerzu urósł.

- Proszę - powiedziała Gina. - Przyda ci się trochę więcej ciała. Powstrzymał się od nabrania fettucini w garść i wrzucenia z powrotem na półmisek.

- Skąd wiadomo, że Michelle ma białaczkę? - zapytał Jean Paul. Wszyscy zwrócili się w stronę Charlesa. Bali się wcześniej zadać to pytanie.

- Obejrzeliby jej krew i zbadali szpik kostny.

- Szpik kostny? - spytał z niesmakiem Chuck, - Jak go pobrali? Charles spojrział na niego spod oka zdumiony, jak łatwo Chuck wprawiał go w irytację. Każdemu innemu pytanie Chucka wydałoby się niewinne, Charles był jednak przekonany, że kryje się za nim niezdrowa ciekawość, a nie troska o siostrę.

- Szpik pobiera się przez wbicie w talerz kości biodrowej stalowej igły z dużym otworem i zassanie go - wyjaśnił, mając nadzieję, że wymusi na synu współczucie dla Michelle.

- Brr - wstrząsnął się Chuck. - To boli?

- Okropnie - powiedział Charles.

Cathryn wyprostowała się, przeszłyta wyobrażonym bólem. Przypomniała sobie, że to ona właśnie wyraziła zgodę na punkcję.

- Boże! - rzekł Chuck. - Nigdy nie pozwolę, żeby ktokolwiek mi to zrobił.

- Nie byłbym taki pewny - rzekł bez namysłu Charles. - Lekarze Michelle chcą u was obydwu przeprowadzić oznaczenie zgodności antygenów tkankowych. Jest szansa, że będą takie same jak u Michelle i możecie zostać dawcami płytek czy granulocytów, a może nawet szpiku kostnego.

- Nie ja - Chuck odłożył widelec. - Nikt mi nie będzie wbijał igieł w kości. Za nic!

Charles powoli oparł łokcie na stole i pochylił się w stronę starszego syna.

- Nie pytam cię, czy masz na to ochotę, Charlesie juniorze. Po prostu mówię ci, że pojedziesz do Kliniki Pediatrycznej na oznaczenie zgodności antygenów tkankowych. Zrozumiałeś?

- Nie musimy chyba prowadzić tej rozmowy przy kolacji - wtrąciła się Cathryn.

- Naprawdę wbijają mi igłę w biodro? - spytał Jean Paul.

- Charles, proszę cię! - wybuchnęła Cathryn. - Nie powinienes mówić o tym Chuckowi w taki sposób!

- Nie? Dość mam jego egoizmu! - zawołał Charles. - Ani słowem nie pisań, że mu żal Michelle.

- Dlaczego ja?! - krzyknął Chuck. - Dlaczego to ja mam być dawcą? Ty jesteś jej ojcem. Dlaczego nie możesz być dawcą? Cholera, wielkim doktorom nie wolno być dawcami szpiku czy co?!

Czując ślełą furie, Charles zerwał się na nogi i wymierzył palec w Chucka.

- Twojemu egoizmowi dorównuje jedynie twoja niewiedza. Uczyłeś się chyba biologii. Tylko połowa chromosomów dziecka pochodzi od ojca. Nie ma szans, żeby mój szpik był taki sam, jak Michelle. Gdybym mógł, chętnie bym się z nią zamienił.

- Pewnie, pewnie! Łatwo gadać! - prychnął Chuck.

Charles ruszył wokół stołu, Cathryn jednak zerwała się i chwyciła go za rękę.

- Charles, proszę cię! - zawołała, wybuchając płaczem. - Uspokójcie się!

Chuck znieruchomiał w krześle, ściskając brzeg stołu tak, że mu zbielały kłykcie. Uświadomił sobie, że jedynie Cathryn zapobiegła katastrofę.

- W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego - powiedziała Gina żegnając się. - Charles, błagaj Pana naszego o wybaczenie! Nie ulegaj podszeptom diabła.

- Och, Chryste! Teraz czeka nas kazanie! - krzyknął Charles.

- Nie nadużywaj cierpliwości Boga - mówiła z przejęciem Gina.

- Niech go szlag trafi! - wrzasnął Charles, uwalniając się z uścisku Cathryn. - Co to za Bóg, który sprowadza białaczkę na bezbronne dwunastoletnie dziecko?

- Nie wolno ci podawać w wątpliwość zamysłów bożych - napomniała go poważnie teściowa.

- Mamo! Dość! - ucięła ostro Cathryn.

Charles spąsował. Powiedział coś bezgłośnie, po czym gwałtownie obrócił się na pięcie. Szarpnął drzwi i wypadł w noc, zatraskując je za sobą z mocą, która wprawiała w drżenie porozstawiane w salonie bibeloty.

Ze względu na dzieci Cathryn szybko wzięła się w garść.

Odwracając twarz, zabrała się za sprzątanie ze stołu.

- Błóżnierca! - rzekła Gina z niedowierzaniem, przyciskając dłoń do piersi. - Charlesa chyba diabeł opętał.

- A cannoli? - spytał Jean Paul, zanosząc talerz do zlewu.

Po wyjściu ojca Chuck poczuł, że rozpiera go radość. A więc może stawić mu czoło i wygrać. Przyglądając się Cathryn sprzątajacej ze stołu, usiłował złowić jej spojrzenie. Musiała zauważyć, że okazał się nieustępliwy, i przecież stanęła po jego stronie. Wstał, odpychając krzesło, zaniósł talerz do zlewu i starannie go wymył.

Charles wypadł z domu wyłącznie po to, by uciec od dławiącej go atmosfery. Gdy biegł w stronę stawu, śnieg chrząścił mu pod stopami. Jak zwykle w Nowej Anglii, pogoda znów uległa nagłej zmianie. Zawieja z północnego wschodu przemieściła się nad morze, a na jej miejsce pojawił się arktyczny wiatr z towarzyszącym mu mrozem. Mimo biegu Charles czuł przenikający go ziąb, zwłaszcza że w pośpiechu nie wziął nawet kurtki. Niemal odruchowo skreślił w stronę domku Michelle. Stwierdził, że wraz ze zmianą kierunku wiatru smród z fabryki zniknął. Dzięki Bogu!

Potupawszy na ganku, by pozbyć się śniegu z obcasów, schylił się i wszedł do środka miniaturowego domku. Wnętrze miało jedynie dziesięć stóp długości; sklepione przejście z progiem dzieliło je na dwie prawie symetryczne części. Po jednej stronie znajdował się salonik, po drugiej kuchenka z małym stolikiem i zlewem. Była tu bieżąca woda - choć tylko latem - i jedno gniazdko elektryczne. W wieku sześciu do dziewięciu lat Michelle w niedzielne letnie popołudnia robiła ojcu herbatę w domku. Niewielka kuchenka elektryczna wciąż działała. Charles włączył ją, by zyskać choć trochę ciepła.

Usiadłszy na progu saloniku, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je, starając się tracić jak najmniej ciepła. Wkrótce zaczął dygotać. Domek stanowił ochronę jedynie przed lodowatym wiatrem, nie przed samym zimnem.

Samotność przyniosła pożądany efekt. Uspokoiwszy się, Charles musiał przyznać, że źle obszedł się z Chuckiem. Wiedział, że musi jakoś dojść do ładu z wydarzeniami tego fatalnego dnia. Zdumiewało go, jak bardzo przez kilka ostatnich lat dał się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Wrócił myślami do poranka... do miłości z Cathryn. W ciągu zaledwie dwunastu godzin wszystkie nici jego uporządkowanego życia zostały porwane.

Pochyliwszy się do przodu, wyrzał przez okienko na nieboskłon. Noc była gwiazdzista, powietrze kryształowo przejrzyste. Charlesowi wydawało się, że jest w stanie dostrzec najodleglejsze galaktyki. Widok był piękny, ale pozbawiony życia. Ogarnęło go poczucie samotności i daremności. Oczy wypełniły mu się łzami. Odchylił się w tył, by nie patrzeć na straszliwe piękno zimowego nieba. W jego polu widzenia znalazł się pokryty śniegiem krajobraz i zamarznięty staw. Bezpośrednio przed nim znajdował się nie zamarznięty łącznik, o który pytał rano Jean Paul.

Charles zamyślił się nad głębią swego osamotnienia, jak gdyby Michelle została mu już odebrana. Sam nie rozumiał dlaczego, choć domyślał się, że może to wypływać z poczucia winy. Gdyby tylko zwrócił więcej uwagi na objawy Michelle, gdyby tylko poświęcał więcej czasu swej rodzinie, gdyby tylko szybciej mu szło z pracami w instytucie...

Marzył o tym, by móc odsunąć wszystko na bok i zająć się wyłącznie własnymi badaniami. Może udałoby mu się znaleźć na czas lekarstwo dla Michelle. Wiedział jednak, że to mrzonka. Poza tym nie mógł tak otwarcie przeciwstawić się Ibanzewi. Nie mógł sobie pozwolić na utratę pracy czy laboratorium. Nagle zdał sobie sprawę, jaką przebiegłością wykazała się rada dyrektorów, powierzając mu badania nad kanceranem. Charlesa nie lubiano za nieortodoksyjność, szanowano jednak jego zdolności naukowe. Nadawał się więc świetnie do tego, by ponownie uwierzytelnić badania nad nowym lekiem lub by stać się kozłem ofiarnym w wypadku niepowodzenia. Decyzja była przejawem administracyjnego geniuszu.

Usłyszał w oddali głos wołającej go Cathryn. W lodowatym powietrzu miał on ton niemal metaliczny. Charles nie drgnął. W jednej chwili miał ochotę płakać, w następnej czuł się tak słaby, że niezdolny do jakiegokolwiek czynności fizycznej. Co ma zrobić dla Michelle? Jeśli zniknie szansa na remisję, czy zniesie przyglądanie się jej cierpieniom wywołanym leczeniem?

Przesunął się do okna i startł ślady swego oddechu. Przez oczyszczoną szybę widać było niebieskawy śnieg i łatę wody na wprost. Ocenivszy, że temperatura spadła poniżej zera, Charles zaczął się zastanawiać, dlaczego woda nie zamarza. Rano wyjaśnił Jeanowi Paulowi, że to przez prąd, wtedy jednak temperatura wynosiła zapewne nieco powyżej zera. Teraz wszakże było mniej więcej -2°C . Zastanowił się, czy o tej porze roku w rzece może być prąd. Na wiosnę, gdy topniał śnieg w górach na północy, pędzący nurt podnosił poziom wody w stawie o półtorej stopy. Wówczas można było mówić o prądzie, ale nie teraz.

Nagle Charles uświadomił sobie obecność jakiejś słodkawej woni. Unosiła się tu przez cały czas, przedtem tego jednak nie zauważał. Była dziwnie znajoma, choć jakby nie na miejscu. Gdzieś ją już czuł, ale gdzie?

Zadowolony, że może czymś się zająć, Charles zaczął węszyć. Zapach był mniej więcej równie silny w obydwu pokojach, a najsilniejszy przy podłodze. Wciągnąwszy raz jeszcze powietrze przez nozdrza, Martel starał się przypomnieć sobie, skąd go zna. Nagle zrozumiał: z laboratorium chemicznego na studiach. Był to jakiś organiczny rozpuszczalnik w rodzaju benzenu, toluenu czy ksylenu. Skąd się jednak wziął w domku Michelle?

Nie zważając na lodowate zimno wyszedł na zewnątrz. Prawą ręką zgarnął sweter ciasno przy szyi. Na dworze zapach był o wiele słabszy ze względu na wiatr, lecz nachyliwszy się pod ścianą Charles ustalił, że woń wydobywa się z częściowo zamrożonego mułu pod domkiem. Podeszedłszy nad brzeg stawu, nabrał w dłoń trochę lodowatej wody i podniósł ją do nosa. Nie było wątpliwości: zapach unosił się ze stawu.

Ruszył po łukowatym obrzeżu, docierając do miejsca, w którym do stawu wpadała odnoga rzeki. Nachylił się ponownie i nabrał w dłoń wody. Odór był silniejszy. Charles pobiegł wzdłuż dopływu aż do miejsca, gdzie łączył się on z Pawtomackiem. Rzeka również była nie zamrznięta. Raz jeszcze zaczerpnął dłonią wody i powąchał. Zapach był coraz silniejszy. Dygocząc z zimna, Charles wyprostował się i spojrzał w górę rzeki. Przed sobą dojrzał Recycle Ltd, zakład przerobu gumy i tworzyw sztucznych. Znał się wystarczająco na chemii, by wiedzieć, że benzen wykorzystuje się jako rozpuszczalnik do obydwóch tych wyrobów.

Benzen!

Owładnęła nim jedna myśl: benzen wywołuje białaczkę, właśnie białaczkę mieloblastyczną! Powiódł wzrokiem po linii nie zamrzniętej wody. Biegła ona prosto do domku - miejsca, w którym Michelle spędzała więcej czasu niż gdziekolwiek indziej.

Jak oszalały rzucił się w stronę domu. Potknął się na nierównym śniegu i upadł, lądując na piersiach z wyciągniętymi rękami. Nic mu się nie stało, skaleczył sobie tylko podbródek. Poderwał się i pobiegł trochę wolniej.

Wpadł do domu, z hukiem otwierając tylne drzwi.

I tak napięta jak struna Cathryn mimowolnie krzyknęła z przestachu, gdy Charles bez tchu wbiegł do kuchni. Półmisek wysunął jej się z rąk i rozbił o podłogę.

- Potrzebny mi jakiś pojemnik - wydyszał Charles, nie zwracając uwagi na jej reakcję.

W drzwiach prowadzących do jadalni pojawiła się Gina. Na jej twarzy malowała się groza. Za nią wyrósł jak spod ziemi Chuck, po czym przepchnął się do kuchni. Stał pomiędzy Cathryn i Charlesem, nie licząc się z tym, że jest niższy od ojca.

Charles dyszał ciężko. Po chwili udało mu się powtórzyć, czego chce.

- Pojemnik? - spytała Cathryn, odzyskując częściowo równowagę. - Jaki pojemnik?

- Szklany. Z nakrętką.

- Po co? - Żądanie Charlesa wydawało się Cathryn niedorzeczne.

- Na wodę ze stawu - odparł.

Za Giną pojawił się Jean Paul. Wyciągnęła rękę, nie wpuszczając go do kuchni.

- Na co ci potrzebna woda ze stawu? - spytała Cathryn.

- Chryste! Co to, przesłuchanie? - wydusił z siebie Charles i ruszył w stronę lodówki.

Chuck usiłował zagrozić mu drogę, ale ojciec po prostu zmiotł go na bok. Chłopak potknął się i Cathryn go podtrzymała, chroniąc przed upadkiem.

Charles odwrócił się, słysząc hałas, i zobaczył, że Cathryn przytrzymuje syna.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał z naciskiem.

Chuck zaczął się szarpać w uścisku Cathryn, mierząc ojca wrogim spojrzeniem.

Charles powiódł wzrokiem po ich twarzach. Gina i Jean Paul wyglądali na wstrząśniętych, Chuck na wściekłego, a Cathryn na przestraszoną. Nikt się jednak nie odezwał. Cała scena sprawiała wrażenie filmowej stopklatki. Potrzęsął z niedowierzaniem głową i odwrócił się do lodówki. Wyciągnął słoik z sokiem jabłkowym i zamknął drzwiczki. Bez chwili wahania wylał resztę soku do zlewu, dokładnie wyplukał słoik i zerwał z haczyka swoją kurtkę na baranku. W drzwiach obrócił się, by spojrzeć na rodzinę. Nikt się nie poruszył. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ponieważ jednak teraz ważniejsze było dlań coś innego, wyszedł nie poświęcając więcej uwagi tej osobliwej scenie.

Cathryn rozluźniła uścisk na ramieniu Chucka i wpatrzyła się w zamknięte drzwi, przypominając sobie niepokojącą rozmowę z doktorami Keitzmanem i Wileym. Wówczas pytania o stan emocjonalny Charlesa wydawały się jej niedorzeczne, teraz wszakże nie była tego już taka pewna. Bez wątplenia wybiegnięcie w środku zimy na dwór bez kurtki po to tylko, by po półgodzinie powrócić w stanie

krańcowego podniecenia po pojemnik na wodę ze stawu, było co najmniej dziwne.

- Nigdy mu nie pozwolę cię skrzywdzić - Chuck odrzucił nerwowo włosy do tyłu.

- Skrzywdzić? - powtórzyła zaskoczona Cathryn. - Twój ojciec mnie nie skrzywdzi!

- Boję się, że uległ podszeptom diabła - powiedziała Gina. - Jeśli tak, nie wiadomo, do czego może się posunąć.

- Mamo, proszę! - jęknęła Cathryn.

- Charles ma załamanie nerwowe? - zapytał stojący w drzwiach Jean Paul.

- Już kiedyś je przeżył - odrzekł Chuck.

- Dość tego - powiedziała surowo Cathryn. - Nie chcę słuchać, jak wyrażacie się o ojcu bez szacunku. Strasznie przejął się chorobą Michelle.

Spojrzała na stłuczony półmisek. Czyżby rzeczywiście Charles przechodził załamanie nerwowe? Zdecydowała, że następnego ranka porozmawia o tym z doktorem Wileym. Przeraziła ją sama myśl o takiej ewentualności.

Stąpając ostrożnie po częściowo zamrożonym mule Charles zbliżył się do wody i napełnił słoik. Zanim pobiegł z powrotem do domu, szczelnie zakręcił pokrywkę. Jego gwałtowne wejście znowu zaskoczyło Cathryn, choć już nie tak, jak poprzednio. Patrzyła, jak podchodzi do lodówki. Wreszcie chwyciła go za ramię.

- Charles, powiedz mi, co robisz.

- W stawie jest benzen - syknął, strząsając jej dłoń. Wstawił słoik do lodówki. - Czuć go też w domku Michelle. - Obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Cathryn rzuciła się za nim i zdołała złapać go za kurtkę.

- Charles, dokąd idziesz? Co się z tobą dzieje?

Gwałtownie wyszarpnął kurtkę z jej uchwytu.

- Idę do przetwórni plastyku. To stamtąd wydostaje się ten cholerny

benzen, jestem tego pewny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Charles zjechał czerwonym fordem pinto z Main Street i zatrzymał go przed bramą w ogrodzeniu wokół Recycle Ltd. Nie była zamknięta, wsiadł więc z powrotem do samochodu i wjechał na parking przetwórci.

Wieczorna zmiana nie mogła być zbyt liczna, ponieważ przed wejściem do starego budynku tkalni stało zaledwie z pół tuzina zdezelowanych aut. Po lewej stronie przetwórci sterty używanych opon wznosiły się jak miniaturowe pokryte śniegiem góry. Między nimi a budynkiem znajdowały się mniejsze kopce winylowych i plastikowych odpadów. Prawa część parceli zawałona była luźnymi śmieciami i przecięta na pół ogrodzeniem dochodzącym do rzeki Pawtomack. Za ogrodzeniem, ćwierć mili na północ, ciągnęły się opuszczone budynki tkalni.

Gdy tylko Charles wysiadł z samochodu, uderzył go w nozdrza ten sam smród, co rano koło domu. Zdumiał się, jak w ogóle ludzie mogli mieszkać bezpośrednio na zachód od miasta - wiatry wiały przeważnie właśnie w tym kierunku. Ruszył w stronę prowadzących do środka niepozornych aluminiowych drzwi. Widniał nad nimi napis dużymi drukowanymi literami: RECYCLE LTD. OSOBOM NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Po drugiej stronie szyby w drzwiach widać było kartonową tabliczkę z napisem INFORMACJA i numerem telefonu.

Nacisnął klamkę. Okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Poczuł, że dławi się ciężkim zapachem chemikaliów panującym w niewielkim biurze. Pomieszczenie było wyłożone lśniącymi płytami dykty, znajdował się tu obtłuczony laminowany blat z drucianym koszem na korespondencję i stalowym dzwonkiem, w który uderzało się otwartą dłonią. To właśnie zrobił Charles, odgłos dzwonka zagłuszał jednak grzechot i świsty dobiegające z wnętrza fabryki.

Zdecydował się otworzyć wewnętrzne drzwi. Z początku nawet nie drgnęły, kiedy jednak naparł na nie silniej, uchyliły się do środka. Natychmiast zrozumiał, dlaczego były uszczelnione. Hałas i smród wydobywające się z za nich zbijały niemal z nóg. Przypominało to wstąpienie do piekieł.

Charles wszedł do dwukondygnacyjnego pomieszczenia, podle oświetlonego i zapełnionego rzędem gigantycznych ciśnieniowych kotłów przypominających szybkowary. Metalowe drabinki i pomosty przecinały się pod najróżniejszymi kątami, sprawiając wrażenie nieopisanego zamętu. Wielkie szcękające transportery przesuwwały sterty plastikowych i winylowych odpadów przemieszanych z najrozmaitszym śmieciem. Zauważył wreszcie dwu spoconych mężczyzn w podkoszulkach, o umorusanych jak u górników twarzach, którzy oddzielali plastik od szkła, drewna i pustych puszek.

- Jest tu jakiś majster?! - krzyknął Charles, starając się, by go usłyszeli mimo zgiełku.

Jeden z mężczyzn podniósł głowę, dał znak, że nic nie słyszy, i wrócił do pracy. Najwidoczniej pas transportera nie dawał się zatrzymać i musieli nadążać za tempem jego ruchu. Przy końcu transportera zwisał wielki kosz, który po napełnieniu przesuwiał się nad znajdujący się w jego zasięgu kocioł ciśnieniowy i wywalał do niego swoją zawartość. Charles dostrzegł innego mężczyznę, który na pomoście rozcinał przypominającym maczetę nożem dwie torby z chemikaliami, jedną czarną, drugą białą. Z wielkim wysiłkiem opróżnił ich zawartość do kotła. Uniósł się wielki kłęb pyłu i mężczyzna na chwilę zniknął z oczu. Gdy pojawił się ponownie, zamknął klapę i

uruchomił podaż pary, przez co wnętrze hali znów pograżyło się w kłębach dymu i smrodu.

Charlesowi nie udawało się wprawdzie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, nikt go jednak też nie wyrzucał. Zdecydowanie okrążył pasy transporterów, nie spuszczać oczu z posadzki pokrytej śmieciami i kałużami smarów i oleju. Przeszedł koło szerniałej obudowy dzielącej salę maszynierii, przesuwając opony do przetopienia. Właśnie stąd dobywał się zapach, który kojarzył mu się z przetwórnją. Z bliska był jeszcze silniejszy.

Tuż za ścianą natrafił na wielką drucianą klatkę zamkniętą na masywną kłódkę. Był to najwidoczniej magazynek, ponieważ we wnętrzu dojrzał narzędzia, części zapasowe i pojemniki z chemikaliami przemysłowymi. Klatkę wykonano z tej samej siatki, co ogrodzenie fabryki. Podciągnął się, przytrzymując się wczepionymi palcami siatki, i zaczął odczytywać etykiety na pojemnikach. Tuż przed sobą zobaczył to, czego szukał. Stały tu dwie stalowe beczki zawierające benzen i opatrzone złowieszczym rysunkiem trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli, oznaczającym trującą zawartość. Na widok beczek Charlesem od nowa wstrząsnął gniew.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i przywarł plecami do stalowej siatki.

- Czym mogę służyć?! - wrzasnął masywny mężczyzna, chcąc być słyszany mimo hałasu maszynierii.

W tej samej chwili rozległ się przenikliwy gwizd, uniemożliwiający jakąkolwiek rozmowę. Jeden z kotłów ciśnieniowych zakończył pracę. Otworzyły się drzwi i ze środka buchnęła olbrzymia ilość czarnego, lepkiego zdepolimeryzowanego plastyku. Gorąca ciecz spływała do zbiorników, w których miała ostygnać, wyrzucając w powietrze kłęby szczypiącego w oczy dymu.

Charles spojrział na mężczyznę przed sobą. Wyższy od niego o głowę, miał spotniałą nalaną twarz z ledwo widocznymi szparkami oczu. Ubrany był podobnie jak inni robotnicy. Podkoszulek opinał się na pokaźnym brzuchu. W ręku trzymał mieszadło i na grubych

przedramionach Charles zauważył fachowo wytatuowane tancerki hula. Na grzbiecie lewej dłoni widniała swastyka, najwidoczniej wykonana własnoręcznie.

Gdy hałas przycichł do zwykłego ogłuszającego poziomu, mężczyzna zawołał raz jeszcze:

- Sprawdza pan chemikalia?!

Charles skinął głową.

- Chyba potrzeba jeszcze trochę sadzy! - krzyknął tamten.

- A co z benzenem?! - zawołał Charles.

- Jest go pełno. Dostajemy go w stugalonowych beczkach.

- Co z nim robicie po wykorzystaniu?

- To znaczy ze zużytym? Chodź pan, pokażę panu.

Mężczyzna oparł mieszadło o siatkę i poprowadził za sobą Charlesa przez halę między dwoma rozżarzonymi do czerwoności kotłami do gumy. Pochyliwszy głowy przeszli pod pomostem i znaleźli się w korytarzu, w którym panował nieco mniejszy hałas i smród. Dotarli do pokoju z dwoma rozkładanymi stolikami, automatem z wodą sodową i drugim, z papierosami, pod oknem. Mężczyzna pochylił się koło Charlesa i pokazał na zewnątrz.

- Widzisz pan tamte zbiorniki?

Charles osłonił oczy dłonią i wyjrzał. Mniej więcej pięćdziesiąt stóp od przetworni, koło brzegu rzeki, stały dwa cylindryczne zbiorniki. Mimo jaskrawego światła księżyca nie widział żadnych szczegółów.

- Czy trochę benzenu nie trafia do rzeki? - spytał Charles, odwracając się plecami do robotnika.

- Większość wywożą ciężarówkami Bóg wie gdzie. Ale wiesz pan, jakie są te zakłady oczyszczania. Kiedy zbiorniki są przepełnione, wylewamy je do rzeki, i po kłopotcie. Robimy to po nocach, a do rana nic nie widać. Wszystko spływa do oceanu. Mówiąc prawdę... - mężczyzna nachylił się nad Charlesem, jak gdyby zawierzał mu sekret: - myślę, że te kurewskie zakłady oczyszczania też wywalają wszystko do rzeki. A życzą sobie za to nie wiadomo ile.

Charles poczuł, jak szczęki mu się zaciskają. Przed oczyma stanęła

mu Michelle w szpitalnym łóżku z wkłuciami kroplówek.

- Gdzie jest szef? - spytał, nie panując dłużej nad gniewem.

- Szef? - zapytał robotnik, przypatrując mu się z zaciekawieniem.

- Majster, nadzorca, nie wiem. Ktoś, kto za to odpowiada - warknął Charles.

- A, zmianowy - powiedział robotnik. - Nat Archer. Siedzi w biurze.

- Niech mi pan pokaże gdzie - polecił Charles.

Robotnik utkwił w nim zdziwione spojrzenie, po czym poprowadził z powrotem przez halę przetwórci i pokazał mu pokój o przeszklonych ścianach nad pomostem o kondygnację wyżej.

- Tam, w górze - powiedział.

Nawet się nie pożegnawszy, Charles wszedł po schodkach. Robotnik przyglądał się mu jeszcze przez chwilę, po czym podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

Przed biurem Charles zawahał się na chwilę, po czym nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez kłopotu. Wszedł do środka. Z oszklonej dźwiękoszczelnej klatki biura roztaczał się widok na całą halę. Nat Archer obrócił się w krzesło, po czym wstał i uśmiechnął się, wyraźnie zaskoczony.

Charles już miał zacząć na niego krzyczeć, gdy uświadomił sobie, że go zna. Był to ojciec Steve'a Archera, bliskiego przyjaciela Jeana Paula. Archerowie byli jedną z niewielu w Shaftesbury czarnych rodzin.

- Charles Martel - powiedział Nat, wyciągając dłoń. - Jest pan ostatnią osobą, której mógłbym się tu spodziewać. - Miał życzliwy, ujmujący sposób bycia, poruszał się powoli i z opanowaniem, jak świadomy swej siły atleta.

Zbity z tropu natknięciem się na kogoś znajomego, Charles wyjąkał, że to nie wizyta towarzyska.

- Cóż - Nat przyjrzał mu się uważniej. - Może usiądziesz?

- Postoję - odrzekł Charles. - Chciałbym zapytać, kto jest właścicielem Recycle Ltd?

Nat zawahał się. Gdy w końcu odpowiedział, w głosie wyczuwało się ostrożność.

- Firmą macierzystą jest Breur Chemicals z New Jersey. Dlaczego pytasz?

- Kto jest tu kierownikiem?

- Harold Dawson. Mieszka na Covered Bridge Road. Charles, uważam, że powinieneś mi powiedzieć, o co chodzi. Może mógłbym zaoszczędzić ci kłopotów.

Charles przyjrzał się badawczo zmianowemu, który założył dłonie na piersiach, przyjmując sztywną, obronną pozę, odbiegającą od początkowej wylewności.

- U mojej córki rozpoznano dziś białaczkę.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Nat z zakłopotaniem połączonym ze współczuciem.

- Nie wątpię - odrzekł Charles. - Wylewacie benzen do rzeki, tak? Właśnie benzen wywołuje białaczkę.

- O czym ty mówisz? Nie wylewaliśmy żadnego benzenu. Po wykorzystaniu jest wywożony.

- Nie pieprz - warknął Charles.

- Lepiej wynoś się stąd, dobra?

- Powiem ci, co zrobię - uniósł się Charles. - Dopilnuję, żeby zamknięto tę całą zasraną fabrykę.

- Co cię napadło? Zwariowałeś czy co? Powiedziałem ci, że niczego nie wylewamy.

- Ha! Facet na dole, taki przerośnięty, z tatuażem, powiedział mi wyraźnie, że wylewacie benzen do rzeki, więc nie próbuj zaprzeczać.

Nat Archer podniósł słuchawkę telefonu i kazał natychmiast zjawić się w biurze Wally'emu Crabowi. Rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się w stronę Charlesa.

- Człowieku, powinieneś kazać sobie zbadać głowę. Wpadasz tu w środku nocy i pleciesz coś o jakimś benzenie. Co jest grane? Żle się dziś oglądało telewizję? Nie mówię, że mi nie żal twojego dzieciaka, ale prawdę mówiąc, nie masz prawa się tu znajdować.

- Ta przetwórnia stanowi zagrożenie dla otoczenia.

- Taak? Nie byłbym taki pewny, czy wszyscy by się z tobą zgodzili.

Wally Crab wpadł z impetem, jak gdyby spodziewał się zastać pożar. Wyprężył się prawie na baczność.

- Wally, ten człowiek mówi, że wylewamy benzen do rzeki. Ponoć ty mu to powiedziałeś.

- Cholera, nie! - zaprzeczył zdyszany Wally. - Powiedziałem mu, że benzen wywozi firma Draper Brothers Disposal.

- Kłamiesz, ty pieprzony sukinsynu! - wykrzyknął Charles.

- Nikt nie będzie mnie tak nazywał! - ryknął Wally, ruszając w jego stronę.

- Daj spokój - rzekł Nat, kładąc rękę na piersi Wally'ego.

- Powiedziałeś mi - krzyknął Charles, mierząc oskarżycielsko palcem w gniewną twarz Wally'ego - że kiedy zbiorniki są pełne, opróżniasz je po nocach do rzeki! To mi wystarczy. Dopilnuję, żeby zamknięto tę budę.

- Spokój! - Nat wypuścił ramię Wally'ego i chwycił w zamian Charlesa. Pociągnął go za sobą w stronę drzwi.

- Zabierz łapy! - Charles wyrwał mu się i odepchnął go od siebie. Gdy Natowi udało się odzyskać równowagę, przycisnął Charlesa do ściany niewielkiego biura.

- Nie próbuj mnie dotknąć! - zagroził. Charles miał na tyle rozwagi, że znieruchomiał.

- Coś ci poradzę - rzekł Nat. - Nie rozrabiaj, włazłeś tutaj bez pozwolenia i jeśli jeszcze raz się tu zjawisz, pożałujesz tego. Teraz zmiataj stąd, nim cię wywalę na zbity pysk.

Przez krótką chwilę Charles nie był pewien, czy uciekać, czy się bić. Zdał sobie jednak sprawę, że nie ma żadnego wyboru, odwrócił się na pięcie i głośno tupiąc zbiegł po metalowych schodkach w koszmarny mechaniczny labirynt hali przetwórci. Przebiegł przez przedsionek i wypadł na zewnątrz. Odetchnął z ulgą, czując, jak owiewa go zimne i względnie czyste nocne powietrze. Gdy tylko znalazł się w samochodzie, ruszył, do granic wytrzymałości silnika zwiększając gaz przed wrzuceniem biegu.

Im bardziej oddalał się od przetwórci, tym mniejszy czuł lęk, a tym

większą wściekłość i upokorzenie. Uderzając dłonią w kierownicę poprzysiągł sobie, że bez względu na cenę zniszczy fabrykę za to, co przytrafiło się Michelle. Próbował zebrać myśli, jak się do tego zabrać, był jednak zbyt wytrącony z równowagi, by jasno rozumować.

Zjechał z autostrady 301 na drogę prowadzącą do swego domu i przycisnął pedał do deski, wyrzucając spod kół żwir, łomoczący po błotnikach. Samochodem zarzuciło najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Kątem oka dostrzegł, że firanki w oknie salonu rozsuwają się i przez moment mignęła mu twarz Cathryn. Zahamował tuż przed tylnym gankiem i wyłączył silnik.

Siedział przez chwilę nieruchomo, ściskając w dłoniach kierownicę. Słyszał, jak silnik stygnie w mroźnym powietrzu. Szaleńcza jazda ukołowała jego nerwy i pozwoliła odzyskać jasność myśli. Może wdzieranie się o tej porze do Recycle Ltd było głupotą, musiał wszakże przyznać, że udało mu się osiągnąć przynajmniej jedno: upewnił się, skąd pochodzi benzen w stawie. Po namyśle uznał jednak, że o wiele ważniejszą sprawą jest zajęcie się Michelle i podjęcie trudnych decyzji co do jej leczenia. Jako naukowiec zdawał sobie sprawę, że sama obecność benzenu w wodzie ze stawu jeszcze nie dowodzi, iż to dlatego Michelle ma białaczkę. Jak na razie dowiedziono jedynie, że benzen wywołuje białaczkę u zwierząt, nie ustalono, czy dotyczy to także ludzi. Poza tym był przecież świadom, że przetwórnia odpadów służy mu jako cel poniekąd zastępczy, na którym mógł wyładować wrogość i gniew spowodowane chorobą córki.

Powoli wysiadł z samochodu, po raz kolejny żałując, że przez pięć ostatnich lat nie pracował nad swoimi badaniami wystarczająco szybko, by móc teraz ratować Michelle. Pogrążony w myślach, drgnął, gdy na ganku powitała go Cathryn. Po jej twarzy spływały świeże łzy, drżała daremnie starając się opanować szloch.

- Co się dzieje? - spytał ze zgrozą. Pierwszą myślą, jaka mu przyszła do głowy, było, że coś się stało z Michelle.

- Dzwoniła Nancy Schonhauser - zdołała wydusić z siebie Cathryn. - Tad umarł dziś wieczorem. Biedaczek.

Charles przytulił do siebie żonę, próbując ją pocieszyć. W pierwszej chwili poczuł ulgę, jakby to znaczyło, że los oszczędził Michelle, zaraz jednak przypomniał sobie, że chłopiec, podobnie jak oni, mieszkał nad Pawtomackiem, tyle że bliżej miasta.

- Myślałam, że pojedę odwiedzić Marge, ale sama jest teraz w szpitalu - mówiła Cathryn. - Zemdląła, kiedy powiedzieli jej o śmierci Tada. Jak myślisz, czy powinnam pojechać do nich i może jakoś im pomóc?

Charles już jej nie słuchał. Benzen wywoływał i białaczkę, i anemię aplastyczną! Zapomniał o Tadie. Michelle przestała być odosobnionym, pojedynczym przypadkiem choroby szpiku kostnego. Zastanawiał się, ile jeszcze osób mieszkających nad Pawtomackiem dotknęła choroba. Ogarnęła go ponownie fala niepohamowanego gniewu. Oderwał się od Cathryn.

- Słuchasz mnie? - spytała, pozostawiona nagle na środku pokoju. Patrzyła, jak Charles szuka w książce telefonicznej numeru i podnosi słuchawkę. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o jej obecności.

- Charles! - zawołała. - Zadałam ci pytanie.

Spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem, czekając na połączenie, potem zwrócił się do telefonu:

- Czy mówię z panem Haroldem Dawsonem? - spytał zdecydowanym głosem.

- Owszem - odpowiedział kierownik.

- Nazywam się Charles Martel. Byłem dziś wieczorem w Recycle Ltd.

- Wiem - odrzekł Dawson. - Jakiś czas temu dzwonił do mnie Nat Archer. Przykro mi, jeśli potraktowano pana nieuprzejmie. Szkoda, że nie złożył pan nam wizyty w normalnym czasie pracy, wtedy sam bym się z panem spotkał.

- Nie obchodzi mnie, że zostałem potraktowany nieuprzejmie - warknął Charles. - Obchodzi mnie natomiast to, że wywalacie do rzeki toksyczne odpady w rodzaju benzenu.

- Niczego nie wywalamy do rzeki - odpowiedział z naciskiem

Dawson. - Na używanie wszystkich toksycznych substancji mamy ważne pozwolenia wydane przez Agencję Ochrony Środowiska.

- Pozwolenia - prychnął Charles. - W rzece jest benzen, a jeden z waszych pracowników powiedział, że to wy go tam wylewacie. Benzen jest cholernie toksyczny. Moja córka znalazła się dziś w szpitalu z białaczką, dziś też chłopak mieszkający niedaleko zmarł z powodu anemii aplastycznej. To nie przypadek. Uprzedzam, że doprowadzę do zamknięcia przetwórnicy. Módlcie się, jeśli nie jesteście ubezpieczeni.

- To szalone, nieodpowiedzialne oskarżenia - powiedział spokojnie Dawson. - Winienem panu wyjaśnienie, że przetwórnica w Shaftesbury ma znikome znaczenie dla korporacji Breur Chemicals, która utrzymuje ją jedynie przez wzgląd na znaczenie fabryki dla miasta. Gdyby nie to, już dawno by ją zamknięto.

- I cholernie dobrze by zrobiono! - krzyknął Charles.

- Stu osiemdziesięciu robotników mogłoby być innego zdania - odpowiedział tracąc cierpliwość Dawson. - Jeśli szuka pan kłopotów, szanowny panie, to zapewniam, że je pan znajdzie.

- Nie... - zaczął Charles, zorientował się jednak, że połączenie zostało przerwane. - Chryste! - krzyknął, potrząsając słuchawką.

Cathryn wyjęła mu ją z ręki i odłożyła na miejsce. Słyszała jedynie to, co mówił Charles, ale i to ją zaniepokoiło. Skłoniła go, by usiadł na kuchennym krześle i gestem nakazała matce wyjść, gdy ta pojawiła się w drzwiach. Na twarzy Cathryn wciąż były ślady łez, lecz przestała płakać.

- Powiedz mi lepiej, o co chodzi z tym benzenem.

- To trucizna! - wybuchnął Charles. - Hamuje aktywność szpiku kostnego.

- Można się zatruć, nawet jeśli się go nie zje?

- Nie musi się dostać do układu pokarmowego. Wystarczy, że dostanie się do płuc z wdychanym powietrzem. Trafia bezpośrednio do krwiobiegu. Dlaczego musiałem zrobić Michelle domek właśnie tam?

- Myślisz, że stąd nabawiła się białaczki?

- Na pewno. Widocznie wdychała pary benzenu przez cały czas,

kiedy tam siedziała. Benzen wywołuje właśnie tę rzadką odmianę białaczki, co u niej. To nie jest zwykły zbieg okoliczności. Zwłaszcza kiedy pomyśleć o anemii Tada.

- Benzen mógł spowodować i to?

- Oczywiście.

- I sądzisz, że przetwórnia wylewa benzen do rzeki?

- Wiem, że to robi. Tego właśnie się dziś wieczór dowiedziałem. Zapłać za to. Postaram się, żeby ich zamknęto.

- W jaki sposób?

- Jeszcze nie wiem. Spróbuję jutro z kimś pogadać, porozumiem się z Agencją Ochrony Środowiska. Komuś na pewno przyda się ta wiadomość.

Cathryn wpatrzyła się w twarz męża, przypominając sobie rozmowę z doktorem Keitzmanem i doktorem Wileym.

- Charles - powiedziała, zbierając się na odwagę - to wszystko jest bardzo ciekawe i pewnie ważne, wydaje mi się jednak, że w tej chwili nie czas na to.

- Nie czas? - powtórzył Charles z niedowierzaniem.

- Właśnie. Dopiero co dowiedzieliśmy się, że Michelle ma białaczkę. Uważam, że powinniśmy się przede wszystkim nią zająć, a nie zawracać sobie głowę zamykaniem jakiejś przetwórni. Na to zawsze będzie czas, a Michelle potrzebuje cię teraz.

Charles utkwiał wzrok w swej młodej żonie. Należała do ludzi walczących z przeciwnościami losu, a obecnie znalazła się w sytuacji wymagającej całego zasobu sił. Jak zdoła jej wytłumaczyć, że najgorsze jest to, iż nie może dać Michelle nic poza miłością? Jako badacz zajmujący się nowotworami wiedział aż za dużo o chorobie córki; jako lekarz nie mógł wiązać złudnych nadziei z arsenałem nowoczesnej medycyny; jako ojciec drętwiał z przerażenia na myśl o tym, co czeka Michelle, bo widział już cierpienia swej pierwszej żony. Ale nie potrafił siedzieć beczynn timer. Musiał coś zrobić, a Recycle Ltd pozwalało zająć się czymś innym niż choroba Michelle i jego słaba pozycja w Instytucie Weinburgera.

Zdał sobie sprawę, że niczego z tego nie zdoła jej przekazać, ponieważ prawdopodobnie niczego by nie zrozumiała, a gdyby zrozumiała, odebrałoby to jej nadzieję. Pogodził się z tym, że mimo ich głębokiej wzajemnej miłości swoje brzemie będzie musiał ponieść sam. Przytłoczony tą myślą wtulił się w objęcia Cathryn.

- To był straszny dzień - szepnęła, ze wszystkich sił przyciskając go do siebie, - Chodźmy do łóżka i spróbujmy zasnąć.

Charles skinął głową myśląc: „Gdybym pracował szybciej...”

Michelle uświadomiła sobie, że stopniowo, prawie niepostrzeżenie w jej salce robi się jaśniej. Żaluzja na oknie wydawała się już nie jasna z ciemnymi obwódkami, lecz ciemna z jasnymi obwódkami. Wraz z nadejściem dnia wzmógł się również ruch na korytarzu. Drzwi do pokoiku Michelle były lekko uchylone i pasmo mżącego żółtego światła wpadało do środka, dodając jej nieco otuchy podczas nie kończącej się nocy.

Michelle zastanawiała się, kiedy przyjedzie Charles lub Cathryn. Miała nadzieję, że niedługo, marzyła bowiem wyłącznie o tym, by znaleźć się z powrotem w domu, we własnym pokoju. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zostawiono ją w szpitalu, ponieważ po obiedzie - który ledwie tknęła - niczego jej nie robiono, od czasu do czasu tylko ktoś zaglądał, by sprawdzić, czy nic się nie stało.

Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka i usiadła, podpierając się dłońmi. Zamknęła oczy, by zwalczyć zawroty głowy. Przy ruchu nasiliły się mdłości, które męczyły ją całą noc. Raz nawet wstała, czując, że ślina zebrała się jej pod językiem i bojąc się, że wymiotuje. Przytrzymała się oburącz muszli klozetowej, gdy szarpnęły nią torsje, nie zwróciła jednak niczego. Potem z największym trudem dowlokła się z powrotem do łóżka.

Była pewna, że w ogóle nie spała. Poza mdłościami dolegały jej również bóle stawów i brzucha oraz dreszcze. Gorączka, która poprzedniego wieczora spadła, znów wróciła.

Opuściła nogi na podłogę i z wolna wstała, przytrzymując się stojaka do kroplówek. Popychając go przed sobą ruszyła do łazienki. Wenflon z tworzywa sztucznego wciąż tkwił w jej lewym ramieniu, którym starała się jak najmniej poruszać. Obawiała się, że końcówka może przebić jej żyłę i wyrządzić krzywdę.

Wróciwszy z toalety, usiadła na łóżku. Po chwili podciągnęła się na nie i położyła. Bardziej samotna i nieszczęśliwa nie mogła się już czuć.

- No no - rozpromieniła się rudowłosa pielęgniarka, wchodząc do pokoju i zaczynając się krzątać. - Już się obudziłyśmy? Nie lubimy leniuchować, co? - Z trzaskiem podniosła żaluzję, wpuszczając do środka światło nowego dnia.

Michelle spojrzała na nią, ale nic nie powiedziała. Pielęgniarka okrążyła łóżko i wyjęła termometr z wąskiego stalowego kubeczka.

- Co się stało, kot odgryzł ci języczek? - Strząsnęła termometr, nachyliła się i włożyła go Michelle do ust. - Za chwilę wracam.

Gdy tylko pielęgniarka zniknęła za drzwiami, Michelle wyjęła termometr. Nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział, że ma gorączkę, bo mogliby ją zatrzymać w szpitalu. Trzymała go w prawej dłoni blisko twarzy, by móc szybko włożyć do ust, gdy znów pojawi się pielęgniarka.

Ale gdy drzwi otworzyły się ponownie, był to fałszywy alarm. Okazało się, że to tylko mężczyzna w przybrudzonym fartuchu z mnóstwem piór wystających z kieszeni. Niósł druciany koszyk na próbki z krwią, zatkanymi różnobarwnymi korkami. Przez brzeg koszyka miał przewieszane kawałki gumowych rurek. Michelle wiedziała, czego chce: krwi.

Z przerażeniem obserwowała jego przygotowania. Owinął jej ramię gumową rurką tak silnie, że zabolą ją w palcach, ostro przetarł zgięcie łokcia wacikiem umocowanym w alkoholu w tym samym miejscu, gdzie pobierano jej krew poprzedniego dnia. Następnie zębami ściągnął kołpaczek z igły. Michelle miała ochotę krzyczeć, lecz tylko odwróciła głowę, by ukryć łzy. Szarpnięciem wywołującym tyle samo bólu, co przy założeniu, mężczyzna zdarł rurkę. Po chwili usłyszała, jak

próbówka z krwią wpada do koszyka. Poczula wacik w miejscu ułtucia, zgięła ramię, przytrzymując go. Mężczyzna zebrał swe akcesoria i wyszedł. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Z jedną ręką przytrzymującą wacik i wenflonem w drugiej poczuła się całkowicie unieruchomiona. Wreszcie powoli rozprostowała ramię. Wacik stoczył się w bok, ukazując niewinnie wyglądający czerwony punkcik ułtucia, podsiniaty wokół.

- Dobrze - powiedziała rudowłosa pielęgniarka, pojawiając się ponownie. - Zobaczymy, jak z temperaturą.

Michelle przypomniała sobie z przerażeniem, że nie wyjęła termometru z ust. Zrobiła to zręcznie pielęgniarka i sprawdziwszy, ile stopni wskazuje, włożyła do metalowego pojemniczka na nocnym stoliku.

- Za chwilę będzie śniadanie - rzekła pogodnie, nie wspominając ani słowem o gorączce. Wyszła tak samo raptownie, jak weszła.

- Och, tato, przyjeźdź szybko i zabierz mnie stąd - szepnęła sama do siebie Michelle. - Proszę, pospiesz się.

Charles poczuł, że ktoś potrząsa go za ramię. Usiłował nie zwracać na to uwagi, bo chciało mu się spać dalej, ale nie zamierzano dać mu spokoju. Kiedy otworzył oczy, ujrzał Cathryn w szlafroku, stojącą przy łóżku z parującą filiżanką kawy. Podniósł się na łokciu i wziął od niej filiżankę.

- Jest siódma - powiedziała Cathryn z uśmiechem.

- Siódma? - Charles spojrział na cyferblat budzika. Pomyślał, że zaspanie to nie najlepszy sposób przyspieszenia badań.

- Spałeś tak głęboko. - Pocałowała go w czoło. - Nie miałam serca budzić cię wcześniej. Na dole czeka wielkie śniadanie.

Charles zorientował się, że jej pogodny ton to jedynie pozory.

- Smacznej kawy - ruszyła w stronę drzwi. - Gina wstała wcześniej i przygotowała wszystko.

Charles spojrział na filiżankę w dłoniach. Rozdrażniła go sama myśl,

że Gina jeszcze tu jest; nie miał ochoty zaczynać poranka od spotkania z nią. Wiedział, że go zapyta, jak mu smakowała kawa i nie omieszka podkreślić, że wstała przed wszystkimi.

Potrząsnął głową. Nie trzeba uprzykrzać sobie życia od rana takimi myślami. Spróbował kawy. Była gorąca, aromatyczna i pobudzająca. Smakowała mu i obiecał sobie, że powie o tym Ginie, nim będzie miała okazję zapytać, uprzedzając też podziękowaniami jej chętnie się rannym wstawaniem. Trzymając filiżankę w dłoni, Charles począł do pokoju Michelle. Zatrzymał się pod drzwiami, po czym otworzył je powoli. Miał nieomal nadzieję, że zastanie córkę śpiącą spokojnie w łóżku, oczywiście jednak było ono porządnie zaścielone, książki poustawiane pod linijkę, a cały pokój wysprzątan jak na wystawę.

- No dobrze - powiedział do siebie, jak gdyby spierał się z wszechpotężnym arbitrem. - Michelle ma białaczkę mieloblastyczną. Spraw, żeby to leczenie poskutkowało. O nic więcej nie proszę.

Śniadanie przebiegało w napiętej atmosferze. Wymuszony zapach Giny i powściągliwość Charlesa stopniowo przerodziły się w nieustanną paplaninę z jednej i całkowite milczenie z drugiej strony. Wreszcie Cathryn przerwała matce planując, kto, co i kiedy ma zrobić. Charles nie brał udziału w podejmowaniu tych decyzji, skupił się natomiast na zaplanowaniu dnia pracy w instytucie. Przede wszystkim chciał sprawdzić, czy u zdrowych myszy, którym wstrzyknięto antygen nowotworowy, pojawiają się oznaki pobudzenia układu odpornościowego. Najprawdopodobniej nie zareagują na tak niewielką dawkę, toteż należało się przygotować na dostrzyknięcie im antygeny po południu. Następnie trzeba sprawdzić, jak mają się myszy, którym wstrzyknięto kanceran, i podać kolejną dawkę. Potem zabierze się do komputerowej symulacji działania czynnika blokującego.

- Odpowiada ci to, Charles? - spytała Cathryn.

- Co? - zapytał. W ogóle nie słyszał rozmowy.

- Dziś rano zabierzesz mnie fordem i podwieziesz do szpitala. Chuck weźmie kombi, podrzuci Jeana Paula i pojedzie na uniwersytet. Gina zgodziła się zostać i przygotować obiad.

- Przygotuję twoje ulubione gonocchi - powiedziała entuzjastycznie teściowa.

Gonocchi! Charles nawet nie wiedział, co to takiego.

- Jeśli będę chciała wcześniej wrócić, podjadę pod uniwersytet i wezmę kombi - ciągnęła Cathryn. - Jeśli nie, wrócę z tobą. Co ty na to?

Charles nie rozumiał, co te wyszukane plany miały ułatwić. Znacznie prostsze wydawało mu się zachowanie dotychczasowego zwyczaju, że on podwozi chłopców, pozostawiając kombi Cathryn, ale właściwie było mu wszystko jedno. Doszedł nawet do wniosku, że może lepiej będzie, jeśli Chuck będzie miał do dyspozycji samochód na wypadek, gdyby on zabawił dłużej w instytucie. Wówczas Cathryn mogłaby wrócić z synem do domu po południu.

- Pasuje mi - powiedział, wpatrując się w Chucka, który spędzał czas przy śniadaniu jak zwykle: wbijał wzrok w pudełko z płatkami owsianymi, jak gdyby to było Pismo Święte. Chłopak miał na sobie to samo ubranie co wczoraj i wyglądał równie fatalnie.

- Dzwoniono do mnie wczoraj z urzędu płatnika - zwrócił się do syna Charles.

- Tak, podałem im numer - rzekł Chuck, nie podnosząc głowy.

- Załatwiłem w banku pożyczkę - powiedział Charles. - Dostanę pieniądze jutro lub pojutrze i zapłacę rachunek.

- Dobrze - Chuck obrócił pudełko z owsianką i zaczął studiować wydrukowaną na bocznej ścianie informację na temat wartości odżywczych.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? Dobrze? - Charles posłał Cathryn spojrzenie mówiące: „Dałabyś wiarę?”

Chuck udał, że nie dosłyszał pytania.

- Chyba powinniśmy już jechać - oświadczyła Cathryn, podnosząc się. Zaczęła wstawiać mleko i masło do lodówki.

- Zostaw to wszystko - powiedziała wspaniałomyślnie Gina. - Posprzątam.

Charles i Cathryn pierwsi wyszli z domu. Blade zimowe słońce wisiało nisko na południowo-wschodnim niebie. Choć w pinto i tak

było zimno, Cathryn była zadowolona, że nie stoi na zacinającym wietrze.

- Cholera - powiedział Charles, chuchając w palce. - Zapomniałem o wodzie ze stawu.

Ze względu na żonę uruchomił samochód, co było niełatwym zadaniem, i pobiegł z powrotem do kuchni po słoik z wodą. Ostrożnie wklinował go między siedzenia, by nic się nie wylało, dopiero potem wsiadł i zapiął pasy.

Cathryn obserwowała poczynania Charlesa z pewnym niepokojem. Po krótkiej rozmowie poprzedniego wieczora miała nadzieję, że cała jego uwaga skupi się na Michelle. Zachowywał się jednak dziwnie od chwili, gdy go obudziła. Zaczęła mieć budzące grozę wrażenie, że jej rodzina rozłązi się w szwach.

Patrząc podczas jazdy na profil milczącego Charlesa zastanawiała się nad najrozmaitszymi sposobami zaczęcia rozmowy, ale nie odezwała się, w obawie, że cokolwiek powie, może spowodować u męża wybuch złego humoru.

Kiedy wjechali z drogi 301 na autostradę międzystanową 93, wreszcie zdecydowała się zapytać:

- Jak się dziś czujesz, Charles?
- He? A, świetnie. Po prostu świetnie.
- Jesteś taki spokojny. To do ciebie niepodobne.
- Po prostu zamyśliłem się.
- O Michelle?
- Tak, i o mojej pracy.
- Nie myślisz już o przetwórni, prawda?

Charles spojrział na nią, po czym ponownie skupił się na drodze przed sobą.

- Trochę. Wciąż uważam, że ta fabryka jest groźna, jeśli o to ci chodzi.

- Charles, chyba niczego przede mną nie ukrywasz?
- Nie - odparł nieco za szybko. - Dlaczego pytasz?
- Nie wiem - przyznała się Cathryn. - Wydajesz się jakiś... odległy od

chwili, gdy dowiedzieliśmy się, że Michelle jest chora. I ciągle zmieniają ci się nastroje. - Rzuciła ukradkowe spojrzenie, by sprawdzić, jak Charles na to zareaguje. Ale on po prostu prowadził dalej i zdawał się zachowywać niezmałony spokój.

- Mam mnóstwo na głowie - powiedział.

- Będziesz się ze mną tym dzielił, prawda? Nie na darmo zostałam twoją żoną. Dlatego właśnie chciałam adoptować dzieci. Chcę, żebyś się wszystkim ze mną dzielił, Charles - wyciągnęła dłoń i położyła ją na udzie męża.

Nadal nie spuszczał oczu z drogi. Cathryn mówiła właśnie to, o czym do wczoraj sam był przekonany. Teraz uświadomił sobie jednak, że nie może dzielić z nią wszystkiego. Medyczne wykształcenie dawało mu wiedzę o sprawach, o których ona nie mogła mieć pojęcia. Załamałaby się, gdyby jej powiedział, jak będzie przebiegać choroba Michelle.

Zdjął dłoń z kierownicy i przykrył nią rękę Cathryn.

- Dzieciaki nawet nie wiedzą, ile mają szczęścia - powiedział.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Rozmowa nie rozwiała lęków Cathryn, nie wiedziała jednak, jak poprowadzić ją dalej. Daleko przed nimi zaczął się wyłaniać budynek Prudentialu. Ruch był tu większy i musieli zwolnić do czterdziestu mil na godzinę.

- Nic nie wiem o ustalaniu zgodności tkankowej i tym wszystkim - przerwała w końcu milczenie. - Ale chyba nie powinniśmy zmuszać Chucka do czegoś, na co nie ma ochoty.

Charles zdjął rękę z dłoni Cathryn i zacisnął ją na kierownicy.

- Jestem pewna, że się opamięta - ciągnęła widząc, że nie ma co liczyć na odpowiedź. - Musi jednak zgodzić się z własnej woli.

Charles na chwilę przeniósł spojrzenie na żonę. Sama wzmianka o Chucku podziałała jak rozdmuchanie tłącego się ognia. Niemniej trudno było zaprzeczyć, że Cathryn ma racje.

- Nie można zmusić kogoś do altruizmu - mówiła dalej. - Zwłaszcza Chucka. Jeszcze trudniej będzie mu odnaleźć samego siebie.

- Tylko to potrafi - powiedział Charles. - Babrać się we własnym

„ja”. O Michelle nie wspomniał ani słowem.

- Ale martwi się o nią - rzekła Cathryn. - Tylko trudno mu wyrażać uczucia.

Charles roześmiał się cynicznie.

- Chciałbym w to uwierzyć. Jest po prostu cholernym egoistą. Zauważyłaś, z jakim głębokim zrozumieniem przyjął wiadomość, że zapożyczyłem się na jego chesne?

- A czego chciałbyś? Żeby rzucił ci się do nóg? - odparowała Cathryn. Chesne powinno być zapłacone już kilka miesięcy temu.

Charles zacisnął zęby.

- Świetnie... - powiedział sobie. - Stajesz po stronie tego drania... doskonale!

Cathryn natychmiast pożałowała swoich słów, mimo że miała przecież rację. Położyła mężowi dłoń na ramieniu. Chciała, by się otworzył, a nie zamykał w sobie.

- Przepraszam, że to powiedziałam, ale musisz zrozumieć, że on nie ma twojej osobowości. Brak mu pewności siebie i nie jest też najprzystojniejszy. W gruncie rzeczy to jednak dobry chłopak. Tylko bardzo trudno mu wyrastać w twoim cieniu.

Mąż spojrzał na nią z ukosa.

- Może o tym nie wiesz, ale bardzo trudno ci dorównać. Wiedzie ci się we wszystkim, czego się tkniesz.

Charles nie podzielał tej opinii. Mógłby jednym tchem wyrecytować dziesiątki sytuacji, w których poniósł całkowite fasko. Nie o tym jednak rozmawiali - chodziło o Chucka.

- Uważam, że szczeniak jest samolubny i leniwy, i mam tego dość. Jego reakcja na chorobę Michelle była dokładnie taka, jakiej można się było po nim spodziewać.

- Ma prawo być samolubny - odrzekła Cathryn. - College to instytucja wyjątkowo sprzyjająca rozwijaniu tej cechy.

- Niewątpliwie rozwinał ją w sobie w najwyższym stopniu.

Od zbiegu autostrady 93 z drogą szybkiego ruchu z południowego wschodu i Storow Drive posuwali się już w ślimaczym tempie. Przez

jakiś czas żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

- Nie tym powinniśmy się teraz przejmować - odezwała się w końcu Cathryn.

- Masz rację - westchnął Charles. - Masz też rację, że nie można Chucka do niczego zmuszać. Ale jeśli się nie zgodzi, długo zaczeka, zanim zapłacę jego kolejne czesne.

Cathryn posłała mu ostre spojrzenie. A cóż to innego, jeśli nie wywieranie nacisku?

Choć o tak wczesnej porze w szpitalu prawie nie było odwiedzających, panował w nim duży ruch. Charles i Cathryn musieli uskakiwać z drogi wózkom noszowym z przykutymi do nich małymi pacjentami, wiezionymi na najrozmaitsze badania. Cathryn czuła się nieporównanie spokojniejsza mając u boku męża. Ale i tak spotniały jej dłonie, zwykła u niej oznaka zdenerwowania.

Gdy mijali ruchliwą dyżurkę oddziału szóstego w skrzydle imienia Andersona, pielęgniarka zauważyła ich i pomachała ręką na powitanie. Charles podszedł do niej.

- Przepraszam, jestem doktor Martel - powiedział. - Chciałbym wiedzieć, czy u mojej córki zaczęto już chemioterapię.

Świadomie starał się, by jego głos brzmiał beznamiętnie.

- Chyba tak - odrzekła pielęgniarka. - Jeszcze sprawdzę.

Sekretarka, która dosłyszała rozmowę, podała jej kartę zleceń Michelle.

- Wczoraj wieczorem dostała daunorubicynę - informowała pielęgniarka. - Dziś rano dostała pierwszą doustną dawkę tioguaniny, a dziś po południu włączamy cytarabinę.

Charles wzdrygał się słysząc te nazwy, siłą woli jednak zachował spokój. Aż za dobrze znał potencjalne skutki uboczne stosowania podanych leków. „Proszę, Boże - powiedział w duchu - proszę, niech nastąpi remisja”. Wiedział, że jeśli ma w ogóle nastąpić, to od razu. Podziękował pielęgniarce, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę pokoiku Michelle. Im bardziej zbliżał się do izolatki, tym większy ogarniał go niepokój. Rozluźnił krawat i rozpiął najwyższy guzik

koszuli.

- Bardzo ładnie udekorowano oddział, dzięki temu nie jest tu ponuro - rzuciła Cathryn, dopiero teraz zwróciwszy uwagę na wizerunki zwierząt na ścianach.

Przed drzwiami Charles zatrzymał się na chwilę, starając się dojść do równowagi.

- To tu - powiedziała Cathryn, sądząc, że nie jest pewien, czy to pokój Michelle.

Otworzyła drzwi, weszła i pociągnęła męża za sobą. Michelle siedziała w łóżku wsparta o kilka poduszek. Na widok ojca wybuchnęła płaczem. Charles przeraził się jej wyglądem. Choć wydawało mu się to niemożliwe, była jeszcze bledsza niż poprzedniego dnia. Jej oczy wyraźnie zapadły się, sprawiając wrażenie podbitych, wskutek ciemnych otoczek. W powietrzu wisiała kwaśna woń świeżych wymiotów.

Chciał rzucić się ku niej i przytulić do siebie, nie był jednak w stanie się poruszyć, obezwładniony udreką własnej bezsilności, mimo że Michelle wyciągnęła do niego rękę.

Choroba była zbyt potężna. Nie mógł jej nic przeciwstawić, tak samo jak w przypadku Elizabeth dziewięć lat wcześniej. Koszmar powrócił. Niespodziewanie z całą mocą przytłoczyła go świadomość, że u Michelle nie nastąpi poprawa. Zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że żadne paliatywne leczenie na świecie nie powstrzyma rozwoju choroby. Zachwiał się pod ciężarem tej świadomości, odsuwając o krok od łóżka.

Widząc to, choć nie pojmując, co się dzieje, Cathryn sama podbiegła do łóżka i przytuliła dziewczynkę do siebie. Michelle spojrzała nad jej ramieniem w oczy ojca. Uśmiechnął się słabo, ale jej wydało się, że jest na nią zagniewany.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała Cathryn, zaglądając jej w twarz. - Jak się czujesz?

- Świetnie - wydusiła z siebie Michelle, powstrzymując łzy. - Tylko chcę do domu. Możemy pojechać do domu, tato?

Charles zbliżył się do łóżka czując, że ręce mu się trzęsą. Zaciśnął je

na metalowym oparciu.

- Może - odparł wymijająco. Może powinien zabrać ją ze szpitala zabrać do domu i do końca otaczać opieką. Może tak byłoby najlepiej.

- Michelle, musisz tu zostać, dopóki nie wyzdrowiejesz - tłumaczyła spieszenie Cathryn. - Doktor Keitzman i doktor Wiley postarają się, żeby to było jak najszybciej. Wiem, że ci ciężko, i strasznie za tobą tęsknimy, musisz jednak być dzielną dziewczynką.

- Proszę, tato - błagała Michelle.

Charles czuł się bezradny i niezdecydowany. Oba te uczucia były mu na ogół obce i nie umiał sobie z nimi poradzić.

- Michelle, żałujemy, ale musisz zostać w szpitalu - powiedziała Cathryn.

- Dlaczego? - dopytywała Michelle. - Tatusiu, co mi jest?

Charles spojrzał na Cathryn, daremnie szukając u niej wsparcia. Milczała. To on był lekarzem.

- Sam chciałbym wiedzieć - rzekł, czując do siebie obrzydzenie za kłamstwo, a przecież nie mogąc powiedzieć prawdy.

- To samo, co miała moja prawdziwa mama? - spytała Michelle.

- Nie - odparł szybko. - Z całą pewnością nie.

To przynajmniej było tylko częściowo kłamstwem: Elizabeth miała wprawdzie chłoniaka, umarła jednak z powodu przełomu białaczkowego. Charles czuł się przyparty do muru. Musiał się stąd wydostać, by wszystko przemyśleć.

- Więc co? - nalegała Michelle.

- Nie wiem - z poczuciem winy spojrzał na zegarek. - Dlatego właśnie tu jesteś. Żeby to wykryć. Cathryn zostanie z tobą, żebyś nie czuła się samotna. Muszę jechać do laboratorium. Później przyjadę.

Bez ostrzeżenia Michelle wstrząsnęła nagle fala nudności. Jej szczupłe ciało zadygotało, zwymiotowała całe skromne zjedzone niedawno śniadanie. Cathryn uchyliła się, ale część treści wymiotów znalazła się na jej lewym rękawie.

Charles wypadł natychmiast na korytarz, krzykiem wzywając pielęgniarkę. Przybiegła ta, która znajdowała się dwie sale dalej.

Spodziewała się jakiejś dramatycznej sytuacji i z ulgą stwierdziła, że to nic poważnego.

- Nie przejmuj się, księżniczko - ściągnęła z Michelle brudne prześcieradło. - Raz-dwa to wyczyścimy, Charles przyłożył dłoń do czoła Michelle. Wciąż miała gorączkę. Wiedział, dlaczego wymiotowała: był to skutek leków. Poczł przeszywający go lęk. W niewielkiej salce doznawał klaustrofobii.

Michelle chwyciła jego dłoń, jak gdyby osuwała się w przepaść i jedynie Charles mógł ją uratować. Zajrzała w niebieskie, identyczne jak u niej oczy. Wydało się jej jednak, że dostrzega w nich stanowczość zamiast zrozumienia, irytację zamiast współczucia. Wypuściła rękę ojca i opadła na poduszki.

- Wrócę później, Michelle - powiedział Charles, przygnębiony, że potencjalnie niebezpieczne skutki uboczne wywoływane przez leki wystąpiły tak szybko. Zwrócił się do pielęgniarki:

- Dostaje coś na mdłości i wymioty?

- Owszem - odrzekła. - Ma zleconą kompozynę pozajelitową w razie potrzeby. Podam ją za chwilę.

- Znów zastryk?! - krzyknęła Michelle.

- Nie, zaczniemy od tabletki - uspokoiła ją pielęgniarka. - Miejmy nadzieję, że twój brzuszeczek ją utrzyma. Jeśli nie, trzeba będzie ukłuć cię w pupę. - Żartobliwie uścisnęła stopę Michelle.

- Odprowadzę tylko tatę do windy, Michelle - powiedziała Cathryn, gdy zobaczyła, że Charles rusza w stronę drzwi. Dogoniła go na korytarzu i chwyciła za ramię. - Charles, co się z tobą dzieje?

Nie zatrzymał się.

- Charles! - zawołała, szarpiąc go tak, że musiał się do niej odwrócić. - O co chodzi?

- Muszę stąd wyjść - nerwowo przeczesał włosy palcami. - Nie mogę patrzeć, jak Michelle cierpi. Nie wiem, co mam począć. Wygląda strasznie. Nie jestem pewien, czy powinna w ogóle dostawać te leki.

- Nie powinna dostawać leków?! - zawołała Cathryn. Natychmiast przypomniała sobie obawy doktorów Keitzmana i Wileya, że Charles

może się wtrącać do leczenia córki.

- Wymiotuje - powiedział z gniewem. - To dopiero początek.

Już miał powiedzieć, że na pewno nie będzie remisji, pohamował się jednak. Miał jeszcze czas na podzielenie się z Cathryn złymi wieściami; na razie nie chciał niweczyć jej nadziei.

- Przecież to jej jedyna szansa - rzekła błagalnie.

- Muszę już jechać - uciął Charles. - Zadzwoń do mnie, jeśli coś się zmieni. Będę w laboratorium.

Cathryn patrzyła, jak oddala się spieszenie zatłoczonym korytarzem. Nie czekał nawet na windę, pobiegł w dół schodami. Nie miała pojęcia, o co chodziło, kiedy doktor Wiley powiedział, że muszą polegać na jej siłach. Teraz zaczynała pojmować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Charles skręcił na parking pod instytutem, wyskoczył z samochodu i wydostał zza siedzenia słoje z wodą ze stawu. Przebiegł przez asfalt i walił w drzwi, dopóki portier go nie wpuścił. Z holu skręcił w lewo do jednego z laboratoriów analitycznych. Przy blacie siedział z porannym kubkiem kawy jeden z cenionych przez niego laborantów.

- Chciałbym, żeby pan zbadał zawartość tego słoja pod względem zanieczyszczeń - zwrócił się doń, z trudem łapiąc oddech.

- To pilne? - spytał laborant, dostrzegając podniecenie Martela.

- Dostyc - odparł Charles. - Interesują mnie szczególnie rozpuszczalniki organiczne, ale przyda mi się wszystko, co pan znajdzie.

Laborant odkręcił pokrywkę, powąchał i zamrugał.

- Ojeju. Mam nadzieję, że nie dolewa pan sobie tego do whisky.

Charles pospieszył do swego laboratorium. Przez głowę przebiegały mu błyskawicznie najprzeróżniejsze myśli, wywołując wrażenie zamętu.

Musiał przyznać, że nie znajdzie żadnego rozsądnego wyjścia z dylematu, przed jakim stawiła go leczenie Michelle. Postanowił wobec tego ruszyć pełną parą z własnymi badaniami w pełnej nadziei, że zdąży znaleźć remedium na jej chorobę. Zamierzał też postarać się, by zamknięto przetwórnię Recycle Ltd. Stał przed drzwiami laboratorium z zaciśniętymi bezwiednie pięściami. Zawahał się przed

wejściem, powtarzając sobie przyrzeczenie, że będzie kierował się racjonalnymi pobudkami, nie dając się ponieść emocjom. Narzucając sobie opanowanie, otworzył drzwi.

Pogrążona w lekturze protokołu badań nad kanceranem Ellen powoli odłożyła księgę laboratoryjną na biurko. Sposób, w jaki to uczyniła, zwrócił uwagę Charlesa, mimo że myślami błędził gdzie indziej.

- Czy podałaś antygen raka sutka całej grupie myszy? - spytał tonem domagającym się natychmiastowej odpowiedzi.

- Owszem - odpowiedziała Ellen. - Ale...

- Dobrze - przerwał jej, podchodząc do małej tablicy. Starł to, co było na niej napisane, i kawałkiem kredy zaczął szkicować plan testów określających u myszy aktywność limfocytów T, co stanowiło element oceny ich odpowiedzi immunologicznej na wstrzyknięcie antygeny rakowego. Gdy skończył, cała tablica była wypełniona złożonym planem kolejnych badań. - Spróbujemy też czegoś innego - powiedział. - Bez żadnej metody naukowej, ale może dzięki temu uda nam się szybko zorientować. Chcę sporządzić wiele rozmaitych rozcieńczeń antygeny i podać każde innej myszy. Wiem, że nie będzie to miało znaczenia statystycznego, ale to strzał na ślepo. Może się uda. Sprawdź teraz, jak się mają te, którym wczoraj podano antygen, i wstrzyknij im drugą dawkę uczulającą. Ja muszę załatwić parę telefonów.

Charles wytarł kredę o spodnie i sięgnął po słuchawkę.

- Mogę coś teraz powiedzieć? - spytała Ellen, przekrzywiając głowę w geście oznaczającym: „A nie mówiłam?”

- Oczywiście - odparł, nie wypuszczając słuchawki z dłoni.

- Sprawdziłam myszy, które dostały pierwszą dawkę kanceranu. - Urwała.

- I co? - spytał, zastanawiając się, co go czeka.

- Prawie wszystkie zdechły dzisiejszej nocy.

Po twarzy Charlesa przemknęło niedowierzanie.

- Co się stało? - Odłożył słuchawkę.

- Nie wiem - przyznała Ellen. - To kanceran - nie ma innego

wyjaśnienia.

- Sprawdziłaś rozcieńczenie?

- Tak. Było dokładnie takie, jakie trzeba.

- Jakies oznaki, że zdechły z powodu zakażenia?

- Żadnych. Obejrzał je weterynarz - powiedziała Ellen. - Nie robił sekcji, ale uważa, że zginęły z powodu zatrzymania krążenia.

- Cholera, okazał się toksyczny. - Charles potrząsnął głową.

- Obawiam się, że tak.

- Gdzie oryginalny protokół kanceranu? - spytał z rosnącym zatroskaniem.

- Masz go przed sobą na biurku. Właśnie go przeglądałam, kiedy przyszedłeś.

Wziął księgę do ręki i przerzucił część poświęconą badaniom toksyczności. Później wrócił do wstępnego planu doświadczeń, który sporządzili poprzedniego dnia. Porównał cyfry. Kiedy skończył, cisnął protokół i plan na biurko.

- Cholerny sukinsyn! - prychnął.

- Na to wygląda - zgodziła się Ellen.

- Sfalszował również dane dotyczące toksyczności. Kurwa, to znaczy, że cały protokół badań, nad którymi niby siedział dwa lata, jest do dupy. Kanceran jest o wiele bardziej toksyczny, niż wynika z tego, co napisał Brighton. Niezły dowcip! Wiesz, ile Narodowy Instytut Onkologiczny wybulił na doświadczenia nad tym prochem?

- Nie, ale się domyślam.

- Miliony! - Charles uderzył się w czoło.

- Co robimy?

- My? Co oni teraz zrobią? Wszystko trzeba zaczynać od początku, a to oznacza zmarnowanie kolejnych trzech lat.

Charles czuł, jak wszystkie jego postanowienia zachowania niewzruszonego spokoju diabli biorą. Co innego dokończyć badania nad skutecznością kanceranu, a co innego zaczynać cały program od początku. Nie zamierzał się w to wdawać, zwłaszcza że z powodu choroby Michelle potrzebował więcej czasu na własne badania.

- Czuję, że nam zlecą całą tę robotę - powiedziała Ellen.

- Nic mnie to nie obchodzi - uciął. - Z kanceranem koniec. Jeśli Morrison i Ibanez będą nam zawracali głowę, rzucimy im w twarz dowód, że badania nad toksycznością nie są warte papieru, na którym podano ich wyniki. Zagrozimy, że o wszystkim powiadomimy prasę. Przy takim skandalu pewnie nawet Narodowy Instytut Onkologiczny zacznie się zastanawiać, w co ładował forszę.

- Chyba nie pójdzie tak łatwo. Moim zdaniem powinniśmy...

- Dosyć, Ellen! - krzyknął Charles. - Masz sprawdzić działanie antygeny w pierwszej grupie myszy, a potem wstrzyknąć im kolejną dawkę. Co do kanceranu, poradzę sobie z administracją:

Ellen odwróciła się z gniewem. Jak zwykle, Charles posunął się za daleko. Zabrała się do pracy, głośno hałasując szkłem i instrumentami.

Zadzwoił stojący tuż obok Charlesa telefon. Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. Okazało się, że to laborant, z którym widział się zaraz po przyjściu.

- Interesują pana wstępne wyniki? - spytał chemik.

- Słucham - burknął Charles.

- Główne zanieczyszczenie to benzen. Aż kipi od niego. Dochodzą do tego również mniejsze ilości toluenu, trójchloroetylenu i czterochlorku węgla. Obrzydliwość! Właściwie można w tym myć pędzle po farbach olejnych. Pełna analiza będzie gotowa po południu.

Charles podziękował i rozłączył się. Nie był zaskoczony wynikami, cieszył się jednak, że ma dowód w rękę. Mimowolnie stanął mu przed oczyma obraz Michelle. Odpędził go od siebie, chwytając książkę telefoniczną Bostonu i okolic. Znalazł dział poświęcony agendum rządu federalnego i w końcu trafił na listę telefonów Agencji Ochrony Środowiska. Wykręcił numer informacji ogólnej. Głos z taśmy wyrecytował, że agencja czynna jest od dziewiątej do piątej. Nie było jeszcze dziewiątej.

Potem wyszukał w książce telefonicznej numery urzędów Wspólnoty Massachusetts. Chciał się dowiedzieć, czy nad rzeką Pawtomack zdarzyły się inne przypadki zachorowań na białaczkę lub

chłoniaki. Brak jednak było czegoś w rodzaju Rejestracji Nowotworów. W końcu znalazł „Statystykę Ludności”. Gdy zadzwonił pod podany numer, usłyszał to samo, co w Agencji Ochrony Środowiska. Spojrzawszy na zegarek zorientował się, że do otwarcia urzędów pozostaje jeszcze dwadzieścia minut.

Zaczął pomagać Ellen przygotowywać wszystko do zbadania, czy u jakichś myszy, którym wstrzyknięto antygen raka piersi, wystąpiły objawy wzmożonej odpowiedzi immunologicznej. Ellen ostentacyjnie nie odzywała się do niego. Charles czuł, że jest na niego zła, i uważał, że pozwala sobie na zbyt wiele ze względu na ich zażyłość.

Przy pracy puścił wodze fantazji na temat najnowszego podejścia do doświadczeń. Gdyby tak myszy, którym wstrzyknięto antygen rakowy, raptownie odpowiedziały na niego, nabywając wrażliwości łatwej do przekazania innym organizmom za pomocą czynnika przenoszenia? Zarażone myszy udałoby się wówczas wyleczyć z tego właśnie nowotworu. Było to cudownie proste... może aż za proste, pomyślał Charles. Gdyby tylko się udało. Gdyby tylko mógł wszystko przyspieszyć ze względu na Michelle...

Gdy po raz kolejny podniósł wzrok, było dobrze po dziewiątej. Zostawiając boczącą się Ellen, wrócił do biurka i wykręcił numer informacji ogólnej Agencji Ochrony Środowiska. Tym razem telefon odebrała kobieta u bostońskim akcencie, jakby nieco znudzona.

Charle przedstawił się i powiedział, że chce złożyć doniesienie o wylewaniu do rzeki trujących chemikaliów.

Na kobiecie nie wywarło to żadnego wrażenia. Kazała mu poczekać.

W końcu odezwała się inna kobieta, o tak jednak podobnym głosie, że Charles był zaskoczony, gdy poprosiła go, by powtórzył.

- Źle pana połączono - powiedziała. - To Dział Gospodarki Wodnej. Nie zajmujemy się odpadami. Powinien pan to zgłosić w Dziale Odpadów Toksycznych. Chwileczkę.

Znowu czekał; rozległo się kliknięcie, a po nim sygnał zerwania połączenia. Charles cisnął słuchawkę na widełki i sięgnął ponownie po książkę telefoniczną. Znalazł numer Działu Odpadów Toksycznych i

wykręcił go.

Odpowiedział mu kolejny identyczny głos. Można by pomyśleć, że pracowniczki Agencji są klonowane. Powtórzył, z czym dzwoni, dowiedział się jednak, że Dział Odpadów Toksycznych nie zajmuje się naruszeniami prawa, i że powinien zadzwonić do Wycieków Ropy i Substancji Szkodliwych dla Zdrowia. Kobieta podała mu numer i odwiesiła słuchawkę, zanim zdążył zaprotestować.

Wybrał kolejny numer, tak silnie naciskając klawisze, że rozboleły go palce.

Jeszcze jedna! Nie próbując ukryć irytacji, Charles powtórzył, o co mu chodzi.

- Kiedy doszło do wycieku? - spytała kobieta.

- To ciągle wylewanie, nie pojedynczy przypadek.

- Przykro mi, zajmujemy się wyłącznie wyciekami - odpowiedziała.

- Mogę mówić z pani przełożonym? - burknął Charles.

- Chwileczkę - westchnęła.

Zaczął niecierpliwie ocierać twarz palcami. Pocił się obficie.

- Tak, słucham - głos w słuchawce był znowu głosem kobiecym.

- Mam nadzieję, że mnie pani wysłucha - wyrzucił z siebie Charles. -

Dzwonię z doniesieniem, że pewna fabryka regularnie wylewa do rzeki trujący benzen.

- Niestety, nie zajmujemy się takimi sprawami - przerwała mu. - Musi pan zadzwonić do odpowiedniego urzędu stanowego.

- Co? - wybuchnął Charles. - W takim razie czym zajmuje się Agencja?

- Pełnimy funkcję koordynującą - usłyszał w odpowiedzi. - Naszym zadaniem jest zaprowadzenie ładu w środowisku.

- Więc chyba wylewanie trucizny do rzeki powinno was zainteresować.

- Oczywiście - oznajmiła spokojnie jego rozmówczyni - ale dopiero po zbadaniu sprawy przez władze stanowe. Podać panu numer odnośnej instytucji?

- Proszę - odrzekł ze znużeniem Charles. Odkładając słuchawkę,

zauważył, że Ellen wpatruje się w niego bacznie. Spojrzał na nią ponuro i natychmiast wróciła do pracy.

Odczekał, aż w słuchawce rozlegnie się ciągły sygnał, i wykręcił kolejny numer.

- Dobrze - powiedziała kobieta, wysłuchawszy jego sprawy. - O jaką rzekę panu chodzi?

- Pawtomack - powiedział Charles. - Mój Boże, wreszcie dodzwoniłem się tam, gdzie trzeba?

- Owszem - zapewniła go. - A gdzie zlokalizowana jest przetwórnia?

- W Shaftesbury - powiedział Charles.

- Shaftesbury? To w New Hampshire, prawda?

- Zgadza się, ale...

- Nie zajmujemy się sprawami New Hampshire.

- Ale rzeka przepływa głównie przez Massachusetts.

- Możliwe, źródło skażenia znajduje się jednak w New Hampshire.

Musi pan porozmawiać z tamtejszą agencją.

- Boże, daj mi siły - wyszeptał pod nosem Charles.

- Proszę?

- Ma pani ich numer?

- Niestety. Niech pan spróbuje dowiedzieć się w informacji.

Połączenie zostało przerwane.

Charles zadzwonił do informacji telefonicznej stanu New Hampshire i uzyskał numer Urzędu Służb Stanowych. Nie znano telefonu do Kontroli Skazań Wód, ale gdy połączył się z centralą, podano mu właściwy wewnętrzny. Mając wrażenie, że zaczyna powtarzać swą wiadomość jak automatyczna sekretarka, jeszcze raz powiedział, o co mu chodzi.

- Chce pan złożyć to doniesienie anonimowo? - spytała kolejna kobieta.

To pytanie tak go zaskoczyło, że minęła chwila, nim odpowiedział:

- Nie, Nazywam się Charles Martel, jestem lekarzem medycyny, mieszkam w Shaftesbury.

- Dobrze - powiedziała kobieta, najpewniej zapisując podane przez

niego dane. - Gdzie ma miejsce rzeźzone skażenie?

- W Shaftesbury. Chodzi o firmę pod nazwą Recycle Ltd. To przetwórnia odpadów, wylewa do Pawtomacku benzen.

- Dobrze. Dziękuję bardzo.

- Proszę chwilę poczekać! - zawołał Charles. - Co państwo z tym zrobicie?

- Przekażę sprawę jednemu z naszych inżynierów. On to zbada.

- Kiedy?

- Nie mogę powiedzieć na pewno.

- A w przybliżeniu?

- Mamy dużo roboty z wyciekami ropy w Portsmouth, więc zapewne za kilka tygodni.

Nie to spodziewał się usłyszeć Charles.

- Jest tam teraz któryś z inżynierów? - spytał.

- Nie, obydwaj są w terenie. Chwileczkę! Właśnie wrócił jeden z nich. Chce pan z nim porozmawiać?

- Bardzo proszę.

Po krótkiej chwili zwłoki w słuchawce rozległ się męski głos:

- Larry Spencer przy telefonie.

Charles powiedział szybko inżynierowi, dlaczego dzwoni. Zaznaczył, że zależy mu, by ktoś zajął się tą sprawą natychmiast.

- Mamy tu mało ludzi - zastrzegł się inżynier.

- Ale to naprawdę poważna sprawa. Benzen jest trucizną, a nad rzeką mieszka mnóstwo ludzi.

- Wszystkie sprawy są poważne - rzekł inżynier.

- Czy nie dałoby się tego jakoś przyspieszyć? - spytał Charles.

- Właściwie nie. Chociaż mógłby pan zadzwonić do Agencji Ochrony Środowiska i spróbować ich tym zainteresować.

- Tam właśnie zatelefonowałem najpierw. Odesłali mnie do was.

- No proszę! - powiedział inżynier. - Trudno wyczuć, którą sprawę wezmą. Zazwyczaj pomagają dopiero, gdy odwalimy całą brudną robotę, czasami jednak zajmują się czymś od początku. To idiotyczny, nieskuteczny system, ale jedyny, jaki mamy.

Charles podziękował inżynierowi i rozłączył się. Czuł, że mężczyzna był wobec niego szczery, poza tym dał mu przynajmniej nadzieję, że mimo wszystko Agencja może zainteresuje się sprawą. Zauważył kiedyś, że Agencja mieści się w biurowcu imienia Johna Fitzgeralda Kennedy'ego w centrum Bostonu. Nie zamierzał dzwonić Sam więcej; zdecydował się złożyć im wizytę osobiście. Nie mogąc usiedzieć w laboratorium, schwycił płaszcz.

- Niedługo wrócę - zawołał do Ellen.

Nie odpowiedziała. Odczekała dobrą chwilę, zanim po wyjściu Charlesa wyrzała na korytarz. Nigdzie nie było go widać. Wróciła do biurka i zadzwoniła do doktora Morrisona. Nie miała już wątpliwości, że Charles zachowuje się nieodpowiedzialnie, nawet zważywszy chorobę córki; w końcu naraża na stratę pracy nie tylko siebie, ale i ją. Morrison z powagą wysłuchał Ellen, po czym powiedział, że zaraz do niej zejdzie. Nadmienił również, że jej pomoc w tak trudnej sytuacji na pewno nie pozostanie nie doceniona.

Charles opuścił instytut w stanie narastającej wściekłości. Wszystko się sypało, łącznie z jego planarni zemsty. Po wszystkich tych rozmowach telefonicznych nie był już taki pewny, że znajdzie jakiś sposób na przetwórnię, pozostaje mu chyba wyprawić się tam ze swą starą dubeltówką. Bez przerwy nawiedzał go obraz córki na szpitalnym łóżku. Nie miał pojęcia, skąd bierze się jego przekonanie, że chemioterapia w przypadku Michelle zawiedzie. Może w tak szalony sposób podświadomie przygotowywał się na najgorszą ewentualność. Zdawał sobie przecież sprawę, że chemioterapia to jedyna nadzieja.

- Jeśli już musiała zachorować na białaczkę - zawołał, dygoczącymi rękami ściskając kierownicę pinto - to dlaczego nie na limfoblastyczną, przy której chemioterapia jest tak skuteczna!

Nieświadomie zwolnił poniżej czterdziestu mil na godzinę, wywołując wściekłość innych kierowców. Mijając go wśród kakofonii klaksonów, wygrażali mu pięściami.

Utknąwszy jakoś samochód na miejskim parkingu, Charles ruszył pod wysokim ceglany murem oddzielającym geometryczny ratusz od

federalnego biurowca JFK. Budynek działał jak ściany tunelu aerodynamicznego. Charles był zmuszony posuwać się do przodu, schylony przed porywami wiatru. Właśnie wychynęło słabe słońce, już jednak nadciągała z zachodu szara masa chmur. Było 2°C poniżej zera.

Wszedł przez obrotowe drzwi i rozejrzał się w poszukiwaniu tablicy informacyjnej. Po lewej miał wystawę zdjęć Johna F. Kennedy'ego, a na wprost, koło windy, prowizoryczne stoisko, w którym sprzedawano kawę i pączki.

Obsypując go przy tym cienką warstwą cukru pudru, jedna z kelnerek wskazała Charlesowi tablicę informacyjną. Kryła się za rzędem fotografii Kennedy'ego jako uśmiechniętego nastolatka. Okazało się, że biuro Agencji mieści się na dwudziestym trzecim piętrze. Charles wpadł do windy tuż przed zamknięciem się drzwi. Rozglądając się po towarzyszących mu ludziach zdziwił się, dlaczego wszyscy wydawali się wykazywać upodobanie do strojów z zielonego poliestru.

Wysiadł na dwudziestym trzecim piętrze i skierował w stronę drzwi, na których znajdowała się tabliczka z napisem „Dyrektor”. Doszedł do wniosku, że warto zacząć właśnie stąd.

Tuż za drzwiami natknął się na wielkie metalowe biurko i stolik z maszyną do pisania, przy którym siedziała olbrzymia kobieta z trwałą ondulacją w postaci mnóstwa ciasno skręconych loczków.

Z kącika jej ust zawadiacko sterczała wyjątkowo cienka cygaretką w inkrustowanej kamieniem reńskim cygarniczkę; równie zwracający uwagę był jej oszałamiający biust, wystawiający na próbę rozciągliwość materiału sukienki. Poprawiała właśnie loki na skroniach, przeglądając się w niewielkim lusterku.

- Przepraszam - powiedział Charles, zastanawiając się, czy to jedna z kobiet, z którymi rozmawiał przez telefon. - Przyjechałem z doniesieniem, że przetwórnia odpadów wylewa do rzeki benzen. Do kogo mam się z tym zwrócić?

Dalej przyglądając włosy, kobieta przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Czy benzen to substancja szkodliwa? - spytała wreszcie.

- Piekielnie szkodliwa - odparł Charles.

- Chyba powinien pan zejść do Działu Substancji Szkodliwych dla Zdrowia na dziewiętnastym piętrze - powiedziała kobieta takim tonem, jakby chciała dodać „ty durny matole”.

Zszedłszy schodami cztery piętra niżej, Charles znalazł się na dziewiętnastym piętrze, gdzie panowała całkowicie odmienna atmosfera. Usunięto tu wszystkie ściany prócz nośnych, co pozwalało swobodnie spojrzeć z jednego końca budynku w drugi. Całe piętro wypełniały metalowe, sięgające piersi przegrody, tworząc labirynt niewielkich kabin. Wszędzie wisiała mgiełka tytoniowego dymu i słychać było szmer nierozróżnialnych głosów.

Zanurzył się w ten labirynt, zauważając, że poustawiano też słupki, przypominające tabliczki z nazwami ulic, określające kolejne wydziały. Na szczęście Dział Substancji Szkodliwych dla Zdrowia mieścił się blisko schodów; zaczął rozglądać się po kolejnych sekcjach. Minął Sekcję Powietrza, Hałasu, Pesticydów i Promieniowania. Za Sekcją Odpadów Stałych natrafił wreszcie na Sekcję Odpadów Toksycznych.

Skrećiwszy z głównego przejścia, znów znalazł się przed służącym za swego rodzaju barierę biurkiem. Było ono o wiele mniejsze, zajmował je też szczuplejszy Murzyn, który najwyraźniej wkładał mnóstwo wysiłku w próby rozprostowania wijących się włosów. W przeciwieństwie jednak do kobiety cztery piętra wyżej poświęcił mu bez reszty swą uwagę. Ubrany był z drobiazgową elegancją i mówił akcentem niemal brytyjskim.

- Obawiam się, że nie trafił pan do właściwej sekcji - powiedział, wysłuchawszy Charlesa.

- Nie zajmujecie się benzenem?

- I owszem - odpowiedział mężczyzna. - Udzielamy jednak tylko zaświadczeń i licencji na używanie substancji toksycznych.

- Gdzie w takim razie powinienem pańskim zdaniem się zwrócić?

- Hmm - Murzyn potarł starannie wypielegnowaną dłońią czubek nosa. - Wie pan, nie mam najmniejszego pojęcia. Nic takiego dotąd nie wpłynęło. Proszę poczekać, zapytam kogoś.

Lekkim, sprężystym krokiem wyszedł zza biurka, uśmiechnął się do

Charlesa i zniknął w labiryncie przegródek. Przez chwilę dobiegało jeszcze stukanie metalowych podkuć jego półbutów, wyraźnie odróżniające się od dźwięku maszyn do pisania. Charles zaczął się niecierpliwić. Miał coraz natrętniejsze uczucie, że wszystkie jego wysiłki pójdą na marne.

Młody Murzyn w końcu wrócił.

- Nikt nie wie, gdzie powinien się pan z tym zwrócić - przyznał. - Zasugerowano jednak, by spróbował pan w Dziale Gospodarki Wodnej na dwudziestym drugim piętrze. Może oni zdołają w czymś pomóc.

Podziękowawszy mu, doceniając, że okazał przynajmniej dobrą wolę, Charles wrócił na schody. Na dwudziestym pierwszym piętrze musiał wyminąć trójkę chłopaków podających sobie skręta z marihuaną. Wcale się z tym nie kryli.

Dwudzieste drugie piętro stanowiło pomieszczenie zwykłych biur przedzielonych ścianami oraz biurek, odgradzonych od siebie niskimi przegrodami. Przy pobliskiej fontannie z wodą do picia udało mu się uzyskać informacje, jak dotrzeć do Działu Gospodarki Wodnej.

Przy biurku recepcjonistki nie było nikogo. Tłący się papieros wskazywał wprawdzie na to, że powinna być gdzieś w pobliżu, nie pokazała się jednak nawet po dłuższej chwili. Z narastającą złością Charles okrążył biurko i wszedł do wewnętrznych pomieszczeń. W małych oddzielonych kabinach pracownicy zajęci byli pisaniem na maszynie lub odbieraniem telefonów. Charles błąkał się po tym labiryncie, dopóki nie trafił na urzędnika dźwigającego stos publikacji rządu federalnego.

- Przepraszam - zaczepił mężczyznę.

Tamten opuścił na biurko plik broszur i skinął mu głową. Charles raz jeszcze wyrecytował, o co mu chodzi. Wysłuchawszy go, mężczyzna w zamyśleniu wyrównał stertę broszur, po czym powiedział:

- O tego rodzaju sprawach powinien pan złożyć doniesienie w innym dziale.

- Jezu Chryste! - wybuchnął Charles. - To Dział Gospodarki Wodnej. Chcę donieść o skażeniu wód.

- No, proszę się na mnie nie wściekać - zaczął się bronić urzędnik. - Zajmujemy się wyłącznie nadzorem ujęć wodnych i oczyszczalni ścieków.

- Przykro mi - powiedział Charles bez cienia współczucia. - Nie ma pan pojęcia, jakie to wszystko denerwujące. Chcę złożyć prostą skargę, wiadomo mi o fabryce, która wylewa benzen do rzeki.

- Może powinien pan spróbować w Dziale Substancji Szkodliwych dla Zdrowia - zasugerował mężczyzna.

- Już tam byłem.

- Och - mężczyzna znów się zamyślił. - To może w Dziale Sankcji na dwudziestym trzecim piętrze?

Charles przez chwilę wpatrywał się w niego, oniemiały.

- Dział Sankcji? - powtórzył jak echo. - Dlaczego mi nikt o tym wcześniej nie powiedział?

- Nie mam pojęcia - powiedział urzędnik.

Wspinając się po schodach, Charles mruzczał pod nosem przekleństwa. Na dwudziestym trzecim piętrze minął Dział Planowania Finansowego, Dział Kadr, Dział Planistyki i Dział Rozwoju. Dział Sankcji znajdował się za męską toaletą. Charles wszedł do środka.

Czarna dziewczyna w wielkich okularach o purpurowym odcieniu podniosła wzrok znad najnowszej powieści Sidneya Sheldona. Musiała właśnie być w ciekawym miejscu, ponieważ nie kryła irytacji, że jej przerwano.

Charles wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała.

- Z kim mógłbym o tym porozmawiać?

- Nie wiem.

Nie zwracając na niego więcej uwagi, zatopiła się ponownie w lekturze. Charles wsparł się lewą dłonią o biurko, a prawą wyrwał dziewczynie książkę z ręki. Walnął nią o blat tak silnie, że urzędniczka odskoczyła.

- Przepraszam, że przeszkadzam - warknął. - Chciałbym jednak rozmawiać z pani przełożonym.

- Panną Stevens? - spytała, niepewna, do czego jeszcze klient może się posunąć.

- Może być panna Stevens.

- Nie ma jej dzisiaj.

Charles zabębnił palcami po biurku, opierając się chęci potrząśnięcia dziewczyną.

- No dobrze - powiedział. - A jej zastępca?

- Pani Amendola? - podsunęła Murzynka.

- Nie obchodzi mnie, jak się nazywa.

Nie spuszcżając z Charlesa zalęknionego spojrzenia, dziewczyna wstała i zniknęła za drzwiami. Pięć minut później pojawiła się w towarzystwie zatroskanej kobiety w wieku około trzydziestu pięciu lat.

- Nazywam się Amendola, jestem tu zastępcą kierownika. Słucham pana.

- Mam nadzieję, że mnie pani wysłucha - rzekł zgryźliwie Charles. - Jestem doktor Charles Martel. Usiłuję złożyć doniesienie o wylewaniu do rzeki trującego benzenu przez pewną fabrykę. Odsyłano mnie od wydziału do wydziału, dopóki nie podsunęto mi, bym spróbował w Dziale Sankcji. Recepcjonistka okazała się jednak, delikatnie mówiąc, nieskora do współpracy, musiałem więc domagać się rozmowy z szefem.

- Powiedziałam mu, że nic nie wiem o wylewaniu odpadów - wyjaśniła dziewczyna.

Pani Amendola zastanawiała się przez chwilę, po czym poprosiła Charlesa, by poszedł za nią.

Minąwszy z tuzin odgrodzonych biurek weszli do miniaturowego biura bez okien, obwieszzonego plakatami biur podróży. Pani Amendola wskazała Charlesowi klubowy fotel, a sama wcisnęła się za biurko.

- Musi pan zrozumieć - powiedziała - że zazwyczaj nie trafia do nas nikt z ulicy z podobnymi skargami. Oczywiście, to nie tłumaczy nieuprzejmości.

- Czym w takim razie, u diabła, się państwo zajmujecie, jeśli nie sankcjami za zatrucie środowiska? - spytał Charles z wrogością. Miał

wrażenie, że zaraz zostanie ponownie odesłany do innego działu.

- Naszym głównym zadaniem jest sprawdzanie, czy wszystkie fabryki wykorzystujące szkodliwe dla środowiska substancje otrzymały właściwe pozwolenia i licencje - wyjaśniła pani Amendola. - Prawo wymaga takich pozwoleń, a my jesteśmy od tego, żeby go przestrzegano. Czasami musimy nie respektując przepisów firmy pozywać przed sąd.

Charles opuścił głowę i pomasaował palcami potylicę. Ta kobieta najwyraźniej nie dostrzegła całego absurdu, który próbowała mu wytłumaczyć.

- Nic panu nie jest? - pani Amendola nachyliła się w fotelu.

- Pozwoli pani, że upewnię się, czy dobrze panią zrozumiałem - powiedział Charles. - Naczelnym zadaniem Działu Sankcji Agencji Ochrony Środowiska jest dopilnowanie, by wszystkie papiery były w porządku, czy tak? Nie ma to nic wspólnego z kontrolą przestrzegania ustawy o ochronie czystości wód ani niczym podobnym?

- To niezupełnie prawda - sprostowała pani Amendola. - Proszę pamiętać, że troska o środowisko to względnie nowa dziedzina działalności rządu. Przepisy dopiero powstają. Pierwszym etapem jest zarejestrowanie wszystkich użytkowników szkodliwych substancji i poinformowanie ich o przepisach. Wtedy i tylko wtedy będziemy mogli wszczynać postępowanie wobec tych, którzy je naruszają.

- Więc na razie pozbawione skrupułów fabryki mogą robić, co im się żywnie podoba?

- To również niezupełnie prawda. W skład naszego laboratorium analitycznego wchodzi sekcja nadzoru. Obecna administracja znacznie obcięła fundusze na naszą działalność i sekcja jest niewielka, lecz właśnie tam powinien pan zwrócić się ze swoją skargą. Po udokumentowaniu naruszenia przepisów przełożą nam sprawę, a my wyznaczymy do jej prowadzenia jednego z prawników Agencji. Jak się nazywa ta firma?

- Przetwórnia Recycle Ltd w Shaftesbury.

- Może sprawdzimy ich zezwolenia? - zaproponowała pani

Amendola, podnosząc się zza biurka.

Charles wyszedł za nią na długi korytarz. Zatrzymała się przy drzwiach pancernych i wsunęła w szczelinę plastikową kartę.

- Jesteśmy podłączeni do bardzo nowoczesnego systemu przetwarzania danych - rzekła, przytrzymując przed Charlesem otwarte drzwi. - Dlatego musieliśmy wzmocnić środki bezpieczeństwa.

Powietrze było tu chłodniejsze i czystsze, bez dymu papierosów. Najwidoczniej sprawne funkcjonowanie komputera było ważniejsze od zdrowia Pracowników. Pani Amendola usiadła przed wolnym terminalem i wystukała:

RECYCLE LTD, SHAFTESBURY, N.H. Po dziesięciosekundowej zwłoce zaświeciła się katoda monitora. Pojawił się na nim zredagowany komputerową stenografa opis firmy Recycle Ltd, włącznie z informacją, że jej firmą macierzystą była korporacja Breur Chemicals z New Jersey. Po tym następowała lista wszystkich szkodliwych substancji, których używano w produkcji, daty złożenia podań o przyznanie licencji i pozwoleń na ich stosowanie oraz daty wystawienia takich zezwoleń.

- Jakie chemikalia pana interesują? - spytała pani Amendola.

- W zasadzie tylko benzen.

- O, proszę, tutaj. Sklasyfikowany w Agencji na liście substancji niebezpiecznych pod numerem U019. Wydaje się, że wszystko w porządku. Wygląda na to, że nie łamią żadnego prawa.

- Ale wywalają benzen prosto do rzeki! - wykrzyknął Charles. - Wiem, że to sprzeczne z prawem.

Pozostałe osoby znajdujące się w sali komputerowej podniosły głowy, zaskoczone jego wybuchem. Porozumiewanie się nabożnym szeptem było tu niepisaną regułą.

Charles ściszył głos.

- Możemy wrócić do pani gabinetu?

Pani Amendola skinęła głową.

Gdy znaleźli się z powrotem w pokoiku, Charles przysiadł na skraju fotela.

- Zreferuję pani wszystko, ponieważ sądzę, że mogłaby mi pani

pomóc. - I opowiedział jej o białaczce Michelle, śmierci Tada Schonhausera z powodu anemii aplastycznej, o tym, jak odkrył i potwierdził fakt, że przetwórnia wylewa benzen do rzeki oraz o swej wizycie w Recycle Ltd.

- Mój Boże! - powiedziała tylko, gdy skończył.

- Ma pani dzieci? - spytał Charles.

- Tak! - W jej głosie słychać było nieskrywany lęk.

- Więc pewnie jest pani w stanie zrozumieć, co się ze mną dzieje - rzekł Charles. - Może też rozumie pani, dlaczego chcę coś zrobić w sprawie Recycle Ltd. Wiem, że nad Pawtomackiem mieszka mnóstwo dzieci. Potrzebna mi jednak pomoc.

- Chce pan, żebym spróbowała wciągnąć w to Agencję - powiedziała pani Amendola. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Właśnie - rzekł Charles. - Albo niech mi pani powie, jak tego dokonać.

- Najlepiej będzie, jeśli przedstawi pan swoją skargę na piśmie. Niech pan ją przyśle na moje ręce.

- To proste - rzekł Charles.

- Uda się panu zdobyć jakieś niezbite dowody?

- Dysponuję już analizą wody ze stawu.

- Och, nie - odrzekła pani Amendola. - Coś z samej przetwórni: oświadczenie byłego pracownika, sfalszowane dokumenty, zdjęcia samego wylewania benzenu do rzeki, coś takiego.

- Myślę, że to jest do zdobycia - powiedział Charles, zastanawiając się nad ostatnią sugestią. Miał aparat typu polaroid...

- Gdyby dostarczył mi pan jakieś dowody, pewnie udałoby mi się namówić Dział Nadzoru, by to potwierdził. Wtedy mielibyśmy prawo wystąpić z dochodzeniem. Wszystko zależy od pana, inaczej sprawa będzie musiała zaczekać na swoją kolejkę.

Opuszczając biurowiec, Charles walczył z powracającą falą przygnębienia. Nie był już przekonany, czy zdoła skłonić jakąkolwiek agendę rządową do zajęcia się działalnością Recycle Ltd. Myśl, by wobec tego wziąć sprawę we własne ręce, stawała się coraz bardziej

pociągająca.

Im dłużej rozmyślał o Breur Chemicals, tym większy ogarniał go gniew, że garstka nadętych biznesmenów, wysiadujących w wykładanych dębową boazerią gabinetach i salach konferencyjnych w New Jersey mogła zniszczyć jego szczęście i odebrać mu to, co najbardziej kochał. Dojeżdżając do instytutu postanowił, że dodzwoni się do firmy macierzystej i powie im, co o nich myśli.

Ponieważ skandal z Brightonem przeniknął już do środków masowego przekazu, w Instytucie Weinburgera wzmocniono ochronę i Charles musiał dobijać się do masywnych szklanych drzwi, by je otwarto. Przywitał go Roy, strażnik, i zażądał okazania dowodu tożsamości.

- To ja, Roy - powiedział Charles, machając dłonią przed twarzą strażnika. - Znasz mnie przecież.

- Taki rozkaz - odparł Roy, nie opuszczając wyciągniętej dłoni.

- Biurokratyczne bzdury - wymamrotał Charles, szukając przepustki. - Co będzie dalej?

Roy wzruszył ramionami, zczekał, aż Charles podsunie mu pod sam nos swą kartę, po czym ceremonialnie odsunął się na bok. Nawet panna Andrews odwróciła głowę, nie racząc posłać mu swego zwykłego, lekko kokieterijnego uśmiechu.

Charles powiesił płaszcz, zadzwonił do informacji telefonicznej stanu New Jersey, po czym wykręcił numer Breur Chemicals. Czekając na połączenie, rozejrzał się po laboratorium; zastanawiał się, czy Ellen jeszcze się boczy. Nie dostrzegł jej, pomyślał więc, że jest w zwierzętami. W tej samej chwili ktoś odezwał się w słuchawce.

Później Charles przyznawał się przed sobą, że nie trzeba było dzwonić. Doświadczenia tego poranka powinny go były nauczyć, jak może się skończyć próba nagabywania olbrzymiej korporacji w sprawie, którą uznają niewątpliwie za kłopotliwą. Charlesa połączono z jakimś pionkiem biura prasowego.

Zamiast starać się go ułagodzić, urzędas oskarżył Charlesa, że jest jednym z pozbawionych patriotyzmu psychopatów, którzy swoim

głupim i bezzasadnym gładzeniem o ochronie środowiska doprowadzili amerykański przemysł do sytuacji, w której przegrywa z zagranicznymi firmami. Rozmowa przerodziła się w końcu w pyskówkę; Charles krzyczał, że przetwórnia wylewa benzen, a urzędnik równie gwałtownie zaprzeczał.

Rzucając słuchawkę na widełki, Charles rozejrzał się po laboratorium w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby wyładować gniew. W tej właśnie chwili weszła Ellen.

- Zauważyłeś? - spytała z irytującą nonszalancją.

- Co? - warknął Charles.

- Zniknęły wszystkie księgi laboratoryjne:

Charles zerwał się na równe nogi i zaczął przeszukiwać biurko i blaty stołów laboratoryjnych.

- To nie ma sensu - powiedziała Ellen. - Są na górze.

- Po cholere?

- Po twoim wyjściu wpadł Morrison dowiedzieć się, jakie postępy robimy w pracy nad kanceranem. Złapał mnie na sprawdzaniu myszy, którym wstrzyknęliśmy antygen nowotworowy. Nie muszę ci mówić, jak zareagował widząc, że ciągniemy nasze badania. Mam ci przekazać, żebyś zaraz poszedł do Ibaneza.

- Ale dlaczego zabrali księgi? - zapytał Charles.

Obawa wzięła górę nad wściekłością. Przy całej swej nienawiści do administracji bał się jej. Zaczęło się to jeszcze na studiach, gdy zrozumiał, że arbitralna decyzja dziekanatu może zmienić całe jego życie. Teraz zaś w jego pracę wtrąciła się administracja instytutu, zabierając księgi laboratoryjne, tak jakby wzięła zakładników. Dla niego ich zawartość nierozdzielnie łączyła się z wyleczeniem Michelle, choć zdawał sobie sprawę, że szansa na to jest w rzeczywistości znikoma.

- O to powinieneś zapytać Ibaneza i Morrisona - rzekła Ellen. - Szczerze mówiąc, czegoś podobnego się spodziewałam.

Westchnęła i potrząsnęła głową w wymownym geście: „A nie mówiłam?”. Zaskoczony Charles utkwiał w niej wzrok. Czuł się coraz bardziej osamotniony.

Wyszedł z laboratorium, znużony wspiał się po schodach przeciwpożarowych na pierwsze piętro, minął znajomy rząd sekretarek i stanął przed panną Veronicą Evans po raz drugi w ciągu dwóch dni. Choć najwyraźniej nie była niczym zajęta, kazała mu czekać długą chwilę, zanim spojrzała na niego znad okularów.

- Tak? - spytała, jak gdyby był służącym. Potem poleciła mu zaczekać na małej skórzanej kanapce. Nie miał wątpliwości, że wszystko to ma mu uświadomić, jak niewiele znaczy. Czas się włókł, a Charles nie mógł zdecydować, jakie uczucie bierze w nim górę: gniew, lęk czy panika. Na miejscu trzymała go jednak konieczność odzyskania ksiąg laboratoryjnych. Nie miał pojęcia, czy formalnie rzecz biorąc były własnością jego czy instytutu.

Im dłużej siedział, tym bardziej słabła pewność, że księgi z wynikami jego ostatnich doświadczeń stanowią silną kartę przetargową. Zaczynał się zastanawiać, czy Ibanez jest rzeczywiście gotów wyrzucić go z pracy. Usiłował sobie wyobrazić, co mógłby robić, gdyby miał kłopoty z dalszym prowadzeniem prac naukowych. Czuł, że za bardzo odszedł od medycyny klinicznej, by do niej powrócić. Z narastającą paniką rozmyślał również, czy w przypadku wyrzucenia z pracy zachowałaby ważność polisa ubezpieczeniowa. Była to poważna sprawa, koszty leczenia Michelle niewątpliwie okazały się bowiem astronomiczne.

Rozległ się stłumiony brzęczyk interkomu na biurku sekretarki. Panna Evans odwróciła się z władczą miną w stronę Charlesa i oznajmiła:

- Dyrektor przyjmie pana teraz.

Gdy wszedł do gabinetu, doktor Ibanez wstał zza antycznego biurka. Jego sylwetka podświetlona była z tyłu z okna, przez co włosy i kozia bródka lśniły jak wypolerowane srebro.

Po drugiej stronie biurka siedzieli Joshua Weinburger senior i Joshua Weinburger junior, których Charlesowi zdarzało się spotykać w czasie wypełniania obowiązków towarzyskich. Weinburger senior, choć zbliżał się do osiemdziesiątki, wydawał się bardziej rzeński niż syn.

Utkwił w Charlesie bystre niebieskie oczy z nie ukrywanym zainteresowaniem.

Joshua Weinburger junior stanowił typowy okaz człowieka interesów, nieskazitelnie ubrany i zachowujący najwyraźniej krańcową rezerwę. Spojrzał na Charlesa z mieszaniną pogardy i znudzenia, prawie natychmiast przenosząc z powrotem wzrok na Ibaneza.

Po prawej stronie biurka siedział doktor Morrison w stroju, będącym zwierciadlanym odbiciem ubrania Weinburgera juniora pod względem dbałości o drobiazgi. Z kieszeni garnituru wystawała starannie złożona, a następnie lekko rozsunięta jedwabna chusteczka.

- Prosimy, prosimy! - zachęcał dobrodusznie doktor Ibanez.

Charles zbliżył się do wielkiego biurka, zauważając prowokacyjny brak piątego fotela. Przystanął w końcu między Weinburgerami i Morrisonem. Nie wiedział, co począć z dłońmi, wetknął je więc w kieszenie. Wyglądał nie na miejscu wśród tych biznesmenów w swej wystrzępionej płóciennej koszuli, szerokim niemodnym krawacie i marnie wyprasowanych spodniach.

- Myślę, że powinniśmy od razu przejść do rzeczy - powiedział Ibanez. - Panowie Weinburgerowie, jako współprezesi rady dyrektorów, byli tak uprzejmi, by tu przyjść i pomóc nam znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji.

- Istotnie - Weinburger junior odwrócił się nieznacznie w fotelu, by spojrzeć na Charlesa. Jego głowa lekko drżała, wykonując lekkie półkoliste ruchy tam i z powrotem. - Panie doktorze, rada nie ma zwyczaju ingerować w twórczy proces badań. Jednakże bywają wyjątkowe okoliczności, w których jesteśmy zmuszeni pogwałcić tę zasadę, a obecna sytuacja właśnie do takich się zalicza. Sądzę, że powinien pan wiedzieć, że kanceran jest dla firmy Lesley Pharmaceuticals potencjalnie ważnym lekiem. Stawiając sprawę bardzo otwarcie, Lesley Pharmaceuticals znajduje się w nie najlepszej sytuacji finansowej. W ciągu kilku ostatnich lat wygasły ich patenty na produkcję antybiotyków i środków uspokajających. Firma musi koniecznie wypuścić na rynek nowy lek. Swe skromne zasoby

finansowe ulokowała w badaniach nad cytostatykami. Efektem tych badań jest kanceran. Firma ma wyłączność na prawa patentowe tego leku, musi go jednak wypuścić na rynek, a im szybciej, tym lepiej.

Charles popatrzył badawczo na zgromadzonych. Najwidoczniej nie zamierzano się go pozbyć od ręki. Chciano go zmiękczyć, uświadomić mu finansowe aspekty sprawy, po czym spróbować przekonać do rozpoczęcia od nowa badań nad kanceranem. Zaczął dostrzegać przebłyski nadziei. Niepodobna, by Weinburgerowie osiągnęli swoją obecną pozycję bez pewnej dozy inteligencji. Zaczął formułować w myślach argumenty, mające ich przekonać, że kanceran to zła inwestycja, że lek jest toksyczny i prawdopodobnie nigdy nie wejdzie na rynek.

- Wiemy już, że odkrył pan toksyczność kanceranu - rzekł doktor Ibanez, pyknawszy z cygara i nieświadomie rozdrażniając tym Charlesa. - Zdajemy sobie sprawę, że szacunki doktora Brightona były niezupełnie dokładne.

- Bardzo łagodnie powiedziane - rzekł Charles, z przerażeniem zdając sobie sprawę, że wyrwano mu z ręki atutową kartę. - Najwyraźniej wszystkie dane dotyczące badań Brightona nad kanceranem zostały sfalszowane. - Kątem oka obserwował Weinburgerów. Spodziewał się jakiegokolwiek reakcji, nie dostrzegł jednak żadnej.

- Fatalnie - przyznał Ibanez. - Trzeba ratować, co tylko się da, iść dalej.

- Ale według mojej oceny lek jest wyjątkowo toksyczny - powiedział Charles z desperacją. - W rzeczywistości tak toksyczny, że trzeba by go pewnie podawać w homeopatycznych dawkach.

- To nie nasze zmartwienie - odezwał się Joshua Weinburger junior. - Niech sobie tym łamią głowę spece od marketingu, a tych Lesley Pharmaceuticals ma akurat świetnych. Zdołaliby sprzedać lód Eskimosom.

Charles osłupiał. Nikt nawet nie zadawał sobie trudu stwarzania choćby pozorów skrupułów etycznych. To, czy lek będzie skuteczny,

nie miało żadnego znaczenia. Liczyły się tylko interesy - wielkie interesy.

- Charles! - po raz pierwszy odezwał się Morrison. - Chcemy, żebyś prowadził badania nad skutecznością i toksycznością równocześnie.

Charles zmierzył go wzrokiem.

- Tego rodzaju podejście zredukuje indukcyjną metodę badań do czysto empirycznej.

- Nazwa nas nie interesuje - uśmiechnął się doktor Ibanez. - Chcemy tylko wiedzieć, czy to wykonalne.

Roześmiał się również Joshua Weinburger senior. Lubił przebojowych ludzi i jasne stawianie spraw.

- Nie obchodzi nas również, ile zwierząt laboratoryjnych zostanie wykorzystanych - dodał szczerze Morrison.

- Zgadza się - przyznał Ibanez. - Jednakże zalecalibyśmy użycie myszy, ponieważ są względnie tanie. Może ich pan użyć tyle, ile tylko chce. Sugerujemy przeprowadzenie badań skuteczności przy bardzo szerokim spektrum dawek. Po zakończeniu doświadczeń, metodą ekstrapolacji będzie można oznaczyć nowe wartości dawek toksycznych i podstawić je w miejsce tych sfalszowanych przez doktora Brightona. Rozwiązanie proste, a pozwoli nam zaoszczędzić mnóstwo czasu! Co pan na to, Charles?

- Nim pan odpowie - wtrącił się Morrison - poczytuję sobie za obowiązek ostrzec pana, że jeśli pan odmówi, w najlepszym interesie instytutu będzie zwolnienie pana i poszukanie kogoś, kto poświęci kanceranowi tyle uwagi, na ile zasługuje.

Charles powiódł wzrokiem po twarzach obecnych. Zniknęły jego lęk i panika, pozostały gniew i pogarda.

- Gdzie są moje książki laboratoryjne? - spytał znużonym głosem.

- Są bezpiecznie schowane w sejfie - odparł Ibanez. - Stanowią własność instytutu, ale dostanie je pan natychmiast po zakończeniu badań nad kanceranem. Widzi pan, doktorze, chcemy, żeby skupił się pan tylko na nich; naszym zdaniem własne badania byłyby dla pana zbyt wielką pokusą.

- Bezwzględnie najważniejszy jest tu czas - dodał Joshua Weinburger junior. - Może dodatkową zachętą będzie dla pana to, że jeśli skończy pan badania wstępne w ciągu pięciu miesięcy, otrzyma pan premie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

- Rzekłbym, że to bardzo szczodra oferta - powiedział Ibanez. - Nie musi pan jednak podejmować decyzji natychmiast. Postanowiliśmy wspólnie dać panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Nie powinien się pan czuć zmuszany do czegośkolwiek. Chciałbym tylko zaznaczyć, że już zaczęliśmy się rozglądać za kimś, kto mógłby pana zastąpić. A więc do zobaczenia.

Charles, pełen niesmaku, obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Już wychodził, gdy doktor Ibanez zawołał za nim:

- Jeszcze jedno: rada dyrektorów i administracja pragnie wyrazić panu współczucie z powodu choroby córki! Mamy nadzieję, że szybko dojdzie do zdrowia. Aha, ubezpieczenie zdrowotne ważne jest tylko dla pracowników. Do widzenia, panie doktorze.

Charles miał ochotę krzyknąć. Zamiast tego przebiegł przez skrzydło administracyjne i zbiegł po schodach do swojego gabinetu. Nawet tam nie znalazł jednak spokoju. Po raz pierwszy miał poczucie, że praca w Instytucie Weinburgera nie przynosi wcale zaszczytu. Był wściekły, że w ogóle wiedzieli o Michelle. Na domiar wszystkiego wykorzystano jej chorobę jako środek nacisku. Oburzające!

Rozejrzał się po laboratorium - przez ostatnie osiem lat to był jego dom. Miał wrażenie, że zna tu każde naczynie, każdy instrument, każdą butelkę z odczynnikami. Wyrwanie go z tego otoczenia za sprawą kaprysu wydawało się niesprawiedliwością - zwłaszcza teraz, gdy badania szły mu wyśmienicie.

Jego wzrok spoczął na pożywce, w której inkubowały się komórki białaczkowe Michelle. Z wielkim wysiłkiem podszedł do inkubatora, przypatrując się rzędowi starannie poustawianych szklanych probówek. Inkubacja zdawała się postępować bez przeszkód, co dało Charlesowi uczucie satysfakcji. Wyglądało na to, że izolowanie i oczyszczanie antygeny nowotworowego idzie równie dobrze u człowieka, jak u

zwierząt. Był już czas na następny krok, podwinął więc rękawy i wetknął krawat za koszulę. Praca pozwalała mu zapomnieć o wszystkim innym. Miał w końcu dwadzieścia cztery godziny, zanim będzie musiał ugiąć się przed wolą administracji. Choć nie chciał się do tego przyznać przed sobą, wiedział, że się ugnie ze względu na Michelle. Naprawdę nie miał wyboru.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wracając ze szpitala Bech Israel, gdzie odwiedziła Marge Schonhauser, Cathryn miała poczucie, że znajduje się u kresu wytrzymałości. Domyślała się, że z Marge musi być źle, inaczej nie umieściliby jej przecież w szpitalu, nie była jednak przygotowana na to, co zastała. Najwidoczniej po śmierci Tada w Marge pękła jakaś istotna nić, przestała bowiem reagować na otoczenie, odmawiając nawet jedzenia i snu. Cathryn siedziała koło niej w milczeniu, aż wreszcie nie mogąc tego znieść, uciekła. Miała wrażenie, że depresja Marge jest zaraźliwa. Wróciła do Kliniki Pediatrycznej, porzucając ofiarę jednej tragedii, by jako bierny świadek uczestniczyć w początkach kolejnej.

Wjeżdżając zatłoczoną windą na oddział szósty, zastanawiała się, czy jej lub nawet Charlesowi mogło przytrafić się to samo co Marge. Wydawałoby się, że jako lekarzowi łatwiej mu będzie stawić czoła rzeczywistości, lecz jego zachowanie bynajmniej nie napawało otuchą. Walcząc z lękiem, jaki budziły w niej choroba i szpitale, starała się przygotować na najgorsze.

Winda dotarła na to piętro skrzydła imienia Andersona, na którym mieścił się oddział szósty. Cathryn przyszło przedzierać się przez tłumek, by wysiąść przed zamknięciem się drzwi. Pragnęła jak najszybciej wrócić do Michelle, ponieważ dziewczynka nie chciała w ogóle pozwolić jej odejść. Wyrwała się, obiecawszy, że będzie z powrotem za pół godziny. Tymczasem upłynęła jednak prawie cała

godzina.

Po wyjściu Charlesa Michelle wtuliła się w jej ramiona, upierając się, że ojciec się na nią gniewa. Mimo wysiłków nie udało jej się przekonać Michelle, że jest inaczej. Cathryn pchnęła drzwi, mając nadzieję, że zastanie ją drzemiącą. Z początku pomyślała, że tak jest istotnie, gdyż mała leżała bez ruchu. Po chwili zauważyła jednak, że Michelle zrzuciła z siebie przykrycie i na poły ześliznęła się z łóżka z podkuloną pod siebie nogą. Już od drzwi widać było, że jej klatka piersiowa unosi się gwałtownie, twarz jest przeraźliwie blada, a wargi zsiniałe.

Cathryn przypadła do łóżka i chwyciła dziewczynkę za ramiona.

- Michelle! - potrząsnęła nią. - Co się dzieje?!

Michelle poruszyła ustami, jej powieki zatrzepotały, pokazały się jednak tylko białkówki; gałki oczne były zwrócone w górę.

- Pomocy! - krzyknęła Cathryn, wypadając na korytarz. - Pomocy!

Z dyżurki wybiegła starsza pielęgniarka, za nią podążyła inna, z sali sąsiadującej z izolatką Michelle wyłoniła się jeszcze jedna. Wszystkie trzy wpadły równocześnie do pokoju, przeciskając się koło znieruchomiałej z paniki Cathryn. Dwie podeszły do łóżka, trzecia stanęła w nogach.

- Wezwij reanimację - rzuciła starsza pielęgniarka.

Ta stojąca w nogach łóżka podbiegła do interkomu na ścianie i przekazała polecenie do dyżurki.

Tymczasem jej koleżanka wyczuła szybkie, nitkowate tętno.

- Wygląda na częstoskurcz - powiedziała. - Bije tak szybko, że trudno wyczuć kolejne uderzenia.

- Rzeczywiście - przyznała trzecia, zakładając Michelle na ramię mankiet ciśnieniomierza.

Popatrzyły na siebie.

- Oddycha, ale ma sinicę. Mam zastosować sztuczne oddychanie?

- Nie wiem. Może dzięki temu sinica ustąpi.

Jedna z nich wyprostowała nogę Michelle, podczas gdy druga pochyliła się, przyłożyła usta do ust dziewczynki i ścisnęła palcami jej nozdrza.

- Nie mogę oznaczyć ciśnienia - powiedziała trzecia pielęgniarka. - Jakies sześćdziesiąt na czterdzieści, ale ciągle się zmienia.

Jej koleżanka ciągle stosowała Michelle sztuczne oddychanie, ale spazmatyczny oddech pacjentki nie ułatwiał zadania. Wyprostowała się.

- Chyba bardziej jej utrudniam niż pomagam - rzekła. - Na razie się wstrzymam.

Cathryn nie odrywała się od ściany, sparaliżowana rozgrywającą się przed nią sceną. Bała się ruszyć, by w czymś nie przeszkodzić. Nie miała pojęcia, co się dzieje, choć bez wątplenia było to coś strasznego. Gdzie był Charles?!

Jako pierwsza z lekarzy pojawiła się młoda kobieta. Wpadła do pokoju z takim rozpędem, że musiała się przytrzymać framugi drzwi, by nie pośliznąć się na wypolerowanej winylowej posadzce. Podbiegła prosto do łóżka Michelle i chwyciła ją za nadgarstek, by wymacać puls.

- To chyba częstoskurcz komorowy - powiedziała starsza pielęgniarka. - Ma białaczkę mieloblastyczna. Druga doba próby osiągnięcia remisji.

- Miała przedtem jakieś kłopoty kardiologiczne? - spytała lekarka, nachylając się nad Michelle i unosząc jej powieki. - Przynajmniej gałki oczne wróciły do normalnej pozycji.

Pielęgniarki spojrzały po sobie.

- Chyba nie. W karcie nic o tym nie ma - powiedziała jedna.

- Ciśnienie? - spytała lekarka.

- Przed chwilą sześćdziesiąt na czterdzieści, ale waha się - powiedziała druga z pielęgniarek.

- Częstoskurcz komorowy - orzekła lekarka. - Proszę się odsunąć. Zaciśnęła dłoń w pięść i uderzyła nią w szczupłą pierś Michelle. Głuchy odgłos sprawił, że Cathryn zaciśnęła powieki.

Do izolatki wszedł wyglądający bardzo młodo lekarz - starszy asystent, a za nim dwaj inni, pchający wózek wypełniony najrozmaitszym sprzętem medycznym i aparaturą elektroniczną.

Lekarka w skrócie objaśniła stan Michelle, podczas gdy pielęgniarki w pośpiechu przyczepiały Michelle odprowadzenia elektrokardiografu

do stóp i nadgarstków.

Starsza pielęgniarka nachyliła się do koleżanki i poleciła jej wezwać doktora Keitzmana.

Urządzenie na wózku zaczęło wypluwać z siebie nie kończącą się wąską wstęgę papieru milimetrowego, na którym Cathryn dostrzegła czerwone zygzaki zapisu EKG. Lekarze stłoczyli się przy aparacie, na chwilę zapominając o Michelle.

- Zgadza się, częstoskurcz - powiedział starszy asystent. - Przyspieszony oddech i sinica wskazują na to, że jest hemodynamicznie niewydolna. Co to znaczy, George?

Zaskoczony asystent podniósł wzrok.

- To znaczy, że powinniśmy natychmiast zastosować u niej kardiowersję... tak mi się wydaje.

- Dobrze ci się wydaje - potwierdził starszy asystent. - Dajmy jej jednak trochę lidokainy. Dzieciak waży jakieś pięćdziesiąt kilogramów, zgadza się?

- Trochę mniej - powiedziała lekarka.

- Dobrze, pięćdziesiąt miligramów lidokainy. Proszę też nabrać do strzykawki miligram atropiny na wypadek, gdyby dostała bradykardii.

Ekipa sprawnie zabrała się do roboty: jeden z asystentów napełniał strzykawki, drugi ujął szpatuły elektrod, a trzeci pomógł podnieść Michelle. Jedna z elektrod powędrowała pod jej plecy, druga została przyłożona do piersi.

- No dobrze, odsuńcie się - powiedział starszy asystent. - Zaczniemy od pięćdziesięciu dżuli; pamiętajcie, impuls jest tak zaprogramowany, żeby przypadł na załamek R. Jedziemy.

Nacisnął guzik na jednej z elektrod i po chwili ciało Michelle wyprężyło się. Jej stopy i ręce zatrzepotały nad brzegami łóżka. Cathryn przypatrywała się ze zgrozą pochylonym nad urządzeniem lekarzom, nie zważającym na konwulsje Michelle. Dostrzegła, że dziewczynka

otwiera oczy, wodzi wokół siebie niezbyt przytomnym wzrokiem i unosi głowę. Barwa jej twarzy szybko wracała do normy.

- Nieźle! - wykrzyknął starszy asystent, spoglądając na wysuwającą się z aparatu wstęgę zapisu EKG.

- Dobrze ci to idzie, John - przyznała lekarka, - Może powinienes zarabiać tym na życie.

Wszyscy lekarze roześmieli się i odwrócili ku pacjentce. W tym momencie pojawił się zdyszany doktor Keitzman. Dłonie miał wciśnięte w kieszenie długiego fartucha. Podszedł prosto do łóżka, szybko obejmując spojrzeniem ciało Michelle. Chwycił jej rękę i sprawdził puls.

- Wszystko w porządku, kurczaczku? - spytał, sięgając po słuchawki.

Michelle bez słowa skinęła głową. Wyglądała na oszołomioną. Cathryn w milczeniu przysłuchiwała się, jak John, starszy asystent, podaje w całkowicie dla niej niezrozumiałym żargonie medycznym opis tego, co się zdarzyło.

Górna warga Keitzmana wykrzywiła się w charakterystycznym tiku, gdy nachylił się nad Michelle, osłuchując jej serce. Usatysfakcjonowany, obejrzał pasek EKG podsunęty mu przez Johna. Zauważywszy wreszcie przyciśniętą do ściany Cathryn, spojrzał pytająco na starszą pielęgniarkę. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiedzialiśmy, że tu jest - powiedziała.

Doktor Keitzman podszedł do Cathryn i położył jej dłoń na ramieniu.

- Jak się pani czuje? - zapytał. - Wszystko w porządku? Cathryn usiłowała odpowiedzieć, nie zdołała jednak wydobyć z siebie głosu, więc tak jak Michelle zadowoliliła się skinieniem głową.

- Przykro mi, że musiała pani na to patrzeć - rzekł Keitzman. - Wygląda na to, że z Michelle jest już lepiej. Na pewno niczego nie czuła. Wiem jednak, że dla pani musiało to być wstrząsające. Wyjdźmy na chwilę na korytarz, chciałbym z panią porozmawiać.

Cathryn wspięła się na palce, by spojrzeć mu przez ramię na Michelle.

- Za chwilę wszystko będzie w porządku - powiedział Keitzman, po czym zwrócił się do pielęgniarek: - Będę za drzwiami. Proszę podłączyć kardiomonitor i wezwać na konsultację kardiologa. Może dałoby się ściągnąć tu zaraz doktor Brubaker. - Keitzman łagodnie ujął ramię Cathryn i wyprowadził ją na korytarz. - Chodźmy do dyżurki, tam porozmawiamy.

Zaprowadził Cathryn do pomieszczenia, w którym w masywnych stojakach przechowywane były karty zleceń i historie chorób. Znajdowały się tu również laminatowe stoliki i krzesła oraz dwa dyktafony. Podsunął jej krzesło, na które z ulgą opadła.

- Może chce pani się czegoś napić? - zaproponował. - Wody?

- Nie, dziękuję - zdołała wydusić z siebie nerwowo Cathryn.

Ton głosu i zachowanie Keitzmana stały się dla niej źródłem nowego lęku. Wpatrywała się w jego twarz, starając się coś z niej wyczytać. Trudno było dostrzec jego oczy za grubymi okularami.

Pielęgniarka wetknęła głowę przez drzwi.

- Doktor Brubaker pyta, czy może obejrzyć pacjentkę w swoim gabinecie.

Twarz Keitzmana wykrzywiła się na chwilę, kiedy się namyślał.

- Proszę jej powiedzieć, że właśnie miała epizod częstoskurczu komorowego i wolałbym, żeby nie wstawiała z łóżka.

- Dobrze - odrzekła pielęgniarka.

Doktor Keitzman odwrócił się do Cathryn i westchnął.

- Uważam, że powinienem z panią szczerze porozmawiać. Stan Michelle nie jest wcale dobry. Nie chodzi mi bynajmniej o to, co się właśnie zdarzyło.

- A co to było? - spytała Cathryn, którą jeszcze bardziej wytrącił z równowagi początek rozmowy.

- Przyspieszenie rytmu serca. Zazwyczaj serce pracuje w rytmie narzucanym przez ośrodki w górnej jego części. - Doktor Keitzman próbował niezgrabnie zilustrować gestami dłoni, o co mu chodzi. - Z jakiejś jednak przyczyny funkcję rozrusznika przejęła dolna część serca Michelle. Dlaczego? Jeszcze nie wiemy. W każdym razie jej serce zaczęło

bić tak szybko, że nie miało czasu prawidłowo się wypełnić w czasie każdego rozkurcza, jego praca była więc nieskuteczna. Udało się nam to jednak opanować, przynajmniej na razie. Martwi mnie co innego - Michelle najwidoczniej nie reaguje na chemioterapię.

- Przecież to dopiero początek leczenia! - zaprotestowała Cathryn. Za nic nie chciała, by odbierano jej nadzieję.

- Zgadza się - przyznał doktor Keitzman. - Jednakże skuteczność leczenia w tym typie białaczki daje się ocenić już w pierwszych dobach. Na domiar złego w przypadku Michelle choroba postępuje gwałtowniej, niż dane mi było kiedykolwiek oglądać. Wczoraj podaliśmy jej bardzo silny i bardzo skuteczny lek pod nazwą daunorubicyna. Dziś rano, kiedy wykonaliśmy powtórny morfologię krwi, okazało się, że nie oddziałał prawie wcale na komórki białaczkowe. Byłem wstrząśnięty. To niezwykle, choć czasami się zdarza. Zdecydowałem się więc na trochę inne podejście. Zazwyczaj podajemy drugą dawkę daunorubicyny w piątej dobie leczenia. Niemniej podałem ją dzisiaj, łącznie z tioguaniną i cytarabiną.

- Dlaczego mi pan o tym mówi, doktorze? - spytała Cathryn.

Przecież Keitzman musiał wiedzieć, że ona niewiele rozumie z tego, co do niej mówi.

- Ze względu na wczorajszą reakcję pani męża - odparł. - Również ze względu na to, co mówiliśmy pani z doktorem Wileym. Obawiam się, że powodowany emocjami mąż pani będzie utrudniać leczenie, że będzie usiłował nie dopuścić do dalszego podawania leków.

- Skoro jednak nie działają, może należałoby z nich zrezygnować - powiedziała Cathryn.

- Proszę pani, Michelle jest bardzo poważnie chora. Te leki stanowią jej jedyną szansę przeżycia. To rzeczywiście fatalnie, że nie okazały się na razie skuteczne. Pani mąż ma rację twierdząc, że Michelle ma niewielkie szansę. Ale bez chemioterapii nie ma żadnych.

Cathryn targnęły wyrzuty sumienia; powinna była zabrać Michelle do szpitala już kilka tygodni temu.

Doktor Keitzman wstał.

- Mam nadzieję, że pani zrozumiała, co powiedziałem. Michelle potrzebna jest pani siła. Chciałbym, by zadzwoniła teraz pani do męża i kazała mu przyjechać. Musi się dowiedzieć, co zaszło.

Zanim jeszcze automatyczny licznik promieniotwórczości zaczął rejestrować impulsy beta, czyli elektrony wybite z radioaktywnych jąder znajdujących się w serii próbek, Charles zorientował się, że znakowane radioaktywnie nukleotydy zostały zaabsorbowane i inkorporowane w hodowlę tkankową komórek białaczkowych Michelle. Przeszedł już do ostatniego stadium sporządzania zagęszczonego roztworu białka powierzchniowego, odróżniającego blasty białaczkowe Michelle od zwykłych komórek. Białko to było obce wobec organizmu dziewczynki, nie było jednak przezeń odrzucane wskutek działania tajemniczego czynnika blokującego, co do którego Charles był pewien, że znajduje się w osoczu jej krwi. Ten właśnie czynnik chciał zbadać. Gdyby tylko wiedział cokolwiek o naturze jego działania, może udałoby mu się go zahamować lub wyeliminować. Przygnębiała go myśl, że musi zaprzestać pracy, będąc tak blisko celu. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że i pięć następnych lat badań nie gwarantowało sukcesu.

Zamknąwszy pokrywę inkubatora hodowli tkankowych, Charles wrócił do swego biurka, zadając sobie pytanie, dlaczego Ellen się nie pokazuje. Chciał porozmawiać o badaniach nad rakiem z kimś znającym zagadnienie, a Ellen była jedyną osobą, której mógł zaufać.

Usiadł, starając się nie wracać myślami do ostatniego upokarzającego spotkania z doktorem Ibanzem i Weinburgerami. Przypomniał sobie za to nieprzyjemną wizytę w Agencji Ochrony Środowiska, co wcale nie poprawiło mu nastroju. Był jednak w stanie śmiać się w duchu ze swej naiwności, przejawiającej się w wierze, że można ot tak sobie wejść do rządowej agencji i coś osiągnąć. Zastanawiał się, czy uda mu się w jakiś sposób zdobyć fotograficzne dowody działalności Recycle Ltd. Powątpiewał w to, lecz postanowił spróbować.

Skoro to on miał zdobyć dowody, może sam powinien zaskarżyć przetwórnię, a nie czekać, aż zrobi to agencja. Nie znał się na prawie, przypomniał sobie jednak, że instytut opłaca również firmę adwokacką i że tam powinien uzyskać potrzebne informacje.

W lewej dolnej szufladzie biurka Charles trzymał najrozmaitsze broszury. Prawie na samym spodzie znalazł to, czego szukał: cienki czerwony informator zatytułowany: „Witamy na pokładzie Instytutu Onkologicznego Weinburgera”. Na końcu zamieszczono spis ważnych numerów telefonicznych. W wykazie firm świadczących usługi znajdowała się kancelaria Hubbert.

Hubbert, Garachnik and Pearson, State Street 1 i kilka numerów telefonów. Wykręcił pierwszy z nich.

Gdy tylko się przedstawił, natychmiast przełączono go do gabinetu pana Garachnika. Sekretarka była wyjątkowo serdeczna i już po kilku chwilach telefon odebrał sam Garachnik. Najwidoczniej instytut należał do cenionych klientów kancelarii.

- Potrzebuję pewnych informacji - powiedział Charles. - Jak pozwać do sądu firmę, która wylewa do rzeki trujące odpady?

- Najlepiej by było, gdyby porozumiał się pan w tej sprawie z jednym z naszych specjalistów od praw dotyczących ochrony środowiska - odrzekł Garachnik. - Jeśli jednak pańskie pytania są natury ogólnej, może ja zdołam udzielić odpowiedzi. Instytut Weinburgera zainteresował się ekologią?

- Nie, niestety nie - powiedział Charles. - To sprawa osobista.

- Rozumiem - ton Garachnika był znacznie chłodniejszy. - Kancelaria Hubbert, Hubbert, Garachnik and Pearson nie prowadzi spraw prywatnych pracowników instytutu, chyba że z zainteresowanym zostaje zawarta oddzielna umowa.

- To jest do załatwienia - rzekł Charles. - Skoro jednak już rozmawiamy, może poda mi pan kilka ogólnych informacji, jak się do tego zabrać?

Garachnik nie odpowiedział od razu, chcąc dać do zrozumienia, że zajmowanie się takimi drobiazgami jest poniżej jego godności jako

jednego ze starszych wspólników firmy.

- Może to być pozew indywidualny lub zbiorowy. Jeśli to pozew indywidualny, musi pan określić szkody, a jeśli ma to być...

- Są szkody! - przerwał prawnikowi Charles. - Moja córka zachorowała na białaczkę.

- Panie doktorze - powiedział Garachnik z irytacją. - Jako lekarz powinien sobie pan zdawać sprawę, że bardzo trudno byłoby udowodnić związek przyczynowy między wylewaniem trujących odpadów a chorobą pańskiej córki. Jeśli jednak wobec fabryki zostanie wystosowany pozew zbiorowy w celu wydania nakazu jej zamknięcia, nie trzeba będzie określać szkód. Potrzeba jedynie współuczestnictwa trzydziestu-czterdziestu ludzi. Jeśli pan chce dalej ciągnąć tę sprawę, polecałbym panu Thomasa Wilsona, jednego z naszych młodych, nowych prawników. Jest on szczególnie zainteresowany sprawami ochrony środowiska.

- Czy to ma znaczenie, jeśli firma zlokalizowana jest w New Hampshire? - spytał szybko Charles.

- Nie, tyle że pozew musi być zarejestrowany w sądzie w tym stanie - Garachnik najwyraźniej dążył do jak najszybszego zakończenia rozmowy.

- A jeśli firma macierzysta tej fabryki mieści się w New Jersey?

- To może, ale nie musi skomplikować sprawę - Garachnik znów wyraźnie się ożywił. - O jakiej fabryce w New Hampshire pan mówi?

- Przetwórci Recycle Ltd w Shaftesbury.

- Której firmą macierzystą jest Breur Chemicals z New Jersey? - dorzucił szybko prawnik.

- Zgadza się - odrzekł zaskoczony Charles. - Skąd pan wie?

- Ponieważ od czasu do czasu pośrednio reprezentujemy Breur Chemicals. Pozwolę sobie również poinformować pana, jeśli pan o tym nie wie, że Breur Chemicals jest także właścicielem Instytutu Weinburgera, aczkolwiek nie jest to instytucja mająca przynosić zyski.

Charlesa zatkało. Garachnik ciągnął:

- Breur Chemicals powołało instytut, kiedy po wykupieniu Lesley

Phannaceuticals zaczęło inwestować w branży produkcji leków. Byłem wówczas temu przeciwny, ale pan Weinburger senior sam podjął decyzję. Obawiałem się, że może w to wkroczyć urząd antymonopolowy, nigdy jednak do tego nie doszło, dzięki przykrywce, że instytut nie jest organizacją nastawioną na dochód. W każdym razie pracuje pan dla Breur Chemicals, doktorze, i radziłbym się poważnie zastanowić, nim pozwie pan kogokolwiek do sądu.

Charles bardzo powoli odłożył słuchawkę. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Nigdy nie obchodziły go finanse instytutu, wystarczało mu, że dostaje pieniądze na swoje doświadczenia i sprzęt. A teraz dowiedział się, że pracuje dla przemysłowego koncernu, odpowiedzialnego zarówno za wylewanie do rzeki rakotwórczych odpadów, jak i finansującego instytut mający w założeniu zajmować się zwalczaniem raka. Jeśli chodziło o kanceran, firma macierzysta kontrolowała zarówno firmę farmaceutyczną, która uzyskała na niego patent, jak i instytut, który miał przeprowadzić badania nad jego skutecznością.

Nic dziwnego, że Weinburgerowi tak zależało na kanceranie!

Wzdrygnął się na dzwonek telefonu - nerwy miał napięte do ostatnich granic. Po ostatnich koszmarnych rewelacjach Charles zawahał się, czy w ogóle odebrać. Bez wątpienia dzwoniłi ci z administracji, chcąc wywierać na niego coraz większy nacisk, uciekając się do coraz podlejszych metod.

Nagle wrócił myślami do Michelle. Może telefon był w sprawie córki. Zerwał słuchawkę z widełek i przycisnął do ucha.

Okazało się, że miał rację. Głos Cathryn brzmiał tak samo sztywno jak poprzedniego dnia. Serce podskoczyło Charlesowi do gardła.

- Nic się nie stało?

- Z Michelle jest niedobrze. Były komplikacje, lepiej przyjedź.

Charles złapał płaszcz i wypadł z laboratorium. Przy masywnych frontowych drzwiach zaczął walić w szybę, by szybciej go wypuszczono.

- No już, już - powiedziała panna Andrews, naciskając na biurku

klawisz otwierający drzwi.

Charles przecisnął się przez nie, nim się całkiem otworzyły, i zniknął jej z oczu.

- Co się z nim dzieje? - spytała. - Oszalał czy co?

Roy poprawił wytartą kaburę i wzruszył ramionami.

Charles starał się jechać tak szybko, by nie myśleć, co mogło się stać z Michelle. Przejechawszy jednak przez rzekę, utknął w korku na Massachusetts Avenue. Posuwając się metr po metrze, zamartwiał się, co zastanie w Klinice Pediatrycznej. Bez przerwy brzmiały mu w uszach słowa Cathryn: „Z Michelle jest niedobrze. Były komplikacje”. Z paniki jego żołądek zaciskał się w bolesną kulę.

Kiedy dotarł do szpitala, natychmiast wbiegł do środka i wcisnął się do zatłoczonej windy. Ku jego irytacji zatrzymywała się na każdym piętrze. Gdy w końcu dojechała na szóste, przepchnął się przez zagradzających mu drogę ludzi i pomknął do izolatki Michelle. Drzwi były uchylone. Wszedł do środka bez pukania.

Elegancka blondynka wyprostowała się znad Michelle. Właśnie osłuchiwała jej serce. Po drugiej stronie łóżka stał młody asystent w szpitalnej bieli.

Charles obrzucił kobietę pobieżnym spojrzeniem i utkwiał wzrok w dziecku. Współczucie wyparło w nim wszystkie inne emocje. Chciał przytulić do siebie córkę, wyglądała jednak na zbyt słabą, by to znieść. Jego wyćwiczone oko szybko dostrzegło pogorszenie, jakie nastąpiło od rana. Jej twarz miała zielonkawy odcień, w którym długoletnia praktyka nauczyła go widzieć zwiastun śmierci. Napięta skóra pokrywała wystające kości w zapadniętych policzkach. Do obydwu ramion miała podłączone kroplówki, ale wyglądała na odwodnioną z powodu gorączki i wymiotów.

Leżąca na wznak Michelle podniosła głowę i spojrzała znużonym wzrokiem na ojca. Mimo cierpienia zdobyła się na słaby uśmiech. Przez chwilę jej oczy zalśniły tym niewiarygodnym blaskiem, który Charles tak kochał.

- Michelle - powiedział łagodnie, nachylając się ku niej. - Jak się

czujesz? - Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Jej oczy przymgły się. Zaczęła płakać.

- Chcę do domu, tatusiu. - Nie miała ochoty wyznać, jak źle się czuje.

Przygryzając wargę, Charles spojrział na stojącą koło niego kobietę, zakłopotany wzruszeniem, które go ogarnęło. Opuścił wzrok z powrotem na córkę, położył dłoń na jej czole i przyglądał czarne włosy. Czoło miała gorące i wilgotne, gorączka wzrosła. Michelle schwyciła jego dłoń.

- Porozmawiamy jeszcze o tym - powiedział drżącymi wargami Charles.

- Przepraszam - odezwała się kobieta. - Zapewne pan doktor Martel? Moje nazwisko Brubaker, jestem kardiologiem. Doktor Keitzman prosił mnie o konsultację u Michelle. To doktor John Hershing, nasz starszy asystent.

Charles nie skwitował tego nawet skinieniem głowy.

- Co się stało?

- Miała ostry epizod częstoskurczu komorowego - wyjaśnił doktor Hershing. - Zastosowaliśmy natychmiast kardiowersję i udało się nam ją umiarować.

Charles spojrział na doktor Brubaker. Była to wysoka, przystojna kobieta o ostrych rysach. Jasne włosy miała spięte na czubku głowy w luźny kok.

- Co wywołało arytmie? - spytał, nie wypuszczając dłoni Michelle.

- Jeszcze nie wiemy - odparła lekarka. - Moim zdaniem to albo idiosynkratyczna reakcja na podwójną dawkę daunorubicyny, albo nacieczenie mięśnia serca jako przejaw jej schorzenia podstawowego. Jeśli można, chciałabym skończyć badanie. Doktor Keitzman i pańska żona czekają w dyżurce pielęgniarek. Chcieliby się z panem zobaczyć.

Charles opuścił wzrok na Michelle.

- Zaraz wrócę, kochanie.

- Nie odchodź, tato - powiedziała błagalnie. - Zostań tutaj.

- Będę w pobliżu - łagodnie uwolnił dłoń z uścisku Michelle.

Zaniepokoiła go wiadomość o podwójnej dawce daunorubicyny. Nie było to chyba typowe postępowanie.

Cathryn dostrzegła Charlesa, zanim zdążył ją wypatrzeć, i zerwała się na nogi, zarzucając mu ręce na szyję.

- Tak się cieszę, że już jesteś. - Ukryła twarz na jego ramieniu. - Nie umiem sobie z tym poradzić.

Przytulając żonę, Charles rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu przy dyżurce, gdzie przechowywano historie chorób. O stół opierał się doktor Wiley, nie odrywając wzroku od podłogi. Naprzeciw niego siedział doktor Keitzman, z nogą na nogę i splecionymi na kolanie dłońmi, zdając się bacznie przypatrywać materiałowi swych spodni. Nikt się nie odezwał, Charles nerwowo przenosił więc spojrzenie z jednego lekarza na drugiego. Scena sprawiała wrażenie sztucznej, jakby wyreżyserowanej. Nie znosił udawania w takich sytuacjach, a wiedział, że czeka go coś trudnego.

- No dobrze - rzucił wyzywająco. - Co się dzieje?

Wiley i Keitzman zaczęli mówić równocześnie, po czym urwali.

- Chodzi o Michelle - powiedział wreszcie Keitzman.

- Tak przypuszczałem.

Śruba imadła zaciśniętego na żołądku Charlesa wykonała jeszcze jeden obrót.

- Nie jest z nią tak dobrze, jak można by się spodziewać - doktor Keitzman westchnął, po raz pierwszy spoglądając Charlesowi w twarz. - Z rodzinami lekarzy zawsze jest najciężej. Myślę, że nazwę to „prawem Keitzmana”.

Charles nie był w nastroju do żartów. Utkwił wzrok w onkologu, przypatrując się, jak jego twarz wykrzywia się w charakterystycznym tiku.

- Dlaczego podano jej podwójną dawkę daunorubicyny? Keitzman przełknął ślinę.

- Wczoraj podaliśmy jej pierwszą dawkę, ale bez skutku. Dzisiaj dołożyliśmy kolejną. Musimy zniszczyć krążące na obwodzie komórki białaczkowe.

- To nie jest rutynowe postępowanie, prawda? - warknął Charles.

- Nie - przyznał Keitzman z wahaniem. - Ale Michelle to niezwykley przypadek. Chciałem spróbować...

- Spróbować! - krzyknął Charles. - Proszę posłuchać! - Wycelował palec w twarz Keitzmana. - Moja córka nie jest tu po to, żeby służyć do eksperymentów. W rzeczywistości chce pan powiedzieć, że jest z nią tak źle, że nic nie zaszkodzi.

- Charles, to niesprawiedliwe - powiedziała Cathryn. Nie zwrócił na nią uwagi.

- Prawda wygląda tak, doktorze, że pańskim zdaniem to przypadek beznadziejny, więc postanowił pan zrezygnować z ogólnie przyjętej chemioterapii. Ja zaś nie jestem pewien, czy to właśnie nie pańskie eksperymenty zmniejszają jej szansę. Na przykład ten częstoskurcz. Nigdy przedtem Michelle nie miała kłopotów z krążeniem. Czy daunorubicyna nie wywołuje uszkodzenia mięśnia sercowego?

- Tak - przyznał Keitzman. - Ale zazwyczaj nie tak szybko. Nie wiem, co sądzić o tym powikłaniu, dlatego poprosiłem o konsultację kardiologiczną.

- A ja sądzę, że to przez lek - powiedział Charles. - Zgodziłem się na chemioterapię, zakładałem jednak, że będzie się pan trzymał standardowych dawek. Nie jestem pewny, czy zgadzam się na ich podwajanie.

- Skoro tak, to może powinien pan się rozejrzeć za innym onkologiem - odparł ze znużeniem Keitzman, wstając i zbierając swoje rzeczy. - Albo samemu poprowadzić ten przypadek.

- Nie! Proszę! - wykrzyknęła Cathryn, puszczając męża i chwytając Keitzmana za ramię. - Proszę! Charles jest po prostu zdenerwowany. Proszę nas nie zostawiać. - Gorączkowo zwracała się to do jednego, to do drugiego. - Charles, te leki to jedyna szansa Michelle. Prawda, panie doktorze?

- Tak - powiedział Keitzman. - Intensyfikacja chemioterapii, nawet jeśli nie jest postępowaniem konwencjonalnym, to jedyna szansa osiągnięcia u Michelle remisji. A musimy szybko do tego doprowadzić,

jeśli Michelle ma przeżyć rzut choroby.

- Co pan proponuje, Charles? - spytał Wiley. - Nie robić nic?

- Remisja nie nastąpi - warknął gniewnie Charles.

- Nie może pan tak twierdzić - odrzekł doktor Wiley.

Charles cofnął się o krok, wpatrując się w pozostałych, jak gdyby mieli go siłą zmusić do ustąpienia.

- Jak wedle pana powinna być leczona? - nalegał Wiley.

- Sami nic nie poradzimy - powiedziała błagalnie Cathryn.

Charles pragnął za wszelką cenę wyrwać się stąd. W szpitalu, w pobliżu Michelle, nie potrafił rozumować racjonalnie. Myśl o przysparzaniu córce dodatkowych cierpień była dla niego torturą, niemniej decyzja, by pozwolić jej umrzeć bez walki, była również nie do zniesienia. Trzeciego wyjścia jednak nie było. Przy jakiegokolwiek szansie osiągnięcia u Michelle remisji, to co mówił doktor Keitzman miało sens. Ale gdyby takiej szansy miało nie być, dręczyli jedynie umierające dziecko. Boże!

Gwałtownie obrócił się na pięcie i wyszedł z dyżurki. Cathryn wybiegła za nim.

- Charles, błagam cię! Dokąd idziesz?! Charles, proszę, nie zostawiaj mnie!

Przy schodach w końcu odwrócił się i chwycił ją za ramię.

- Nie potrafię tu myśleć. Nie wiem, po której stronie jest racja. Każde wyjście wydaje się równie złe. Już raz przez to przechodziłem, ale to niczego nie ułatwia. Muszę wziąć się w garść. Przepraszam.

Z poczuciem beznadziejności Cathryn patrzyła, jak mąż przechodzi przez drzwi i zstępuje po schodach. Została sama na ruchliwym korytarzu. Zrozumiała, że skoro Charles nie potrafił sobie poradzić z sytuacją, będzie to musiała zrobić sama. Musi ze względu na Michelle. Wróciła do dyżurki.

- To dziwne, że panowie wszystko przewidzieliście - powiedziała drżącym głosem do dwóch lekarzy.

- Niestety, mamy pewne doświadczenie z rodzinami lekarzy - westchnął Keitzman. - To zawsze trudne.

- Ale zazwyczaj nie aż tak - dodał Wiley.

- Rozmawialiśmy po państwa wyjściu - ciągnął Keitzman. - Uważamy, że trzeba jakoś zapewnić ciągłość leczenia Michelle.

- Potrzebna nam jakaś gwarancja - dorzucił Wiley.

- Zwłaszcza że liczy się każda chwila - uzupełnił Keitzman. - Przerwanie kuracji choćby na dobę czy dwie może oznaczać zaprzepaszczenie szansy na powodzenie.

- Nie chcemy przez to powiedzieć, że obawy Charlesa nie są uzasadnione - zapewnił Wiley.

- Absolutnie nie - zgodził się z nim Keitzman. - W przypadku Michelle, z krążącymi we krwi komórkami białaczkowymi nie reagującymi na daunorubicynę, rokowania nie są najlepsze. Uważam jednak, że bez względu na wszystko nie należy zaniechać prób. Zgadza się pani z nami?

Cathryn popatrzyła na obu lekarzy. Usiłowali dać jej coś do zrozumienia, nie miała jednak pojęcia co.

- Oczywiście - rzekła.

Jak mogła się nie zgodzić? Oczywiście Michelle zasługiwała na to, by dano jej szansę.

- Są sposoby uniemożliwienia Charlesowi przerwania leczenia Michelle - powiedział doktor Wiley.

- Trzeba by się do nich uciec jedynie w razie konieczności - dorzucił szybko Keitzman. - Na wszelki wypadek jednak dobrze byłoby mieć je w zanadrzu.

Zapadło milczenie.

Cathryn miała wyraźne wrażenie, że lekarze oczekują po niej jakiejś reakcji, ale nie miała pojęcia, o czym mówią.

- Podam pani przykład - doktor Wiley wychylił się w krześle. - Założmy, że dziecku koniecznie potrzebna jest transfuzja krwi. Jeśli jej nie otrzyma, umrze. Założmy dalej, że jedno z rodziców jest świadkiem Jehowy. Pomiedzy rodzicami dochodzi do konfliktu co do leczenia dziecka. Lekarze oczywiście rozumieją konieczność przetoczenia krwi. Co robią? Zwracają się do sądu o przyznanie całości praw rodzicielskich

temu z rodziców, które zgadza się na transfuzję. Sąd przystaje na to, mając na względzie dobro dziecka. Nie czyni tego przez brak szacunku dla wyznania protestującego rodzica. Wychodzi jedynie z założenia, że pozbawianie przez jedną osobę możliwości leczenia ratującego życie drugiej jest niesprawiedliwe.

Cathryn patrzyła na doktora Wileya z rozterką w oczach.

- Chcecie panowie, żebym za plecami Charlesa pozbawiła go praw rodzicielskich?

- Tylko w kwestiach dotyczących jej leczenia - powiedział Keitzman.

- Może to uratować życie dziecka. Proszę zrozumieć, moglibyśmy przeprowadzić to bez pani pomocy. Wystosowalibyśmy do sądu prośbę o wyznaczenie opiekuna z urzędu, co czynimy, gdy oboje rodzice nie wyrażają zgody na leczenie. Byłoby jednak o wiele prościej, gdyby w tej sprawie pani z nami współpracowała.

- Ale panowie odeszłicie w przypadku Michelle od standardowego leczenia - Cathryn przypomniała sobie słowa Charlesa.

- Niezupełnie - odparł Keitzman. - Prawdę mówiąc, ostatnio pracuję nad artykułem dotyczącym zintensyfikowanej chemioterapii przypadkach opornych na leczenie, jak u pani córki.

- Musi pani również przyznać, że Charles zachowuje się dziwnie - dodał doktor Wiley. - Zapewne napięcie okazało się dla niego za wielkie. Może nie być zdolny do podejmowania rozsądnych decyzji. Osobiście czułbym się spokojniejszy, gdyby również Charles poszukał fachowej pomocy.

- To znaczy psychiatry? - spytała Cathryn.

- Uważam, że to dobra myśl - powiedział doktor Wiley.

- Proszę nas dobrze zrozumieć - rzekł łagodnie doktor Keitzman. - Robimy, co możemy, a jako lekarze mamy na względzie przede wszystkim dobro Michelle. Uważamy, że powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy.

- Doceniam wysiłki panów, ale... - zaczęła Cathryn.

- Wiemy, że to brzmi drastycznie - przerwał doktor Keitzman. - Jeśli jednak uzyskamy decyzję sądu, nie trzeba będzie tego wykorzystywać,

chyba żeby wymagała tego sytuacja. Gdyby jednak Charles spróbował przerwać leczenie Michelle czy nawet zabrać ją ze szpitala, będziemy mogli temu zaradzić.

- Przezorny zawsze zabezpieczony przed ryzykiem - rzucił sentencjonalnie doktor Wiley.

- Niełatwo mi podjąć taką decyzję - powiedziała Cathryn. - Ale Charles zachowuje się bardzo dziwnie. Trudno uwierzyć, że mógł mnie tak po prostu zostawić.

- Rozumiem go - rzekł wyrozumiale Keitzman. - Zauważyłem, że doktor Martel to człowiek czynu i niemożność zrobienia czegokolwiek w przypadku Michelle zapewne doprowadza go do szału. Przytłacza go straszne brzemie i dlatego właśnie sądzę, że przydałaby mu się pomoc lekarska.

- Chyba nie sądzicie panowie, że przechodzi załamanie nerwowe? - spytała Cathryn z narastającym lękiem.

Doktor Keitzman spojrział na doktora Wileya, jak gdyby oczekiwał po nim odpowiedzi, po czym odparł:

- Nie czuję się powołany o tym orzekać. Bez wątpienia Charles żyje w wielkim napięciu. Wszystko zależy od tego, jaka jest jego wytrzymałość.

- Uważam, że to możliwe - powiedział ze swej strony Keitzman. - Szczerze mówiąc, już dostrzegam pewne symptomy załamania. Zdaje się nie panować nad swymi emocjami, uważam też, że jego gniew był nie usprawiedliwiony.

Cathryn targają sprzeczne uczucia. Nie była w stanie wyobrazić sobie, że może wkroczyć między Charlesa, którego kochała, i jego córkę, którą nauczyła się kochać. Jednakże gdyby Charles nie wytrzymał napięcia i przerwał leczenie Michelle, musiałaby dzielić z nim winę za zaniechanie prób podejmowanych przez lekarzy dziecka.

- Co trzeba by zrobić, gdybym wyraziła na to zgodę? - spytała.

- Proszę zaczekać - Keitzman sięgnął po słuchawkę. - Myślę, że radca prawny szpitala odpowie lepiej na to pytanie.

Zanim jeszcze Cathryn zdołała zdać sobie sprawę, co się dzieje, było

już po spotkaniu z radcą prawnym szpitala, i teraz niemal biegła za nim korytarzem bostońskiego sądu. Radca nazywał się Patrick Murphy. Miał piegowatą cerę i włosy nieokreślonej brązowawej barwy, które niegdyś zapewne były rude. Najbardziej jednak wyróżniała go osobowość. Należał do owych rzadko spotykanych ludzi, którzy od pierwszej chwili wzbudzają sympatię, i Cathryn, mimo że nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje, została oczarowana jego otwartością i bezpośredniością oraz ujmującym uśmiechem.

Nie potrafiła dokładnie odtworzyć, kiedy dyskusja z radcą prawnym na temat sytuacji hipotetycznej zamieniła się w omawianie szczegółów rzeczywistej. Decyzja, by złożyć wniosek o przyznanie jej wyłączności praw rodzicielskich za plecami Charlesa przyszła jej z takim trudem, że zadowolona była, iż zapadła niejako zaocznie. Murphy, podobnie jak Keitzman, zapewnił Cathryn, że uprawnienia te zostaną wykorzystane jedynie w mało prawdopodobnym wypadku podjęcia przez Charlesa próby przerwania kuracji Michelle.

Mimo to nie czuła się wcale uspokojona, zwłaszcza że nie miała czasu wpaść do Michelle, musieli bowiem zdążyć do sądu przed czwartą po południu.

- Proszę bardzo, tędy - powiedział Murphy, wskazując jej wąskie schody.

Cathryn nigdy jeszcze nie była w sądzie i gmach odbiegał bardzo od jej wyobrażeń. Wydawało się, że powinien być wspaniały, symbolizować niejako sprawiedliwość, którą miał reprezentować. Tymczasem ponadstuletni budynek bostońskiego sądu był brudny i przytłaczający, szczególnie, że ze względów bezpieczeństwa wchodziło się do niego przez podziemia.

Po wspięciu się wąskimi stalowymi schodami - Cathryn nie mogła uwierzyć, że to jedyne wejście do siedziby sprawiedliwości - dotarli do wielkiego, starego holu głównego. Przynajmniej tu zachowało się trochę dawnej świetności: hol miał wysokość dwu pięter, marmurową posadzkę i pilastry. Dwie kolumny były jednak popękane i poobłupywane, a wyszukana sztukateria wyglądała, jak gdyby lada

chwila miała się zwalić na podłogę.

Cathryn musiała podbiec kilka schodków, by dogonić Murphy'ego, który skręcił do sądu spraw z powództwa cywilnego. Była to długa, wąska sala, przytłaczająca i sprawiająca wrażenie pełnej kurzu, głównie wskutek setek starych rejestrów, wspartych krzywo na niskich półkach po prawej stronie. Po lewej znajdował się poobijany, wyszczerbiony kontuar, za którym grupka pracowników zdawała się właśnie budzić z całodziennego drzemki, zachęcona perspektywą końca urzędowania.

Rozglądając się po sali Cathryn stwierdziła, że opuszcza ją zdecydowanie i pewność. Obskurtność sądu wywoływała raczej obrazy utknięcia w trzęsawisku biurokracji. Murphy nie pozwolił się jej jednak zatrzymać i doprowadził ją do mniejszej lady w kacie.

- Chciałbym mówić z asystentem rejestratora spraw o kuratelę - powiedział do jednej ze znudzonych urzędniczek, trzymającej papierosa w kąciku ust i przekrzywiającej głowę, by dym nie kłuł jej w oczy. Kobieta wskazała mężczyznę siedzącego do nich tyłem.

Usłyszawszy słowa Murphy'ego, mężczyzna odwrócił się; rozmawiał właśnie przez telefon, ale podniósł dłoń dając znak by zaczekali. Podeszedł do nich, gdy skończył rozmowę. Był w średnim wieku, bardzo otyły, wałki tłuszczu dygotały mu przy każdym poruszeniu. Jego twarz składała się wyłącznie z obwisłych policzków, fałdów tłuszczu i głębokich zmarszczek.

- Mamy pilną sprawę - wyjaśnił Murphy. - Chcielibyśmy porozmawiać z którymś z sędziów.

- Sprawa o prawa rodzicielskie ze szpitala? - zapytał porozumiewawczo asystent rejestratora.

- Zgadza się - odparł prawnik. - Wypełniliśmy już wszystkie formularze.

- Trzeba przyznać, że coraz bardziej się staracie - powiedział urzędnik. Spojrzał na cyferblat sądowego zegara. - Mój Boże, ledwie się wyrobiliście. Prawie czwarta. Lepiej sprawdzę, czy sędzia Pelligrino jeszcze jest.

Począł do pobliskich drzwi, wymachując ramionami prawie

prostopadle do ciała.

- Ma kłopoty hormonalne - wyszeptał Murphy. Położył teczkę na kontuarze i otworzył ją.

Cathryn spojrzała na atrakcyjnego młodego prawnika. Ubrany był na typową adwokacką modłę w obszerny garnitur w paseczki. Spodnie miał trochę wymięte, zwłaszcza na kolanach. Za krótkie o jakieś dwa cale nogawki ukazywały kostki w czarnych skarpetkach. Murphy bardzo starannie uporządkował podpisane przez Cathryn dokumenty.

- Naprawdę uważa pan, że to konieczne? - spytała nagle.

- Oczywiście - zapewnił, obdarzając ją jednym ze swych ciepłych spontanicznych uśmiechów. - To dla dobra dziecka.

Pięć minut później znaleźli się w gabinecie sędziego i było już za późno, by się wycofać.

Sędzia Pelligrino różnił się od wyobrażeń Cathryn w równym stopniu co bostoński sąd. Zamiast przed podstarzałą sokratyczną postacią w todze Cathryn stanęła przed niepokojąco przystojnym mężczyzną w nienagannie skrojonym garniturze. Włożywszy modne okulary do czytania, wziął od Murphy'ego dokumenty, przejrzał je i powiedział:

- Jezu Chryste, dlaczego pan zawsze przychodzi tuż przed czwartą?

- Choroby, wysoki sędzie, przestrzegają raczej praw biologii niż godzin urzędowania.

Sędzia Pelligrino obrzucił Murphy'ego spojrzeniem znad wąskich okularów, najwidoczniej rozważając, czy odpowiedź miała być tylko dowcipna, czy bezczelna. Skłaniając się ku tej pierwszej ewentualności, przywołał na twarz uśmiech.

- W porządku, przyjmuję wniosek do rozpatrzenia. Niech pan mnie teraz wprowadzi w sprawę.

Gdy Murphy wprawnie przedstawiał fakty dotyczące choroby i leczenia Michelle oraz zachowania Charlesa, sędzia Pelligrino przeglądał dokumenty, pozornie nie zwracając uwagi na młodego prawnika. Kiedy ten jednak popełnił niewielki błąd gramatyczny, natychmiast podniósł głowę i go poprawił.

- Gdzie są zaprzysiężone oświadczenia doktorów Wileya i Keitzmana? - zapytał, kiedy Murphy skończył.

Prawnik nachylił się i skwapliwie przekartkował dokumenty w dłoni sędziego. Otworzył następnie neseser, odszukał obydwie dokumenty i z przeprosinami położył na biurku. Sędzia przeczytał je dokładnie.

- Rozumiem, że pani adoptowała dzieci męża? - zwrócił się do Cathryn.

- Tak jest - odpowiedział Murphy. - Zrozumiałe, że zależy jej na utrzymaniu właściwego leczenia dziecka.

Sędzia uważnie przyjrzał się Cathryn, która poczuła, że się rumieni.

- Uważam za istotne podkreślić, że między panem a panią Martel nie doszło do żadnej niezgody małżeńskiej - dodał Murphy. - Chodzi jedynie o zapewnienie ciągłości leczenia metodą zalecaną przez odnośne autorytety medyczne.

- Rozumiem - powiedział sędzia Pelligrino. - Nie rozumiem jednak, dlaczego ojciec biologiczny nie stawiał się na przesłuchanie.

- Z tej właśnie przyczyny, dla której pani Martel wniosła o czasowe przeniesienie na nią całości praw rodzicielskich - odrzekł Murphy. - Zaledwie kilka godzin temu Charles Martel w pośpiechu opuścił spotkanie z panią Martel i lekarzami Michelle, wyraziwszy uprzednio przekonanie, że należy zaprzestać leczenia, które stanowi jedyną szansę na wyleczenie dziewczynki. Prywatnie dodam, że lekarze prowadzący Michelle dostrzegają u doktora Martela objawy utraty równowagi psychicznej.

- Coś takiego powinno być właściwie odnotowane w aktach - zauważył sędzia.

- Zgadzam się - odrzekł Murphy. - Niestety, w tym celu doktora Martela musiałby zbadać psychiatra. Być może da się to załatwić przed rozprawą.

- Chciałaby pani coś dodać? - sędzia zwrócił się do Cathryn. Zaprzeczyła ledwie słyszalnym głosem.

Pelligrino złożył dokumenty na biurku i zamyślił się. Po chwili

odchrząknął i powiedział:

- Zezwalam na uzasadnione wyjątkową sytuacją czasowe przeniesienie całości praw rodzicielskich na Cathryn Martel wyłącznie w celu zapewnienia ciągłości stosowania sprawdzonej metody leczenia - zamasyście podpisał formularz. - Wyznaczę również tymczasowego kuratora do czasu rozprawy, którą proszę wyznaczyć za trzy tygodnie od dnia dzisiejszego.

- To będzie trudne - odezwał się asystent rejestratora, który do tej pory milczał. - Wszystkie terminy zajęte, panie sędzio.

- Do diabła z ustalonymi terminami - rzucił sędzia Pelligrino, podpisując drugi dokument.

- Ciężko będzie przygotować sprawę w ciągu zaledwie trzech tygodni - zaprotestował Murphy. - Będziemy musieli uzyskać ekspertyzy lekarskie i rozpatrzyć wszystkie aspekty prawne. Potrzebujemy więcej czasu.

- To już wasza sprawa - w głosie sędziego nie słyhać było współczucia. - I tak będziecie mieli mnóstwo roboty z dopięciem wszystkiego na wstępną rozprawę o czasowe przeniesienie praw. Przepisy dają wam na to tylko trzy dni, więc lepiej się nie grzebieć. Chcę również, żeby o wszczęciu postępowania prawnego jak najszybciej powiadomiono ojca. Ma nie później niż jutro otrzymać pozew w szpitalu lub w miejscu pracy.

Oszołomiona Cathryn wstała.

- Charles dowie się o wszystkim?

- Oczywiście - powiedział sędzia, również się podnosząc. - Nie zamierzam pozbawić rodzica praw rodzicielskich, nie powiadamiając go o tym. Teraz proszę mi wybaczyć, że się pożegnám.

- Ale... - Cathryn nie zdołała jednak dokończyć. Murphy podziękował sędziemu i spieszenie wyprowadził ją z gabinetu do głównej sali sądu.

Cathryn miała zamęt w głowie.

- Przecież pan mówił, że nie wykorzystamy tego, jeśli Charles nie przeszkodzi w leczeniu.

- Zgadza się - Murphy zaskoczony był jej reakcją.

- Ale Charles dowie się, co zrobiłam! - zawołała. - Tego mi pan nie
Powiedział. O Boże!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Choć słońce zgodnie z kalendarzem zaszło o czwartej trzydzieści, nikt w Nowej Anglii, włącznie z Charlesem, który o tej porze parkował właśnie u wylotu Main Street w Shaftesbury, tego nie widział. Znad Wielkich Jezior napłynęła olbrzymia nawała chmur. Meteorolodzy usiłowali ustalić, czy zderzy się ona z prądem ciepłego powietrza napływającego z Zatoki Meksykańskiej. Wszyscy się zgadzali, że będzie padać śnieg, nie wiedzieli jednak, ile ani kiedy.

O piątej trzydzieści Charles wciąż siedział za kierownicą forda zaparkowanego za porzuconymi starymi tkalniami. Co jakiś czas zdrapywał z szyby zbierający się szron i wyglądał na zewnątrz. Czekał, aż zrobi się zupełnie ciemno. By nie marznąć, co kwadrans uruchamiał na pięć minut silnik na jałowym biegu. Tuż po szóstej, gdy niebo zrobiło się jednostajnie czarne, wysiadł z samochodu.

Oświetlona samotną lampą przy wejściu do biura, przetwórnia Recycle Ltd znajdowała się dwieście jardów dalej. Zaczął padać śnieg, wielkie płatki osiadały na ziemi jak pierze, podrywane powiewami wiatru.

Charles otworzył bagażnik i wy dostał swój sprzęt: polaroid, latarkę i kilka słoików. Potem ruszył przez śnieg ku przetwórni. Zostawiwszy Cathryn w szpitalu, usiłował jakoś dojść do ładu z targającymi go sprzecznymi emocjami. Wciąż nie mógł podjąć decyzji w sprawie leczenia Michelle, choć intuicja podpowiadała mu, że remisja nie

nastąpi. Nie potrafił się zdobyć na odrzucenie chemioterapii, z drugiej jednak strony nie chciał, by córka cierpiała więcej niż to konieczne. Czuł się schwytyany w pułapkę. W tej sytuacji wyprawa do przetwórnicy i próba uzyskania jakichś niepodważalnych dowodów wylewania benzenu zaspokajała przynajmniej potrzebę działania. Podeszedłszy do budynku, zatrzymał się i wyrzwał zza węgła. Miał teraz przed sobą cały ciągnący się wzdłuż rzeki szereg starych tkalni.

Z polaroidem i latarką w kieszeniach płaszcz oraz słoikami w rękach Charles wyszedł zza rogu i ruszył w stronę rzeki Pawtomack. Z początku szedł wzdłuż ogrodzenia. Gdy zniknęła mu z oczu oświetlająca teren przetwórnicy lampa, przeciął pustą parcelę i dotarł do siatki niedaleko brzegu. Przerzucił przez ogrodzenie najpierw słoiki, a potem latarkę. Spadły miękko w śnieg. Przewiesiwszy aparat przez ramię, zaczął się wspinać na siatkę. Zachwiał się na jej szczycie, zeskoczył, lądując na stopach, potknął się jednak i przewrócił na plecy. Obawiając się, by nikt go nie zobaczył na otwartej przestrzeni, spieszenie zebrał swe rzeczy i przemknął w cień starej fabryki.

Odczekał kilka chwil, nasłuchując znajomych odgłosów z wnętrza przetwórnicy. Z miejsca, w którym stał, widział prawie w całości zamrożoną rzekę i drzewa na przeciwległym brzegu. Pawtomack miał w tym miejscu mniej więcej pięćdziesiąt jardów szerokości. Gdy odzyskał oddech, zaczął brnąć wzdłuż ściany w stronę rogu budynku nad rzeką. Iść było ciężko, ponieważ pod śniegiem znajdowało się mnóstwo najrozmaitszego śmiecia.

Dotarł do rogu i osłaniając oczy przed leniwie spadającymi płatkami, przypatrzył się celowi swej wyprawy: dwóm metalowym zbiornikom. Niestety znajdowały się blisko przeciwległego końca budynku. Oczekawszy chwilę, Charles ruszył między rdzewiejącymi resztkami poskręcanej maszyneryi. Po kilku krokach znalazł się przed zagradzającym dalszą drogę rowem odpływowym wyłożonym granitem. Miał on mniej więcej dziesięć stóp szerokości i pięć głębokości. Rów wybiegał spod niskiego łuku w ścianie przetwórnicy i kierował się prosto ku brzegowi rzeki, gdzie jego koniec przykryty był

deskami. Mniej więcej w połowie przeciwległej ściany rowu odbiegał niewielki kanał odprowadzający do dużej zatoczki. Ciecz w rowie i zatoczce była nie zamrożona i wydzielala łatwą do rozpoznania kwaśną woń zużytych przemysłowych chemikaliów.

Tuż pod ścianą przetwórnicy Charles dostrzegł przerzucone przez rów dwie solidne deski. Zbliżył się, odstawił słoiki i przewrócił deski na bok, by strząsnąć z nich śnieg i lód, następnie z wielką ostrożnością przeszedł przez prowizoryczny mostek, przytrzymując się lewą dłonią ściany, a pod prawą pachą ściskając słoiki.

Po drugiej stronie rowu teren opadał. Charles zbliżył się do zatoczki. Były jak sklecone urządzenia, zwłaszcza tama przegradzająca rów, nie pozostawiała wątpliwości, że zawartość zatoczki stale spływa do rzeki. Postanowił wziąć próbkę syropowatej cieczy. Nachylił się nad brzegiem i trzymając za skraj słoika nabrał mniej więcej pół litra ospale bulgoczącego ścieku. Garścią śniegu wytarł słoik, zakręcił go i zostawił, by zabrać w drodze powrotnej. Chciał jeszcze zrobić zdjęcie tamy, stanowiącej jedyną zaporę przed całkowitym opróżnieniem chemicznych odpadów do rzeki.

Wally Crab pracujący przy piecach przetapiających gumę zrobił sobie wcześniejszą przerwę na kolację, by porzucić w karty z dwoma kumplami: Angelo De Jesusem i Giorgio Brezowskim. Siedząc w stołówce przy jednym z rozkładanych stolików, grali dla odmiany nie w pokera, lecz w oko, machinalnie jedząc kanapki. Wally'emu szło dziś nieszczególnie. Do szóstej był do tyłu jakieś trzynaście dolarów i nie zapowiadało się, że się odegra. Na domiar złego Brezowski dokuczał mu, po każdym rozdaniu uśmiechając się szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła w niemym przesłaniu: „Nic z tego, palancie”. Brezo stracił przednie zęby w rozróbie w knajpie w Lowell w stanie Massachusetts dwa lata temu.

Teraz podał Wally'emu zakrytą kartę i czwórkę pik; Wally dobrał jeszcze jedną kartę. Okazało się, że ma ponad dwadzieścia jeden.

- Kurwa! - warknął, rzucając karty na stół i wysuwając masywne nogi spod stolika. Wstał i podszedł do automatu z papierosami.

- Wypadasz, duży? - spytał kąśliwie Brezo, wracając do gry z Angelem.

Wally nie odpowiedział. Wrzucił monety do szczeliny, nacisnął guzik z nazwą swych ulubionych papierosów i czekał. Nic nie nastąpiło, przynajmniej w automacie. Wally natomiast miał wrażenie, że gdzieś w jego głowie trzasnęła naciągnięta do granic wytrzymałości struna. Wymierzył maszynie potężnego kopniaka, tak że przechyliła się i uderzyła o ścianę. Odchylając rękę, by wymierzyć prawym sierpowym w okolice szczeliny na pieniądze, zauważył za oknem błysk.

Ku rozczarowaniu Breza i Angela - mieli nadzieję zobaczyć całkowite zniszczenie automatu - Wally opuścił odwiedzone ramię i przycisnął twarz do szyby.

- Kurwa, co jest, zbiera się na burzę? - spytał. Wtedy ponownie dostrzegł błysk, tym razem jednak umiejscowił jego źródło. Przez ułamek sekundy dostrzegł również sylwetkę z rękami uniesionymi do twarzy i rozstawionymi nogami.

- Jasna cholera, to aparat fotograficzny - powiedział zaskoczony. - Ktoś robi zdjęcia zatoczki.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer biura Nata Archera. Zameldował przełożonemu, co zobaczył.

- To musi być ten świr Martel - powiedział Nat Archer. - Kto jest z tobą, Wally?

- Tylko Brezo i Angelo.

- Może pójdziecie zobaczyć, kto to taki. Jeśli to Martel, dajcie mu nauczkę. Pan Dawson kazał mi dopilnować, gdyby się tu pokazał, żeby to była jego ostatnia wizyta. Pamiętajcie, ten facet władował się tu bezprawnie. Nie ma prawa wstępu.

- Załatwione - powiedział Wally, odkładając słuchawkę. Odwrócił się do kumpli i wyłamując palce powiedział: - Szykuje się zabawa, bierzcie kapoty.

Sfotografowawszy tamę, Charles dotarł do zbiorników. Przyświecając sobie latarką, usiłował zorientować się w labiryncie rur i zastawek. Jedna rura wiodła prosto do odgrodzonego fragmentu parkingu i najwyraźniej służyła jako odprowadzenie. Inna odchodziła od zbiorników i poprzez trójnik łączyła się z kanałem zbierającym wodę z rynien i doprowadzającym ją do brzegu rzeki. Zachowując wielką ostrożność, by nie pośliznąć się na skarpie, Charles wspiął się na jakieś dwadzieścia stóp nad powierzchnię wody. Kanał burzowy kończył się raptownie, a jego zawartość wlewała się prosto do rzeki. Czuć było wyraźnie woń benzenu, a wprost pod rurą połykiwała woda. Reszta rzeki była całkowicie zamarznięta i pokryta śniegiem. Po zrobieniu kilku zdjęć rury Charles wychylił się i nabrał do drugiego słoika próbkę wody ściekającej z otworu. Zdecydowawszy, że wystarczy, zakręcił słoik i postawił koło pierwszego. Prawie skończył; jego wyprawa okazała się bardziej owocna, niż się spodziewał. Chciał jeszcze sfotografować trójnik łączący rurę odprowadzającą ze zbiorników z kanałem burzowym oraz rurę odprowadzającą w miejscu, gdzie wychodziła z przetwórni.

Zerwał się niewielki wiatr, miotając płatki śniegu w twarz. Przed zrobieniem zdjęcia Charles odgarnął śnieg z trójnika i spojrzał przez celownik aparatu. Nie było to zadowalające ujęcie. Chciał mieć trójnik i zbiorniki na jednym zdjęciu, przeszedł więc na drugą stronę rury, przykucnął i jeszcze raz sprawdził kadr. Usatysfakcjonowany nacisnął wyzwalacz, ale nic się nie stało. Spojrzawszy na aparat zauważył, że nie włączył flesza. Naprawił błąd i sprawdził ponownie. W kadrze mieściły się teraz zbiornik, rura odprowadzająca i trójnik łączący z kanałem burzowym. Idealnie. Nacisnął wyzwalacz.

Zaraz po błysku lampy poczuł gwałtowne szarpnięcie - wyrwano mu aparat z rąk. Podniósł wzrok na trzy rysujące się na tle nieba sylwetki w kurtkach z kapturami. Przyparli go do zbiorników. Zanim zdążył się ruszyć, aparat został wrzucony w sam środek zatoczki.

Charles wstał, starając się dostrzec twarze pod kapturami. Dwóch niższych mężczyzn przyskoczyło do niego bez słowa i złapało za

ramiona. Zaskoczony szybkością wydarzeń, nawet nie starał się opierać. Trzeci masywny mężczyzna przeszukał kieszenie jego płaszcza, natrafiając na niewielką kolekcję fotografii. Jeden ruch dłoni i zdjęcia podążyły za aparatem do zbiornika pełnego chemikaliów. Pływając po powierzchni wyglądały jak wafle.

Mężczyźni puścili Charlesa i odsunęli się. Wciąż nie mógł dostrzec ich twarzy, przez co wyglądali tym bardziej przerażająco. Ogarnęła go panika, usiłował wymknąć się między zbiornikiem a jednym z niższych mężczyzn.

Tamten zareagował natychmiast, waląc Charlesa pięścią w nos. Po brodzie pociekła mu strużka krwi.

- Nieźle, Brezo - zarechotał Wally.

Charles rozpoznał jego głos.

Mężczyźni naporli na niego, spychając w stronę zatoczki, aż potknął się o rury. Drażniąc się z nim, klepali go otwartymi dłońmi po twarzy, okładali po uszach. Daremnie usiłował uchylać się przed ciosami. Tymczasem wszyscy trzej dogadywali:

- Ładujesz się, gdzie cię nie proszą, co?

- Szukasz kłopotów?

- Chyba znalazłeś.

Zepchnęli go na sam skraj zatoczki ziejącej kwaśnym smrodem. Cios kantem dłoni strącił mu do niej czapkę.

- Masz ochotę zanurkować? - spytał złośliwie Wally. Zasłoniwszy twarz dłonią, drugą ręką Charles wyciągnął z kieszeni latarkę i zamachnął się w stronę prześladowcy, który stał najbliżej. Brezo z łatwością uniknął ciosu przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. Trafiając w pustkę Charles stracił równowagę, pośliznął się i wylądował na czworakach w grząskim mule. Latarka się rozbiła.

Uchyliwszy się od ciosu, Brezo również zaczął balansować na skraju cuchnącej cieczy. By do niej nie wpaść, musiał cofnąć się o krok, grzęznąc do pół łydki w szlamie, zanim Wally wyciągnął go szarpnięciem za kurtkę.

- Kurwa! - krzyknął Brezo, czując, jak żrąca maź zaczyna parzyć mu

skórę. Wiedział, że musi splukać nogę tak szybko, jak to tylko możliwe. Angelo zarzucił sobie na bark jego ramię, objął kuśtykającego Breza w pasie i obydwaj pospieszyli ku wejściu do przetworni.

Charles wygramolił się na równe nogi i skoczył w stronę dwóch desek spinających brzegi rowu odpływowego. Wally wyrzucił rękę w jego stronę, ale nie trafił. Z rozmachu pośliznął się i padł na kolana. Mimo swej tuszy natychmiast poderwał się z powrotem. Zapominając o lęku przed spadnięciem z desek, Charles z łoskotem przebiegł na drugą stronę. Pomyślał o zepchnięciu desek do rowu, ale Wally był na to zbyt blisko.

Bojąc się, że zostanie wrzucony do trującej cieczy, Charles biegł co sił w nogach, ale szybkie posuwanie się nie było łatwe. Najpierw musiał się przedzierać przez resztki wyrzuconych maszyn, potem brnąć w śniegu. Wreszcie dotarł przez zagracony dziedziniec do ogrodzenia. Wally napotykał te same przeszkody, ponieważ jednak był na znajomym terenie, rozwinął lepsze tempo.

Charles zaczął się wspinać na siatkę, na nieszczęście jednak wybrał środek między dwoma słupkami. Siatka zaczęła się kołysać, gdy znalazł się pod jej szczytem, on zaś nie miał się czego uchwycić.

Wally Crab dobiegł do ogrodzenia i zaczął nim gwałtownie trząść. Charles musiał ze wszystkich sił bronić się przed upadkiem, a o dalszej wspinaczce nie było mowy. Wyciągniętą ręką Wally schwycił go za kostkę. Charles usiłował uwolnić nogę, lecz napastnik trzymał ją mocno i z całej siły ściągał w dół.

Charles odpadł od siatki prosto na Wally'ego. Rozpaczliwie zaczął grzebać w śniegu w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się obronić. Natrafił na stary but. Rzucił nim w Craba i choć nie trafił, pozwoliło mu to zerwać się i rzucić wzdłuż ogrodzenia w stronę rzeki. Miał poczucie, że znalazł się w jednej klatce z wściekłym zwierzęciem.

Bieg przy siatce był prawie niemożliwy. Zamarznięta pokrywa śniegu czasami wytrzymywała ciężar ciała, czasami nie - nie sposób było tego ocenić przed postawieniem nogi. Pod śniegiem zaś kryły się najrozmaitsze śmiecie - począwszy od świeżych odpadów i opon po

części starych maszyn, o które Charles się potykał. W obawie, że lada chwila zostanie schwytany, obejrzał się za siebie. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by się zorientować, że bieg z przeszkodami ku rzece jest dla Wally'ego równie trudny, co dla niego. Charles dobiegł do brzegu pierwszy. Był to właściwie ledwie kontrolowany upadek. Wyrzuciwszy w bok ręce, Charles ześliznął się ze skarpy i zahamował w miejscu, gdzie lód wystawał nad brzeg. Unikając nie zamrażniętej łąty, wygramolił się na lód, starając się zachować równowagę. Wally schodził ze skarpy ostrożniej, przez co zwiększył się dzielący ich dystans. Gdy tamten dotarł na brzeg, Charles okrążył już wysuniętą w rzekę część ogrodzenia i wdrapywał się na brzeg.

Gdy był prawie na szczycie skarpy, pośliznął się i obsunął w dół. Ogarnięty paniką, zaczął wymachiwać rękami, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. W ostatniej chwili natrafił na niewielki krzak i wyhamował. Usiłował wspiąć się z powrotem, ale bez powodzenia. Prześladowca wyminął siatkę i zmierzał w jego stronę. Był już coraz bliżej.

Wally wyciągnął rękę, by chwycić Charlesa za nogę. Zabrakło mu paru cali, po czym zaczął się poruszać jak gdyby w zwolnionym tempie. Wyprężył nogi, nic to jednak nie dało. Z początku powoli, potem coraz szybciej zjechał ze skarpy.

Ze zdwojonym wysiłkiem Charles podjął próbę pokonania ostatnich pięciu jardów. Kopiąc czubkami butów w zbocze skarpy udawało mu się tworzyć prowizoryczne stopnie. W ten sposób cal po calu piął się w górę, dopóki nie przerzucił ciała przez brzeg skarpy. Podciągnął pod siebie stopy i powoli podniósł się, wyczuwając pod śniegiem kamienie i kawałki cegieł. Obruszył je kopniakami i wybrał kilka z nich. Wally ponowił atak na skarpe; znajdował się już zaledwie pięć stóp od jej szczytu.

Charles zaczął rzucać kamieniami. Jeden trafił napastnika w bark. Wally stęknął z bólu i próbował przytrzymać się drugą ręką skarpy, ale osunął się w dół. Charles szybko wydostał spod śniegu jeszcze kilka kamieni i ponowił ostrzał. Wally zasłonił głowę rękami i zlął z powrotem na lód.

Charles rzucił się biegiem wzdłuż rzędu opuszczonych tkalni, zamierzając okrążyć najbliższą i zawrócić do parkującego sto jardów dalej forda. Gdy Jednak skręcił, zauważył w oddali błyski latarek po drugiej stronie ogrodzenia. Snopy światła skierowały się w jego stronę. Gdy na chwilę go oślepiły, zrozumiał, że został zauważony. Nie miał wyboru, rzucił się ku opuszczonemu budynkowi fabrycznemu.

Kiedy wpadł do środka, ogarnęły go nieprzeniknione ciemności. Zataczając rękami półkola wolno posuwał się do przodu, póki nie natrafił na ścianę. Jak w labiryncie posuwał się wzdłuż niej, aż trafił na drzwi. Schylił się, obmacał podłogę, znalazł trochę gruzu i cisnął go przez otwór. Usłyszał, jak uderza w przeciwległą ścianę i spada na podłogę. Nie odrywając dłoni od framugi, Charles wyciągnął drugą rękę w ciemność i dotknął palcami ściany, w którą trafił gruz. Trzymając się niej ruszył dalej.

Gdy usłyszał za sobą krzyki, wpadł w popłoch. Musiał się gdzieś ukryć. Był przekonany, że ścigający go szaleńcy z przetwórnicy mają zamiar go zabić. Zapewne chcieli go wrzucić do zatoczki z chemikaliami, zamierzając upozorować wypadek. W końcu rzeczywiście znalazł się na terenie fabryki nielegalnie i można było sobie wyobrazić, że w ciemnościach pośliznął się i wpadł do owej ciecicy. Skoro firma wylewała bez skrupułów trucizny do rzeki, względy moralne na pewno nie mogły tu mieć większego znaczenia.

Dotarł do załomu muru. Wytężył wzrok, nie widział jednak nawet własnej dłoni, którą przesunął przed twarzą. Schylił się, podniósł kilka kamyczków i cisnął je w ciemność, by przekonać się, jak daleko znajduje się przeciwległa ściana. Czekał, aż rozlegnie się odgłos uderzenia o ścianę, a potem o posadzkę. Nic takiego nie nastąpiło. Po długiej chwili dosłyszał w oddali słaby plusk. Skulił się i cofnął o krok. Przed nim nie było podłogi - być może znalazł się przed starym szybem windy.

Kolejne kamienie rzucił prostopadle do ściany. Od razu uderzyły w ścianę. Charles namacał ją wyciągniętą dłonią. Zaczął czubkami butów rozkopywać odpadły tynk na posadzce, by upewnić się, że minął szyb windy. Gdy się o tym przekonał, ruszył nieco szybciej, odzyskując nieco

pewność siebie. Nie miał pojęcia, jak daleko zaszedł, podejrzewał jednak, że dość spory kawałek. Wreszcie jego dłoń trafiła na kolejną framugę. Macając dalej, napotkał drewniane drzwi, uchylone mniej więcej na stopę. Klamki nie było. Pchnął je i otworzyły się opornie, zaczepiając o śmiecie na posadzce. Bardzo ostrożnie wszedł do środka, wysuwając przed siebie prawą stopę. W nozdrzach wiercił go obrzydliwy zapach stęchlizny. Natrafił na zwój materiału, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że to stary, gnijący dywan.

Za plecami usłyszał, jak ktoś wrzeszczy w przepastnych czeluściach za nim:

- Martel, chcemy z tobą porozmawiać!

Krzyk odbił się echem w ciemnościach. Potem usłyszał ciężki łomot butów i ściszone głosy. Czując nowy przyływ lęku, puścił drzwi i ruszył przez halę wymachując przed sobą rękami i licząc na znalezienie jakiejś kryjówki. Prawie natychmiast potknął się o kolejny dywan i uderzył w jakiś niski metalowy przedmiot. Obmacał go i stwierdził, że to najprawdopodobniej jakaś szafka przewrócona na bok. Okrążył ją i skulił się za stertą śmierdzących szmat. Zakopał się pod nimi najdokładniej, jak mógł, słysząc tupot drobnych nówek. Miał nadzieję, że zakłócił spokój tylko myszom, a nie czemuś większemu.

Poza fosforyzującym cyferblatem zegarka nie widział niczego. Czekał, wsłuchując się w swój chrapliwy oddech i łomoczący głośno w uszach puls. Znalazł się w pułapce, nie miał dokąd uciec. Mogli z nim zrobić, co im się podobało; nikt nie znalazłby jego ciała, zwłaszcza gdyby wrzucono je do starego szybu windy. Jeszcze nigdy nie czuł tak bezmiernej grozy.

Na korytarzu zamigotało światło, rzucając nikle odbłaski do pomieszczenia, w którym się znajdował. Ludzie z latarkami szli w jego kierunku. Przez moment światło zniknęło i zapanowała całkowita ciemność. Usłyszał odległy plusk po wrzuceniu czegoś do szybu windy, a potem śmiech.

Prześladowcy wrócili na korytarz, zbliżając się coraz bardziej. Słyszał teraz każdy ich krok. Z przeraźliwym skrzypnięciem drzwi

otworzyły się nagle i ostry snop światła zaczął błędzić po hali.

Charles wcisnął głowę w ramiona jak żółw, mając nadzieję, że prześladowca zadowoli się pobieżnym zajrzeniem do środka. Stało się jednak inaczej. Usłyszał, jak mężczyzna kopie stary dywan. Światło latarki pełzało wolno po podłodze. Ogarnęła go panika, gdy uświadomił sobie, że niechybnie zostanie wykryty.

Wyskoczył zza swej marnej osłony i rzucił się ku drzwiom. Mężczyzna obrócił się na pięcie i oświetlił go w wejściu latarką.

- Tu jest! - wrzasnął.

Zamierzając wydostać się tą samą drogą, którą tu przybył, Charles pobiegł korytarzem. Natychmiast zderzył się z kolejnym prześladowcą, który chwycił go upuszczając przy tym latarkę. Charles wymierzył cios na oślep, desperacko próbując się uwolnić. Zanim jeszcze poczuł ból, ugięły się pod nim nogi. Mężczyzna zdzielił go pałką pod kolana.

Charles zwałił się na ziemię, a napastnik zaczął szukać latarki. Z ciemności wynurzył się drugi mężczyzna i oświetlił scenę swoją latarką. Wreszcie udało się Charlesowi rzucić okiem na człowieka, który go uderzył. Z zaskoczeniem stwierdził, że ma przed sobą Franka Neilsona, szefa posterunku policji w Shaftesbury. Widok niebieskiego munduru z wszystkimi szykanami, włącznie z kaburą z bronią, nigdy jeszcze nie sprawił mu takiej przyjemności.

- No dobrze, Martel, gra skończona, wstawaj! - powiedział Neilson, Wsuwając pałkę w skórzane olstro. Był to krępy mężczyzna z przylizanymi włosami i brzuszkiem wypiętrzającym się tuż spod klatki piersiowej i zapadającym nad paskiem. Szyję miał tak grubą jak udo Charlesa.

- Cieszę się, że pana widzę - radość Charlesa była całkiem szczerą, mimo że został uderzony.

- Nie wątpię. - Frank podniósł go szarpnięciem za kołnierz.

Charles zachwiał się przez moment, nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

- Kajdanki? - spytał drugi policjant. Nazywał się Bernie Crawford i w odróżnieniu od szefa był wysoki i szczupły jak napastnik w drużynie

koszykówki.

- Cholera, nie - powiedział Frank. - Wynośmy się z tego sracza.

Bernie ruszył przodem, za nim podążył Charles, a na końcu Frank. W tym porządku opuścili tkalnię. Mijając szyb windy, Charles zdrzął na myśl, jak niewiele brakowało, by weń wpadł. Po drodze zastanawiał się, co miało znaczyć pytanie Crawforda o kajdanki. Najwidoczniej z przetwórci złożono meldunek na policję.

Wszyscy trzej milczeli idąc przez pustą parcelę ku wozowi patrolowemu. Charlesa wepchnięto na tylne siedzenie, oddzielone od przedniego grubą siatką. Frank zapuścił silnik i ruszyli od krawężnika.

- Przepraszam, mój samochód jest tam - powiedział Charles przez siatkę, nachylając się w przód.

- Wiem, gdzie stoi - rzekł Frank.

Charles opadł z powrotem na siedzenie, próbując się uspokoić. Serce wciąż łomotało mu w piersi, a nogi potwornie bolały. Wyrzał przez okienko, starając się zorientować, czy zabierają go na posterunek, ale wóz nie zawrócił. Zamiast tego skierował się na południe i wyjechał na parking Recycle Ltd.

Charles znów pochylił się do przodu.

- Proszę posłuchać, potrzebuję waszej pomocy. Muszę mieć niezbite dowody, że przetwórcia wylewa do Pawtomacku trujące odpady. Właśnie próbowałem je zdobyć, kiedy napadnięto na mnie i zniszczono mój aparat fotograficzny.

- To ty posłuchaj, chłopie - powiedział Neilson. - Otrzymaliśmy telefon, że znajdujesz się nielegalnie na terenie przetwórci. Na dodatek napadłeś na jednego z pracowników i wepchnąłeś go do jakiegoś kwasu. A wczoraj zawracałeś głowę zmianowemu, Natowi Archerowi.

Charles znów oparł się wygodnie, uświadomił sobie, że będzie musiał przejść przez całe postępowanie, jakie przewidywał Neilson. Zapewne chciano ponad wszelką wątpliwość ustalić jego tożsamość. Rozdrażnienie znów wzięło górę nad chwilowym poczuciem ulgi. Niemniej pogodził się z myślą, że powędruje na posterunek.

Zatrzymali się w pewnej odległości od wejścia do przetwórci. Frank

nacisnął trzy razy klakson. Po chwili aluminiowe drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Nat Archer. Za nim podążał jeden z niższych napastników z nogą zakutaną po kolana w bandażu.

Frank precyzyjnie się zza kierownicy, okrążył samochód i otworzył Charlesowi drzwiczki.

- Wsiadaj! - rzucił krótko.

Charles usłuchał. Ziemię pokrywało mniej więcej półtora cala świeżego śniegu, na którym się pośliznął. Miejsce, w które trafił pałką Neilson, bolało bardziej, gdy stał.

Nat Archer i jego towarzysze dobrnęli do samochodu policyjnego.

- To ten człowiek? - spytał Neilson, wkładając do ust płatek gumy do żucia.

Archer spojrzał na Charlesa i powiedział:

- Zgadza się, to on.

- I co, zamierzacie wnieść oskarżenie? - spytał Neilson, głośno żując gumę.

Archer bez słowa zawrócił do przetwórnicy.

Neilson, nie przestając obracać gumy w ustach, okrążył samochód i wsiadł do środka.

Zdezorientowany Charles obrócił się ku Brezowi, który stał naprzeciw niego, odsłaniając dziąsła w bezzębny uśmiech. Biegnąca przez policzek blizna sprawiała, że był to nieco krzywy uśmieszek.

Zupełnie niespodziewanie Brezowski wymierzył mu potężny cios w brzuch. W ostatniej chwili Charlesowi udało się zasłonić łokciem, ale i tak zgiął się wpół z bólu i osunął na zimną ziemię, próbując odzyskać oddech. Brezo stał nad nim spodziewając się dalszego ciągu, ponieważ jednak przeciwnik się nie podnosił, kopnął mu w twarz trochę śniegu i utykając lekko odszedł.

Charles podniósł się na czworaki. Na chwilę ból odebrał mu zdolność myślenia. Usłyszał, że drzwiczki samochodu otwierają się i poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię. Przytrzymując się za bok, dał się zaprowadzić do wozu patrolowego. Gdy tylko znalazł się w środku, pozwolił głowie opaść do tyłu na oparcie.

Czuł, jak samochód rusza z poślizgiem, lecz nic go to nie obchodziło. Nie otwierał oczu. Samo oddychanie sprawiało mu wielki ból. Wkrótce potem samochód stanął i drzwiczki się otworzyły. Charles podniósł powieki i napotkał spojrzenie Franka Neilsona.

- Spadaj, frajerze. Powinieneś się cieszyć, że wywinąłeś się tak łatwo.
- Chwycił go i wyciągnął z samochodu. Charles poczuł zawrót głowy. Neilson zamknął tylne drzwiczki i usiadł za kierownicą. Otworzył boczne okienko. - Lepiej trzymaj się z dala od przetwórnicy. Po mieście rozniosło się błyskawicznie, że chcesz narobić kłopotów. Coś ci powiem. Jak się nie odczepisz, napytasz sobie więcej biedy, niż ci się śniło. Miasto żyje z przetwórnicy i jeśli będziesz starał się to zmienić, my, stróże prawa, nie możemy za nic ręczyć. Ani za twoje bezpieczeństwo, ani twojej rodziny. Przemyśl to sobie.

Frank zasunął okienko i ruszył z miejsca, zostawiając go na krawężniku, pogrążonego po kostki w zimnej breji. Pinto stał dwadzieścia stóp dalej, przykryty całunem śniegu. Mimo bólu Charles czuł, jak wzbiera w nim zimna furia. Przeciwności stanowiły dla niego zawsze potężny bodziec do działania.

Cathryn i Gina sprzątały kuchnię, gdy usłyszały wjeżdżające na podjazd auto. Cathryn podbiegła do okna i odciągnęła kraciastą zasłonkę. Żarliwie pragnęła, by był to Charles; nie miała od niego wiadomości od chwili, gdy opuścił szpital. Nikt nie odpowiadał na jej telefony do laboratorium. Wiedziała, że musi mu powiedzieć o wniosku złożonym w sądzie. Nie mogła dopuścić, by dowiedział się o tym dopiero rano po doręczeniu postanowienia.

Wpatrując się w światła nadjeżdżającego auta złapała się na tym, że szepcze:

- Charles, żebyś to był ty, proszę.

Samochód wziął ostatni zakręt i minął okno. Cathryn odetchnęła: był to Pinto. Odwróciła się i wyjęła z dłoni zaskoczony Giny ścierkę do naczyń.

- To Charles, mam. Mogłabyś przejść do innego pokoju? Chciałabym chwilę porozmawiać z nim sama.

Gina usiłowała zaprotestować, Cathryn przyłożyła jednak matce palec do warg, uciszając ją delikatnie.

- To ważne.

- Poradzisz sobie?

- Oczywiście - powiedziała Cathryn, popychając Ginę ku drzwiom.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Podeszła do drzwi. Otworzyła je, gdy Charles wszedł po schodkach. Zanim jeszcze wyraźnie dostrzegła jego twarz, doleciała ją woń, jaką roztaczał: stęchły odór kojarzący się z zalegającymi w szafę w lecie wilgotnymi ręcznikami. Gdy wszedł w światło lampy, zobaczyła jego rozbity, opuchnięty nos. Na górnej wardze widać było grudkę zakrzepłej krwi, a cała twarz osobliwie poczerniała.

Kurtkę miał całą w plamach, a spodnie rozdarte na prawym kolanie. Najbardziej jednak niepokojący był wyraz jego twarzy, na której malowały się napięcie i z trudem hamowany gniew.

- Charles? - Wiedziała, że stało się coś strasznego. Zamartwiała się o niego całe popołudnie i okazało się, że nie bez racji.

- Na razie nie mów nic - powiedział, unikając jej dotknięcia. Zdjąwszy płaszcz, skierował się do telefonu i zaczął nerwowo przerzucać kartki w notesie z numerami.

Cathryn wyciągnęła z szafki czystą ścierkę do naczyń, zmoczyła jej skraj i spróbowała otrzeć twarz Charlesa, by ustalić, skąd krwawi.

- Chryste, Cathryn, nie możesz chwilę poczekać? - warknął, odpychając ją od siebie.

Cathryn odsunęła się. Miała wrażenie, że stoi przed nią ktoś obcy. Patrzyła, jak gniewnie naciskając klawisze wystukuje numer.

- Dawson? - krzyknął do słuchawki. - Nie obchodzi mnie, czy masz policję i całe to pieprzone miasto w kieszeni. Nie ujdzie ci to na sucho! - Swą przemowę zakończył trzaśnięciem słuchawki na widełki. Nie spodziewał się odpowiedzi i wołał pierwszy się rozłączyć.

Potem trochę się uspokoił. Przez chwilę powolnymi okrężnymi

ruchami masował sobie skronie, wreszcie powiedział:

- Nie miałem pojęcia, że nasze ciche, spokojne miasteczko jest tak skorumpowane.

Jego głos brzmiał prawie normalnie. Cathryn poczuła ulgę.

- Co ci się stało? Pokaleczyłeś się!

Charles spojrział na nią, potrząsnął głową i ku jej zaskoczeniu roześmiał się.

- Najbardziej ucierpiała moja godność. Trudno jednego wieczora wyzbyć się przekonania, że jest się mężczyzną. Nic mi nie jest, to tylko zadrapania. Choć w pewnym momencie myślałem, że koniec ze mną. Teraz chciałbym się czegoś napić. Soku owocowego, czegokolwiek.

- W kuchence trzymam dla ciebie ciepły obiad.

- Boże, nie dam rady niczego zjeść - Charles powoli opadł na kuchenne krzesło. - Ale pić mi się chce jak cholera.

Jego dłonie drżały, gdy położył je na stole. Brzuch go bolał w miejscu, gdzie został uderzony.

Cathryn naląła szklankę soku jabłkowego i zaniósła ją do stołu. Spostrzegając kątem oka stojącą w drzwiach z niewinną miną Ginę, bez słowa gniewnym gestem poleciła jej wracać do salonu, i usiadła przy stole. Na razie postanowiła nic nie mówić o postanowieniu sądu.

- Masz krew na twarzy - powiedziała z troską.

Charles otarł nos wierzchem dłoni i wpatrzył się w zakrzepłą krew.

- Sukinsyny! - rzekł.

Zaczął pić sok. Zapanowało milczenie.

- Powiesz mi wreszcie, gdzie byłeś i co się stało? - spytała w końcu Cathryn.

- Najpierw wolałbym się dowiedzieć, co z Michelle - Charles odstawił szklankę na stół.

- Jesteś pewny? - spytała Cathryn. Wyciągnęła dłoń i położyła ją na rękę męża.

- Co to znaczy, czy jestem pewny? - warknął. - Oczywiście, że tak.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - powiedziała Cathryn. - Wiem, że się o nią martwisz. Ja z kolei martwię się o ciebie. Tak bardzo

się przejąłeś komplikacjami u Michelle.

- Coś jeszcze się zdarzyło? - spytał Charles, podnosząc głos. Bał się, że to wstęp do strasznych wieści.

- Proszę, uspokój się - powiedziała łagodnie Cathryn.

- No to powiedz mi, co z Michelle.

- Ma wciąż gorączkę. Wyższa niż przedtem i to martwi lekarzy.

- Och, Boże!

- Poza tym chyba wszystko w porządku. Jej tętno utrzymuje się w normie. - Cathryn bała się powiedzieć, że Michelle zaczęły wypadać włosy. Doktor Keitzman oświadczył, że to oczekiwany, całkowicie ustępujący uboczny skutek leczenia.

- Ma jakieś objawy remisji? - spytał Charles.

- Nie wydaje mi się. Nic nie mówili.

- Jak wysoką ma gorączkę?

- Dość wysoką. Kiedy wychodziłam, miała czterdzieści stopni.

- Dlaczego wróciłaś? Dlaczego nie zostałaś?

- Chciałam, ale lekarze mi nie pozwolili. Powiedzieli, że rodzice chorych dzieci nie powinni zaniedbywać reszty rodziny. Zapewnili mnie, że i tak w niczym nie mogę pomóc. Miałam zostać? Nie wiedziałam, że powinnam. Szkoda, że cię tam nie było.

- Och, Boże - powtórzył Charles. - Ktoś powinien z nią być. Wysoka gorączka to zły objaw. Leki najwyraźniej uszkadzają jej naturalną odporność, nie niszcząc komórek białaczkowych. Wysoka gorączka w tym stadium oznacza infekcję. - Wstał nagle. - Wracam do szpitala - powiedział zdecydowanie. - Natychmiast.

- Ale po co, Charles? Co możesz poradzić? - Cathryn zerwała się na równe nogi, czując przyływ paniki.

- Chcę być przy niej. Poza tym zdecydowałem się. Trzeba zaprzestać kuracji, a przynajmniej stosować zwykłe dawki. Jeśli te eksperymenty coś by dały, liczba komórek białaczkowych we krwi powinna się zmniejszyć. Zamiast tego jest ich pewnie coraz więcej.

- Ale wobec innych dzieci leczenie okazało się skuteczne. - Cathryn wiedziała, że musi odwieść Charlesa od pojechania do szpitala. Gdyby

tam się znalazł, doszłoby do starcia, sytuacji dramatycznej.

- Wiem, że chemioterapia okazywała się skuteczna - powiedział Charles. - Niestety nie w przypadku Michelle. Normalne postępowanie już zawiodło. Nie pozwolę, żeby na mojej córce eksperymentowano. Keitzman miał swoją szansę. Nie dopuszczę, żeby zmarła z wycieńczenia na moich oczach jak Ellizabeth.

Ruszył ku drzwiom.

Cathryn chwyciła go za rękaw.

- Charles, błagam cię, nie możesz tam jechać. Wyglądasz okropnie.

Spojrząwszy na siebie Charles spostrzegł, że żona ma rację. Ale czy to naprawdę takie ważne? Zawahał się, po czym pobiegł na górę, przebrał się i umył twarz oraz ręce. Kiedy zszedł na dół, Cathryn zorientowała się, że nie odwiedzie go od postanowienia. Zdecydował się pojechać do szpitala i przerwać chemioterapię Michelle, odebrać jej jedyną szansę. Jeszcze raz zachował się dokładnie tak, jak przewidzieli lekarze. Uświadomiła sobie, że musi mu natychmiast powiedzieć o przejęciu pełni praw rodzicielskich. Nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę.

Charles zaczął szukać kluczyków w kieszeni wyświechtanej kurtki. Cathryn oparła się o stół, zaciskając dłonie na krawędzi blatu.

- Charles - zaczęła mówić spokojnie. - Nie możesz przerwać leczenia Michelle.

Charles znalazł kluczyki.

- Owszem, mogę - oświadczył z pewnością siebie.

- Załatwiłam, że nie możesz.

Znieruchomiał z ręką na klamce kuchennych drzwi. Słowo „załatwiłam” zabrzmiało w jego uszach złowieszczo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę, żebyś zawrócił, zdjął kurtkę i usiadł - Cathryn mówiła takim tonem, jakby zwracała się do krnąbrnego nastolatka. Charles podszedł do niej.

- Chyba lepiej będzie, jeśli mi powiesz, co takiego załatwiłaś.

Choć nigdy przedtem nic podobnego nie wydawałoby się jej

możliwe, spoglądając w jego zwężone oczy Cathryn poczuła ukłucie lęku.

- Po tym, jak w pośpiechu opuściłeś szpital, odbyłam rozmowę z doktorem Keitzmanem i doktorem Wileym. Ich zdaniem znajdujesz się w wielkim napięciu i może nie jesteś w stanie podejmować słusznych decyzji w sprawie leczenia Michelle. - Cathryn z rozmysłem starała się powtarzać zwroty zasłyszane w czasie owej rozmowy.

Najbardziej bała się, jak Charles zareaguje na jej współudział w tym wszystkim. Chciała podkreślić, że wyraziła zgodę z najwyższą niechęcią. Podniosła wzrok na jego twarz. Niebieskie oczy patrzyły na nią zimno.

- Radca prawny szpitala orzekł, że Michelle trzeba wyznaczyć czasowego opiekuna. Lekarze się z tym zgodzili. Powiedzieli mi, że mogą zrobić to beze mnie, ale będzie łatwiej, jeśli będę z nimi współpracować. To była ciężka decyzja, ale wydaje mi się, że słuszna. Przejęłam pełnię praw rodzicielskich, bo uważałam, że jedno z nas musi podjąć odpowiedzialność.

- I co dalej? - spytał Charles. Jego twarz zaczęła nabierać matowej czerwonej barwy.

- Załatwiono przesłuchanie przed sędzią w trybie pilnym - Cathryn zdawała sobie sprawę, że przedstawia to wszystko niewłaściwie i w niewłaściwej chwili. Pogarszała tylko sytuację, ciągnęła jednak z uporem: - Sędzia zgodził się, że Michelle powinna być leczona w uznany sposób, zalecany przez doktora Keitzmana. Wyznaczono mnie jako jej czasowego opiekuna i przekazano mi pełnię praw rodzicielskich. Tylko tymczasowo; za trzy dni odbędzie się wstępna rozprawa, a pełna za trzy tygodnie. Sędzia wyznaczył też kuratora ze swojej strony. Wierz mi, Charles, zrobiłam to wszystko dla Michelle, nie przeciw tobie lub po to, żeby stawać między tobą a nią.

Szukała w jego twarzy krzty zrozumienia. Znalazła jedynie wściekłość.

- Charles! - zawołała. - Proszę, uwierz mi! Lekarze przekonali mnie, że nie wytrzymujesz napięcia. Nie jesteś sobą! Spójrz tylko na siebie.

Doktor Keitzman jest znanym na całym świecie specjalistą w leczeniu białaczek u dzieci. Zrobiłam to dla dobra Michelle! To tylko na pewien czas, uwierz mi! - wybuchnęła płaczem.

W drzwiach do kuchni pojawiła się nagle Gina.

- Wszystko w porządku? - zapytała bojaźliwie.

- Mam nadzieję, że to wszystko nieprawda - powiedział bardzo powoli Charles, nie spuszczać oczu z Cathryn. - Mam nadzieję, że to sobie wymyśliłaś.

- To prawda - wydusiła z siebie z trudem. - To prawda. Pojechałeś sobie, więc zrobiłam to, co wydawało mi się najlepsze. Jutro rano dostaniesz postanowienie sądu.

Charles wybuchnął z gwałtownością, o jaką nigdy by go nie podejrzewała. Wyładował gniew na pierwszej z brzegu rzeczy, która była pod ręką - stercie naczyń. Podniósł je ze zlewu nad głowę i roztrzaskał o podłogę. Odłamki porcelany poleciały we wszystkie strony.

- Nie zniosę tego! Wszyscy są przeciw mnie! Wszyscy!!!

Cathryn skuliła się koło zlewu, bojąc się poruszyć. Gina stała jak przykuta w drzwiach. Chciała się rzucić do ucieczki, ale bała się o córkę.

- Michelle to moje dziecko, krew z mojej krwi! - krzyczał Charles. - Nikt mi jej nie odbierze.

- To też moja adoptowana córka - wyszlochała Cathryn. - Kocham ją tak samo mocno jak ty. - Pokonując lęk, chwyciła Charlesa za klapy kurtki i potrząsnęła nim z całych sił. - Uspokój się, proszę cię! - zawołała z rozpaczą.

Tego już było Charlesowi za wiele. Odruchowo zamachnął się i z przesadną mocą odtrącił jej ręce. Siłą rozpędu mimowolnie zahaczył dłonią o jej twarz. Cathryn zatoczyła się na zlew.

Gina wpadła z krzykiem do kuchni, przewracając po drodze krzesło. Wcisnęła swą korpulentną postać między oszołomioną córkę i Charlesa. Przeżegnała się i zaczęła się modlić.

Charles brutalnie odepchnął ją na bok, chwycił Cathryn za ramiona i potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

- Masz zadzwonić do sądu i odwołać całe postępowanie, rozumiesz?!

Chuck, który usłyszał łoskot, zbiegł po schodach. Jednym spojrzeniem obrzucił całą scenę i rzucił się z tyłu na ojca, chwytając go w pasie i przyciskając mu ramiona do ciała. Charles bez powodzenia spróbował się wyszarpnąć. Wypuścił w końcu Cathryn i łokciem dźgnął Chucka w żołądek. Chłopak z trudem wyrzucił z siebie powietrze. Charles obrócił się i pchnął go tak silnie, że Chuck uderzył głową o podłogę.

Cathryn zaczęła krzyczeć. Katastrofa narastała jak reakcja łańcuchowa. Skuliła się nad Chuckiem, chcąc go zasłonić przed ojcem. W tym momencie Charles uświadomił sobie, że zaatakował własnego syna. Zrobił krok do przodu, lecz Cathryn krzyknęła, osłaniając zgiętego w pół chłopaka. Pomiedzy nich wsunęła się Gina, szepcząc coś o diable.

Charles podniósł wzrok i zobaczył w drzwiach wystraszoną twarz Jeana Paula. Chłopiec cofnął się, widząc wyraz oczu ojca. Podniósłszy spojrzenie na pozostałych, Charles doznał przytłaczającego poczucia wyobcowania. Pod wpływem impulsu obrócił się na pięcie i jak burza wypadł z domu.

Gina zamknęła za nim drzwi, podczas gdy Cathryn posadziła Chucka na jednym z krzeseł. Usłyszeli, jak pinto wyjeżdża spod domu.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - krzyknął Chuck, trzymając się obydwiema rękami za brzuch.

- Nie, nie - powiedziała kojącem tonem Cathryn. - To wszystko zły sen. Obudzimy się i wszystko się skończy.

- Twoje oko! - wykrzyknęła Gina. Podbiegła do córki i podniosła jej głowę.

- Nic mi nie jest.

- Nic? Już się robi sine. Przyłóż sobie lepiej lód.

Cathryn podniosła się i spojrzała na swoje odbicie w lusterku w korytarzu. Na prawej brwi miała niewielkie skaleczenie i rzeczywiście zaczynał się tworzyć siniec. Zanim wróciła do kuchni, Gina wyjęła tackę z lodem.

W drzwiach pojawił się ponownie Jean Paul.

- Jeśli cię jeszcze raz uderzy, zabiję go - syknął Chuck.

- Charlesie juniorze - ucięła sucho Cathryn. - Nie życzę sobie, żebyś mówił w ten sposób. Charles nie panuje nad sobą, nie wytrzymuje napięcia. Poza tym nie chciał mnie uderzyć. Usiłował mi się wyrwać.

- Jestem pewna, że ma w sobie diabła - powiedziała Gina.

- Zamilczcie wszyscy - zażądała stanowczo Cathryn.

- Myśle, że zwariował - upierał się Chuck.

Cathryn zaczerpnęła tchu, szykując się do udzielenia chłopcu reprimendy, zawahała się jednak, bo uwaga ta kazała zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście Charles nie przechodzi załamania nerwowego. Lekarze twierdzili, że to możliwe, a we wszystkich innych sprawach mieli przecież rację. Zastanawiała się, skąd znajdzie w sobie dość sił, by nie pozwolić rodzinie się rozpaść. Przede wszystkim trzeba im zapewnić bezpieczeństwo. Jeszcze nigdy nie widziała, by Charles stracił panowanie nad sobą. Doszedłszy do wniosku, że najlepiej będzie zasięgnąć rady fachowca, wykreśliła numer doktora Keitzmana.

Przywołany Keitzman zadzwonił pięć minut później. Opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło, włącznie z tym, że Charles postanowił przerwać leczenie Michelle. Dodała też, że wyjechał samochodem, prawdopodobnie do szpitala.

- Wygląda na to, że w porę złożyliśmy wniosek o kuratelę - powiedział doktor Keitzman.

Cathryn nie była w nastroju do składania sobie gratulacji.

- Możliwe, ale martwię się o Charlesa. Nie wiem, czego się po nim spodziewać.

- Na tym właśnie polega kłopot - stwierdził Keitzman. - Może okazać się niebezpieczny.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Nie będziemy tego wiedzieć na pewno, dopóki nie obejrzy go fachowiec. Proszę mi jednak wierzyć, jest taka możliwość. Może powinna pani wyprowadzić się z domu na dzień czy dwa. Musi pani mieć na względzie rodzinę.

- Chyba moglibyśmy przenieść się do mojej matki - powiedziała Cathryn. Rzeczywiście nie mogła myśleć tylko o sobie.

- Uważam, że tak byłoby najlepiej. Tylko do czasu, dopóki Charles się nie uspokoi.

- A jeśli Charles pojechał właśnie do szpitala?

- Tym proszę się nie martwić. Ostrzegę dyżurnych i przekażę, że czasowo pani dysponuje pełnią praw rodzicielskich. Proszę się nie przejmować, wszystko będzie w porządku.

Cathryn odłożyła słuchawkę z poczuciem, iż nie podziela optymizmu doktora Keitzmana. Wciąż miała uczucie, że sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Pół godziny później Cathryn, Gina i obydwaj chłopcy z ciężkim sercem wyszli z domu, zabierając torby z najniezbędniejszymi rzeczami, i wsiedli do kombi. Podrzucili Jeana Paula do kolegi ze szkoły, który go zapraszał, a sami pojechali do Bostonu. Przez całą drogę żadne z nich się nie odezwało.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy Charles dotarł do Kliniki Pediatricznej, było po dziewiątej. Odmiennie niż w ciągu dnia, na ulicy przed szpitalem panował spokój. Bez trudu znalazł miejsce na zaparkowanie przed księgarnią medyczną. Wszedł do szpitala głównym wejściem i wjechał pustą windą na oddział szósty w skrzydle imienia Andersena.

Ktoś go zagadnął, gdy mijał dyżurkę, ale on nawet się nie obrócił. Dotarł do izolatki Michelle i wśliznął się do środka przez uchylone drzwi. Było tu ciemniej niż na korytarzu, światło padało jedynie z niewielkiej lampki nocnej nisko nad podłogą. Przez chwilę Charles stał nieruchomo, pozwalając oczom przystosować się do mroku. Dostrzegł kardiomonitor po drugiej stronie łóżka. Sygnał dźwiękowy oznaczający kolejne skurcze został wyłączony, lecz zielona plamka wciąż kreśliła zygzak na ekranie. Przewody do kroplówek prowadziły do obydwu ramion Michelle. Założony na lewe przedramię wenflon miał dodatkowe wejście z wierzchu. Charles wiedział, że jest ono wykorzystywane do podawania leków cytostatycznych.

W milczeniu przysunął się bliżej łóżka, nie spuszczać wzroku z twarzy córki. W pewnym momencie uświadomił sobie, że Michelle ma otwarte oczy. Dziewczynka śledziła każdy jego ruch.

- Michelle? - szepnął.

- Tato? - wyszeptała Michelle w odpowiedzi. Myślała, że to jeszcze jeden laborant zakradający się, by chyłkiem pobrać jej krew. Charles

czule uściskał córkę. Wydała mu się znacznie lżejsza. Usiłowała odwzajemnić uścisk, zabrakło jej jednak sił. Przytulił swój policzek do jej twarzy i delikatnie kołysał ją w ramionach. Czuł, że jest rozpalona z gorączki.

Przyjrząwszy się jej z bliska stwierdził, że wargi ma pokryte owrzodzeniami.

Był tak wstrząśnięty, że zabrakło mu nawet łez. Życie było niesprawiedliwe, stanowiło okrutne doświadczenie, w którym szczęście i nadzieja to jedynie przelotne iluzje, zaostające gorycz nieuniknionej tragedii.

Tuląc córkę, Charles pomyślał o swoich wyczynach w przetwórni odpadów i zrobiło mu się wstyd. Rozumiał oczywiście swą potrzebę zemsty, w tych okolicznościach powinien jednak pożyteczniej spędzać czas. Dwunastoletnia dziewczynka bez wątplenia nic nie obchodziła pracowników fabryki, z łatwością zwalnających się z poczucia odpowiedzialności. A co robiło środowisko onkologiczne? Czy ich to cokolwiek obchodziło? Po tym, co spotkało go ze strony administracji instytutu, Charles miał wątpliwości. Ironia polegała na tym, że ludzie sprawujący kierownicze funkcje w owym skostniałym i nieruchawym środowisku równie łatwo mogli zapaść na chorobę nowotworową co reszta społeczeństwa.

- Tato, dlaczego masz tak spuchnięty nos? - spytała Michelle, spoglądając w twarz ojca.

Uśmiechnął się rozczulony. Sama będąc tak chora troszczyła się o niego! Niewiarygodne!

Naprawdę zmyślił historyjkę, jak pośliznął się na śniegu i komicznie upadł prosto na twarz. Michelle roześmiała się, jej wzrok pozostał jednak poważny.

- Tato, czy ja wyzdrowieję?

Charles mimowolnie zawahał się, nie przygotowany na to pytanie.

- Oczywiście - powiedział z uśmiechem, starając się zatrzeć wrażenie wywołane chwilą milczenia. - Prawdę mówiąc, nie sędzę, żebyś potrzebowała więcej tych leków. - Wstał, wskazując przewód do

kroplówki. - Wyjmę ci to, dobrze?

Michelle nachmurzyła się. Nie chciała, by ktokolwiek znowu ruszał wenflon.

- Nie będzie bolało - Charles zręcznie wyjął wkłucie do kroplówki i przycisnął zgięcie łokcia palcem. - Drugie wkłucie jeszcze zostanie na wypadek, gdyby twoje serduszko znów zaczęło szaleć. - Poklepał Michelle po piersi.

Nagle zapaliły się świetlówki, zalewając wnętrze jaskrawym blaskiem. Do pokoju weszła pielęgniarka w towarzystwie dwóch strażników.

- Przykro mi, proszę pana, ale musi pan stąd wyjść. - Pielęgniarka zauważyła zwisający luźno przewód do kroplówki i gniewnie potrząsnęła głową.

Charles nie odpowiedział. Usiadł na brzegu łóżka Michelle i wziął ją w ramiona.

Pielęgniarka dała znak strażnikom, by jej pomogli. Podeszli do Charlesa i delikatnie zaczęli go odciągać w stronę wyjścia.

- Jeśli będzie się pan opierał, możemy pana aresztować - powiedziała pielęgniarka. - Nie chcę jednak tego robić.

Charles pozwolił strażnikom oderwać swe ręce od Michelle.

Dziewczynka przeniosła wzrok ze strażników na ojca.

- Dlaczego mieliby cię aresztować, tato?

- Nie wiem - odparł z uśmiechem. - Chyba to nie pora na odwiedziny. - Wstał, pochylił się i pocałował córkę. - Zachowuj się grzecznie. Niedługo się zobaczymy.

Pielęgniarka wyłączyła górne oświetlenie. Charles pomachał w drzwiach ręką, Michelle odpowiedziała tym samym.

- Nie powinien pan wyjmować tego wenflonu - stwierdziła surowo pielęgniarka w drodze do dyżurki.

Charles nic nie odpowiedział.

- Jeśli pragnie pan odwiedzać córkę - ciągnęła - musi pan to zrobić podczas przewidzianych na to godzin, i nie sam.

- Chciałbym zobaczyć historię jej choroby - powiedział uprzejmie,

jakby nie słysząc tego, co mówiła.

Kobieta nie przystanęła; wyraźnie nie spodobała się jej ta prośba.

- Mam do tego prawo - oświadczył Charles. - Poza tym jestem lekarzem.

Zgodziła się niechętnie. Wszedł z nią do przyległej do dyżurki salki, w której przechowywano dokumenty. Historia choroby Michelle wisiała niewinnie w wyznaczonym miejscu. Charles wyjął ją i rozłożył. Serce mu zamarło. Tego popołudnia zrobiono Michelle kontrolną morfologię. Choć się tego spodziewał, poczuł wstrząs, gdy zobaczył, że liczba komórek białaczkowych jeszcze się zwiększyła.

Nie było wątpliwości, że chemioterapia nie odnosi żadnego skutku. Przyciągnął do siebie telefon i poprosił o rozmowę z doktorem Keitzmanem. Czekał, aż zostanie przywołany, przejrzał pozostałe dane. Najbardziej zaniepokoił go wykres gorączki. W czasie popołudnia utrzymywała się w okolicach 38°C, by pod wieczór wzrosnąć do 40°C. Przeczytał starannie wpisaną na maszynie konsultację kardiologiczną. Doktor Brubaker wniosowała, że epizod częstoskurczu komórkowego mógł być wywołany zarówno szybkim podaniem drugiej dawki daunorubicyny, jak i białaczkowym nacieczeniem mięśnia sercowego, czy też kombinacją tych czynników. W tym momencie zadzwonił telefon.

Był to doktor Keitzman. Obaj starali się zachowywać wobec siebie serdecznie.

- Jako lekarz bez wątpienia zdaje sobie pan sprawę, że często stajemy wobec dylematu, czy trzymać się uznanej, najlepszej metody leczenia, czy też ustąpić wobec woli pacjenta czy jego rodziny - mówił Keitzman. - Osobiście jestem zwolennikiem pierwszego podejścia. Gdy raz zacznie się robić wyjątki od tej zasady, bez względu na przyczyny, to tak jakby otworzyć puszkę Pandory. Wobec tego coraz częściej musimy szukać pomocy sądów.

- Ale najwyraźniej chemioterapia w przypadku Michelle nic nie daje - Powiedział Charles, starając się zachować spokój.

- Na razie nie, ale to dopiero pierwsze dni - odrzekł Keitzman. -

Mamy nadal szansę. Poza tym tylko takimi możliwościami dysponujemy.

- Wydaje mi się, że zagłusza pan tylko własne sumienie.

Doktor Keitzman nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że w słowach Charlesa tkwi ziarno prawdy. Jednakże myśl, że można by zaniechać leczenia, zwłaszcza wobec dziecka, była dla niego nie do przyjęcia.

- Jeszcze jedno - rzekł Charles. - Czy sądzi pan, że białaczkę Michelle mógł wywołać benzen?

- Możliwe - odparł Keitzman. - To białaczka tego rodzaju, w której nie jest to wykluczone. Była wystawiona na jego działanie?

- Przez długi czas - powiedział Charles. - Przetwórnia odpadów wylewa benzen do rzeki, która zasila nasz staw. Skłonny byłby pan stwierdzić, że właśnie to wywołało białaczkę Michelle?

- Nie mógłbym tego stwierdzić. Przykro mi, ale to tylko poszlaki. Ponadto tego, że benzen wywołuje białaczkę, dowiedziono niepodważalnie jedynie w przypadku zwierząt laboratoryjnych.

- Co, jak obaj wiemy, oznacza, że stosuje się to również do ludzi.

- To prawda, ale nie są to dowody, jakie można by przedstawić w sądzie. Zostaje margines wątpliwości, choćby był niezmiernie mały.

- Więc nie może mi pan w tej sprawie pomóc? - spytał Charles.

- Przykro mi, ale nie - odrzekł Keitzman. - Jest jednak coś, co mogę zrobić, i uważam to za swój obowiązek. Chciałbym pana namówić, żeby zasięgnął pan porady psychiatry. Przeżył pan straszny wstrząs.

Charles już miał powiedzieć Keitzmanowi, żeby się odpieprzył, ale poprzestał na odłożeniu słuchawki. Wstając rozważał, czy nie wśliznąć się z powrotem do pokoju Michelle. Uświadomił sobie jednak, że na razie to niemożliwe. Pielęgniarka wpatrywała się w niego jak jastrząb, a jeden ze strażników pozostał na oddziale, kartkując jakiś magazyn ilustrowany Charles wrócił do windy i nacisnął guzik. Czekać zaczął rozważać, co jeszcze może począć. Działał na własną rękę, a po czekającej go następnego dnia rozmowie z Ibanem pewnie nie będzie już niczym skrzepowany.

Ellen Sheldon przybyła do Instytutu później niż zwykle. Mimo to niespiesznie szła do wejścia, bo było bardzo ślisko. Poprzedniej nocy bostońska pogoda potwierdziła krążące o niej opinie. Zaczęło się od deszczu, który przeszedł w śnieg i z powrotem w deszcz. W rezultacie wszystko zamarzło. Gdy wreszcie Ellen dotarła do drzwi wejściowych, była prawie dokładnie ósma trzydzieści. Spóźniła się, zresztą z paru powodów. Po pierwsze nie miała pewności, czy w ogóle zastanie Charlesa, nie musiała więc przygotowywać laboratorium. Po drugie zasiedziała się wczoraj do późna. Pogwałciła jedną ze swych podstawowych zasad: nigdy nie umawiaj się na kolację pod wpływem chwili. Kiedy jednak powiadomiła wczoraj doktora Mormona, że Charles nie ma zamiaru kończyć prac nad kanceranem, udało mu się ją przekonać, by zwolniła się na resztę dnia. Wziął także numer jej telefonu, by poinformować ją o wyniku rozmowy z Charlesem i Weinburgerami. Morrison zadzwonił, choć tego nie oczekiwała, powiedział jej, że Charles ma dwadzieścia cztery godziny do namysłu i że zostanie zwolniony, jeśli nie podporządkuje się woli kierownictwa instytutu. Następnie zaprosił ją na kolację. Doszedłszy do wniosku, że to spotkanie niejako w sprawach służbowych, Ellen przystała na propozycję i wcale tego nie żałowała. Doktor Morrison nie był może sobowtórem Paula Newmana, był jednak fascynującym mężczyzną, bezsprzecznie mającym wiele do powiedzenia w środowisku naukowym.

Nacisnęła klamkę drzwi laboratorium i ze zdziwieniem stwierdziła, że są otwarte. Charles był już pogrążony w pracy.

- Myślałem, że może dziś nie przyjdiesz - przywitał ją dobrodusznie.

Ellen zdjęła płaszcz, walcząc z niejakim poczuciem winy.

- Nie sądziłam, że tu będziesz.

- Nie? Właściwie przepracowałem tu większą część nocy.

Ellen podeszła do jego biurka. Charles zapełnił już kilka stron rozłożonej przed sobą nowej książki laboratoryjnej drobnym, równym pismem. Wyglądał strasznie. Splątane włosy podkreślały początki

łysiny na czubku głowy. W oczach miał znużenie i zdecydowanie powinien się ogolić.

- Co robisz? - spytała, chcąc się zorientować w jego nastroju.

- Haruję - odparł, podnosząc probówkę. - Mam trochę dobrych wiadomości. Nasza metoda izolowania antygeny białkowej z nowotworów u zwierząt sprawdza się równie dobrze u ludzi. Hybridoma, do której wykorzystałem komórki białaczkowe Michelle, działa jak szalona.

Ellen skinęła głową. Zaczęło być jej żal Charlesa Martela.

- Sprawdziłem również myszy, którym wstrzyknęliśmy antygen raka sutka. Dwie z nich wykazują słabe, ale niewątpliwe i dobrze rokujące przejawy aktywności immunologicznej. Co ty na to? Chciałbym, żebyś wstrzyknęła im dzisiaj kolejną dawkę antygeny, a jeszcze jednej grupie myszy zaczęła podawać antygen białaczkowy Michelle.

- Ależ, Charles - powiedziała ze współczuciem Ellen. - Nie wolno nam tego robić.

Charles ostrożnie odstawił probówkę, jak gdyby zawierała nitroglicerynę, i zwrócił się ku asystentce.

- Na razie jeszcze kieruję tym laboratorium - powiedział opanowanym, może zbyt opanowanym głosem.

Ellen znowu skinęła głową. Prawdę mówiąc zaczynała się go trochę bać. Bez słowa uprzątnęła blat i przygotowała się do wstrzyknięcia antygeny myszom. Kątem oka obserwowała, jak Charles zagłębia się w lekturze leżących na biurku papierów. Spojrzała na zegar. Nieco po dziewiątej przeprosi Charlesa, wyjdzie z laboratorium i zadzwoni do Petera.

Tuż po rozpoczęciu dnia pracy w instytucie Charlesowi doręczono postanowienie sądu dotyczące wstępnej rozprawy ex parte w kwestii przeniesienia praw rodzicielskich i wyznaczenia kuratora z urzędu. Odebrał bez słowa dokument dostarczony przez gońca z biura szeryfa i dopiero teraz zabrał się do jego przejrzenia. Nie miał cierpliwości do przedzierania się przez żargon prawniczy. Przerzucił pobieżnie

dokumenty, zadowolając się ustaleniem, że jego obecność wymagana jest w czasie wstępnej rozprawy za trzy dni. Włożył papiery z powrotem do koperty i odrzucił ją na bok. Potrzebny mu będzie adwokat.

Sprawdził, która godzina, i podniósł słuchawkę. Najpierw zadzwonił do Johna Randolpha, burmistrza Shaftesbury. Randolph był również właścicielem sklepu żelaznego w miasteczku, Charles tam właśnie go spotykał.

- Chciałbym złożyć skargę na postępowanie policji z Shaftesbury - oświadczył po konwencjonalnych przywitaniach.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o tym, co miało miejsce zeszłej nocy w przetwórni - odpowiedział John.

- Właśnie o tym - rzekł Charles.

- Wszystko już wiemy o tych wypadkach - powiedział John. - Frank Neilson spotkał się na śniadaniu w restauracji z trzema radnymi. Opowiedzieli mi wszystko. Wygląda na to, że miałeś szczęście, że Frank się tam zjawił.

- Z początku też tak myślałem - rzekł Charles. - Zmieniłem zdanie, kiedy zawiózł mnie z powrotem do fabryki, żeby jakiś półgłówek mógł mnie pobić.

- O tym nie słyszałem - przyznał John. - Słyszałem tylko, że wdarłeś się bezprawnie na teren fabryki i wepchnąłeś kogoś do jakiegoś kwasu. Na miłość boską, dlaczego rozrabiasz? Przecież jesteś lekarzem, prawda? Chyba powinieneś się zachowywać inaczej.

Nagły przypływ gniewu zaćmił rozsądek Charlesa. Zaczął z podnieceniem tłumaczyć, że Recycle Ltd wylewa do rzeki benzen i inne trujące chemikalia. Powiedział burmistrzowi, że dla dobra społeczności należy zamknąć przetwórnę.

- Nie wydaje mi się, żeby społeczność przyjęła zamknięcie fabryki z wdzięcznością - powiedział John, kiedy Charles wreszcie skończył. - Zanim powstała, było tu mnóstwo bezrobotnych. Dobrobyt naszego miasteczka zależy bezpośrednio od przetwórni.

- Wasze pojęcie o dobrobycie polega chyba na liczbie sprzedanych

pralek.

- Między innymi - zgodził się John.

- Chryste! - krzyknął Charles. - Śmiertelne choroby u dzieci, takie jak anemia aplastyczna czy białaczka, to trochę za wysoka cena za dobrobyt, nie uważasz?

- Nic mi o tym nie wiadomo - oświadczył spokojnie burmistrz.

- Myślę, że nie chcesz nic o tym wiedzieć.

- Oskarżasz mnie o coś?

- Masz rację, cholera. Oskarżam cię o nieodpowiedzialność. Nawet gdyby była tylko możliwość, że Recycle Ltd wylewa do rzeki trujące świństwa, należałoby zamknąć przetwórnię do czasu zbadania sprawy. Ryzyko jest za wielkie, żeby się przejmować paroma podłymi posadami.

- Łatwo ci mówić. Jesteś lekarzem i nie musisz się martwić o pieniądze. Te posady są ważne dla miasta i ludzi pracujących w przetwórnii. A jeśli chodzi o skargę na pracę policji - dlaczego pakujesz nos w nie swoje sprawy? To właśnie powiedzieli dziś radni. Nie potrzebujemy tu żadnych absolwentów Harvardu pouczających nas, jak mamy żyć!

Charles usłyszał znajome szcęknięcie położonej słuchawki. I tyle wskórałem, pomyślał.

Wiedząc, że gniew nic tu nie pomoże, wykręcił numer Agencji Ochrony Środowiska i poprosił panią Amendola z Wydziału Sankcji. Ku jego zaskoczeniu natychmiast odpowiedział mu nosowy głos samej pani Amendola. Charles przedstawił się i opowiedział, co znalazł w Recycle Ltd.

- Zbiornik, w którym przechowywany jest benzen, ma bezpośrednie połączenie z odpływem deszczówki z dachu - powiedział.

- Niezbyt wymyślnie - przyznała.

- Trudno chyba o większą bezczelność - zgodził się Charles. - Na domiar złego mają tam basenik chemikaliów, skąd bezpośrednio spływają do rzeki.

- Zrobił pan zdjęcia? - spytała pani Amendola.

- Próbowałem, ale bez skutku. Może wasi ludzie będą mieli więcej

szczęścia ode mnie. - Nie widział powodu, dla którego miałby opowiadać urzędnicze Agencji Ochrony Środowiska, w jaki sposób stracił aparat fotograficzny. Zrobiłby to, gdyby miało to w czymś pomóc, podejrzewał jednak, że tylko zniechęciłby agencję.

- Podzwonię trochę - powiedziała pani Amendola. - Ale nie mogę niczego obiecać. Byłabym w lepszej sytuacji, gdybym dysponowała pisemnym oświadczeniem, które mi pan przyrzekł, i kilkoma zdjęciami, choćby najpodlejszymi.

Charles odpowiedział, że postara się o nie jak najszybciej, byłby jednak wdzięczny, gdyby przystąpiła do działania, opierając się na informacjach, których dostarczył jej do tej pory. Odkładając słuchawkę, nie był wcale przekonany, czy cokolwiek zostanie w tej sprawie zrobione. Wrócił do stołu laboratoryjnego i przyglądał się przygotowaniu Ellen. Nie przeszkadzał jej, ponieważ była od niego zręczniejsza. Zajął się wobec tego sporządzaniem rozcieńczeń antygenu nowotworowego Michelle do wstrzyknięcia myszom. Pobierając określone ilości antygeny przechowywanego w jałowej probówce, zachował wymogi sterylności. By uzyskać żądane rozcieńczenia, poddawał do antygeny różne ilości jałowej soli fizjologicznej, po czym resztkę antygeny schował do lodówki.

Przekazał gotowe preparaty Ellen i polecił wstrzyknąć je myszom. Powiedział jej, że jedzie szukać adwokata i wróci przed obiadem.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Ellen stała pięć minut nieruchomo, wpatrując się w powoli obracającą się wskazówkę zegara. Później zadzwoniła na portiernię upewnić się, że Charles rzeczywiście opuścił budynek. Dopiero wtedy zadzwoniła do Morrisona. Gdy tylko podniósł słuchawkę, powiadomiła go, że Martel nie zaprzestał własnych badań, lecz wręcz przeciwnie, i że dziwnie się zachowuje.

- Wystarczy - rzekł Morrison. - To kropla przepelniająca kielich. Nikt nie może nas winić, że Charles jest skończony w Instytucie Weinburgera.

Znalezienie przedstawiciela prawnego okazało się trudniejsze, niż Charles się spodziewał. Bezpodstawnie utożsamiając kwalifikacje z

wystawnością, udał się do centrum Bostonu i zostawił samochód w głównym garażu instytucji federalnej. Pierwszy wywierający wrażenie biurowiec, do którego trafił, mieścił się na State Street 1. Zdobila go fontanna, wielkie płyty polerowanego marmuru i mnóstwo barwionego szkła. W spisie instytucji zajmujących budynek figurowało wiele firm prawniczych. Charles wybrał tę na jednym z wyższych pięter: Begelmann, Canaletto and O'Malley, mając nadzieję, że jej wysoka pozycja w gmachu metaforycznie odpowiada jej umiejętnościom. Wysokie jednak okazały się tu wyłącznie honoraria.

Firma najwyraźniej nie liczyła się z tym, że może się w niej znaleźć klient z ulicy. Charles zmuszony był czekać na chippendalowskiej sofce, równie niewygodnej jak marmurowa ławka w parku. Prawnik, który go w końcu przyjął, znajdował się prawdopodobnie bardzo nisko w hierarchii firmy. Na pierwszy rzut oka Charles dałby mu najwyżej jakieś piętnaście lat.

Z początku rozmowa szła dobrze. Młody prawnik wydawał się szczerze zaskoczony, że sędzia zdecydował się przyznać czasowo pełnię praw rodzicielskich i stanowisko opiekuna nie biologicznemu, lecz prawnemu rodzicowi. Jego współczucie znacznie jednak ochłodziło, kiedy się dowiedział, że Charles chciał wstrzymać zalecane leczenie. Mimo to zgodziłby się pomóc, gdyby jego potencjalny klient nie wdał się w gwałtowne oskarżenia wobec przetwórci Recycle Ltd i ojców miasta Shaftesbury. Gdy prawnik zaczął się głośno zastanawiać, o co w tej chwili najbardziej chodzi Charlesowi, wywiązała się sprzeczka. W końcu zarzucił mu pieniactwo, co jeszcze bardziej rozdrażniło klienta, i tak się rozstali.

Charles opuścił budynek, nie zaglądając do innych firm adwokackich tam się mieszczących. Przejrzał żółte kartki w książce telefonicznej w pobliskim drugstorze, pomijając kancelarie działające w modnych dzielnicach, szukając raczej adwokatów pracujących samodzielnie. Zaznaczył kilka nazwisk i zaczął dzwonić pod podane numery, przede wszystkim pytając, czy prawnicy są zajęci, czy też chcą poprowadzić sprawę. Dopiero za piątym razem telefon odebrał sam

adwokat, nie sekretarka. To mu się spodobało. Na jego pytanie prawnik odpowiedział, że przymiera głodem. Charles odpowiedział, że natychmiast przyjeżdża. Zapisał nazwisko i adres: Wayne Thomas, Brattle Street 13, Cambridge.

Nie było tam ani fontanny, ani marmurów, ani witraży. Okazało się, że do domu na Brattle Street 13 wchodzi się od tyłu przez wąski zaułek. Za metalowymi drzwiami pięły się drewniane schody. Na górze było dwoje drzwi. Za jednymi mieścił się gabinet chiromanty, za drugimi „Biuro adwokackie. Wayne Thomas”. Charles wszedł do środka.

- Dobra, bracie, siadaj i mów, o co chodzi - powiedział Wayne Thomas, podsuwając mu krzesło z prostym oparciem, po czym sięgnął po żółty notes.

Charles rozejrzał się po pokoju. Znajdował się tu tylko jeden obraz: portret Abrahama Lincolna, poza tym nic nie zasłaniało świeżo wymalowanego na biało tynku. Przez jedyne okno było widać kawałeczek Harvard Square. Drewnianą podłogę wyraźnie niedawno wycyklinowano i zapastowano. Całość sprawiała wrażenie bezpretensjonalności.

- Urządzaliśmy kancelarię sami z żoną - powiedział Wayne, zauważając błędzące spojrzenie klienta. - Co pan o niej sądzi?

- Podoba mi się - powiedział Charles.

Wayne Thomas nie wyglądał na przymierającego głodem. Był to masywny Murzyn po trzydziestce, mający pełne sześć stóp wzrostu i krzaczastą brodę. W trzyczęściowym, niebieskim, prążkowanym garniturze wyglądał dość imponująco.

Wręczywszy prawnikowi postanowienie sądu, Charles opowiedział, co go sprowadza. Wayne wysłuchał go uważnie, od czasu do czasu coś notując i nie przerywał jak ten młokos z kancelarii Begelman, Canaletto and O'Malley. Potem zadał jeszcze kilka dodatkowych pytań i powiedział:

- Myślę, że do czasu wstępnej rozprawy nic się nam nie uda zrobić w kwestii przeniesienia praw rodzicielskich. Wyznaczywszy kuratora ad litim sędzia jest kryty na wszystkie strony. Poza tym i tak potrzebuję

czasu na przygotowanie sprawy. Jeśli chodzi o Recycle Ltd i władze Shaftesbury, mogę się zabrać za to od ręki. Musimy jednak porozmawiać o zaliczce.

- Biorę trzy tysiące dolarów pożyczki - powiedział Charles. Wayne gwizdnął.

- Nie mówię o aż takiej forsie. Może na początek pięćset.

Charles zgodził się przesłać adwokatowi pieniądze, gdy tylko je dostanie. Podając rękę prawnikowi po raz pierwszy dostrzegł złoty kolczyk w jego uchu.

W drodze powrotnej do instytutu czuł się nieco podniesiony na duchu. Przynajmniej wkroczył na drogę prawną i choćby nawet Wayne'owi ostatecznie niewiele udało się wskórać, tak czy inaczej tamci się przez niego napocą. Z niecierpliwością czekał na otwarcie drzwi z grubego szkła. Panna Andrews, która bez wątpienia go dostrzegła, skończyła wystukiwać wiersz na maszynie do pisania, nim wpuściła go do środka. Gdy ją mijał, podniosła słuchawkę. Nie zapowiadało to niczego dobrego.

Laboratorium zastał puste. Zawołał Ellen: gdy nie odpowiedziała, zajrzał do zwierzętami, tam jej jednak też nie było. Spojrzawszy na zegar, zrozumiał dlaczego. Zniknął na dłużej, niż się spodziewał. Ellen pewnie poszła na obiad. Zbliżył się do stołu laboratoryjnego i zobaczył, że przygotowane przez niego rozcieńczenia antygenu białaczkowego Michelle są nietknięte.

Zadzwoił ponownie do pani Amendola, by dowiedzieć się, czy udało się jej nakłonić do działania ludzi z Wydziału Sankcji. Z ledwie tajonym zniecierpliwieniem powiedziała mu, że jego sprawa nie jest jedyną, którą się zajmuje, i że będzie lepiej, jeśli Charles poczeka, aż sama do niego zadzwoni.

Siląc się na zachowanie spokoju, spróbował się dodzwonić do kierownika regionalnej filii agencji, by złożyć skargę na działanie wydziału, nie zastał go jednak; kierownik był w Waszyngtonie na spotkaniu poświęconym nowym przepisom dotyczącym toksycznych odpadów.

Rozpaczliwie starając się nie tracić wiary w koncepcję rządów przedstawicielskich, zadzwonił do gubernatorów stanów Massachusetts i New Hampshire, w obydwu przypadkach z tym samym skutkiem: nie przedostał się przez sekretarki, które uparcie odsyłały go do Stanowych Rad Kontroli Skażenia Wód. To, co mówił, i to, że już dzwonił do tych organów, okazywało się bez znaczenia - sekretarki były nieugięte. Wobec tego zdecydował się na telefon do senatora stanu Massachusetts z ramienia Partii Demokratycznej.

Z początku zapowiadało się obiecująco. Później jednak zaczęto go przełączać w waszyngtońskim biurze senatora od jednego nisko postawionego urzędnika do drugiego, zanim wreszcie trafił na kogoś mającego niejaki pojęcie o ochronie środowiska. Ale i wtedy, mimo że precyzyjnie określił charakter swej skargi, rozmówca ciągle uciekał od szczegółów i wygłosił dziesięciominutową, najprawdopodobniej z góry przygotowaną mowę propagandową o tym, jak bardzo senator przejmuje się zagrożeniem środowiska. Czekając, aż urzędnik wreszcie przerwie, Charles ujrzał, że do laboratorium wchodzi Peter Morrison. W połowie kolejnej sentencji swego rozmówcy odłożył słuchawkę.

Dwóch mężczyzn mierzyło się wzrokiem z przeciwległych końców laboratorium. Różnice w ich wyglądzie zewnętrznym były wyraźniejsze niż zwykle: Morrison zdawał się tego dnia dołożyć szczególnych starań, by prezentować się nienagannie. Charles natomiast przespał się tej nocy w ubraniu w laboratorium, co nie odbiło się zbyt korzystnie na jego stroju. Dyrektor administracyjny wkroczył ze zwycięskim uśmiechem, ze zdziwieniem stwierdził jednak, że Charles obraca się ku niemu z pogodnym wejrzeniem. Uśmiech Morrisona zgasł.

Charles miał wrażenie, że w końcu go rozgryzł. Były badacz zwrócił się ku karierze administracyjnej, by w ten sposób uratować miłość własną. Za całą tą ogładą i elegancją kryła się świadomość, że naprawdę liczą się naukowcy i że w gruncie rzeczy zdany jest na kompetencje Charlesa, co mu osobiście uwłaczało.

- Ma pan się natychmiast stawić w gabinecie dyrektora - powiedział Morrison. - Niech pan sobie nie zawraca głowy goleniem.

Charles roześmiał się w głos, zdając sobie sprawę, że ostatnia uwaga miała być najwyższą obrażą.

- Jest pan niemożliwy, Martel - rzucił Morrison i wyszedł.

Charles spróbował się wziąć w garść przed pójściem do Ibaneza. Dokładnie wiedział, co go czeka, a mimo to lękał się owego rozstrzygającego spotkania. Wizyta w gabinecie dyrektora stała się ostatnio codziennym rytuałem. Mijając ponure olejne portrety, paru z nich skinął głową. Podszedłszy do panny Evans, uśmiechnął się tylko i nie zatrzymując się, wkroczył do gabinetu doktora Ibaneza, nie zważając na jej rozpaczliwe wysiłki, by go zatrzymać.

Schylony nad ramieniem Ibaneza, Morrison wyprostował się. Wspólnie czytali jakieś papiery. Doktor Ibanez z zakłopotaniem podniósł wzrok.

- Słucham - rzucił napastliwie Charles.

Ibanez spojrzał na Morrisona, który wzruszył ramionami. Dyrektor odchrząknął. Najwyraźniej wolałby, żeby dano mu czas na przygotowanie się do rozmowy.

- Wygląda pan na zmęczonego - powiedział niepewnie.

- Dziękuję za troskę - odrzekł sarkastycznie Charles.

- Panie doktorze, obawiam się, że nie pozostawia nam pan wyboru - powiedział Ibanez, porządkując myśli.

- Tak? - spytał Charles, jakby nieświadom, co dawano mu do zrozumienia.

- Niestety - stwierdził dyrektor. - Ostrzegąłem pana wczoraj. Zgodnie z wolą rady dyrektorów Instytutu Weinburgera zostaje pan zwolniony.

Charlesa ogarnęła mieszanina lęku i gniewu. Ten prześladowający go od dawna zły sen o utracie pracy w końcu stał się rzeczywistością. Starannie ukrywając wszelkie oznaki wzburzenia, skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości, po czym odwrócił się, by wyjść.

- Chwileczkę, panie doktorze - powiedział Ibanez, podnosząc się zza biurka.

Charles zwrócił się w jego stronę.

- Jeszcze nie skończyłem.

Charles spojrział na obydwóch mężczyzn, zastanawiając się, czy nie powinien jednak wyjść. Od tej chwili nie mieli nad nim żadnej władzy.

- Uważam - zaczął Ibanez - że dla pańskiego własnego dobra na przyszłość powinien pan sobie uświadomić, co winien pan jest instytutowi, który pana wspierał. Miał pan prawie całkowicie wolną rękę w prowadzeniu badań, które pana interesowały, więc musi sobie pan zdać sprawę, że należy się nam coś w zamian.

- Być może - odrzekł Charles. Czuł, że Ibanez nie żywi do niego takiej niechęci jak Morrison.

- Doszło do naszej wiadomości, na przykład - ciągnął Ibanez - że pragnie pan zaskarżyć Recycle Ltd.

Charles ożywił się.

- Myślę, że powinien pan pamiętać, że Instytut Weinburgera i Recycle Ltd mają wspólną firmę macierzystą, Breur Chemicals. Można by wobec tego mieć nadzieję, że nie będzie pan zgłaszał żadnych skarg publicznie. Jeśli jest jakiś problem, powinno się go załatwić spokojnie w zamkniętym gronie. Takie są przyjęte zwyczaje.

- Przetwórnia wylewa benzen do rzeki, która przepływa koło mojego domu - warknął Charles. - Wskutek tego córka umiera na białaczkę.

- Podobne oskarżenia są nieodpowiedzialne i nie do udowodnienia - odparł Morrison.

Charles, zaślepiony gniewem, zrobił krok w jego stronę, po chwili przypomniał sobie jednak, gdzie się znajduje. Poza tym rękoczynny nie leżały w jego naturze.

- Charles - rzekł Ibanez. - Odwołuję się tylko do pańskiego poczucia odpowiedzialności. Upraszam pana raz jeszcze, żeby odłożył pan swe badania na czas konieczny do zakończenia doświadczeń nad kanceranem.

Najwyraźniej zirytowany, że Martelowi daje się jeszcze jedną szansę, Morrison odwrócił się do nich plecami i zapatrzył przez okno na rzekę.

- To niemożliwe - uciał Charles. - Biorąc pod uwagę stan mojej córki, czuję się zmuszony ciągnąć swoje doświadczenia ze względu na nią.

Doktor Morrison odwrócił się od okna z zadowolonym wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć „a nie mówiłem?”

- Ma pan nadzieję, że zdąży wynaleźć lekarstwo dla swojej córki? - spytał z niedowierzaniem Ibanez.

- Być może mi się uda - odparł Charles.

Doktor Ibanez i Morrison popatrzyli po sobie. Dyrektor administracyjny znów zwrócił się do okna z miną prawnika, który wygrał sprawę.

- Chyba jednak trochę się pan przecenia - powiedział Ibanez. - Cóż, jak wspomniałem, nie zostawia mi pan wyboru. Na dowód dobrej woli otrzyma pan jednak dwumiesięczną odprawę. Załatwię również, by pańskie ubezpieczenie wygasło dopiero za trzydzieści dni. Ale w ciągu dwóch dni musi pan opuścić laboratorium. Znaleźliśmy już kogoś na pańskie miejsce, kto gotów jest przejąć badania nad kanceranem i zgodnie z naszym życzeniem zakończyć je jak najszybciej.

Charles zmierzył ich obu gniewnym spojrzeniem.

- Nim stąd odejdę, chciałbym coś jeszcze powiedzieć. Uważam za zbrodnię fakt, że firma farmaceutyczna i instytut onkologiczny są kontrolowane przez tę samą firmę macierzystą, zwłaszcza że kadra dyrektorska obydwóch instytucji zasiada w radzie Narodowego Instytutu Onkologicznego i sama sobie przyznaje dotacje. Kanceran to wspaniały przykład tego finansowego kazirodztwa. Lek jest tak toksyczny, że prawdopodobnie nigdy nie da się go zastosować u ludzi, chyba że znów sfalszuje się wyniki badań. Zamierzam to uniemożliwić podając wszystko do wiadomości publicznej.

- Dość tego! - wykrzyknął Ibanez. Uderzył pięścią w biurko; kilka kartek pofrunęło na podłogę. - Niech pan się lepiej nie wtrąca i nie feruje ocen dotyczących skuteczności kanceranu czy etyki postępowania instytutu. A teraz proszę wyjść, zanim cofnę gratyfikacje, z którymi pan odchodzi.

Charles ruszył do drzwi.

- Uważam, że powinien pan udać się do psychiatry - powiedział rzeczowo Morrison.

Nie zdoławszy powstrzymać się od szczeniackich odruchów, Charles odwrócił się i pokazał mu wała, zadowolony, że uwolnił się od zobowiązań wobec instytutu, którym się teraz brzydził.

- Mój Boże! - wykrzyknął Ibanez, gdy za Martelem zamknęły się drzwi. - Co się z nim stało?

- Z przykrością stwierdzam, że uprzedzałem - powiedział Morrison.

Doktor Ibanez opadł na fotel tak ciężko, jak na to pozwalała jego szczupła sylwetka.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to powiem, ale boję się, że Charles jest niebezpieczny.

- Co twoim zdaniem miał na myśli mówiąc, że „poda wszystko do wiadomości publicznej”? - Morrison usiadł, zwracając uwagę, by nie zagnieść starannie zaprasowanych kantów spodni.

- Sam chciałbym wiedzieć - odrzekł Ibanez. - Bardzo się z tego powodu niepokoję. Sądzę, że mógłby wyrządzić niepowetowane szkody badaniom nad kanceranem, nie mówiąc już o tym, jakby się to odbiło na samym instytucie.

- Nie wiem, co możemy zrobić - przyznał Morrison.

- Chyba nic, dopóki nie wykona jakiegoś ruchu - powiedział doktor Ibanez. - Należy go trzymać z dala od prasy, lepiej więc nie rozgłaszajmy, że został zwolniony. Jeśli ktoś będzie pytał, powiemy, że otrzymał bezterminowy urlop z powodu choroby córki.

- Nie sądzę, by należało wspominać o jego córce - zauważył doktor Morrison. - Publiczka uwielbia tego rodzaju historie. Mimowolnie moglibyśmy dać Charlesowi punkt oparcia.

- Masz rację - przyznał Ibanez. - Oświadczymy tylko, że został urlopowany.

- A jeśli sam zwróci się do prasy? - spytał Morrison. - Mogliby to kupić.

- Wciąż uważam, że to mało prawdopodobne - powiedział Ibanez. - Charles nie znosi dziennikarzy. Jeśli jednak tak się stanie, będziemy

musieli go zdyskredytować. Możemy zakwestionować jego równowagę psychiczną. Właściwie możemy to podać jako powód udzielenia urlopu. To zresztą prawda!

Doktor Morrison pozwolił sobie na nikły uśmiezek.

- Cudowny pomysł. Mam przyjaciela psychiatrę, który jak sądzę, w razie potrzeby byłby w stanie nas wspomóc. A może byśmy dla zabezpieczenia się już teraz poprosili go o ekspertyzę, żeby nią dysponować w razie potrzeby?

- Peter, czasami myślę, że za tym biurkiem siedzi niewłaściwy człowiek. Nigdy nie pozwalasz, żeby względy ludzkie przeszkadzały ci w pracy.

Morrison uśmiechnął się, niecałkiem pewien, czy miał to być komplement.

Walcząc z gniewem i rozpaczą, Charles powoli zszedł po schodach. Cóż to za świat, w którym interes zawodowy przedkładano nad moralność zwłaszcza gdy chodziło o medycynę? Cóż to za świat, który odwraca wzrok, gdy niewinna dwunastoletnia dziewczynka umiera na białaczkę?

Wróciwszy do laboratorium, zastał Ellen usadowioną na wysokim stołku, bezmyślnie kartkującą jakiś ilustrowany magazyn. Na widok Charlesa odłożyła pismo i wyprostowała się, wygładzając laboratoryjny fartuch.

- Strasznie mi przykro, Charles - powiedziała, robiąc smutną minę.

- Z jakiego powodu? - spytał spokojnie.

- Że zostałeś zwolniony.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Wiedział, że w instytucie plotki roznosiły się wyjątkowo szybko. Ale tym razem chyba jednak trochę za szybko. Przypomniawszy sobie, że powiedziano jej o dwudziestoczworgodzinnym ultimatum. Pewnie przewidziała, jak to się skończy. Mimo to...

Potrząsnął głową, dziwiąc się swej chorobliwej podejrzliwości.

- Można się było tego spodziewać - powiedział. - Tylko trzeba mi było paru dni, żeby przyznać się przed samym sobą, że nie mógłbym pracować nad kanceranem. Zwłaszcza teraz, kiedy Michelle jest tak chora.

- Co zamierzasz dalej? - spytała Ellen. Kiedy już zobaczyła go pozbawionego wszystkich przywilejów, ogarnęły ją wątpliwości co do własnego postępowania.

- Mam mnóstwo roboty. Wiesz... - urwał. Przez chwilę zastanawiał się czy nie wtajemniczyć jej w swoje plany. Zdecydował się tego nie robić. W ciągu ubiegłych dwudziestu czterech godzin boleśnie uświadomił sobie, że jest zupełnie sam. Rodzina, koledzy i instytucje rządowe byli albo nieużyteczni, albo utrudniali mu działanie, albo też otwarcie zwracali przeciw niemu. Działanie na własną rękę wymagało wyjątkowej odwagi i zdecydowania.

- Co? - spytała Ellen. Przez chwilę miała nadzieję, że Charles zwróci się do niej o pomoc. Była gotowa jej udzielić, gdyby tylko rzekł słowo.

- Wiesz, byłbym ci wdzięczny, gdybyś poszła do dyrekcji i odebrała księgi moich doświadczeń, bo nie chcę mieć z nimi więcej do czynienia - powiedział, odwracając się do biurka. - Nic im nie dało, że je zatrzymali, więc pewnie chętnie ich się teraz pozbędą.

Zawiedziona Ellen ześliznęła się ze stołka i ruszyła ku drzwiom, czując się głupio, że wciąż ulega kaprysom Charlesa.

- Przy okazji - zawołał za nią. - Jak daleko posunęłaś się z tym, co ci zostawiłem rano?

- Prawdę mówiąc niewiele - przyznała Ellen. - Kiedy wyszedłeś z pracy dziś rano, zrozumiałam, że zostaniesz wyrzucony, więc po co to wszystko? Odbiorę twoje księgi, ale potem do niczego mnie już nie mieszaj. Zwalniam się na resztę dnia.

Charles patrzył na zamykające się za nią drzwi. Przekonał się teraz, że podejrzliwość w stosunku do niej nie była chorobliwa. Ellen musiała współpracować z administracją. Wiedziała zbyt dużo i zbyt szybko. Z ulgą pomyślał, że nie uległ pokusie zwierzenia się jej ze swoich planów.

Zamknąwszy drzwi od wewnątrz, wrócił do pracy. Większość

odczynników i chemikaliów, z których korzystał, była przechowywana w ilościach przemysłowych, musiał więc napełnić nimi niniejsze pojemniki, starannie je oznakować i schować w prawie pustej szafce koło zwierzętami. Zabrało mu to niemal godzinę. Następnie wyszukał wśród papierów zalegających biurko plany poprzednich eksperymentów i ich protokoły. Dysponując tymi notatkami byłby w stanie odtworzyć wszystko, nawet gdyby Ibanez nie zwrócił ksiąg.

Pracował gorączkowo, gdy zadzwonił telefon. Zastanowił się szybko, co ma powiedzieć, gdyby był to ktoś z dyrekcji, i podniósł słuchawkę. Okazało się jednak, że to urzędnik z wydziału kredytów Pierwszego Banku Narodowego. Przekazał mu, że zatwierdzono jego pożyczkę w wysokości trzech tysięcy dolarów i spytał, czy przelać je na konto. Charles powiedział, że przyjdzie po nie osobiście później. Nie wypuszczając z dłoni słuchawki rozłączył się i wykręcił numer Wayne'a Thomasa. Czekał na połączenie, wyobrażał sobie, jaka byłaby reakcja urzędnika z banku, gdyby się dowiedział, że Charles właśnie stracił pracę.

Tak jak poprzednio, telefon odebrał sam Wayne Thomas. Charles powiedział mu, że otrzymał pożyczkę, i jeszcze tego popołudnia wręczy mu pięćset dolarów.

- Byczo, bracie - powiedział Wayne. - Zacząłem już pracować nad wnioskiem o zamknięcie przetwórnicy, przekazałem go wstępnie do rejestracji w sądzie. Niedługo będę wiedział, kiedy pierwsze przesłuchanie.

- Brzmi to nieźle - powiedział zadowolony Charles. Jego starania wreszcie zaczęły przynosić jakieś rezultaty.

Prawie skończył porządkować biurko, kiedy usłyszał, że ktoś próbuje otworzyć drzwi, po czym wkłada klucz do zamka. Odwrócił się i zobaczył wchodzącą Ellen. Podążył za nią masywny młody człowiek w tweedowej marynarce. Charles z zadowoleniem stwierdził, że wspólnie przynieśli jego księgi laboratoryjne.

- Zamknąłeś drzwi? - spytała ze zdziwieniem Ellen.

Skinął głową.

Ellen przewróciła oczyma na użytek nieznanego i powiedziała:

- Dziękuję za pomoc. Może je pan położyć gdziekolwiek.

- Jeśli łaska - wtrącił się Charles - proszę złożyć je na stole laboratoryjnym. - Wskazał na blat nad szafką, w której schował odczynniki.

- To doktor Michael Kittinger - wyjaśniła Ellen. - Przedstawiono mi go w dyrekcji. Przejmie badania nad kanceranem. Myślę, że będę mu pomagać.

Doktor Kittinger wyciągnął krótką dłoń o grubych palcach i rozciągnął twarz w przyjaznym uśmiechu.

- Miło mi pana poznać. Słyszałem o panu wiele dobrego.

- Nie wątpię - wymamrotał Charles.

- Cudowne laboratorium - powiedział Kittinger, wypuszczając dłoń Charlesa i rozglądając się po wywierających spore wrażenie wymyślnych urządzeniach. Jego twarz pokraśniała jak u pięciolatka na widok bożonarodzeniowej choinki. - Mój Boże! Ultrawirówka Pearsona. Do tego... nie do wiary! Elektronowy mikroskop skaningowy firmy Dixon! Jak pan może opuszczać ten raj?

- Ułatwiono mi to - rzekł Charles, spoglądając na Ellen. Unikała jego spojrzenia.

- Pozwoli pan, że się rozejrzę? - spytał entuzjastycznie doktor Kittinger.

- Nie, nie pozwolę - odparł cierpko Charles.

- Ależ, Charles - powiedziała Ellen. - Doktor Kittinger nie jest niczemu winien. Doktor Morrison zasugerował, żeby obejrzał laboratorium.

- Nic a nic mnie to nie obchodzi - uciął Charles. - Jeszcze przez dwa dni to moje laboratorium i nie życzę sobie, by się tu ktokolwiek szwendał. Ktokolwiek! - podniósł głos.

Ellen cofnęła się błyskawicznie. Skinęła na doktora Kittingera i oboje wyszli w pośpiechu.

Charles z rozmachem zatrzasnął za nimi drzwi. Przez chwilę stał z zaciśniętymi pięściami. Uświadomił sobie, że teraz jest już całkowicie

osamotniony. Zdawał sobie sprawę, że nie było potrzeby zrażać do siebie Ellen ani swego następcy. Najbardziej jednak martwił się tym, że o jego nieodpowiedzialnym zachowaniu bez wątpienia dowie się dyrekcja, mogąca pozbawić go nawet tych dwóch dni, które dano mu na wyprowadzenie się z laboratorium. Stwierdził, że musi się zabrać jak najszybciej do roboty. W istocie trzeba będzie przystąpić do realizacji planu jeszcze tej nocy.

Ze zdwojonym zapałem wrócił do pracy i po godzinie wszystko, czego potrzebował, znalazło się w jednej szafce.

Założył wybrudzony płaszcz i zamknął za sobą drzwi. Mijając pannę Andrews, celowo powiedział jej „Cześć” i zapowiedział, że niedługo wróci. Jeśli recepcjonistka składała doniesienia Ibanezowi, nie chciał, by powiadomiła go, że Martel opuszcza instytut na dłużej.

Było już po trzeciej i bostoński ruch osiągał gorączkowe nasilenie. Charles znalazł się pośród wielu kierowców ryzykujących życie, byle tylko dostać się na autostradę międzystanową nr 93, zanim ruch utknie między Memorial i Storrow Drive.

W końcu zaparkował na River Plaza przy oddziale Pierwszego Banku Narodowego. Wiceprezesa, którego Charles przelotnie poznał, nie było, przyjęła go w zastępstwie młoda kobieta. Zdawał sobie sprawę, że przygląda się podejrzliwie jego brudnemu ubraniu i półtoradobowej szczecinie.

Uspokoił ją słowami:

- Jestem naukowcem. Zawsze ubieramy się trochę... - Z rozmysłem nie dokończył zdania.

Urzędniczka pokiwała głową ze zrozumieniem, lecz dłuższą chwilę porównywała jego twarz z fotografią w prawie jazdy wydanym w stanie New Jersey. W końcu upewniwszy się co do tożsamości Charlesa, spytała go, czy życzy sobie czek. Prosił o gotówkę.

- Gotówkę? - Nieco zaskoczona, urzędniczka przeprosiła go i zniknęła w gabinecie w głębi, by połączyć się telefonicznie z zastępcą dyrektora oddziału banku. Wróciła niosąc trzydzieści nowych banknotów studolarowych.

Następnie pojechał do dzielnicy handlowej za sklepami firmowymi Filene i Jordan Marsh. Zaparkowawszy nieprawidłowo i zostawiwszy włączone migacze, przebiegł do sklepu ze sprzętem sportowym, w którym go znano, i kupił sto sztuk, nabojów ze śrutem grubości ekspres dwa, kalibru dwanaście do swojej dubeltówki.

- Na co to panu? - spytał dobrodusznie, sprzedawca.

- Na kaczkę. - Charles miał nadzieję, że jego ton nie zachęca do dalszej rozmowy.

- To chyba czwórka czy piątka byłaby odpowiedniejsza - zauważył sprzedawca.

- Chcę dwójkę - powiedział lakonicznie Charles.

- Wie pan, że to nie sezon na kaczkę.

- Tak, wiem.

Zapłacił za naboje nową studolarówką.

Wrócił do samochodu i ruszył zatłoczonymi bostońskimi ulicami z powrotem. Po drodze zatrzymał się na rogu Charles i Cambridge Street, na wysepce przed Bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych. Nie zważając na groźbę mandatu, zadowolili się jedynie pozostawieniem włączonych migaczy.

Przebiegł do wielkiej otwartej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę apteki ulokowanej w cieniu Szpitala Ogólnego Massachusetts. Bywał tu w czasach, gdy był jeszcze praktykującym lekarzem, poznano go jednak i pamiętano jego nazwisko.

- Chcę uzupełnić moją czarną walizeczkę - powiedział Charles, poprosiwszy o trochę formularzy. Wypisał recepty na morfinę, dolargan, ksylokainę, benzhydraminę, adrenalinę, enkorton, perkodan, walium w ampułkach, płyny do wlewów kroplowych, strzykawki i przewody do kroplówek.

Sprzedawca wziął od niego zamówienie i gwizdnął.

- Mój Boże, na to będzie nań potrzebował całej walizy, doktorze.

Charles zaśmiał się krótko, jak gdyby docenił dowcip, i zapłacił studolarowym banknotem.

Wróciwszy na wysepkę znalazł za wycieraczką mandat. Wyjął go,

wsiadł do samochodu i włączył się do ruchu. Przejechał przez rzekę i skręcił w Memoriał Drive. Nie zatrzymał się pod instytutem, dotarł do Harvard Square i zostawił pinto na strzeżonym parkingu na wprost budki strażnika. Pospieszył na Battle Street 13, wbiegł po schodach i zastukał do drzwi kancelarii Wayne'a Thomasa.

Oczy młodego adwokata zabłysły, gdy Charles wręczył mu pięć nowiuiteńskich studolarówek.

- Bracie, będziesz miał najlepszą obsługę, jaką można dostać za pieniądze - powiedział Wayne i poinformował swego klienta, że udało mu się załatwić na dzień następnny w trybie pilnym przesłuchanie w sprawie wydania nakazu zamknięcia przetwórci Recycle Ltd do czasu zbadania sprawy.

Charles pożegnał adwokata i przeszedł przecznicę na południe do biura agencji wynajmu samochodów Hertza. Wynajął największą z dostępnych furgonetek. Podstawiono ją pod biuro i przejechał powoli przez Harvard Square na parking, na którym pozostawił swoje auto. Przeniósł do furgonetki naboje do dubeltówki, leki i sprzęt medyczny, wsiadł do niej i ruszył w stronę instytutu. Była szesnasta trzydzieści. Za parę minut miał zapaść zmierzch.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zesztywniała Cathryn wstała i przeciągnęła się. Zrobiła po cichu kilka kroków, by zobaczyć się w lustrze za otwartymi drzwiami łazienki izolátky Michelle. Nawet w zapadającym zmierzchu widziała, że wygląda okropnie. Siniec, który powstał po przypadkowym ciosie Charlesa, przeniósł się z górnej również na dolną powiekę.

Weszła do łazienki i zamknawszy za sobą drzwi, wyciągnęła z torebki grzebień, puder i szminekę. Pomyślała, że niewielki wysiłek nad doprowadzeniem się do ładu pozwoli jej uspokoić myśli. Włączywszy neonową lampę pod sufitem, ponownie spojrzała w lustro. W surowym sztucznym świetle wyglądała przerażająco blado, a siniec zdawał się jeszcze ciemniejszy. Najgorsze było jednak jej umęczone, zalęknione spojrzenie. W kąciach ust dostrzegła bruzdki, których nigdy wcześniej nie widziała.

Przejechawszy kilkakrotnie grzebieniem przez włosy, wyłączyła światło, nie mogąc dłużej na siebie patrzeć. Przez chwilę stała w ciemności. Zrezygnowała ze zrobienia sobie makijażu; w tej chwili sama myśl o nim pogarszała jej samopoczucie. Była zbyt nie na miejscu.

Ucieczka do mieszkania matki w dzielnicy North End stłumiła jedynie lęk Cathryn przed gwałtownością Charlesa; ani na jotę nie zmniejszyła natomiast dręczącej ją obawy, że może niesłusznie odebrała mu prawa rodzicielskie. Przerażała ją myśl, że w przyszłości, kiedy skończy się choroba Michelle, cała ta sprawa położy się cieniem na ich

dalszych stosunkach.

Najciszej jak potrafiła, otworzyła drzwi i spojrzała w stronę łóżka. Michelle w końcu zapadła w niespokojny sen. Nawet z miejsca, w którym stała, Cathryn widziała, jak drgają mięśnie jej twarzy. Od rana stan dziewczynki nieustannie się pogarszał. Z godziny na godzinę słabła coraz bardziej, w końcu nawet podniesienie ręki czy nogi stanowiło dla niej wysiłek. Niewielkie z początku owrzodzenia na jej wargach zwały się teraz ze sobą tworząc jedną pozbawioną naskórka, bolącą przy każdym ruchu powierzchnię. Włosy zaczęły jej wypadać garściami, pozostawiając gołe połacie skóry głowy. Najgorsza była jednak wysoka gorączka i to, że coraz krótsze stawały się okresy pełnej świadomości.

Cathryn usiadła przy łóżku Michelle. Zadawała sobie żalosne pytanie, dlaczego Charles nie dzwonił? Parę razy podejmowała decyzję, że zadzwoni do niego do instytutu, za każdym razem jednak podnosząc słuchawkę zmieniała zdanie.

Gina wcale jej nie pomogła. Zamiast okazywać współczucie i stanowić podporę, wykorzystała okazję do prawienia córce kazań, jak to źle wychodzić za mąż za starszego o trzynaście lat mężczyznę z trójką dzieci. Powtarzała, że spodziewała się podobnych kłopotów, bo choć Cathryn łaskawie adoptowała dzieci, Charles najwyraźniej uważał je za swoją wyłączną własność.

Nagle Michelle otworzyła oczy. Jej twarz wykrzywiła się z bólu.

- Coś się stało? - spytała Cathryn, z niepokojem pochylając się nad nią.

Michelle nie odpowiedziała. Głowa opadła jej na drugą stronę. Jej szczupłe ciało skręciło się z bólu.

Bez chwili wahania Cathryn rzuciła się do drzwi, by wezwać pielęgniarkę. Ta spojrzała tylko na skręcające się w cierpieniach ciało dziecka i wezwała doktora Keitzmana.

Cathryn stała koło łóżka, ściskając dłonie, przygnębiona własną bezradnością. Bezczyne przypatrywanie się córce było dla niej torturą. Nie mając żadnego pojęcia, co zamierza zrobić, pospieszyła do łazienki i

zmoczyła ręcznik. Wróciwszy do izolatki, zaczęła ocierać zimnym ręcznikiem czoło Michelle. Nie wiedziała, czy w czymkolwiek przynosi jej ulgę, miała jednak poczucie, że przynajmniej coś robi.

Doktor Keitzman musiał być na oddziale, ponieważ przybył w ciągu kilku minut. Zręcznie zbadał dziecko. Dzięki regularnemu popiskiwanemu kardiomonitora wiedział, że tętno Michelle się nie zmieniło. Oddychała swobodnie, nad płucami nie słyhać było żadnych zmian. Przyłożył stetoskop do jej brzucha i usłyszał koncert burczeń, piśnień i chrobotów. Położył na brzuchu dłonie i zaczął go delikatnie obmacywać. Wyprostowawszy się wyszeptał coś do pielęgniarki, która szybko opuściła izolatkę.

- Czynnościowy skurcz jelit - wyjaśnił z ulgą Keitzman zwracając się do Cathryn. - Musi w nich zalegać mnóstwo gazów. Zleciłem zastrzyk, który przyniesie jej natychmiastową ulgę.

Cathryn skinęła głową, ciężko oddychając przez usta, i osunęła się na krzesło. Zauważywszy jej znękaną minę i posiniaczoną twarz, Keitzman powiedział:

- Niech pani wyjdzie ze mną na chwilę.

Rzuciwszy okiem na Michelle, która cudownie zapadła z powrotem w sen po zbadaniu jej przez lekarza, Cathryn w milczeniu podążyła za onkologiem. Keitzman zaprowadził ją do dobrze jej już znanej salki koło dyżurki.

- Cathryn, martwię się o panią. Pani również żyje w wielkim napięciu.

Skinęła głową. Bała się otworzyć usta, by nie dać upustu przepętniającym ją emocjom.

- Charles dzwonił?

Zaprzeczyła ruchem głowy, wyprostowała się i zaczerpnęła głęboko tchu.

- Przykro mi, że do tego wszystkiego doszło, ale postąpiła pani słusznie.

Cathryn nie była tego taka pewna, nie odezwała się jednak.

- Niestety to nie załatwia wszystkiego. Nie muszę pani mówić, że z

Michelle jest źle, sama pani widzi. Jak na razie leki, które jej podawaliśmy, nie zadziałały na jej komórki białaczkowe. Nie ma nawet śladu remisji. Michelle ma najgwałtowniej postępującą postać białaczki mieloblastycznej, jaką kiedykolwiek widziałem, ale nie zamierzam się poddawać. Prawdę mówiąc, podamy dziś jeszcze jeden eksperymentalny lek, do którego stosowania ja i paru innych onkologów zostaliśmy upoważnieni. Wstępne rezultaty badań nad nim są obiecujące. Tymczasem chciałbym panią spytać, czy któryś z braci Michelle mógłby się zjawić jutro w klinice dla porównania zgodności antygenów tkankowych. Sądzę, że konieczne będzie poddanie Michelle naświetlaniom i przeszczep szpiku.

- Spróbuję ich ściągnąć - odparła Cathryn.

- Dobrze - powiedział Keitzman, przyglądając się jej twarzy.

Odwróciła wzrok.

- Nieżyły ma pani siniec - stwierdził ze współczuciem.

- Charles nie chciał mnie uderzyć. To był wypadek - powiedziała szybko Cathryn.

- Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem - rzekł Keitzman.

- Tak? Skąd?

- Właśnie stąd, ze szpitala.

- Co mówił?

- Chciał wiedzieć, czy jestem gotów oświadczyć, że chorobę jego córki wywołał benzen. Powiedziałem mu, że nie mogę tego orzec, choć jest taka możliwość. Niestety, nie ma jak tego dowieść. W każdym razie pod koniec rozmowy zasugerowałem, by zasięgnął porady psychiatry.

- I jak to przyjął?

- Nie wydawał się zbyt zachwycony tym pomysłem. Szkoda, że nie zdołałem go namówić. Lękam się o niego z powodu napięcia, w jakim żyje. Nie chciałem pani straszyć, ale widywaliśmy podobne przypadki, w których nieszczęśnicy dostawali ataków szału. Myślę, że jeśli tylko może pani na niego wpłynąć, powinna go pani namówić na wizytę u psychiatry.

Cathryn wyszła z dyżurki, chcąc wrócić do izolatki Michelle, po

drodze dostrzegła jednak na przeciwległej ścianie automat telefoniczny. Pokonując małoduszne opory, wykręciła numer instytutu. Telefonistka przełączyła ją na wewnętrzny laboratorium Charlesa, ale nawet po dziesięciu sygnałach nikt nie odebrał. Telefonistka powiedziała, że asystentka Charlesa, Ellen, jest w bibliotece, i spytała, czy ma tam przełączyć. Cathryn zgodziła się.

- Nie ma go w laboratorium? - spytała Ellen.

- Nikt nie odbiera.

- Może po prostu nie chce mu się podnieść słuchawki - zasugerowała Ellen. - Ostatnio zachowywał się bardzo dziwnie. Prawdę mówiąc, nawet boję się tam iść. Chyba pani wie, że został zwolniony z instytutu.

- Nie miałam o tym pojęcia! - wykrzyknęła wstrząśnięta Cathryn. - Co się stało?

- To długa historia. Sądzę, że to Charles powinien ją pani opowiedzieć, nie ja.

- Żyje ostatnio w strasznym napięciu - powiedziała Cathryn.

- Wiem - przytaknęła tamta.

- Poprosi go pani, żeby do mnie zadzwonił, jeśli go pani zobaczy? Jestem w szpitalu.

Ellen zgodziła się, ale dodała, że nie jest pewna, czy będzie się z nim widzieć.

Cathryn powoli odwiesiła słuchawkę. Po chwili namysłu zadzwoniła do Giny z pytaniem, czy nie telefonował Charles. Usłyszała w odpowiedzi, że nikt nie dzwonił. Potem wykręciła numer domu, ale jak się spodziewała, nikt nie odbierał. Gdzie był Charles? Co się z nim działo?

Wróciła do izolatki, zdumiewając się, jak szybko zawalił się jej bezpieczny światek. Dlaczego Charlesa wyrzucono z pracy? Kiedy sama była przez krótki okres zatrudniona w instytucie, wydawało się, że Charles jest jednym z najbardziej szanowanych tam naukowców. Co mogło się stać? Przychodziło jej do głowy tylko jedno wyjaśnienie: Keitzman miał rację, Charles doznał załamania nerwowego. Może

błąkał się teraz samotnie bez celu, odcięty od rodziny i pracy. Boże!

Wślizgując się do pokoiku Michelle tak cicho, jak tylko mogła, Cathryn usiłowała w ciemności dojrzeć twarz dziecka. Miała nadzieję, że Michelle śpi. Gdy jej oczy przywykły do mroku, zorientowała się, że Michelle się jej przypatruje. Zdawało się, że nie ma siły unieść głowy. Cathryn podeszła do łóżka i ujęła jej rozpaloną dłoń.

- Gdzie tatuś? - spytała dziewczynka, starając się jak najmniej poruszać owrzodzonymi wargami.

Cathryn zawahała się, obmyślając najlepszą odpowiedź.

- Charles nie czuje się najlepiej, zamartwia się o ciebie.

- Powiedział mi, że dzisiaj przyjdzie - upierała się Michelle.

- Przyjdzie, jeśli tylko będzie mógł - powiedziała Cathryn. - Gdy tylko będzie mógł.

Po policzku Michelle spłynęła łza.

- Chyba byłoby lepiej, żeby umarła.

Oślupiała Cathryn przez kilkanaście sekund nie mogła się poruszyć, po czym schyliła się i przytuliła dziewczynkę do siebie, pozwalając swobodnie płynąć łzom.

- Nie, Michelle! Nie! Nie wolno ci tak myśleć nawet przez chwilę!

Ludzie z agencji Hertza do dokumentów wynajmu furgonetki dołączyli na szczęście skrobaczkę do lodu. Charles oczyścił nią szyby samochodu. Jego oddech skraplał się i zamarzał na szkle, zasłaniając mu widok głównego wejścia instytutu. O piątej trzydzieści zapanowała już zupełna ciemność, z wyjątkiem linii latarni wzdłuż Memoriał Drive. Do szóstej piętnaście z instytutu wyszli wszyscy z wyjątkiem doktora Ibaneza. Pojawił się on dopiero o wpół do siódmej, okutany w futrzany płaszcz po kostki. Zgarbiony, by bronić się przed powiewami lodowatego wiatru, dotarł do swego mercedesa.

Dla całkowitej pewności Charles odczekał jeszcze dwadzieścia minut, nim zapuścił silnik furgonetki. Włączył reflektory, objechał budynek z tyłu, zjechał po służbowym podjeździe pod rampę

rozładunkową. Wysiadł z samochodu, wszedł na schody koło rampy i nacisnął dzwonek. Czekając aż mu otworzą, poczuł falę zwątpienia. Wiedział, że decydujące okaże się następne kilka minut. Po raz pierwszy w życiu liczył na niedbałość.

Niewielki głośnik nad drzwiami zachrobotał, a na miniaturowej kamerze zamigotało czerwone światelko.

- Tak? - odezwał się ktoś.

- Tu doktor Martel - powiedział Charles, machając dłonią do kamery. - Muszę zabrać trochę sprzętu.

Po paru chwilach metalowe drzwi zaskrzypiały i odchyliły się w górę. Za nimi ukazała się surowa, wylana betonem hala. Po lewej stał stos równo ułożonych świeżo przywiezionych tekturowych pudeł. W głębi hali otworzyły się wewnętrzne drzwi, w których pojawił się Chester Willis, jeden z dwóch nocnych strażników. Był to siedemdziesięcioletni Murzyn, który przeszedł na emeryturę i zaczął dorabiać w instytucie, twierdząc, że mógłby oglądać telewizję w domu, ale u Weinburgera mu za to płacono. Charles wiedział, że tak naprawdę Willis pracuje, by pomóc wnukowi skończyć akademię medyczną.

Przez wiele lat praca do późnych godzin wieczornych była nawykiem Charlesa; przynajmniej do czasu, gdy Chuck poszedł na studia. W rezultacie zaprzyjaźnił się z nocnymi strażnikami.

- Znów pracujemy po nocach? - spytał Chester.

- Trzeba - powiedział Charles. - Współpracujemy z grupą z MIT i muszę przewieźć tam trochę mojego sprzętu. Nie mogę tego powierzyć komu innemu.

- Rozumiem - rzekł Chester.

Charles odetchnął z ulgą. Strażnicy jeszcze nie wiedzieli, że go wyrzucano.

Zabrał większy z dwóch wózków z hali i udał się do swojego laboratorium. Z zadowoleniem stwierdził, że po jego odjeździe pozostało nie tknięte. Nikt też nie ruszał szafki, w której ukrył swe książki laboratoryjne i odczynniki. Zaczął gorączkowo rozmontowywać prawie całe wyposażenie laboratorium i ładować je na wózek. Musiał

obrócić osiem razy z pomocą Chestera i Giovanniego, drugiego strażnika, by zabrać do hali wszystko, na czym mu zależało. Przewieziony sprzęt składał na jej środku.

Na samym końcu zabrał z lodówki antygen białaczkowy Michelle, starannie pakując fiolkę w izolowany pojemnik z lodem. Nie miał pojęcia, czy antygen nie jest ciepłochwiejny, nie zamierzał więc ryzykować.

Gdy skończył wywozić sprzęt, było już po dziewiątej. Chester podniósł zewnętrzne drzwi i pomógł Charlesowi przenieść wszystko do furgonetki.

Przed opuszczeniem instytutu Charles miał do wykonania jeszcze jedno zadanie. Wrócił do laboratorium, odszukał brzytwę, z której korzystano przy goleniu sierści zwierząt doświadczalnych. Za pomocą brzytwy i zwykłego mydła usunął w toalecie półtoradniową szczecinę. Uczesał się, poprawił krawat i porządnie wsunął koszulę w spodnie. Skończywszy, uważnie przyjrzał się swojemu odbiciu. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że wygląda właściwie normalnie. W drodze do hali wyładunkowej wpadł do przechowalni strojów laboratoryjnych i zabrał długi fartuch.

Wydostawszy się na zewnątrz, zadzwonił jeszcze raz do strażników i przez domofon podziękował im za pomoc. Wsiadając do samochodu miał wyrzuty sumienia, że wykorzystał starych przyjaciół.

Bez kłopotów dojechał do Kliniki Pediatrycznej. Prawie nie było ruchu, mroźna aura zapędziła ludzi do domów. Dojechawszy do szpitala, stanął przed dylematem: zważywszy wartość całego wyposażenia, nie chciał zostawiać samochodu na ulicy, z drugiej strony jednak zaparkowanie w szpitalnym garażu uniemożliwiłoby mu szybką ucieczkę. W końcu zdecydował, że zaparkuje w garażu. Gdyby obrabowano samochód, cały jego plan spaliłby na panewce. Nie wolno mu tylko dopuścić do tego, by pospieszna ucieczka stała się koniecznością.

Zostawił samochód przed budką strażnika, dwukrotnie upewniwszy się, czy wszystkie drzwi furgonetki są pozamykane.

Celowo zostawił w środku kurtkę na baranku, zabierając ze sobą biały fartuch. Marna to była ochrona przed zimnem. Pobiegł więc do szpitala.

Zatrzymując się przy wejściu oderwał od pracy znużonego portiera i zapytał, na którym piętrze znajduje się radiologia. Portier powiedział, że na pierwszym, w skrzydle imienia Andersona. Charles podziękował mu i przez podwójne drzwi dostał się na teren kliniki. Mijając strażnika, uklonił się, tamten odpowiedział uśmiechem.

Oddział radiologii był praktycznie opustoszały. Wyglądało na to, że dyżur pełni tylko jedna techniczka, mająca urwanie głowy z piętrzącymi się prześwietleniami skręconych nadgarstków i zdjęciami płuc z zatłoczonej izby przyjęć. Charles przeszedł prosto do sekretariatu i wyszukał skierowanie na prześwietlenie z nagłówkiem oddziału radiologii. Usiadł przy biurku i wypełnił formularz: Michelle Martel; lat 12; diagnoza: białaczka; żądane badanie: zdjęcie przeglądowe jamy brzusznej. Skierowanie podpisał nazwiskiem jednego z radiologów, figurujących na wywieszanej na ścianie liście dyżurów.

Wróciwszy na korytarz odblokował koła jednego z wózków noszowych, stojących pod ścianą, i zaczął popychać go przed sobą. Ze znajdującej się w pobliżu szafy z bielizną zabrał dwa świeże prześcieradła, poduszkę i poszewkę. Zaścielił szybko wózek i przepchnął go koło sali, w której pracowała samotna techniczka. Zaczekał na windę dla pacjentów, wsunął do niej wózek i nacisnął guzik piętra, na którym mieścił się oddział szósty.

Gdy patrzył na zmieniające się światelka wskazujące mijane piętra, ponownie ogarnęło go zwątpienie. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem, musiał jednak przyznać, że najtrudniejsze było dopiero przed nim. Najgorsze zaczęło się na oddziale szóstym w skrzydle imienia Andersena.

Winda zatrzymała się. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, Charles wypchnął wózek noszowy na pusty korytarz. Godziny wizyt dawno się skończyły, a jak w większości szpitali pediatrycznych, chorych kładziono tu wcześniej do łóżek. Pierwszą przeszkodą była dyżurka pielęgniarek. W tym momencie znajdowała się tam tylko jedna; za

biurkiem widać było jej czepek. Charles ruszył, mając nadzieję, że zdąży się przekraść. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak przeraźliwie zdają się skrzypiec nie nasmarowane kółka wózka. Spróbował przyspieszyć, ale to nic nie zmieniło.

Kątem oka przyglądał się pielęgniarce. Nie wstawała. Minął dyżurkę, za którą na długim korytarzu światła były przyćmione.

- Przepraszam - głos wołającej za nim pielęgniarki zabrzmiał w ciszy jak tłukące się szkło.

Charles poczuł, że jego nadnercza wyrzucają potężną dawkę adrenaliny. Zaświerbiało go w palcach. Odwrócił się w stronę pielęgniarki - stała oparta o biurko.

- O co chodzi? - spytała.

Charles wygrzebał skierowanie.

- Przyjechałem po pacjentkę na prześwietlenie - powiedział, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Nie było takiego zlecenia - oświadczyła z niedowierzaniem.

Charles spostrzegł, że pochyliła się nad biurkiem i zaczęła przerzucać książkę zleceń.

- To podobno pilne - powiedział, zaczynając wpadać w panikę.

- W książce zleceń niczego jednak nie ma, nie wspomniano też o tym na odprawie.

- Proszę bardzo, oto skierowanie - Charles zostawił wózek i podszedł do pielęgniarki. - Doktor Keitzman przekazał telefonicznie doktorowi Larainenowi, żeby zrobić to zdjęcie.

Wzięta od niego skierowanie i szybko przeczytała. Najwyraźniej zaskoczona, potrząsnęła głową.

- Ktoś powinien do nas zadzwonić - powiedziała.

- Zgadzam się - powiedział Charles. - Ale i tak bez przerwy się o tym zapomina.

- Hmm, coś panu powiem. Dowiem się od dziewczyn, które były w dzień, co się stało.

- Dobry pomysł - mruknął, zwracając do wózka. Zwilgotniały mu dłonie. Nie nadawał się do tego rodzaju roboty.

Z rozmysłem ruszył niespiesznie korytarzem, mając nadzieję, że pielęgniarki nie będzie się chciało nikogo budzić, by dopytywać się o jedno prześwietlenie. Zwłaszcza radiologów czy Keitzmana.

Dotarł do izolatki Michelle, obszedł wózek i zaczął uchylać drzwi. Natychmiast zauważył siedzącą postać z głową wspartą o łóżko. Była to Cathryn.

Charles odwrócił głowę i z powrotem przytknął drzwi. Najszybciej jak mógł przeprowadził wózek na koniec korytarza po przeciwnej stronie niż dyżurka. Bał się, że Cathryn lada chwila może wyłonić się z pokoju. Nie był pewny, czy go nie spostrzegła.

Nie przewidział, że o tej porze będzie jeszcze czuwać przy Michelle. Musiał jakoś wyciągnąć Cathryn z izolatki. Przyszedł mu do głowy tylko jeden pomysł, wymagający jednak sprawnego i szybkiego działania.

Odczekawszy kilka minut, by upewnić się, że Cathryn nie wychodzi z izolatki, Charles szybko wrócił do gabinetu zabiegowego, znajdującego się koło dyżurki pielęgniarek. Koło umywalki znalazł w szafce czapkę i maseczkę chirurgiczną. Nałożył je, a do kieszeni włożył zapasową parę.

Nie spuszczał wzroku z dyżurki, przeszedł korytarzem do ciemnego holu. W jego głębi znajdował się automat telefoniczny. Zadzwoił pod numer centrali i poprosił o połączenie z oddziałem szóstym. Po paru minutach usłyszał dzwonek na biurku dyżurnej pielęgniarki.

Gdy podniosła słuchawkę, Charles poprosił o przywołanie w pilnej sprawie pani Martel. Pielęgniarka kazała mu poczekać.

Szybko odłożył słuchawkę i podszedł do załamania muru. Zobaczył, że z dyżurki wychodzą dwie pielęgniarki. Jedna z nich wskazała dłonią w głąb korytarza. Charles natychmiast wyszedł z holu i ruszył spiesznie korytarzem, mijając salkę, w której leżała Michelle. Przystanął w cieniu w końcu korytarza. Pielęgniarka skręciła do izolatki. Po kilku sekundach pojawiła się w towarzystwie przecierającej oczy i potykającej się o własne nogi Cathryn. Gdy tylko obydwie weszły do dyżurki,

Charles podtoczył wózek noszowy pod izolatkę i wepchnął go przez uchylone drzwi. Włączył światło i dosunął wózek do łóżka.

Dopiero wtedy spojrzął na córkę. Jej stan wyraźnie się pogorszył w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Delikatnie potrząsnął ramieniem Michelle. Nie zareagowała. Potrząsnął nią ponownie. Bez skutku. Co pocznie, jeśli wpadła w śpiączkę?

- Michelle! - zawołał. Powoli otworzyła oczy.

- To ja! Obudź się, proszę! - Charles potrząsnął nią jeszcze raz. Miał mało czasu.

W końcu się rozbudziła. Z wielkim wysiłkiem uniosła ramiona i przytuliła się do ojca.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała.

- Słuchaj, chcę cię o coś prosić - szeptał Charles gorączkowo, przykładając usta do jej ucha. - Wiem, że jesteś bardzo chora i doktorzy chcą cię wyleczyć, ale nie idzie im to najlepiej. Twoja choroba jest silniejsza od ich najsilniejszych lekarstw. Chcę cię zabrać ze sobą. Ponieważ twoim lekarzom to by się nie spodobało, muszę cię zabrać natychmiast - jeśli tylko chcesz. Powiedz mi, chcesz pójść ze mną?

Pytanie zaskoczyło Michelle; czegoś podobnego nie mogła oczekiwać. Popatrzyła badawczo na ojca.

- Cathryn mówiła, że nie najlepiej się czujesz - powiedziała.

- Czuję się świetnie - odparł Charles. - Zwłaszcza gdy jestem przy tobie. Ale mamy niewiele czasu. Idziesz ze mną?

Michelle spojrzała ojcu w oczy. Niczego bardziej nie pragnęła.

- Tatusiu, zabierz mnie ze sobą, proszę cię!

Przytulił ją i zabrał się do dzieła. Wyłączył kardiomonitor i odczepił Michelle elektrody. Wyjął wkłucia do kroplówek. Ściągnął z córki pościel, wsunął dłonie pod ramiona i kolana i podniósł ją. Zdziwił się, że jest taka lekka. Najdelikatniej, jak potrafił, położył ją na wózku noszowym i przykrył. Wyjął z szafy jej ubrania i schował je pod prześcieradłem na wózku. Zanim wyszedł na korytarz, schował resztkę włosów Michelle pod chirurgicznym czepkiem.

Mijając dyżurkę pielęgniarek, był przerażony, że wyłoni się z niej

Cathryn. Bardzo ryzykował, w tych okolicznościach nie potrafił jednak wymyślić rozsądniejszego planu. Całą siłą woli nakazał sobie spokojny krok, choć najchętniej rzuciłby się pędem w stronę windy.

Cathryn spała głęboko, gdy pielęgniarka dotknęła jej ramienia. Zrozumiała tylko, że ktoś do niej dzwoni w pilnej sprawie. Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to to, że coś stało się Charlesowi.

Do dyżurki dotarła sama i nie wiedząc, z którego telefonu skorzystać, spytała o to siedzącą tam pielęgniarkę. Ta oderwała wzrok od dokumentacji i przypominając sobie o telefonie, powiedziała, by odebrała go w salce, w której przechowywano historie chorób.

Cathryn powiedziała trzykrotnie „halo”, za każdym razem głośniej, nikt jednak nie odpowiadał. Odczekała chwilę i jeszcze kilka razy powiedziała „halo”. Bezskutecznie. Przy kolejnym naciśnięciu widełek odezwała się telefonistka ze szpitalnej centrali. Nie wiedziała o żadnej rozmowie łączonej z zewnątrz z oddziałem szóstym w skrzydle imienia Andersona. Cathryn odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi do dyżurki. Pielęgniarka nachylała się nad jakąś kartą zleceń. Cathryn już miała ją zawołać, gdy w głębi korytarza zobaczyła niewyraźną sylwetkę w czepku i maseczce chirurgicznej, pchającą w półmroku wózek noszowy z pacjentem do windy. Poczowała przyływ litości dla biednego dziecka wiezionego o tak późnej porze na operację. Pomyślała, że to na pewno nagły przypadek.

Nie chcąc przeszkadzać pielęgniarce w ważnej pracy, odchrząknęła nieśmiało. Tamta obróciła się w fotelu z pytającym wyrazem twarzy.

- Nikt się nie odezwał - powiedziała Cathryn.
- Dziwne. Powiedziano, że to pilna sprawa.
- To był mężczyzna czy kobieta?
- Mężczyzna.

Cathryn zastanawiała się, czy nie był to przypadkiem Charles. Może pojechał do Giny.

- Mogłabym zadzwonić stąd na miasto? - spytała.

- Zazwyczaj na to nie pozwalamy - powiedziała pielęgniarka. - Jeśli to jednak krótka rozmowa... Proszę najpierw wykreć dziewczynkę.

Cathryn wróciła do telefonu i szybko wykreć numer Giny. Uspokoila się, gdy tylko usłyszała głos matki - brzmiał zupełnie normalnie.

- Jadłaś coś? - spytała Gina.

- Nie jestem głodna.

- Musisz jeść! - poleciła matka, jak gdyby spożywanie posiłków miało rozwiązać wszystkie problemy.

- Dzwonił Charles? - Cathryn puściła jej słowa mimo uszu.

- Nie odezwał się ani słowem. Też mi ojciec! - Gina prychnęła z dezaprobatą.

- Co z Chuckiem?

- Jest tu. Chcesz z nim porozmawiać?

Cathryn zawahała się, czy nie powiedzieć mu o konieczności przeszczepienia Michelle szpiku kostnego. Pamiętając jednak jego wcześniejszą reakcję, postanowiła pomówić z nim później osobiście.

- Nie, niedługo wracam do domu. Upewnię się, że Michelle zasnęła głęboko, i jadę.

- Będzie na ciebie czekało spaghetti - powiedziała Gina.

Cathryn odłożyła słuchawkę, instynktownie wyczuwając, że tajemniczy telefon musiał być od Charlesa. Cóż to była za pilna sprawa? I dlaczego nie poczekał, aż podejdzie do telefonu? Przechodząc koło pielęgniarki, Cathryn podziękowała jej za możliwość zadzwonienia.

Mijając szybko uchylone drzwi szpitalnych sal, czuła dobywające się z nich ciężkie zapachy środków medycznych; niekiedy dobiegał ja płacz dziecka.

Dotarwszy do izolatki Michelle, zauważyła, że zostawiła drzwi całkowicie otwarte. Weszła do środka, mając nadzieję, że światło z korytarza nie przeszkodziło Michelle we śnie. Cicho przykneęła za sobą drzwi i ostrożnie podeszła w ciemności do krzesła. Miała już usiąść, gdy zauważyła, że łóżko jest puste.

W obawie, by nie nadepnąć na dziewczynkę, jeśli spadła z łóżka,

szybko schyliła się i przejechała dłonią po podłodze. W wąskiej strudze światła padającej na polerowany winyl natychmiast dostrzegła, że tam też jej nie ma. W panice wpadła do łazienki i zapaliła światło. Pomieszczenie było puste. Wróciła do pokoju i włączyła świetlówkę pod sufitem. Michelle nie było w izolatce.

Cathryn wypadła na długi korytarz. Bez tchu dobiegła do dyżurki pielęgniarek.

- Siostro! Mojej córki nie ma na sali! Zniknęła!

Pielęgniarka podniosła wzrok nad wypełnianej dokumentacji i przeniosła wzrok na tablicę z rozkładem chorych.

- Nazywa się Martel? - spytała.

- Tak! Spała twardo, gdy wezwano mnie do telefonu.

- Na odprawie powiedziano, że jest bardzo osłabiona? - upewniła się.

- Właśnie - przytaknęła Cathryn. - Mogła sobie zrobić krzywdę.

Jak gdyby podejrzewając jakieś kłamstwo, pielęgniarka uparła się, by wrócić do izolatki. Rozejrzała się po pokoju, weszła do łazienki.

- Ma pani rację, nie ma jej - stwierdziła.

Cathryn powstrzymała się od jakichkolwiek uwag. Pielęgniarka zadzwoniła do straży szpitalnej z wiadomością, że z oddziału szóstego w skrzydle imienia Andersena zniknęła dwunastoletnia dziewczynka. Wezwała również inne pielęgniarki dyżurujące na tym samym piętrze. Powiedziała im o zaginięciu Michelle i poleciła przeszukać wszystkie sale.

- Martel? - powtórzyła starsza pielęgniarka, gdy reszta udała się na poszukiwania. - Zaraz, zaraz. Jak się nazywało to dziecko, które zabrano na radiologię na przeglądówkę brzucha?

Cathryn zrobiła zaskoczoną minę. Przez chwilę miała wrażenie, że do niej zwrócone było pytanie.

- To pewnie to - powiedziała pielęgniarka, wykręcając numer radiologii. Musiała odczekać prawie dwadzieścia sygnałów, nim odebrała zapracowana techniczka.

- Robicie pilną przeglądówkę brzucha pacjentce z szóstki? - spytała

pielęgniarka. - Jak się nazywa to dziecko?

- Nie robiłam żadnych przeglądówek z oddziałów - powiedziała techniczka. - Może George. Jest na sali operacyjnej z przewoźnym aparatem, robi komuś zdjęcie płuc. Zaraz powinien wrócić. Jak się zjawi, zapytam go. - Nie czekając na odpowiedź odłożyła słuchawkę.

Charles wtoczył wózek z Michelle do izby przyjęć z pewnością siebie pracownika wykonującego obowiązki. Znalazłszy wolną kabinę, w której badano pacjentów, odsunął parawan i wepchnął wózek do środka. Zasuńawszy zasłonę wyjął ubranie Michelle.

Podniecenie wywołane eskapadą poprawiło jej nastrój. Mimo osłabienia starała się pomagać ojcu, gdy ją ubierał. Charles stwierdził, że ze zdenerwowania poczyna sobie niezręcznie i to tym bardziej, im bardziej się spieszył. W końcu córka sama musiała pozapinać wszystkie guziki i zawiązać sznurowadła.

Już ubraną zostawił ją na chwilę, by znaleźć elastyczny opatrunek. Na szczęście nie musiał go daleko szukać. Wrócił za zasłonkę, usadził Michelle i popatrzył na nią uważnie.

- Musimy cię opatrzyć tak, jakbyś miała wypadek - powiedział. - Wiem, co zrobimy!

Rozdarł opakowanie bandaża elastycznego i zaczął okręcać go wokół głowy Michelle, jak gdyby była ranna. Kiedy skończył, odsunął się, by spojrzeć na swoje dzieło.

- Doskonale! - stwierdził. Na koniec obwiązał córce nos zwykłym bandażem, co ją rozbawiło, szczególnie kiedy powiedział, że wygląda jak motocyklista po kraksie.

Z udanym wysiłkiem, jakby ważyła dwieście funtów, podniósł córkę i zataczając się wyniósł ją za parawan. Na korytarzu natychmiast spoważniał i szybko ruszył do wyjścia. Z ulgą zauważył, że w izbie przyjęć zrobiło się jeszcze tłoczniej niż w chwili, gdy zjawił się w klinice. W poczekalni siedziały wystraszone dzieci z najrozmaitszymi skaleczeniami i sińcami, podczas gdy matki z kaszlącymi niemowlętami

stały w kolejkach do rejestracji. W panującym rozgardiaszu nikt nie zwracał na Charlesa uwagi. Tylko jedna pielęgniarka odwróciła się, gdy mijał ją z Michelle. Uśmiechnął się na jej widok i ułożył usta do słowa „dziękuję”. Z zakłopotaniem pomachała ręką, jak gdyby próbując ich sobie przypomnieć.

Podchodząc do wyjścia, Charles dostrzegł, że umundurowany strażnik zrywa się na równe nogi. Serce podskoczyło mu do gardła, strażnik jednak nie chciał ich zatrzymać, lecz otworzył drzwi ze słowami:

- Mam nadzieję, że dziewczynka szybko wyzdrowieje. Dobranoc.

Z uczuciem odzyskanej wolności Charles wyniósł Michelle ze szpitala. Przyspieszył kroku, dotarł do garażu, usadowił córkę w furgonetce, zapłacił za parkowanie i odjechał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cathryn starała się być cierpliwa i wyrozumiała, w miarę upływu czasu ogarniał ją jednak coraz większy niepokój. Wyrzucała sobie, że zostawiła Michelle, by odebrać telefon. Powinna była poprosić, żeby rozmowę przełączono bezpośrednio do izolatki.

Krążąc po korytarzu, mimowolnie przypominała sobie ostatnie słowa Michelle: „Chyba byłoby lepiej, gdybym umarła”. Z początku wyrzuciła je z pamięci, ale teraz, kiedy dziewczynki wciąż nie było, zaczęła się nimi dręczyć. Nie miała pojęcia, czy mała byłaby w stanie wyrzucić sobie krzywdę, nasłuchawszy się jednak rozmaitych okropnych historii, nie mogła uwolnić się od lęku.

Popatrzyła na zegarek, wyszła z holu i wróciła do dyżurki. Jak w szpitalu mogła zaginąć dwunastoletnia dziewczynka tak słaba, że ledwie chodziła?

- Są jakieś wiadomości? - spytała Cathryn starszą pielęgniarkę z wieczornego dyżuru. W dyżurce siedzieli ich w tej chwili bodajże sześć i beztrako paplały.

- Na razie nie - powiedziała tamta, przerywając rozmowę z koleżanką. - Strażnicy sprawdzili wszystkie schody. Czekamy jeszcze na telefon z radiologii. Jestem pewna, że dziewczynka, po którą stamtąd przyjechali, nazywała się właśnie Martel.

- Minęło prawie pół godziny - powiedziała Cathryn. - Jestem przerażona. Mogłaby pani jeszcze raz zadzwonić na radiologię?

Nie siląc się na ukrywanie irytacji, pielęgniarka zadzwoniła ponownie. Powiadomiła Cathryn, że technik z radiologii nie wrócił jeszcze z sali operacyjnej, ale ma zadzwonić, gdy się tylko zjawi.

Cathryn wyszła z dyżurki z dojmującym poczuciem onieśmienia, w jakie wprawiali ją ludzie związani z medycyną. Była wściekła na szpital, a przecież nie mogła się zdobyć, by to okazać, choć uważała swój gniew za uzasadniony. Zamiast tego podziękowała pielęgnowarce i wróciła do pustej izolatki. Bez celu weszła jeszcze raz do łazienki, unikając spojrzenia w lustro. Zajrzała następnie do szafy znajdującej się obok łazienki. Drzwi były lekko uchylone. Kiedy zobaczyła, że jest pusta, znieruchomiła.

Pospieszywszy z powrotem do dyżurki, próbowała zwrócić na siebie uwagę pielęgniarek. Wieczorna zmiana przekazywała właśnie zlecenia i informacje koleżankom, które obejmowały dyżur nocny. O tej porze nikt nie miał prawa im przeszkadzać, nawet gdyby był to pilny przypadek. Cathryn musiała krzyknąć, by się odwróciły w jej stronę.

- Właśnie odkryłam, że nie ma ubrania mojej córki - powiedziała z lękiem.

Zapanowała cisza.

Starsza pielęgniarka chrząknęła.

- Za parę minut skończymy, proszę pani.

Cathryn odwróciła się z gniewem. Najwidoczniej to, co się stało, było mniej ważne od uświęconych zwyczajem raportów. Skoro ubranie Michelle zniknęło, prawdopodobnie opuściła szpital.

Z pewnością to Charles telefonował, by wyciągnąć Cathryn z izolatki. Przypomniała sobie człowieka wiozącego na wózku dziecko. Był tego samego wzrostu, tej samej budowy. To musiał być Charles! Pospieszyła z powrotem do dyżurki. Była już pewna, że Michelle została porwana.

- Pozwoli pani, że poskładam wszystko w całość - powiedział krępy przedstawiciel bostońskiej policji. Plakietka na jego piersi informowała,

że nazywa się William Kerney. - Kiedy pielęgniarka potrząsnęła panią za ramię, spała pani, czy tak?

- Tak! Tak! - krzyknęła Cathryn, wytrącona z równowagi wolnym tempem dochodzenia. Miała nadzieję, że wezwanie policji przyspieszy działania mające na celu odnalezienie Michelle. - Mówiłam już panu dziesięć razy, co się dokładnie wydarzyło. Nie moglibyście się wreszcie zabrać do szukania dziecka?

- Muszę skończyć wypełniać protokół - wyjaśnił Kerney. W zgięciu lewego ramienia trzymał starą podpórkę do dokumentów, a w prawej ręce ołówek, co jakiś czas śliniąc jego końcówkę.

Stali wszyscy w pustej izolatce - Cathryn, dwóch bostońskich policjantów, pielęgniarka z wieczornej zmiany i wicedyrektor szpitala do spraw administracyjnych. Wicedyrektor był wysokim, przystojnym mężczyzną, ubranym w elegancki szary garnitur. Miał dziwny zwyczaj uśmiechania się po każdym zdaniu, przy czym oczy zwiężały mu się w szparki. Wspaniała opalenizna nasuwała myśl o wakacjach na Karaibach.

- Jak długo nie było pani w izolatce? - spytał Kerney.

- Mówiłam panu, że około pięciu minut - odrzekła ostrym tonem Cathryn. - Najwyżej dziesięć, dokładnie nie wiem.

- Uhm - wymamrotał policjant zapisując odpowiedź. Michael Grady, drugi z policjantów, czytał oświadczenie o czasowym przekazaniu Cathryn pełni praw rodzicielskich. Kiedy skończył, podał je wicedyrektorowi.

- Niewątpliwie przypadek uprowadzenia dziecka przez drugiego rodzica.

- Uhm - mruknął Kerney, wypisując drukowanymi literami nad oświadczeniem Cathryn nagłówek: UPROWADZENIE DZIECKA PRZEZ RODZICA. Nie wiedział, jaki jest kodowy numer tego przestępstwa i zanotował sobie w myśli, by to sprawdzić po powrocie na posterunek.

Zdesperowana Cathryn zwróciła się do wicedyrektora:

- Może pan coś zrobi? Przepraszam, nie pamiętam pańskiego

nazwiska.

- Paul Mansford - powiedział administrator przed wyszczerzeniem zębów w uśmiechu. - Nie musi pani przeproszać. Już coś zrobiliśmy: wezwaliśmy policję.

- Boję się, że małej może coś się stać, a my tracimy tu czas.

- I widziała pani mężczyznę pchającego wózek z jakimś dzieckiem? - spytał Kerney.

- Tak! - krzyknęła Cathryn.

- Ale na chirurgię nie trafił żaden pacjent - oświadczyła pielęgniarka. Policjant zwrócił się do niej:

- A co z mężczyzną ze skierowaniem na prześwietlenie? Mogłaby pani go opisać?

Pielęgniarka popatrzyła w sufit.

- Średniej budowy ciała, średniego wzrostu, brązowe włosy...

- To niezbyt precyzyjny opis - stwierdził Kerney.

- Czy miał niebieskie oczy? - spytała Cathryn.

- Nie zauważyłam - powiedziała pielęgniarka.

- Jak był ubrany? - wypytywał dalej Kerney.

- Och, Boże! - wykrzyknęła zrozpaczona Cathryn. - Proszę, zróbcie coś!

- W długi biały fartuch - stwierdziła spokojnie pielęgniarka.

- Dobrze - rzekł Kerney. - Ktoś dzwoni, wyciąga panią Martel z izolatki, przedstawia fałszywe skierowanie na prześwietlenie, po czym wywozi dziecko, jak gdyby zabierał je na operację. Zgadza się?

Wszyscy pokiwali głowami z wyjątkiem Cathryn, która przyłożyła rękę do czoła, starając się opanować.

- Ile minęło później czasu, nim powiadomiono straż? - spytał Kerney.

- Zaledwie parę minut - powiedziała pielęgniarka.

- Dlatego sądzimy, że są jeszcze na terenie szpitala - rzekł wicedyrektor.

- Ale jej ubranie zniknęło! - przypomniała mu Cathryn. - Opuścili szpital. Dlatego właśnie trzeba coś zrobić, zanim będzie za późno.

Błagam!

Wszyscy popatrzyli na nią, jakby była dzieckiem. W odpowiedzi utkwiała w nich wzrok, wreszcie wyprowadzona z równowagi wyrzuciła w górę ręce.

- Jezu Chryste!

Kerney zwrócił się do wicedyrektora:

- Gdzie w szpitalu można by ukryć dziecko?

- Znalazłoby się tu mnóstwo kryjówek, ale na krótko. Wszędzie by ich w końcu odkryto.

- Dobrze - ciągnął Kerney. - Załóżmy, że to ojciec zabrał dziecko. Dlaczego?

- Bo nie zgadzał się na leczenie - powiedziała Cathryn. - Dlatego właśnie przyznano mi czasowo pełnię praw rodzicielskich - żeby leczenie mogło być kontynuowane. Niestety ostatnio mój mąż żył w wielkim napięciu, nie tylko z powodu choroby dziecka, ale również kłopotów w pracy.

Kerney gwizdnął.

- Jeśli nie podobała mu się kuracja szpitalna, to czym chciał ją leczyć? Laetrem, czymś podobnym?

- Nie mówił - odparła Cathryn. - Ale na pewno nie interesował go laetril.

- Zdarzyło nam się parę przypadków, w których ludzie uwierzyli w to świństwo - policjant zdawał się nie zwracać uwagi na jej słowa. - Przypominasz sobie tego dzieciaka, którego zabrano do Meksyku? - zwrócił się do kolegi, Grady'ego.

- Pewnie - przytaknął tamten.

Obracając się z powrotem ku pozostałym, Kerney powiedział:

- Mamy niejakie doświadczenie z rodzicami szukającymi niekonwencjonalnego leczenia dla swych chorych dzieci. Chyba trzeba ostrzec lotniska. Ojciec może się już szykować do opuszczenia kraju z dziewczynką.

Do izolatki wpadł jak burza doktor Keitzman. Na jego widok Cathryn poczuła niezwykłą ulgę. Stał się natychmiast główną osobą,

podporządkowując sobie pozostałych. Zażądał, by mu wszystko opowiedziano. Paul Mansford i pielęgniarka pokrótce przedstawili fakty.

- To straszne - powiedział, nerwowo poprawiając okulary bez oprawek. - Wygląda mi na to, że doktor Martel definitywnie uległ załamaniu nerwowemu.

- Jak długo dziewczynka przeżyje bez leczenia? - spytał Kerney.

- Trudno powiedzieć. Dni, tygodnie, najwyżej miesiąc. Chcieliśmy spróbować podać jej jeszcze parę leków, trzeba by było jednak działać szybko. Miała jeszcze szansę na remisję.

- Dobrze, zaraz się do tego zabierzemy - powiedział Kerney. - Dokończę protokół i natychmiast przekażę go detektywom.

Gdy pół godziny później dwaj policjanci z patrolu opuszczali szpital, Michael Grady powiedział do swego partnera:

- Co za historia Okropność. Jeśli się pomyśli, że dzieciak ma białaczkę, a tu...

- Pewnie. Człowiek dziękuje Bogu, że przynajmniej jego dzieciaki są zdrowe.

- Myślisz, że detektywi wezmą się do tego od razu?

- Od razu? Chyba żartujesz? Od takich spraw z przekazywaniem praw rodzicielskich porzygać się można. Na szczęście zazwyczaj same się rozwiązują w ciągu dwudziestu czterech godzin. W każdym razie detektywi nawet jej nie ruszą do jutra.

Wsiedli do wozu patrolowego, zameldowali się przez radio i odjechali.

Cathryn otworzyła oczy i na wpół przytomnie rozejrzała się wokół siebie. W końcu rozpoznała żółte firanki, biały sekretarzyk z ozdobną serwetką i kolekcją bibelotów, różową toaletkę, służącą jej również w czasach liceum do odrabiania lekcji, książki na półce i plastikowy krucyfik, który otrzymała przy bierzmowaniu. Była w swym pokoju, w

którym matka niczego nie zmieniała od czasu jej pójścia na studia. Nie od razu jednak przypomniała sobie, dlaczego tu się znajduje.

Spróbowała się otrząsnąć z ociążałości wywołanej tabletkami nasennymi, które zażyła za stanowczą namową doktora Keitzmana. Przekręciła się na łóżku, sięgnęła po zegarek i spróbowała odczytać godzinę. To niemożliwe - już za kwadrans południe! Zamrugła oczyma i jeszcze raz spojrzała na cyferblat. Nie, była dziewiąta. I tak spała dłużej, niż planowała.

Włożyła stary flanelowy szlafrok w kratę, otworzyła drzwi i zeszła do kuchni, czując woń świeżych biszkoptów i smażonego bekonu. Matka podniosła wzrok, zadowolona, że Cathryn jest znów w domu, bez względu na to, co ją do tego skłoniło.

- Dzwonił Charles? - spytała Cathryn.

- Nie, ale przyrządziłam ci wspaniałe śniadanie.

- Czy w ogóle były jakieś telefony? Ze szpitala lub z policji?

- Nikt nie dzwonił. Odpręż się, przygotowałam ci twoje ulubione biszkopty.

- Nie mogę jeść - pomimo kotłujących się w jej głowie myśli Cathryn dostrzegła jednak, że matka natychmiast spochmurniała. - No, może spróbuję trochę biszkoptów.

Gina rozchmurzyła się. Podała córce talerzyk i filiżankę.

- Lepiej obudzę Chucka - powiedziała Cathryn, ruszając w stronę korytarza.

- Wstał, zjadł śniadanie i wyszedł - oznajmiła triumfalnie Gina. - Lubi biszkopty tak samo jak ty. Powiedział, że ma zajęcia o dziewiątej.

Cathryn zawróciła i usiadła przy stole, podczas gdy matka nalewała jej kawy. Czuła się niepotrzebna i bezradna. Tak bardzo starała się być dobrą matką i żoną, a teraz miała wrażenie, że zawiodła. Budzenia syna, żeby poszedł do szkoły, trudno było uważać za sprawdzian dobrego wywiązywania się z roli przybranej matki, ale dzisiejsze zaniedbanie wydawało jej się dowodem, jak dalece nie radzi sobie ze swoimi obowiązkami.

Próbując się przemóc, podniosła do ust filiżankę z kawą, nie

zważając na jej temperaturę. Gorący płyn oparzył jej wargi; cofnęła gwałtownie rękę, rozpryskując przy tym kawę na dłoń. Instynktownie wypuściła filiżankę, która roztrzaskała się, rozbijając przy okazji również talerzyk. Cathryn wybuchnęła płaczem.

Gina szybko posprzątała, kilkakrotnie zapewniając córkę, że nie powinna się przejmować starą filiżanką, kupioną w Wenecji na pamiątkę jedyne go pobytu matki w mieście, które ukochała nad wszystkie inne na świecie.

Cathryn odzyskała panowanie nad sobą. Wiedziała, że wenecka filiżanka jest jednym ze skarbów Giny, i było jej przykro, że ją zniszczyła, ale przesadna reakcja matki, zamiast zaostrzyć, tylko złagodziła jej poczucie winy.

- Chyba pojedę do Shaftesbury - powiedziała w końcu. - Przywiozę Chuckowi więcej ubrań i sprawdzę, co z Jeanem Paulem.

- Chuck ma, co mu potrzeba - stwierdziła Gina. - Za pieniądze, które wydasz na benzynę, żeby tam dojechać, mogłabyś mu kupić nowe ubranie w podziemiach Filene.

- To prawda - przyznała Cathryn. - Chyba po prostu mam ochotę być w domu na wypadek, gdyby zadzwonił Charles.

- Jeśli zadzwoni i nikogo nie zastanie, zatelefonuje tutaj. Przecież nie jest głupi. Jak myślisz, gdzie uciekł z Michelle?

- Nie wiem - odparła Cathryn. - Wczoraj wieczorem policja mówiła coś o Meksyku. Widocznie mnóstwo ludzi, którzy szukają lekarstwa na raka, tam wyjeżdża. Wiem jednak, że Charles by się tam nie wybrał.

- Przykro mi to mówić, ale uprzedzałam cię, żeby nie wychodzić za starszego mężczyznę z trójką dzieci - powiedziała Gina. - To się zawsze źle kończy. Zawsze!

Cathryn pohamowała gniew, jaki tylko matka potrafiła w niej wywołać. W tym momencie zadzwonił telefon. Wstrzymała oddech, gdy Gina podniosła słuchawkę.

- To do ciebie. Jakiś detektyw, nazywa się Patrick O'Sullivan. Spodziewając się najgorszego, Cathryn podeszła do telefonu. Policjant szybko ją uspokoił, że nie mieli żadnych wiadomości o Michelle i

Charlesie. Powiedział, że zaszły nowe okoliczności w sprawie i byłoby dobrze, gdyby przyjechała do Instytutu Weinburgera. Zgodziła się natychmiast.

Piętnaście minut później była gotowa do wyjazdu. Powiedziała Ginie, że po opuszczeniu instytutu pojedzie do New Hampshire. Matka próbowała protestować, Cathryn była jednak uparta. Oświadczyła, że musi spędzić trochę czasu sama. Zapowiedziała, że wróci na obiad z Chuckiem.

Bez kłopotów przejechała przez Boston Memorial Drive. Skręcając dodge'em na parking instytutu, przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkała Charlesa. Czy to możliwe, żeby minęły dopiero dwa lata?

Koło wejścia stały dwa wozy policyjne. Przechodząc obok nich usłyszała znajome trzaski krótkofalówek. Obecność policji nie wróżyła niczego dobrego, Cathryn zabraniała sobie jednak snucia jakichkolwiek domysłów. Drzwi frontowe otworzyły się przed nią. Skierowała się prosto do laboratorium Charlesa.

Weszła do środka przez otwarte drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegła, było to, że laboratorium już rozmontowano. Bywała tu przedtem, wiedziała więc, czego się spodziewać. Teraz wszystkie urządzenia jakby rodem z fantastyki naukowej zniknęły. Stoły laboratoryjne ziały pustką jak lady sklepu, który splajtował.

W sali znajdowało się sześć osób. Ellen rozmawiała z dwoma policjantami w mundurach, sporządzającymi protokół. Widok pilnie notującego policjanta boleśnie przypominał Cathryn wydarzenia ubiegłego wieczora. Koło biurka Charlesa doktor Ibanez i doktor Morrison pogrążeni byli w rozmowie z piegowatym mężczyzną w niebieskim poliestrowym sportowym płaszczu, który natychmiast ruszył w jej stronę.

- Pani Martel? - zapytał.

Skinęła głową i ujęła wyciągniętą dłoń mężczyzny, miękką i nieco spoconą.

- Jestem detektyw Patrick O'Sullivan. Wyznaczono mnie do

prowadzenia tej sprawy. Dziękuję pani za przybycie.

Nad ramieniem O'Sullivan Cathryn dostrzegła, że Ellen wskazuje na pusty stół laboratoryjny, po czym znów coś mówi. Nie dosłyszała dokładnie słów, zorientowała się jednak, że mowa o aparaturze. Obejrzawszy się na dyrektorów, stwierdziła, że są pogrążeni w ożywionej dyskusji. Nie wiedziała, o czym mówią, zobaczyła tylko, jak doktor Morrison z widocznym gniewem uderza pięścią w otwartą dłoń.

- Co się stało? - spytała, spoglądając w łagodne zielone oczy detektywa.

- Wygląda na to, że pani mąż po zwolnieniu go z instytutu ukradł stąd większość sprzętu.

Spojrzała na niego rozszerzonymi z niedowierzania oczyma.

- Niemożliwe.

- Mamy niezbite dowody. Dwóch nocnych strażników pomogło doktorowi Martelowi rozmontować aparaturę i załadować ją na furgonetkę.

- Ale dlaczego? - spytała Cathryn.

- Miałem nadzieję, że pani mi to powie - rzekł detektyw. Rozejrzała się po sali starając się oszacować rozmiary szaleństwa Charlesa.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedziała. - To jakiś absurd.

O'Sullivan zmarszczył czoło i uniośł brwi, wodząc wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Zgadza się, to wygląda absurdalnie. Niemniej jednak to poważna kradzież, proszę pani.

Cathryn spojrzała w milczeniu na detektywa. O'Sullivan spuścił oczy i zaszurał stopami.

- To stawia w całkowicie odmiennym świetle zniknięcie pani męża. Co innego uprowadzenie dziecka przez rodzica - mówiąc szczerze, nie przejeśliśmy się tym zanadto - a co innego kradzież. Będziemy musieli podać szczegóły do ogólnej wiadomości i przekazać nakaz aresztowania dalekopisem służby federalnej.

Cathryn zadrżała. Za każdym razem, gdy wydawało się jej, że dotarła do dna trapiącego ją koszmaru, sytuacja stawała się jeszcze

gorsza. Charles był teraz poszukiwany przez policję.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Za jej plecami stanął doktor Ibanez.

Odwróciła się i spojrzała w strapioną twarz dyrektora.

- To istotnie tragedia - zgodził się Morrison z podobnie współczującą miną. - I pomyśleć, że Charles był obiecującym badaczem.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Uwaga Morrisona zirytowała Cathryn, nie potrafiła jednak znaleźć właściwych słów, by na to odpowiedzieć.

- Z jakiego dokładnie powodu zwolniono doktora Martela? - spytał Patrick O'Sullivan, przerywając milczenie.

Cathryn odwróciła się w stronę detektywa. Zadał właśnie to pytanie, które ją samą nurtowało, ale na które nie umiała się zdobyć.

- Przede wszystkim dlatego, że od pewnego czasu doktor Martel zachowywał się nieco dziwnie. Zaczęliśmy powątpiewać w jego równowagę psychiczną. - Doktor Ibanez urwał. - Nie był również skłonny, by tak się wyrazić, grać w zespole. W istocie chciał pracować sam, a ostatnio całkowicie odmawiał współpracy z kimkolwiek.

- Jakimi badaniami się zajmował? - spytał detektyw.

- To trudno wyjaśnić laikowi - powiedział Morrison. - Zasadniczo doktor Martel pracował nad immunologicznymi aspektami leczenia chorób nowotworowych. Niestety, to podejście jest już nieco nieaktualne. Dziesięć lat temu wydawało się wielce obiecujące, jednak nie potwierdziły tego późniejsze eksperymenty. Charles nie mógł czy też nie chciał przyjąć tego do wiadomości. A, jak panu pewnie wiadomo, rozwój nauki nie czeka na nikogo.

Kończąc swoją przemowę, Morrison uśmiechnął się.

- Jak panowie sądzą, dlaczego doktor Martel zabrał całe wyposażenie laboratorium? - spytał O'Sullivan, wskazując szerokim gestem salę.

Doktor Ibanez wzruszył ramionami.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Myślę, że na złość - powiedział Morrison. - Jak dziecko, które zabiera piłkę, gdy inne nie chcą grać wedle narzuczanych przez nie zasad.

- Czy doktor Martel mógł zabrać aparaturę, żeby dalej prowadzić swoje badania? - spytał O'Sullivan.

- Nie, to niemożliwe - oświadczył Morrison. - Do tych prac niezbędne są hodowane z zachowaniem ściśle określonych wymogów zwierzęta laboratoryjne. Charles nie zabrał swoich myszy. Myślę, że jako zbiegowi trudno byłoby mu uzyskać nowe.

- Mam nadzieję, że da mi pan listę firm dostarczających takie zwierzęta - powiedział detektyw.

- Oczywiście - zgodził się Morrison.

W głębi laboratorium zadzwonił telefon. Z niewiadomych sobie przyczyn Cathryn drgnęła. Słuchawkę podniosła Ellen, która po chwili zawołała O'Sullivaną.

- Musi pani przeżywać bardzo ciężkie chwile - zwrócił się do Cathryn doktor Ibanez.

- Nie ma pan pojęcia, jak ciężkie - odparła.

- Gdybyśmy tylko mogli w czymś pomóc... - powiedział Morrison.

Cathryn uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Wrócił Patrick O'Sullivan.

- Znalaziono samochód doktora Martela. Stoi porzucony na parkingu na Harvard Square.

Jadąc autostradą międzystanową 301, Cathryn czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa. Była tym zdziwiona, bo chciała przecież jechać do domu nie tylko po to, by czekać na telefon od Charlesa, ale także, by podnieść się na duchu. Doceniała chęć pomocy ze strony Giny, drażniły ją jednak pogardliwie komentarze matki na temat Charlesa i jej poczucie własnej nieomyślności. Sama porzucona niegdyś przez męża, Gina miała niskie mniemanie o mężczyznach, zwłaszcza niewierzących, takich jak

Charles. Nigdy nie przekonała się do małżeństwa córki, czego przed nią nie ukrywała.

Cathryn tęskniła więc za tym, by znaleźć się we własnym domu, choć wiedziała, że nie znajdzie tam ukojenia. Wjeżdżając na teren ich posiadłości, zdjęła stopę z pedału gazu i wdusiła hamulec. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w jej oczy, była przewrócona i zgnieciona skrzynka na listy. Ruszyła obsadzonym drzewami podjazdem, który w lecie tworzył długą cienistą aleję. Poprzez nagie teraz gałęzie widać było dom, rysujący się jaskrawą bielą na tle ciemnych drzew iglastych za szopą.

Zatrzymała samochód pod tylnym wejściem i wyłączyła silnik. Patrząc na dom pomyślała, jak okrutne potrafi być życie. Zdawało się, że jedno wydarzenie pociąga za sobą cały ciąg następnych, jak ustawione w rzędzie kostki domina. Wysiadając z wozu dostrzegła, że uchylonymi drzwiami do domku zabaw kołacze wiatr, bez przerwy tłukąc nimi głucho o framugę. Przyjrząwszy się bliżej dostrzegła, że większość szybek w oknie była wybita. Brnąc w śniegu w stronę kuchennego wejścia wyciągnęła klucze. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Krzyknęła. Zza drzwi wyskoczyła ciemna postać i rzuciła się na nią. Chwilę później Cathryn została przyciśnięta do ściany kuchni. Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, od którego zadygotał cały dom.

To był Charles! Krzyk zamarł jej w gardle. Niezdolna do wydobywania z siebie słowa patrzyła, jak Charles ze starą dubeltówką w ręku przebiega od okna do okna, wyglądając na zewnątrz przez szpary między deskami, którymi zabił okna. Zanim zdołała dobrać się do siebie, schwycił ją za ramię i siłą pociągnął do kuchni przez krótki korytarzyk do salonu. Tam puścił ją i znów podbiegł do okien. Zaskoczona i przerażona, nawet się nie poruszyła. Kiedy w końcu odwrócił się ku niej, spostrzegła, że jest wyczerpany.

- Jesteś sama? - zapytał.

- Tak - odparła, bojąc się powiedzieć cokolwiek więcej.

- Dzięki Bogu - rzekł Charles. Napięte mięśnie jego twarzy nieco się

rozluźniły.

- Co tu robisz? - spytała Cathryn.

- To mój dom - powiedział, zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je przez zacisnięte zęby.

- Nie rozumiem. Myślałam, że porwałś Michelle i uciekłeś z nią. Znajdą cię tutaj!

Po raz pierwszy Cathryn spojrzała wokół siebie. Zauważyła, że salon uległ całkowitej przemianie. Pod ścianą ustawiono lśniące najnowocześniejsze urządzenia zabrane z Instytutu Weinburgera. W stojącym na środku pokoju łóżku spała Michelle.

Cathryn podbiegła do dziewczynki i chwyciła jej dłoń. Charles podszedł za nią.

Michelle otworzyła oczy. Przez chwilę wydawało się, że poznaje macochę, po czym zamknęła powieki. Cathryn odwróciła się ku mężowi.

- Charles, na miłość boską, co ty wyprawiasz?! - zawołała.

- Zaraz ci powiem - odparł, poprawiając aparat do kroplówki. Ujął Cathryn za ramię i wyprowadził ją do kuchni. - Kawy? - zapytał. Potrząsnęła głową, nie spuszczając z niego wzroku. Nalał sobie filiżankę kawy i usiadł.

- Po pierwsze chcę ci coś powiedzieć - zaczął patrząc jej prosto w oczy. - Miałem czas do namysłu i zrozumiałem, w jakiej sytuacji zostałeś postawiona w szpitalu. Przykro mi, że moje niezdecydowanie w kwestii leczenia Michelle zemściło się właśnie na tobie. Lepiej niż laicy wiem, w jaki sposób lekarze potrafią wymusić na pacjentach i ich rodzinach zgodę i postawić na swoim. W każdym razie rozumiem, dlaczego wystąpiłaś o pełnię praw rodzicielskich. Zdaję sobie sprawę, że to niczyja wina, nikt nie wykazywał tu złej woli, a już najmniej ty. Przepraszam, że tak zareagowałem, ale to było silniejsze ode mnie. Mam nadzieję, że mi przebaczysz. Wiem, że starałaś się zrobić to, co uważałaś za najlepsze dla Michelle.

Cathryn nie była w stanie się poruszyć. Chciała podbiec do niego i mocno go objąć, ponieważ wreszcie znowu robił wrażenie normalnego,

ale powstrzymała się. Tak wiele się wydarzyło, na tyle pytań nie było jeszcze odpowiedzi.

Charles podniósł do ust filiżankę z kawą. Dłoń drżała mu tak bardzo, że musiał ją przytrzymać drugą ręką.

- Wiele mnie kosztowało podjęcie decyzji, co będzie, najlepsze dla Michelle - ciągnął. - Podobnie jak ty miałem nadzieję, że ortodoksyjna medycyna da jej szansę na przeżycie. W pewnym momencie uświadomiłem sobie jednak, że zawiodła, i że muszę coś zrobić.

Cathryn czuła, że Charles mówi szczerze. Nie była tylko pewna, czy mówi rozsądnie. Czy załamał się pod wpływem wydarzeń, jak wszyscy sugerowali? Zdawała sobie sprawę, że nie dysponuje odpowiednią wiedzą, by o tym rozstrzygnąć.

- Wszyscy lekarze byli zgodni, że te lekarstwa to jedyna szansa osiągnięcia remisji - czuła, że zaczyna przyjmować postawę obronną. - Doktor Keitzman zapewnił mnie, że nie ma innej możliwości.

- I jestem pewien, że wierzy w to, co mówi.

- To nieprawda?

- Oczywiście, starali się wywołać u Michelle remisję - powiedział Charles. - Ale stosowana przez nich chemioterapia, nawet te eksperymentalne wysokie dawki, nie zadziałały na komórki białaczkowe Michelle, niszczyły natomiast normalnie funkcjonujące komórki, zwłaszcza jej układu odpornościowego.

Cathryn nie w pełni pojmowała, o czym Charles mówi, przynajmniej jednak brzmiało to sensownie; nie sprawiało wrażenia urojeń obłąkanego.

- Ja zaś uważam - ciągnął - że jeśli Michelle ma mieć szansę na przeżycie, musi mieć sprawny układ odpornościowy.

- To znaczy, że chcesz zastosować u niej inną kurację? - spytała Cathryn.

- Myślę, że tak. Mam taką nadzieję!

- Ale wszyscy inni lekarze orzekli, że chemioterapia to jedyna droga.

- Oczywiście - przyznał Charles. - Tak jak chirurdzy wierzą jedynie w chirurgię. Na ludzkie opinie wpływa stan ich wiedzy. To zrozumiałe.

Od dziewięciu lat żyję badaniami nad rakiem i mam nadzieję, że zdołam pomóc Michelle.

Zawiesił głos. Najwyraźniej wierzył w to, co mówił, ale czy miało to jakieś pokrycie w rzeczywistości, czy były to tylko złudzenia? Cathryn również rozpaczliwie pragnęła uwierzyć, jednak w tych okolicznościach przychodziło jej to z trudnością.

- To znaczy, że masz szansę ją wyleczyć? - spytała.

- Nie chciałbym, żebyś sobie robiła zbyt wielkich nadziei - powiedział. - Myślę jednak, że szansa jest. Być może mała, ale zawsze. Co ważniejsze, moje leczenie jej nie zaszkodzi.

- Zdołałeś wyleczyć zwierzęta laboratoryjne z nowotworami? - zapytała Cathryn.

- Nie - przyznał Charles i dodał szybko: - Wiem, że to zakrawa na fantazję, ale nie wiodło mi się ze zwierzętami, bo pracowałem wolno i dokładnie. Tam chodziło o badania ściśle teoretyczne. Ale właśnie zabierałem się do eksperymentów z wykorzystaniem nowej techniki, w której do leczenia myszy chorych są wykorzystywane zdrowe.

- Przecież nie masz tu żadnych zwierząt - Cathryn przypomniała sobie pytania O'Sullivan.

- Nieprawda - odparł triumfalnie. - Mam jedno wielkie zwierzę doświadczalne. Siebie!

Cathryn przełknęła ślinę. Po raz pierwszy w czasie ich rozmowy pojawił się sygnał ostrzegawczy, każący jej wątpić w równowagę psychiczną Charlesa.

- Pewnie jesteś zaskoczona - powiedział. - A nie powinnaś. W przeszłości większość wielkich badaczy z zakresu medycyny eksperymentowała na samych sobie. Pozwól, że w każdym razie wyjaśnię ci, co mam zamiar zrobić. Przede wszystkim w moich badaniach dotarłem do punktu, w którym mogę z pobranej z chorego organizmu komórki wyizolować białko powierzchniowe, zwane antygenem, odróżniające je od normalnych komórek. Już to stanowi wielki postęp. Miałem kłopoty ze zmuszeniem systemu odpornościowego do reagowania na ten antygen, a skutek tego

zniszczenia komórek rakowych. To właśnie, moim zdaniem, zachodzi w zdrowym organizmie. Uważam, że w organizmie bardzo często tworzą się komórki nowotworowe, ale układ immunologiczny sobie z nimi radzi, kiedy zaś zawodzi, nowotwór reprezentowany przez te komórki rozwija się i wywołuje chorobę. Jak dotąd wszystko rozumiesz?

Cathryn skinęła głową.

- Nie udało mi się wywołać u chorujących na nowotwory zwierząt reakcji immunologicznej na wyizolowany antygen. Doszedłem do wniosku, że odpowiedzialny jest za to jakiś czynnik blokujący. Na tym właśnie etapie znajdowałem się w chwili, gdy zachorowała Michelle. Wówczas wpadłem na pomysł, żeby izolowany antygen podawać zdrowym zwierzętom i tym samym uodpornić je na ten antygen. Nie miałem czasu przeprowadzić badań, ale jestem przekonany, że u zdrowych zwierząt układ immunologiczny rozpozna antygen nowotworowy jako obcy i wytworzy na niego przeciwciała. U chorych zwierząt nie dzieje się tak, bo antygen nowotworowy tylko nieznacznie różni się od ich zwykłych białek.

To już stało się dla niej za mądre, wciąż jednak siliła się na uśmiech. Charles impulsywnie wyciągnął ręce przez stół i położył je na ramionach Cathryn.

- Postaraj się zrozumieć. Chcę, żebyś uwierzyła w to, co robię. Potrzebuję twojej pomocy.

Cathryn poczuła, że pada w niej jakaś wewnętrzna zapora. Charles był jej mężem, i to, że jej potrzebował, że sam to przyznał, stanowiło dla niej potężny bodziec.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem o wykorzystywaniu koni do produkcji surowicy przeciwbłoniczej? - spytał Charles.

- Mniej więcej.

- Proces, o którym ci mówię, jest bardzo podobny. Udało mi się wyizolować antygen powierzchniowy z komórek białaczkowych Michelle, odróżniający je od normalnych jej komórek. Wstrzyknąłem go sobie.

- Więc wywołujesz w sobie odporność na komórki białaczkowe

Michelle? - spytała Cathryn, starając się wszystko dokładnie zrozumieć.

- Właśnie - powiedział z podnieceniem Charles.

- Potem wstrzykniesz Michelle swoje przeciwciała?

- Nie. Jej układ immunologiczny odrzuciłby moje przeciwciała. Na szczęście nowoczesna immunologia znalazła sposób na przenoszenie tego, co się nazywa odpornością komórkową z jednego organizmu do drugiego. Gdy tylko wytworzy się u mnie populacja limfocytów T wrażliwych na antygen białaczkowy Michelle, wyizoluję u siebie substancję nazywaną czynnikiem przenoszenia odporności i podam ją Michelle. Mam nadzieję, że dzięki temu jej układ immunologiczny wytworzy odporność na własny antygen białaczkowy. W ten sposób jej organizm będzie w stanie wyeliminować wszystkie istniejące i powstające komórki białaczkowe.

- I zostanie wyleczona? - spytała Cathryn.

- I zostanie wyleczona - powtórzył Charles.

Cathryn nie była pewna czy poprawnie zrozumiała wszystko, o czym mówił Charles, jego plan wydawał się jednak sensowny. Chyba nie zdołałby obmyślić czegoś takiego, gdyby przechodził załamanie nerwowe. Zdała sobie sprawę, że z jego punktu widzenia wszystko, co dotąd przedsięwziął, było racjonalne.

- Jak długo to potrwa? - spytała.

- Nie wiem, czy się w ogóle uda - powiedział Charles. - Sądząc jednak po tym, w jaki sposób mój organizm reaguje na antygeny, będę wiedzieć za kilka dni. Dlatego właśnie zabiłem okna deskami. Jestem gotów odeprzeć wszelkie próby zabrania Michelle z powrotem do szpitala.

Cathryn rozejrzała się po kuchni, znów spostrzegając zabite deskami okna. Potem zwróciła się ponownie w jego stronę:

- Chyba domyślasz się, że szuka cię bostońska policja. Sądzą, że uciekłeś do Meksyku, by zdobyć dla Michelle laetрил.

- Bzdura - roześmiał się Charles. - I nie szukają mnie zbyt pilnie, bo nasza tutejsza policja już dobrze wie, że tu jestem. Nie zauważyłaś, jak wygląda domek zabaw i skrzynka pocztowa?

- Widziałam, że skrzynka jest przewrócona, a okna w domku powybijane.

- To wszystko dzięki lokalnym władzom. Zeszłej nocy zwała się tu zgraja z przetwórnii dysząc chęcią niszczenia. Zadzwoiłem na policję. Myślałem, że zbagatelizowali moje wezwanie, dopóki na drodze nie zauważyłem zaparkowanego wozu patrolowego. Najwidoczniej to wszystko stało się za ich cichym przyzwoleniem.

- Ale dlaczego? - zapytała przerażona Cathryn.

- Wynająłem młodego, zadziornego prawnika, któremu najprawdopodobniej udało się sprawić przetwórnii trochę kłopotów. Pewnie chcieli mnie tak wystraszyć, żebym go zwolnił.

- Mój Boże! - Cathryn zaczynała pojmować rozmiary osamotnienia Charlesa.

- Gdzie są chłopcy? - zapytał.

- Chuck jest u mamy, a Jean Paul u przyjaciela w Shaftesbury.

- Dobrze - powiedział Charles. - Tu może być ciężko.

Mąż i żona, oboje u kresu wytrzymałości nerwowej, patrzyli na siebie przez kuchenny stół. Ogarnęła ich fala uczucia. Wstali i wpadli sobie w ramiona, tuląc się rozpaczliwie, jak gdyby coś miało ich rozdzielić. Obydwoje wiedzieli, że ich zmartwienie nie minęło, lecz utwierdziwszy się w swej wzajemnej miłości, poczuli nowy przypływ sił.

- Kochaj mnie, proszę, zaufaj mi - rzekł Charles.

- Kocham cię - powiedziała Cathryn, czując łzy na policzku. - Nigdy nie przestałam. Martwiłam się tylko o Michelle.

- Więc uwierz, że chodzi mi jedynie o jej dobro. Wiesz, jak bardzo ją kocham.

Cathryn odsunęła się i zajrzała Charlesowi w twarz.

- Wszyscy myślą, że załamaneś się nerwowo. Nie wiedziałam, co mam sądzić, zwłaszcza że zachowywałeś się tak, jak gdyby porachowanie się z przetwórniami było dla ciebie ważniejsze od zdrowia Michelle.

- Musiałem się po prostu czymś zająć. Najbardziej przygnębiała

mnie bezradność, tak jak kiedyś przy Elizabeth. Wtedy mogłem jedynie przyglądać się, jak umiera, i wydawało się, że tak samo będzie z Michelle. Musiałem się na czymś skoncentrować, a dzięki przetwórci mogłem przynajmniej zaspokoić potrzebę działania. Ale jestem naprawdę oburzony tym, co robią, i zamierzam doprowadzić do zamknięcia fabryki. Przede wszystkim chodzi mi jednak o Michelle, inaczej by mnie tu nie było.

Cathryn czuła się tak, jak gdyby zdjęto z niej ogromny przytłaczający ciężar. Była teraz pewna, że Charles nigdy nie stracił kontaktu z rzeczywistością.

- Jaki jest stan Michelle? - spytała.

- Zły - odparł. - Jest strasznie chora. Zdumiewające, jak gwałtownie przebiega u niej choroba. Dałem jej pentazocynę, bo ma okropne skurcze jelit - objął Cathryn ponownie, odwracając twarz.

- Miała je też w szpitalu, gdy przy niej siedziałam - powiedziała czując, jak Charles z drzeniem stara się powstrzymać łzy. Przytuliła go do siebie z całych sił.

Przez kilka minut nie wypuszczali się z objęć. Nie mówili nic - i tak rozumieli się doskonale. W końcu się odsunął. Gdy zwrócił ku niej twarz, dostrzegła, że ma czerwone oczy. Jego twarz spowaźniała.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać spokojnie - powiedział. - Ale chyba nie powinnaś tu zostawać. Bez wątpienia czekają nas kłopoty. To nie znaczy, że nie chcę, byś była przy mnie. Prawdę mówiąc, egoistycznie wolałbym, żebyś została, ale wiem, że lepiej będzie, jeśli wrócisz z Jeanem Paulem do matki.

Skinął głową, jak gdyby przekonywał sam siebie.

- Chcę, żebyś był egoistą - powiedziała Cathryn. Znów silniej niż przedtem czuła, że nadaje się na żonę. - Moje miejsce jest tutaj. Jean Paul i Chuck poradzą sobie beze mnie.

- Ale, Cathryn...

- Nie ma żadnego ale. Zostaję i będę ci pomagać. Charles przyjrzał się żonie. Biła od niej stanowczość.

- A jeśli myślisz - ciągnęła z gwałtownością, jakiej nigdy jeszcze u

niej nie widział - że możesz pozbyć się mnie teraz, kiedy przekonałeś mnie o słuszności swego postępowania, to rzeczywiście oszalałeś. Musiałbyś mnie wyrzucić stąd siłą!

- No dobrze, już dobrze - powiedział Charles z uśmiechem. - Nie wyrzucę cię. Może być jednak ciężko.

- To tak samo mój obowiązek, jak i twój - odrzekła Cathryn. - Należę do rodziny i część związanych z tym ciężarów spada również na mnie. Wiedzieliśmy o tym, decydując się na małżeństwo. Nie wyszłam za ciebie po to, żeby dzielić z tobą tylko przyjemności.

Charles doznawał w tej chwili rozmaitych uczuć, przeważała jednak duma. Zawinił wobec Cathryn, nie obdarzając jej takim zaufaniem, na jakie zasługiwała. Miała rację: kiedy tylko było to możliwe, starał się osłonić ją przed przykrymi stronami życia. Nieśluszenie. Należało być bardziej otwartym, bardziej ufny. Cathryn była jego żoną, nie dzieckiem.

- Jeśli chcesz zostać, proszę - rzekł.

- Chcę - odparła po prostu.

Pocałował ją delikatnie w usta i odsunął się, by spojrzeć na nią z podziwem.

- Naprawdę się przydasz - powiedział, spoglądając na zegarek. - Pora na wstrzyknięcie sobie kolejnej dawki antygeny Michelle. Wyjaśnię ci, co możesz zrobić, kiedy się przygotuję, dobrze?

Skinęła głową. Charles uściśnął jej dłoń, po czym wrócił do salonu. Cathryn przytrzymała się poręczy jednego z kuchennych krzeseł, bo poczuła zawrót głowy. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dni, było zbyt niespodziewane. Ani przez chwilę nie przyszło jej na myśl, że Charles może zabrać córkę do domu. Zastanawiała się, czy można by jakoś wycofać sprawę o przyznanie jej pełni praw rodzicielskich, i tym samym usunąć jeden z powodów, dla których Charlesa poszukiwała policja.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer mieszkania matki. Czekając na połączenie, uświadomiła sobie, że jeśli powie jej że Charles jest w domu, wyniknie kłótnia. Postanowiła więc o tym nie mówić.

Gina odebrała po drugim sygnale. Cathryn rozmawiała z nią w lekkim tonie, nie wspominając o szczegółach wizyty w instytucie ani o fakcie, że Charlesa oskarżano o poważną kradzież. Gdy na chwilę zapadła cisza, chrząknęła i powiedziała:

- Chyba spędzę tu noc, jeśli dasz Chuckowi kolację i wyprawisz go jutro na zajęcia. Chcę być tutaj na wypadek, gdyby Charles zadzwonił.

- Kochanie, nie ma powodu, żebyś siedziała i czekała na telefon od tego trutnia. Mówiłam, że jak cię nie złapie w domu, zadzwoni do mnie. Poza tym wymyśliłam cudowną kolację. Spróbuj zgadnąć, co przygotowuję.

Cathryn westchnęła cicho. Przekonanie matki, że dobry posiłek jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy, nigdy nie przestało wprawiać jej w zdumienie.

- Mamo, nie chcę zgadywać, co robisz na kolację. Chcę zostać na noc we własnym domu.

Wiedziała, że rani uczucia matki, ale zważywszy na okoliczności nie miała właściwie wyboru. Kończąc rozmowę tak szybko, jak mogła, nie wydając się niegrzeczna, odłożyła słuchawkę.

Pamiętając wzmiankę o jedzeniu, Cathryn zajrzała do lodówki. Mało było jedynie mleka i jajek, niczego innego nie brakowało. Mieli dość duże zapasy dzięki staroświeckiej ziemnej piwniczce. Zamknąwszy drzwiczki lodówki, pomyślała patrząc na zabite deskami okna, że stała się więźniem we własnym domu.

Zacząła rozmyślać o przedstawionym przez Charlesa planie wyleczenia Michelle. Musiała przyznać, że nie pojmuje szczegółów, brzmiało to jednak niezłe. Niemniej zdawała sobie sprawę, że gdyby była w towarzystwie doktora Keitzmana, wierzyłaby w jego słowa. Medycyna wydawała się jej zbyt skomplikowana; nie mogła kwestionować opinii fachowców. Jako laiczka cierpiała w sytuacji, gdy lekarze różnili się w poglądach.

Wróciwszy do salonu, zastała Charlesa przy wypuszczaniu z napełnionej strzykawki pęcherzyków powietrza. Usiadła, przyglądając mu się w milczeniu. Michelle wciąż spała, jej przerzedzone włosy

rozpostarte były na poduszce. Przez szczeliny między deskami Cathryn dostrzegła, że znów pada śnieg. Usłyszała, że w podziemiu włączył się piec olejowy.

- Wstrzyknę teraz sobie antygen do żyły - wyjaśnił Charles, rozglądając się za opaską zaciskającą. - Pewnie nie zechcesz mi zrobić tego zastrzyku?

Cathryn poczuła, że zaschło jej w ustach.

- Mogę spróbować - powiedziała z wahaniem.

Prawdę mówiąc, nie chciała mieć nic wspólnego ze strzykawkami. Robiło jej się słabo na sam widok.

- Spróbujesz? - spytał Charles. - Cholernie ciężko jest wkłuć się sobie samemu do żyły, chyba że jest się narkomanem. Powiem ci też, jak masz mi podać adrenalinę, jeśli coś by mi się stało. Na pierwszą dawkę antygeny Michelle zareagowałem niewielką anafilaksją - to znaczy alergią polegającą na wystąpieniu trudności w oddychaniu.

- Och, Boże - szepnęła Cathryn. Głośno powiedziała: - Nie ma innej metody podania antygeny, na przykład doustnie?

Charles potrząsnął głową.

- Próbowałem, ale jest rozkładany w żołądku. Próbowałem nawet wdychać jego sproszkowaną postać tak jak kokainę, ale to spowodowało niesamowity obrzęk śluzówki nosa. Nie mam już czasu na eksperymenty, muszę wstrzykiwać prosto do żyły. Problem polega na tym, że mój organizm zaczął reagować na antygeny alergicznie, zjawiskiem zwanym nadwrażliwością typu wczesnego. Teraz usiłuję ograniczyć ten efekt przez niewielką zmianę struktury białka. Zależy mi na nadwrażliwości typu późnego, komórkowej, nie wczesnej.

Cathryn skinęła głową, jak gdyby rozumiała, o co mu chodzi, docierał do niej jednak tylko odczuwany w opuszkach palców chłód strzykawki. Trzymała ją tak ostrożnie, jak gdyby mogła jej wyrządzić krzywdę. Charles postawił krzesło naprzeciw krzesła Cathryn, a na stole położył w zasięgu ręki dwie mniejsze strzykawki.

- W tych strzykawkach jest adrenalina. Jeśli nagle zrobię się czerwony jak burak i zacznę się dusić, wbij mi po prostu jedną z nich w

jakiś mięsień i wstrzyknij zawartość. Gdyby mi się nie poprawiło w ciągu trzydziestu sekund, podaj kolejną dawkę.

Cathryn poczuła dziwną grozę. Charles jednak nie zdradzał żadnych oznak niepokoju. Rozpiął mankiet koszuli i podwinął rękaw za łokieć. Przytrzymując zębami jeden koniec, zawiązał sobie na ramieniu gumową rurkę. Na rękę natychmiast wystąpiły nabrzmiące żyły.

- Zdejmij z igły kołpaczek - poinstruował Cathryn. - Potem wbij mi po prostu igłę w żyłę.

Wyraźnie drżącą dłonią Cathryn zdjęła osłonę z igły. Jej ostry koniec załśnił w świetle. Charles zmoczył wolną dłonią wacik w alkoholu i mocno przetarł rękę w zgięciu ramienia.

- No dobrze, czyń swoją powinność - odwrócił głowę. Cathryn zaczerpnęła tchu. Wiedziała już, dlaczego nigdy nie myślała o medycynie jako zawodzie, który mogłaby wybrać. Starając się trzymać strzykawkę prosto, przytknęła igłę do skóry Charlesa i delikatnie nacisnęła, nie przebijając nawet naskórka.

- Musisz pchnąć mocniej - Charles wciąż patrzył w drugą stronę.

Pchnęła nieco silniej, nadal bez rezultatu. Charles spojrzał na ramię. Wyciągnął drugą dłoń i zniecierpliwiony pchnął silnie igłę, która wbiła się w żyłę.

- Doskonale - powiedział. - Teraz, nie poruszając strzykawką, pociągnij nieco za tłoczek.

Cathryn usłuchała. Do strzykawki nabrało się trochę jaskrawoczerwonej krwi.

- W dziesiątkę - stwierdził Charles, zdejmując opaskę uciskową. - Wstrzyknij teraz powoli zawartość.

Cathryn zaczęła naciskać na tłok. Poruszał się lekko. Gdy wstrzyknęła nieco ponad połowę, palec nagle jej się ześlizgnął, gwałtownie wciskając tłok do końca i igła wbiła się głębiej. W dole łokciowym Charlesa utworzył się pod skórą niewielki bąbel.

- Nic się nie stało - powiedział Charles. - Nieźle jak na pierwszy raz. Wyciągnij teraz igłę.

Zrobiła to, co jej kazał, a Charles przycisnął do miejsca wkłucia

wacik.

- Przepraszam - Cathryn była przerażona, że wyrządziła mu krzywdę.

- Nie ma sprawy. Kto wie, może podanie części antygeny podskórnie coś da? - Nagle zaczął pęsaowieć i drzeć. - Cholera! - wydusił wyraźnie zmienionym, wyższym głosem. - Adrenalinę... - rzucił.

Cathryn chwyciła jedną z mniejszych strzykawkę. Spiesząc się, by zdjąć osłonę, zgięła igłę. Chwyciła drugą strzykawkę. Charles, na którego skórze zaczęła się pojawiać pokrzywka, pokazał na ramię. Wstrzymując oddech, Cathryn wbiła igłę w mięsień. Tym razem włożyła w to dość siły. Wcisnęła tłok do końca i wyjęła strzykawkę. Szybko odrzuciła ją na bok i spróbowała wyprostować igłę w drugiej. Miała mu właśnie wstrzyknąć następną dawkę, gdy Charles dał znak, że nie trzeba.

- Już dobrze - powiedział wciąż zmienionym głosem. - Czuję, że mi przechodzi. Rany! Dobrze, że tu byłaś.

Cathryn odłożyła strzykawkę. Jeśli przedtem drżała, to teraz cała się trzęsa. Zrobienie Charlesowi zastrzyku stanowiło dla niej niezwykle próbę hartu ducha.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O wpół do dziesiątej szykowali się już do snu. Wcześniej Cathryn przygotowała kolację, gdy Charles pracował w prowizorycznym laboratorium. Pobrał próbkę swej krwi, odwirował komórki i wyizolował spośród nich za pomocą krwinek baranich limfocyty T. Następnie inkubował limfocyty T z zawiesiną własnych makrofagów i komórek białaczkowych Michelle. Podczas kolacji powiedział Cathryn, że na razie nie ma śladu przenoszonej przez komórki nadwrażliwości typu późnego. Poinformował ją, że za dwadzieścia cztery godziny będzie musiał podać sobie kolejną dawkę uczulającą antygeny białaczkowego.

Obudzony się z wywołanego pentazocyną snu, Michelle ucieszyła się na widok Cathryn. Nie przypominała sobie przybycia macochy. Czuła się nieco lepiej, nawet coś zjadła.

- Wygląda lepiej - wyszeptała Cathryn, odnosząc z mężem naczynia do kuchni.

- To bardziej pozory niż rzeczywistość - odparł. - Jej organizm dochodzi do siebie po stosowaniu cytostatyków.

Charles rozpałił ogień w kominku i zniósł do salonu wielki materac. Chciał być blisko Michelle na wypadek nagłej potrzeby. Natychmiast po położeniu się Cathryn poczuła przemożne zmęczenie. Przekonana, że Michelle jest tak wygodnie i spokojnie, jak to tylko możliwe, po raz pierwszy od dwóch dni odprężyła się. Wsłuchując się w miotający

śniegiem we frontowe okna wiatr, przytuliła się do Charlesa i zapadła w sen.

Obudził ją łoskot i brzęk rozbijanej szyby. Usiadła, nie wiedząc, skąd pochodził hałas. Charles, który nie spał, zachował się bardziej przytomnie. Jednym ruchem stoczył się z materaca na podłogę, wstał, chwycił dubeltówkę i odbezpieczył ją.

- Co to było? - spytała Cathryn, czując łomot swego serca.

- Mamy gości - odparł. - Zapewne nasi przyjaciele z przetwórnii.

Coś zadudniło o ścianę domu i spadło z łoskotem na ganek.

- Kamienie - stwierdził Charles gasząc światło.

Michelle coś wymamrotała. Cathryn przesunęła się do niej, by ją uspokoić.

- Tak jak myślałem - powiedział Charles, wyglądając przez szpary między deskami w oknie.

Cathryn podeszła do niego i spojrzała mu przez ramię. Około sto stóp od domu na podjeździe stała grupka mężczyzn z naprędcie skleconymi pochodniami w dłoniach. Dalej na drodze widać było kilka beładnie zaparkowanych samochodów.

- Są pijani.

- Co zrobimy? - wyszeptała Cathryn.

- Nic. Chyba że spróbują się dostać do środka albo za bardzo się zbliżą z pochodniami.

- Strzelałbyś do nich? - spytała.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Zadzwońię po policję.

- Nie warto. Jestem pewien, że wiedzą.

- Mimo to spróbuję.

Zostawiła go przy oknie, po omacku dotarła do kuchni i poprosiła telefonistkę, by połączyła ją z policją w Shaftesbury. Dopiero po ośmiu sygnałach odpowiedział jej zmęczony głos mężczyzny, który przedstawił się jako Bernie Crawford.

Cathryn oświadczyła, że na ich dom napadła grupa pijaków i że potrzebują natychmiastowej pomocy.

- Chwileczkę - powiedział Crawford.

Usłyszała dźwięk odsuwanej szuflady i szelest papierów.

- Jeszcze chwilę. Muszę znaleźć ołówek - powiedział Crawford, odkładając znów słuchawkę, nim Cathryn zdążyła cokolwiek powiedzieć. Z zewnątrz dobiegł ją wrzask. Do kuchni wpadł Charles i rzucił się do okna wychodzącego na północ w stronę stawu.

- No dobrze - odezwał się Crawford, który widocznie wreszcie znalazł ołówek. - Jaki adres?

Cathryn szybko go podała.

- Kod pocztowy? - spytał Crawford.

- Kod? Potrzebujemy natychmiast pomocy.

- Mam swoje przepisy, szanowna pani. Muszę wypełnić formularz, nim wyślę wóz patrolowy.

Cathryn podała kod pocztowy.

- Ilu ich jest?

- Nie wiem, sześciu, może więcej. - Cathryn słyszała, jak policjant notuje.

- To dzieciaki? - spytał Crawford.

- Cathryn! - zawołał Charles. - Musisz obserwować od frontu. Podpalają domek zabaw, ale może to tylko dla odwrócenia uwagi. Ktoś musi pilnować drzwi frontowych.

- Proszę posłuchać! - krzyknęła Cathryn do słuchawki. - Nie mogę teraz rozmawiać. Wyślijcie wóz! - Rzuciła słuchawkę na widełki i przebiegła do saloniku. Przez niewielkie okno koło kominka widać było płomienie liżące domek zabaw. Spojrzała na trawnik przed domem. Grupka z pochodniami zniknęła, zobaczyła jednak, jak ktoś wywleka coś z bagażnika jednego z zaparkowanych samochodów. W ciemności wyglądało to jak pojemnik lub kanister.

- Och, Boże, żeby to nie była benzyna! - szepnęła.

Z tyłu domu dobiegł ją odgłos rozbijanego szkła.

- Nic ci nie jest?! - krzyknęła do Charlesa.

- Nic. Te dranie wybijają szyby w twoim samochodzie!

Usłyszała, jak Charles otwiera kuchenne drzwi. Potem rozległ się

wystrzał z dubeltówki, odbijający się echem po całym domu. Po chwili dobiegło ją trzaśnięcie drzwiami.

- Co się stało?! - krzyknęła. Charles wrócił do salonu.

- Strzeliłem w powietrze. Podejrzewam, że to jedyna rzecz, która może ich nauczyć respektu. Pobiegli tam.

Cathryn wyjrzała na zewnątrz. Grupka zebrała się wokół mężczyzny nadchodzącego od strony samochodu. W świetle pochodni dostrzegła w jego ręce dużą puszkę. Usiadł i najwyraźniej zaczął ją otwierać.

- Wygląda to na farbę - powiedziała Cathryn.

- To jest farba - rzekł Charles.

W tym momencie cała grupa zaczęła skandować „Komuniści!” Mężczyzna z puszką farby ruszył w stronę domu, pozostali, jakby ośmieleni, podążyli za nim. Gdy się zbliżyli, Cathryn zobaczyła, że w dłoniach dzierżą rozmaite pałki. Skandowanie stawało się coraz głośniejsze. Charles rozpoznał Wally'ego Craba i mężczyznę, który go uderzył.

Grupka zatrzymała się około pięćdziesięciu stóp od domu. Przywódca z puszką podchodził coraz bliżej, osłaniany przez rozstawiających się w półkole towarzyszy. Charles cofnął się od okna, Cathryn stanęła za nim. Nie spuszczać oczu z drzwi wejściowych, zacisnął palec na spuście.

Usłyszeli, że prześladowcy zatrzymują się na ganku, potem poszedł w ruch pędzel. Po kilku chwilach reszta farby rozpryskała się o drzwi, a następnie rozległ się brzęk puszką ciśniętej na ganek.

Charles podbiegł do okna. Zobaczył, że mężczyźni wrzeszczą i zataczają się z uciechy. Powoli ruszyli z powrotem podjazdem, spychając się w śnieg. U podnóża podjazdu, hałaśliwie się wyklócając, powsiadali do samochodów. Z wyciem klaksonów odjechali w noc, kierując się na północ, w stronę Shaftesbury.

Zimowa cisza powróciła równie szybko, jak została zakłócona. Charles wypuścił powoli powietrze z płuc, odłożył dubeltówkę i ujął dłoń Cathryn.

- Teraz, gdy zobaczyłaś, jakie to obrzydliwe, może dasz się namówić na powrót do matki, żeby tam przeczekać.

- Nie ma mowy - potrząsnęła przecząco głową. Oderwała się od niego i podeszła do Michelle.

Piętnaście minut później policyjny wóz patrolowy wyhamował z poślizgiem koło kombi. Z przedniego siedzenia wyskoczył Frank Neilson, jak gdyby natychmiast musiał wkraczać do akcji.

- Możesz wsiadać z powrotem, sukinsynu - wycedził Charles, który wyszedł na ganek.

Stojący z wyzywającą miną, z rękami wspartymi na biodrach i lekko rozstawionymi nogami Neilson jedynie wzruszył ramionami.

- Cóż, skoro nie potrzebujecie policji...

- Spieprzaj stąd - warknął Charles.

- Dziwni ludzie mieszkają po tej stronie miasta - powiedział głośno Frank do swojego zastępcy, wsiadając do samochodu.

Nad zamarznąłą ziemią zaczęło rozlewać się blade światło poranka, przesączające się przez wysoką powłokę ołowianych chmur. Charles i Cathryn czuwali na zmianę, wandy nie wrócili. O świcie Charles poczuł, że nic już im nie grozi i wsunął się na materac koło kominka, przytulając Cathryn.

Stan Michelle znacznie się poprawił i choć nadal była niezwykle słaba, zdołała usiąść i dzielnie zjadła śniadanie, przy którym obsługiwał jej udający kelnera Charles.

Cathryn starała się doprowadzić dom do jakiegoś takiego ładu, podczas gdy Charles pobrał sobie znów krew, by zbadać, czy limfocyty T wykazują odpowiedź komórkową o charakterze nadwrażliwości typu późnego na komórki białaczkowe Michelle. W salonie panował bałagan; prócz łóżka Michelle i materaca, na którym spali, było tu pełno najrozmaitszej aparatury. Cathryn niewiele mogła zdziałać w tym chaosie, w kuchni udało się jej jednak zaprowadzić porządek.

- Nie ma śladu, że moje leukocyty zaczęły reagować tak, jak chcę -

powiedział Charles, wchodząc do kuchni po kolejną filiżankę kawy. - Będziesz musiała podać mi później kolejną dawkę antygeny.

- Oczywiście - powiedziała Cathryn, starając się rozdmuchać tłącą się w nich obojgu nadzieję.

Nie była pewna, czy zdoła jeszcze raz zrobić mu zastrzyk. Na samą myśl o tym dostawała gęziej skórki.

- Muszę coś wymyślić, żebyśmy byli tutaj bezpieczni - stwierdził Charles. - Nie wiem, co bym zrobił, gdyby w nocy jeden z tych pijaków usiłował sforsować kuchenne drzwi.

- Wandale to nic. Co będzie, jak zjawi się policja, żeby cię zaaresztować?

Obrócił się ku niej.

- Nie mogę dopuścić, żeby ktoś wszedł do tego domu, dopóki nie skończę.

- Uważam, że pojawienie się policji to tylko kwestia czasu - rzekła Cathryn. - Boję się też, że powstrzymanie ich będzie znacznie trudniejsze. Samym stawianiem oporu popełnisz kolejne przestępstwo i mogą się poczuć zmuszeni do użycia siły.

- Nie sądzę. Mają zbyt wiele do stracenia, a za mało do zyskania.

- Mogą się kierować przekonaniem, że trzeba pomóc Michelle, wznawiając jej leczenie.

Charles powoli skinął głową.

- Może masz rację, ale nawet jeśli tak, nic innego nam nie pozostaje.

- A może jednak - myślała głośno Cathryn. - Może udałoby mi się powstrzymać policję od poszukiwania ciebie. Poznałam detektywa, który prowadzi tę sprawę. Może powinnam z nim porozmawiać i oświadczyć, że nie zamierzam wnosić oskarżenia. Bez skargi nie będą cię poszukiwać.

Charles wypił łyk kawy. To, co mówiła Cathryn, miało sens. Wiedział, że nie miałby szansy oprzeć się policji, gdyby zdecydowano się na wzięcie go siłą. Była to jedna z przyczyn, dla których tak starannie zabił okna deskami: bał się gazu łzawiącego czy czegoś podobnego. Pomyślał jednak, że policja pewnie dysponuje innymi środkami, nad

którymi nawet nie chciał się zastanawiać. Cathryn miała rację: jeśli się tu zjawia, będzie to oznaczać prawdziwe kłopoty.

- Dobrze - powiedział. - Ale musisz skorzystać z wynajętej furgonetki. Stoi w garażu. Nie sądzę, żeby w kombi została choć jedna cała szyba.

Ubrawszy się, przeszli trzymając się za ręce po calowej pokrywie świeżego śniegu do szopy. Oboje widzieli zwęglone resztki domku zabaw nad brzegiem stawu, lecz nie powiedzieli na ten temat ani słowa. Wciąż tłące się pogorzeliśko stanowiło aż zbyt dobitne przypomnienie grozy ubiegłej nocy.

Wyjeżdżając tyłem furgonetką z garażu, Cathryn poczuła, że nie ma ochoty odjeżdżać. Mimo napaści cieszyła się odnalezionym poczuciem bliskości z Charlesem, zwłaszcza że Michelle czuła się wyraźnie lepiej. Z niejakimi kłopotami, ponieważ nigdy jeszcze nie prowadziła furgonetki, udało jej się zawrócić na podjeździe. Pomachała Charlesowi ręką na pożegnanie i powoli odjechała śliską drogą dojazdową.

Gdy dotarła do stóp wzgórza, obejrzała się, by spojrzeć na dom. W szarym świetle poranka, pośród ogołoconych drzew, robił wrażenie porzuconego. Na froncie domu widniało wymalowane wielkimi niedbałymi literami „Komunista”. Reszta rozlanej na ganku czerwonej farby, ściekająca po schodkach, wyglądała jak krew.

Jadąc prosto do Miejskiej Komendy Policji w Bostonie, Cathryn obmyślała, co powie Patrickowi O’Sullivanowi. Zdecydowała, że najlepiej będzie załatwić to krótko i zwięźle; powinno to zająć tylko kilka minut.

Miała wielkie kłopoty ze znalezieniem miejsca na zaparkowanie i w końcu postawiła furgonetkę nieprzepisowo na żółtych pasach. Wjechawszy na piąte piętro, bez trudu znalazła gabinet, w którym urzędował O’Sullivan. Na jej widok detektyw wstał i okrążył biurko. Był ubrany dokładnie tak samo, jak dwadzieścia cztery godziny wcześniej, gdy Cathryn spotkała go po raz pierwszy. Przypomniała sobie nawet plamę z kawy na koszuli tuż koło granatowego krawata ze sztucznego włókna. Nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że ten tak na

pozór łagodny mężczyzna byłby w stanie zdobyć się na gwałtowność, jakiej wymagał jego fach.

- Zechce pani spocząć? - spytał O'Sullivan. - Pozwoli pani, że wezmę jej płaszcz?

- Nie, proszę się nie fatygować - powiedziała Cathryn. - Zabiorę panu tylko chwilę.

Gabinet policjanta wyglądał jak dekoracja do telewizyjnego melodramatu. Na obdrapanych, obłazących z farby ścianach wisały surowe fotografie przedstawicieli policyjnej hierarchii. Znajdowała się tu również tablica wypełniona zdjęciami osób zaginionych i poszukiwanych. Biurko detektywa pokryte było masą papierów, kopert, puszek po zupie pełnych ołówków, stała tu też stara maszyna do pisania i fotografia pyzatej rudowłosej kobiety z pięcioma rudymi dziewczynkami.

O'Sullivan odchylił się w krześle, splatając palce na brzuchu. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Cathryn nie miała pojęcia, o czym myśli ten człowiek.

- Cóż - powiedziała niespokojnie, tracąc pewność siebie. - Przyjechałam powiadomić pana, że nie jestem już zainteresowana wnoszeniem oskarżenia przeciw memu mężowi.

Twarz detektywa O'Sullivana pozostała niewzruszona.

Cathryn na chwilę odwróciła wzrok. Spotkanie od razu zaczęło przebiegać inaczej, niż to sobie umyśliła. Podjęła wątek:

- Innymi słowy, nie chcę już przejmować pełni praw rodzicielskich.

Detektyw wciąż nie reagował, co powiększało jej niepokój.

- Nie dlatego, że nie obchodzi mnie dobro Michelle - dodała szybko.

- Ale mój mąż jest jej biologicznym ojcem, ma dyplom lekarski i może najlepiej ocenić, jakiego leczenia dziecko potrzebuje.

- Gdzie jest pani mąż? - spytał O'Sullivan.

Cathryn zamrugała. Pytanie zdawało się wskazywać, że w ogóle jej nie słuchał. Potem zrozumiała, że nie powinna tak długo się namyślać.

- Nie wiem - powiedziała czując, jak nieprzekonująco to brzmi.

O'Sullivan nagle wyprostował się na krześle i oparł łokcie na biurku.

- Proszę pani, myślę, że będzie lepiej, jeśli o czymś panią poinformuję. Mimo że to pani wszczęła formalne postępowanie, nie może go pani jednostronnie wstrzymać przed przesłuchaniem. Sędzia, który przekazał pani czasowo pełnię praw rodzicielskich, wyznaczył równocześnie kuratora z urzędu. Nazywa się Robert Taber. Jakie jest stanowisko pana Tabera w kwestii złożenia wniosku przeciw pani mężowi dla zapewnienia powrotu Michelle do szpitala?

- Nie wiem - odparła z zakłopotaniem Cathryn, nie przygotowana na taki obrót sprawy.

- Odniosłem wrażenie - ciągnął detektyw - że jeśli pani córka nie otrzyma jak najszybciej określonych leków, jej życie będzie zagrożone.

Cathryn nie odpowiedziała.

- Jestem przekonany, że porozumiała się pani z mężem.

- Rozmawiałam z nim. Dziecko czuje się lepiej.

- A leczenie?

- Mój mąż jest lekarzem - oznajmiła Cathryn, jak gdyby miało to być odpowiedzią na pytanie O'Sullivan.

- Możliwe, proszę pani, ale sąd przystanie jedynie na leczenie zalecane przez szpital.

Cathryn zebrała się na odwagę i wstała.

- Chyba powinnam już pójść.

- Może powinna nam pani powiedzieć, gdzie jest pani mąż.

- Raczej nie - powiedziała Cathryn, porzucając wszelkie pozory niewiedzy.

- Proszę pamiętać, że mamy nakaz jego aresztowania. Dyrekcja Instytutu Weinburgera bardzo nalega na postawienie go przed sądem.

- Dostaną cały swój sprzęt z powrotem - oświadczyła Cathryn.

- Nie powinna pani stawać się współuczestniczką przestępstwa.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. - Cathryn skierowała się ku drzwiom.

- Wiemy, gdzie jest pani mąż! - zawołał za nią detektyw. Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- Może pani usiądzie?

Cathryn przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Z początku miała zamiar mimo wszystko wyjść, zdecydowała jednak, że lepiej będzie zorientować się, co wie policja i co zamierza zrobić. Niechętnie wróciła na fotel.

- Powiniennem pani wyjaśnić coś jeszcze - powiedział O'Sullivan. - Nakaz aresztowania pani męża przekazaliśmy dalekopisami dopiero dziś rano. Czułem, że to nie jest zwykła sprawa, i wbrew opinii dyrekcji Instytutu Weinburgera nie sądziłem, że pani mąż ukradł sprzęt. Myślałem, że go zabrał, ale nie ukradł. Miałem nadzieję, że sprawa jakoś się sama rozwiąże. Liczyłem, że pani mąż zadzwoni i powie: „Bardzo przepraszam, zwracam aparaturę i dziecko. Poniosło mnie...” i tak dalej. Gdyby tak się stało, udałoby się uniknąć jakichkolwiek oskarżeń. Naciskano na nas jednak z instytutu i ze szpitala. Musieliśmy więc dziś rano przekazać nakaz aresztowania pana Martela i natychmiast uzyskaliśmy odpowiedź. Zadzwoniono do nas z posterunku w Shaftesbury, że Charles Martel znajduje się we własnym domu. Tamtejsza policja powiadomiła nas również, że z radością go aresztuje. Przekazałem im więc...

- Och, Boże, nie! - wykrzyknęła Cathryn blednąc.

Detektyw urwał w pół zdania i przyjrzał się jej uważnie.

- Dobrze się pani czuje?

Cathryn zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili spojrzała na O'Sullivana.

- Ten koszmar nigdy się nie skończy.

- Co ma pani na myśli? - spytał detektyw.

Opowiedziała mu o krucjacie Charlesa przeciw przetwórni Recycle Ltd, o postawie lokalnej policji i jej reakcji na napaść na ich dom.

- Rzeczywiście wydawali się trochę zbyt skorzy do działania - przyznał O'Sullivan, przypominając sobie rozmowę z Frankiem Neilsonem.

- Może pan do nich zadzwonić i powiedzieć, żeby się wstrzymali? - spytała Cathryn.

- Już za późno - stwierdził O'Sullivan.

- Mimo to niech pan zadzwoni, żeby nie myśleli, że mają wolną rękę - poprosiła.

O'Sullivan podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie z posterunkiem w Shaftesbury.

Cathryn spytała go, czy nie zechciałby pojechać do New Hampshire nadzorować sprawę.

- Nie mam żadnych uprawnień na tamtejszym terenie - powiedział detektyw. W tym momencie uzyskał połączenie.

- Okrążyliśmy go! - Bernie Crawford mówił tak głośno, że gdy O'Sullivan odsunął słuchawkę od ucha, Cathryn słyszała każde słowo. - Ale ten Martel to wariat. Zabarykadował się w chałupie jak w forcie. Ma dubeltówkę, urnie się nią posługiwać, i trzyma dzieciaka jako zakładnika.

- Zdaje się, że sytuacja jest skomplikowana - powiedział O'Sullivan. - Domyślam się, że wezwaliście do pomocy policję stanową?

- Nie, do cholery! - wykrzyknął Crawford. - Sami sobie z nim poradzimy. Zwerbowaaliśmy garść ochotników. Zadzwonimy, jak tylko go stamtąd wykurzamy, żebyście mogli załatwić przewiezienie go do Bostonu.

Detektyw podziękował Crawfordowi, tamten z kolei zapewnił go, że nie ma za co, policja Shaftesbury jest zawsze gotowa i chętna do pomocy.

O'Sullivan spojrzał na Cathryn. Rozmowa z zastępcą szeryfa Shaftesbury utwierdziła go w przekonaniu, że mówiła prawdę. Crawford nie sprawiał wrażenia zawodowego policjanta, a pomysł rekrutowania ochotników przypominał westerny z Clintem Eastwoodem.

- Szykują się kłopoty - powiedziała Cathryn, potrząsając głową. - Charles zamierza stawić im czoło. Ze względu na Michelle jest gotów na wszystko. Boję się, że będzie się bronić.

- Chryste! - O'Sullivan wstał i zdjął swój płaszcz z wieszaka koło drzwi. - Boże, jak ja nienawidzę spraw o prawa rodzicielskie! Proszę bardzo, pojedę z panią, ale niech pani pamięta, nie mam żadnych

uprawnień do wydawania poleceń w New Hampshire.

Cathryn poprowadziła furgonetkę tak szybko, jak tylko się odważyła, a Patrick O'Sullivan podążył za nią w cywilnym niebieskim chevrolecie nova. W miarę zbliżania się do Shaftesbury Cathryn czuła, że serce bije jej coraz szybciej. Na ostatnim zakręcie przed domem wpadła niemal w panikę. Wjeżdżając na teren posiadłości, dojrzała spory tłum ludzi. Po obu stronach autostrady międzystanowej 301 stało kilkanaście samochodów. Podjazd do domu blokowały dwa wozy policyjne.

Podjechawszy najbliżej jak mogła, Cathryn wysiadła i zaczęła na O'Sullivana, który zaparkował za nią. Mimo mrozu w tłumie panował nastrój karnawałowego święta. Po drugiej stronie drogi ktoś przedsiębiorczy rozstawił przenośny ruszt. Skwierczały na nim włoskie serdelki, następnie wkładane w bułki i sprzedawane po 2,50 dolara za sztukę. Obok stał pojemnik na śmieci wypełniony puszkami piwa marki Budweiser i opakowaniami po lodach. Za stoiskiem grupka dzieci budowała ze śniegu forty, gotując się do bitwy na śnieżki.

O'Sullivan podszedł do Cathryn i powiedział:

- Jezu, to wygląda jak szkolna majówka.
- Z wyjątkiem broni - zauważyła.

Za dwoma wozami policyjnymi zebrała się grupa pstro poubieranych ludzi - od wojskowych drelichów po kurtki narciarskie - wyposażonych w broń myśliwską. Niektórzy z nich w jednej ręce trzymali strzelby, a w drugiej puszkę z piwem. W środku stał Frank Neilson, wsparłszy stopę na zderzaku jednego z samochodów. Przyciskając do ucha małą krótkofalówkę, najwidoczniej koordynował posunięcia niewidocznych uzbrojonych mężczyzn, otaczających właśnie dom.

O'Sullivan zostawił Cathryn, podszedł do Neilsona i przedstawił się. Widać było, że szeryf Shaftesbury potraktował detektywa z Bostonu jak intruza. Jak gdyby wymagało to sporego wysiłku, zdjął powoli stopę ze zderzaka i wyprostował się, spoglądając z góry na niższego odeń O'Sullivana. Nie sprawiali wrażenia ludzi pracujących w tym samym

zawodzie. Neilson miał na sobie przepisowy niebieski mundur, włącznie z masywnym służbowym pistoletem w skórzanej kaburze, na głowie zaś czapkę uszatkę ze sztucznego futra z klapkami związanymi na wierzchu. O'Sullivan natomiast ubrany był w znoszony wełniany płaszcz barwy khaki. Na gołej głowie piętrzyła się szopa rozwichrzonych włosów.

- Jak idzie? - spytał beztrąsko detektyw.

- Świetnie - odparł Neilson. - Panujemy nad sytuacją.

Wierzchem dłoni otarł kartoflowaty nos. Przeprosił, gdy zatrzeszczała krótkofalówka. Zarządził, by grupa zwiadowcza podkradła się na sto jardów od domu i tam czekała na dalsze rozkazy. Potem zwrócił się do O'Sullivana:

- Musimy mieć pewność, że podejrzany nie wymknie się tylnymi drzwiami.

O'Sullivan odwrócił się i przyjrzał uzbrojonym mężczyznom.

- Sądzi pan, że potrzebne są tu aż takie siły?

- Chce mnie pan pouczać, jak mam sobie radzić? - spytał sarkastycznie Neilson. - Słuchaj, detektywie, tu jest New Hampshire, nie Boston. Nie ma pan tu żadnych uprawnień, i mówiąc szczerą prawdę, nie lubię, jak ważniacy z miasta zwalają mi się na głowę i udzielają rad. Ja tu rządzę i wiem, jak należy odbijać zakładników. Najpierw zabezpieczyć teren, później negocjować. A teraz przepraszam, bo mam robotę.

Odwrócił się plecami do O'Sullivana i zaczął wydawać polecenia przez krótkofalówkę.

Detektywa zaczepił wysokiego, chudego mężczyznę:

- Nazywam się Harry Barker, jestem z bostońskiego Globe. Pan jest detektyw O'Sullivan z bostońskiej policji, zgadza się?

- Nie marnujecie czasu, co? - spytał ironicznie O'Sullivan.

- W Sentinel z Shaftesbury byli tak mili, że dali nam cynk. To może być duży numer. Ludzie lubią takie historie. Może pan mnie trochę wprowadzić w sprawę?

O'Sullivan wskazał Neilsona.

- Ten facet tu rządzi. Z nim niech pan rozmawia.

Neilson przygotowywał się właśnie do przemowy przez megafon, gdy podszedł do niego Harry Barker. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po czym dziennikarz odsunął się na bok. Frank Neilson nacisnął guzik na megafonie i jego wzmocniony głos poniósł się po śniegu. Zrekrutowani ludzie przestali się śmiać i przekrzykiwać, zamilkły nawet dzieci.

- Dobra, Martel - jesteś okrążony. Masz wyjść z podniesionymi rękami.

Tłum całkowicie znieruchomiał. Poruszały się jedynie płatki śniegu opadające z gałęzi drzew. Z białego wiktoriańskiego domu nie dobył się żaden dźwięk. Szeryf powtórzył wiadomość z tym samym skutkiem. Jedynym odgłosem był świst wiatru w gałęziach sosen za szopą.

- Podchodzę bliżej - rzucił Neilson, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł - powiedział O'Sullivan wystarczająco głośno, by usłyszeli go ludzie w pobliżu.

Spojrząwszy wrogo na detektywa, Neilson ujął megafon w prawą rękę i zaczął uroczyście okrążać wóz policyjny. Mijając O'Sullivana zaśmiał się.

- W dniu, w którym Frank Neilson nie poradzi sobie z jakimś zafajdanym doktorkiem, zwróci odznakę.

Tłum zaczął szemrać z podnieceniem. Stąpając ciężko Neilson oddalił się mniej więcej pięćdziesiąt stóp od wozów policyjnych w kierunku domu. Na jego czapce osadzał się padający coraz gęstszy śnieg.

- Martel! - zagrzmiął szeryf przez megafon. - Ostrzegam cię, jeśli nie wyjdiesz, my wejdziemy do środka.

Po ostatnim słowie zapanowała cisza. Neilson odwrócił się do tłumu i wykonał gest zniecierpliwienia, jak gdyby przyszło mu radzić sobie ze szkodnikami w ogródku, po czym ruszył dalej.

Wszyscy widzowie stali nieruchomo i milczeli. Czekali w podnieceniu, licząc, że zdarzy się coś spektakularnego. Neilson był już

około stu stóp od domu.

Nagle frontowe drzwi ochlapane czerwoną farbą otworzyły się i stanął w nich Charles Martel, trzymający w rękach dubeltówkę. Prawie równocześnie padły dwa strzały.

Neilson zanurkował głową naprzód w zaspę na skraju podjazdu podczas gdy gapie zaczęli uciekać i chować się za samochody lub drzewa. Charles zatrzasnął drzwi, a śrut na ptactwo, nie wyrządzając jakiegokolwiek szkody, opadł na ziemię.

Tłum zaczął szemrać. Gdy Neilson wstał, rozległy się radosne okrzyki. Ucichły nieco, gdy policjant rzucił się do odwrotu tak szybko, jak tylko nogi chciały nieść otyłe cielsko. Dobiegając do samochodów, Neilson pośliznął się i ostatnich dziesięć stóp zjechał na pośladkach, hamując na tylnym kole wozu policyjnego. Podbiegła garstka rekrutów i pomogła mu się podnieść.

- W mordę jebany skurwysyn!!! - wrzasnął Neilson. - Dobra!! Dostanie bydlak, na co sobie zasłużył!

Ktoś zapytał szeryfa, czy oberwał śrutem. Policjant potrząsnął głową, starannie otrzepał się ze śniegu i poprawił mundur wraz z kaburą.

- Byłem dla niego za szybki - powiedział.

Podjechała furgonetka lokalnej stacji telewizyjnej. Wysiadła ekipa zdjęciowa i szybko utorowała sobie drogę do szefa policji. Komentatorką była raźna młoda kobieta, ubrana w czapkę z norek i długą pikowaną kurtkę. Zamieniła szybko parę słów z Neilsonem, po czym włączyły się reflektory, zalewając otoczenie jaskrawym światłem. Kobieta przedstawiła błyskawicznie siebie i rozmówcę, odwróciła się i podsunęła mu pod nos mikrofon.

Zachowanie się Neilsona uległo raptownej zmianie o sto osiemdziesiąt stopni. Nieśmiało, z zakłopotaniem, powiedział:

- Wykonuję swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

Po pojawieniu się kamerzystów telewizji z tłumu wyłonił się nastawiony na robienie politycznej kariery burmistrz miasteczka, John Randolph. Przecisnął się w krąg światła i otoczył ramieniem Neilsona.

- A my uważamy, że wykonujesz ją doskonale. Prawda, że popieramy naszego szeryfa?

Puścił Neilsona i zaczął klaskać. Tłum poszedł w jego ślady. Dziennikarka odsunęła mikrofon i spytała szeryfa, czy mógłby powiedzieć widzom, co się właściwie dzieje.

Neilson nachylił się w stronę mikrofonu:

- Mamy tam szalonego naukowca. - Niezgrabnie wskazał przez ramię na dom. - Ma chore dziecko i nie dopuszcza do niego lekarzy. Jest potężnie uzbrojony i niebezpieczny. Wydano nakaz jego aresztowania za uprowadzenie dziecka i poważną kradzież. Nie ma jednak powodów do paniki, panujemy nad sytuacją.

O'Sullivan przecisnął się przez tłum w poszukiwaniu Cathryn. Zastał ją przy samochodzie z dłonią przyciśniętą do ust. Była przerażona.

- Jeśli pan ich nie powstrzyma, to wszystko skończy się tragicznie - powiedziała.

- Nie mogę interweniować - wyjaśnił O'Sullivan. - Już to pani mówiłem, nim tu przyjechaliśmy. Myślę jednak, że nic się nie stanie, dopóki jest tu prasa i telewizja. Dzięki temu szeryf nie popełni żadnego głupstwa.

- Chcę się dostać do domu, do Charlesa - oświadczyła Cathryn. - Boję się, że to mnie może podejrzewać o sprowadzenie policji.

- Oszalała pani? - spytał O'Sullivan. - Dom otacza mniej więcej czterdziestu uzbrojonych ludzi. To niebezpieczne. Poza tym nie wpuszczą tam pani. Dla nich byłaby pani kolejnym zakładnikiem. Niech pani postara się być cierpliwa. Porozmawiam z Frankiem Neilsonem, spróbuję go przekonać, żeby wezwał policję stanową.

Detektyw ruszył w stronę wozów patrolowych żałując, że nie został w Bostonie. Gdy zbliżał się do prowizorycznego posterunku dowodzenia, znów usłyszał przez megafon dudniący głos szeryfa. Padał coraz gęstszy śnieg i ktoś wyraził wątpliwość, czy szefa w ogóle słyszać w domu. Tak czy inaczej, Charles nie odpowiadał.

O'Sullivan podszedł do Neilsona i spytał, czy nie łatwiej byłoby

porozumieć się z Martelem przy użyciu polowego telefonu. Szeryf zastanowił się nad propozycją i choć nie odpowiedział, wszedł do wozu, odszukał numer Martela i wykręcił go. Charles odebrał natychmiast.

- Dobra, Martel. Jakie są twoje warunki dotyczące wypuszczenia dzieciaka?

Odpowiedź była zwięzła:

- Możesz iść do diabła, Neilson. - Po czym połączenie zostało przerwane.

- Doskonały pomysł - rzekł sarkastycznie Neilson do O'Sullivan, odkładając słuchawkę. Następnie rzucił ze złością:

- Kurwa, jak można negocjować z kimś, kto nie ma żadnych żądań? No, może mi ktoś na to odpowie?

- Szefie - odezwał się jakiś głos. - Może tak ja z kolegami spróbowałibyśmy się wdrzeć do chałupy?

Ta propozycja przeraziła O'Sullivan. Usiłował wymyślić, w jaki sposób namówić Neilsona na wezwanie policji stanowej. Do szeryfa podeszło trzech mężczyzn w białych paramilitarnych kurtkach i spodniach.

- Taaa - powiedział jeden z nich, któremu brakowało przednich zębów. - Obejrzelśmy sobie tę budę. Z tyłu łatwo będzie dostać się do środka. Przebiegniemy od strony szopy, wywalimy kuchenne drzwi i po wszystkim.

Neilson przypomniał sobie tych ludzi. Pracowali w Recycle Ltd.

- Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobić - odparł.

- A gaz łzawiący? - zasugerował O'Sullivan. - To mogłoby wykurzyć doktora.

Neilson spojrział na detektywa gniewnie.

- Słuchaj pan, nie pytałem pana o zdanie. Kłopot polega na tym, że nie mamy tu żadnych skomplikowanych bajerów i żeby je ściągnąć, musiałbym wezwać chłopaków ze stanówki. A chcę załatwić tę sprawę bez niczyjej pomocy.

Powietrze przeszył krzyk. Za nim rozległy się następne. Neilson i O'Sullivan odwrócili się równocześnie i zobaczyli, że Cathryn przebiega

na ukos przed samochodami.

- Co jest, do cholery? - zawołał Neilson.

- To żona Martela - wyjaśnił O'Sullivan.

- Jezu Chryste! - krzyknął Neilson i wrzasnął do najbliższego ze zwerbowanych mężczyzn:

- Łapcie ją! Nie pozwólcie jej dostać się do domu!

Im szybciej biegła Cathryn, tym bardziej jej stopy zapadały się pod skorupę zamrożonego śniegu. Gdy przedarła się do podjazdu, drogę zagroziły jej zwały śniegu odgarniętego przez pług. Musiała je pokonać na czworakach. Ześliznęła się po drugiej stronie zasy i poderwała do dalszego biegu.

Z okrzykami podniecenia kilku sterczących beczynn timerwerbowanych mężczyzn wypadło zza wozów patrolowych ścigając się, który z nich pierwszy dopadnie Cathryn. Świeży śnieg był jednak zdradliwy i potykając się przeszkadzali sobie wzajemnie. W końcu dwóm z nich udało się okrążyć wozy policyjne. Z całych sił rzucili się do biegu podjazdem. W tłumie rozległ się szmer ekscytacji. O'Sullivan natomiast złapał się na tym, że zaciska pięści i w myślach ponagla Cathryn do wzmożenia wysiłków, choć wiedział, że jej obecność w domu jedynie skomplikuje sytuację.

Cathryn zaczęło brakować tchu. Słyszała za plecami ciężkie oddechy zbliżających się prześladowców. Rozpaczliwie próbowała wymyślić jakiś manewr, by się od nich oderwać, utrudniał jej to jednak narastający ból w boku.

Zobaczyła przed sobą uchylające się zachlapane czerwoną farbą drzwi. Po chwili ujrzała pomarańczowy błysk i prawie równocześnie usłyszała huk wystrzału. Zatrzymała się, ciężko dysząc i spodziewając się bólu. Obejrzawszy się spostrzegła, że jej prześladowcy padli w śnieg, by uniknąć ostrzału. Usiłowała zerwać się do biegu, ale nie zdołała. Z trudem dotarła do schodów. Trzymając w prawej ręce dubeltówkę Charles wyciągnął do niej lewą dłoń i szarpnięciem wciągnął do środka.

Osunęła się na podłogę, nie mogąc złapać tchu. Słyszała, że Michelle ją woła, nie była jednak w stanie wydusić z siebie ani słowa. Charles

przebiegał od okna do okna. Po minucie Cathryn podniosła się i podeszła do Michelle.

- Tęskniłam za tobą, mamó - dziewczynka zarzuciła jej rękę na szyję. Cathryn wiedziała już, że postąpiła słusznie.

Charles wrócił do salonu i jeszcze raz wyrztał przed dom. Uspokojony, podszedł do żony i córki, odłożył broń i otoczył je ramionami.

- Teraz mam obie moje kobiety - powiedział z błyskiem w oku.

Cathryn natychmiast zaczęła wyjaśniać, co się stało, powtarzając parokrotnie, że nie miała nic wspólnego z pojawieniem się policji.

- Ani przez chwilę nie przyszło mi to na myśl - rzekł Charles. - Cieszę się, że wróciłaś. Trudno jest równocześnie pilnować obu stron domu.

- Nie ufam tutejszej policji - oświadczyła Cathryn. - Myślę, że Neilson to psychopata.

- Zgadza się z tobą w zupełności - rzekł Charles.

- Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy się poddali. Boję się Neilsona i jego ludzi.

Charles potrząsnął głową, bezgłośnie poruszając ustami, jakby mówił „nie”.

- Posłuchaj... Myślę, że tylko czekają na okazję, żeby się tu wdrzeć siłą.

- Nie wątpię - przyznał Charles.

- Jeśli się poddasz, zwrócisz wyposażenie instytutowi i wytłumaczysz doktorowi Keitzmanowi, co chcesz zrobić dla Michelle, może zdołasz dokończyć eksperyment w szpitalu.

- Nie ma mowy - powiedział Charles, uśmiechem kwitując jej naiwność. - Połączone siły medycyny klinicznej i świata naukowego by do tego nie dopuściły. Orzeczono by, że jestem psychicznie niezrównoważony. Jeśli stracę teraz Michelle, już nigdy jej nie odzyskam. To chyba nie byłoby najlepsze, prawda? - Charles zmierzwił włosy Michelle, która na znak zgody pokiwała głową. - Poza tym - ciągnął - wydaje mi się, że mój układ odpornościowy zaczyna

przejawiać nadwrażliwość późną.

- Naprawdę? - Cathryn z trudem mogła wykrzesać z siebie entuzjazm po tym, czego była świadkiem na zewnątrz. Zdumiewał ją pozorny spokój Charlesa.

- Przy ostatnim teście moje limfocyty T wykazywały słabą reakcję na komórki białaczkowe Michelle. Zachodziła, ale bardzo powoli. Mimo to sądzę, że kiedy się trochę uspokoi, muszę podać sobie jeszcze jedną dawkę uczulającą antygeny.

Na zewnątrz rozlegał się tłumiony przez śnieg głos z megafonu. Cathryn marzyła, by móc zatrzymać czas. Chwilowo czuła się bezpieczna, mimo czającego się na zewnątrz zła.

Wskutek zamieci śnieżnej ciemności zapadły szybko. Na wstrzyknięcie kolejnej dawki antygeny Charles wybrał porę kolacji. Skorzystał z innej metody; namówił Cathryn do założenia mu wkłucia dożylnego - wenflonu. Ku jej zaskoczeniu poszło łatwiej, niż się spodziewała. Charles udzielił jej dokładnych wskazówek, jak ma sobie radzić z reakcją anafilaktyczną, której oczekiwał. Prawie natychmiast po podaniu antygeny białaczkowego musiała mu wstrzyknąć adrenalinę. Dzięki temu dość gwałtowna reakcja nie przerodziła się we wstrząs anafilaktyczny.

Potem Cathryn zabrała się do przyrządzania kolacji, Charles natomiast wymyślał sposoby zabezpieczenia domu. Zabił deskami okna na piętrze i wzmocnił barykady za drzwiami. Najbardziej martwił się możliwością użycia gazu łzawiącego. Wygasił ogień w kominku i zatkał otwór odprowadzający, by nikt tą drogą nie wrzucił do środka pojemnika z gazem.

Wspólnie obserwowali, jak z nastaniem nocy tłum zaczyna się rozpraszać, gniewny i rozczarowany, że nie doszło do użycia siły. Zostało kilku upartych gapiów, lecz o dziewiątej trzydzieści, gdy temperatura spadła do -15°C , i oni wreszcie rozeszli się do domów. Cathryn i Charles na zmianę wyglądali przez okna i czytali Michelle.

Poprzednie pozory poprawy zniknęły; była znów słabsza. Miała również napad niezbyt silnych kurczów jelit, ale wkrótce ustąpiły. Przed dziesiątą zasnęła.

Poza odgłosami włączającego się co pewien czas pieca olejowego w domu zapanowała cisza. Charles, który pierwszy objął wartę, z trudem walczył ze snem. Uczucie euforii wywołane podaniem adrenaliny minęło już dawno; zastąpiło je straszliwe wyczerpanie. Nalał sobie filiżankę letniej kawy i zaniósł ją do salonu. Poruszał się po omacku, bo zgasił wszystkie światła w domu. Usiadł przy jednym z frontowych okien i wyjrzał przez szpary między deskami, starając się bez powodzenia dojrzeć wozy policyjne. Na moment odchylił głowę na oparcie i w tej samej chwili zapadł w sen głęboki i wszechogarniający.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dokładnie o 2.00 w nocy Bernie Crawford ostrożnie przełożył ramię przez przednie siedzenie wozu policyjnego, szykując się do obudzenia chrapiącego szefa. Neilson wydał mu takie polecenie, problem polegał jednak na tym, że nie znosił, kiedy wyrywano go ze snu. Ostatnim razem, kiedy Bernie budził szefa w czasie zasadzki, Neilson przyłożył mu boleśnie w bok głowy. Kiedy w końcu doszedł do siebie, przeprosił, wcale jednak przez to mniej nie bolało. Cofając ramię, Bernie zdecydował się użyć innej sztuczki. Wsiadł z auta, spostrzegając, że przybyły trzy cale świeżego śniegu. Otworzył tylne drzwiczki i potrząsnął szefem.

Neilson gwałtownie podniósł głowę i spróbował schwycić Crawforda, lecz ten odskoczył w tył. Mimo swej tuszy szeryf zręcznie wyskoczył z samochodu, najwyraźniej zamierzając dopaść swego zastępcę, który gotów był rzucić się do ucieczki autostradą międzystanową 301. Gdy tylko jednak Neilsona owiało mroźne powietrze, przystanął i rozejrzał się wokół siebie zdezorientowany.

- Już w porządku, szefie? - spytał Bernie z odległości pięćdziesięciu stóp.

- Pewnie, że w porządku - burknął Neilson. - Cholera, która godzina?

Usadowiwszy się z powrotem na tylnym siedzeniu, szeryf kaszłał przez kilka minut, uniemożliwiając sobie przypalenie papierosa. W

końcu zaciągnął się parę razy, wy dostał krótkofalówkę i połączył się z Wallym Grabem. Nie był zachwycony jego planem, lecz jak słusznie zauważyli ludzie, którzy go otaczali, sam nie miał lepszego. Wieczorem cierpliwość wszystkich się wyczerpała. Neilson musiał się na coś zdecydować, jeśli nie chciał stracić posłuchu. Wówczas przystał na plan Wally'ego Graba.

Większość swej służby wojskowej w piechocie morskiej Wally spędził w Wietnamie. Powiedział Neilsonowi, że jeśli tylko błyskawicznie wtargnie się do domu, ludzie w środku nie będą mieli możliwości stawienia oporu. Proste jak drut. Później nadmienił, że gdy będzie już po wszystkim, szeryf może osobiście odwiedzić podejrzanego do Bostonu, a dziecko do szpitala. Stanie się bohaterem.

- A co z dubeltówką tego gościa? - spytał Neilson.

- Myśli pan, że będzie siedział trzymając ją przez cały czas w spoconych łapach? Nie da rady. Wywalamy kuchenne drzwi, wparowujemy do środka i bierzemy go. Będą tak zaskoczeni, że palcem nie kiwną. Proszę mi zaufać, czy poszedłbym na to, gdybym nie był pewien, że się uda? Może jestem głupi, ale nie wariat.

W końcu Neilson ustąpił. Spodobała mu się myśl, że będzie bohaterem. Wybrali godzinę drugą po północy. O tej porze Wally Crab, Giorgio Brezowski i Angelo De Jesus mieli wyważyć kuchenne drzwi. Neilson nie znał tych dwóch, lecz Crab zapewnił go, że obydwaj byli w Wietnamie i mają solidne doświadczenie. Poza tym sami się zgłosili.

Krótkofalówka zatrzeszczała. Głos Wally'ego Craba wypełnił samochód:

- Odbieramy was. Jesteśmy gotowi. Wchodźcie, jak tylko otworzymy frontowe drzwi.

- Jesteście pewni, że się uda? - spytał Neilson.

- Odpręż się, szeryfie, dobrze? Pewnie, że się uda!

- Dobrze, czekamy.

Neilson wyłączył krótkofalówkę i rzucił ją na tylne siedzenie. Nie mógł zrobić nic więcej do chwili otworzenia frontowych drzwi.

Wally wsunął krótkofalówkę do wewnętrznej kieszeni kurtki i

zasunął zamek błyskawiczny. Jego masywne ciało dygotało z podniecenia. Przemoc wywoływała u niego podobne doznania co seks, może nawet intensywniejsze, bo była mniej skomplikowana.

- Jesteście gotowi, chłopaki? - spytał dwóch skulonych mężczyzn koło siebie. Skinęli głowami. Zaczęli podchodzić od południa w stronę domu Martela. Posuwali się wśród sosen, aż dotarli do szopy. Ubrani w białe firmowe stroje przetwórci Recycle Ltd, byli prawie niewidzialni wśród proszącego nieustannie śniegu.

Okrzyżyli szopę od wschodu. Idący przodem Wally Crab wyjrzał zza węgła w stronę domu. Z wyjątkiem lampy nad kuchennymi schodkami dom był pogrążony w ciemnościach. Od miejsca, w którym się znajdowali, do drzwi kuchennych dzieliło ich około stu stóp.

- Dobrze, sprawdźcie sprzęt - powiedział Wally. - Gdzie dubeltówka?

Angelo podał broń Brezowi, który wręczył ją Grabowi. Był to dwulufowy dwunastonabojowy remington, naładowany pociskami typu magnum zero zero zero, zdolnymi przebić drzwiczki samochodu. Wally odbezpieczył broń. Wszyscy otrzymali również policyjne trzydziestki ósemki.

- Pamiętacie swoje zadania? - spytał Wally.

Plan polegał na tym, że Crab miał iść pierwszy, wywalić dziurę w drzwiach i otworzyć je, by tamci dwaj wpadli do środka. Wally uważał ten plan za dobry; dzięki podobnym przeżył przez pięć lat w Wietnamie. Zwykł być zgłaszać się na ochotnika tylko do bezpiecznych części akcji.

Angelo i Brezo pokiwali z napięciem głowami. Założyli się wcześniej: ten, który pierwszy dopadnie Martela, stanie się bogatszy o sto dolarów.

- Dobra - powiedział Wally. - Ruszam. Dam znak Angelowi.

Obrzuciwszy jeszcze jednym spojrzeniem ciemny dom, Crab wybrnął ze śniegu zza rogu szopy, pochylając się nisko. Szybko pokonał stustopowy dystans i bezgłośnie przypadł do ściany w cieniu pod kuchennymi schodkami. W domu nadal panował spokój. Skinął na

Angela, który wraz z Brezem dołączył do niego. Przynieśli ze sobą latarki i pistolety.

Wally spojrzął na dwóch towarzyszy.

- Pamiętajcie, że trzeba do niego wygarnąć z przodu, nie z tyłu.

Poderwał się energicznie, wpadł na schodki i wymierzył broń w zamek kuchennych drzwi. Ciszę nocy zmaćił wystrzał. Część kuchennych drzwi zniknęła. Wally chwycił ich skraj i otworzył zdecydowanym szarpnięciem. Równocześnie Brezo wbiegł po schodkach i minawszy Craba wpadł do kuchni. Angelo podążał tuż za nim.

Otwierając drzwi Wally uruchomił jednak pułapkę Charlesa. Sznur wyrwał zatyczkę z prostego mechanizmu, podtrzymującego kilka stufuntowych worków z ziemniakami z Idaho, przechowywanymi w ziemnej piwniczce. Zwieszały się na naprężonej linie z haka wbitego nad drzwiami i kiedy zatyczka została wyszarpięta, worki opadły niżej, gwałtownie wprowadzone jednocześnie w ruch wahadłowy.

Brezo ledwie zdążył włączyć latarkę, gdy ujrzał rozkołysane worki. Uniósł ręce, by zasłonić twarz, i w tym momencie z tyłu wpadł na niego Angelo. Worki z ziemniakami trafiły prosto w Breza, zmiatając go z ganku na śnieg, zdążył jednak instynktownie zacisnąć palec na spuście pistoletu. Kula przeszła łydkę Angela, zanim wbiła się w deski ganku. Angela również zmiotło z ganku, tyle że w bok. Spadając roztrzaskał część filigranowej balustradki. Nie zdawał sobie sprawy, że został postrzelony, dopóki nie spróbował wstać i stwierdził, że lewa stopa odmawia mu posłuszeństwa. Doszedłszy do siebie na tyle, by podnieść się ze śniegu, Brezo ruszył mu na pomoc.

Na odgłos wystrzału Charles i Cathryn zerwali się na równe nogi. Gdy Charles całkiem oprzytomniał, sięgnął gorączkowo po dubeltówkę. Schwyciwszy ją, rzucił się do kuchni. Cathryn podbiegła do Michelle, ale dziewczynka się nie obudziła.

Gdy Charles wpadł do kuchni, dostrzegł tylko dwa worki z ziemniakami kołyszące się jeszcze w drzwiach. Trudno było cokolwiek dojrzeć poza kręgiem światła rzucanego przez lampę nad gankiem,

wydało mu się jednak, że widzi dwie białe postacie biegnące w stronę szopy. Wyłączywszy światło zobaczył je wyraźniej. Jeden z uciekających mężczyzn podtrzymywał drugiego.

Charles zamknął rozwalone drzwi i przywiązał je kawałkiem liny. Potem zatkał dziurę po naboju poduszką z jednego z kuchennych krzeseł. Z wielkim wysiłkiem udało mu się podwiesić z powrotem worki z ziemniakami. Usłyszał wycie syreny zbliżającej się karetki; zastanawiał się, czy człowiek, który oberwał workami, jest poważnie ranny.

Wróciwszy do salonu wytłumaczył Cathryn, co się stało. Potem dotknął czoła Michelle. Znow miała wysoką gorączkę. Najpierw łagodnie, później bardziej zdecydowanie, spróbował córkę obudzić. Wreszcie otworzyła oczy i uśmiechnęła się, natychmiast jednak zapadła z powrotem w sen.

- To nie jest dobry znak - powiedział Charles.

- O co ci chodzi?

- Komórki białaczkowe mogły zaatakować ośrodkowy układ nerwowy. Jeśli tak się stało, będzie potrzebował naświetlań.

- To znaczy, że będzie musiała wrócić do szpitala? - spytała Cathryn.

- Tak.

Reszta nocy upłynęła bez żadnych wydarzeń. Czuwali na zmianę po trzy godziny. Z nastaniem świtu Cathryn ujrzała, że na końcu podjazdu, pokrytego grubą warstwą świeżego śniegu, pozostał tylko jeden wóz patrolowy.

Nie budząc Charlesa przeszła do kuchni i zaczęła przygotowywać obfite wiejskie śniadanie. Chciała na chwilę zapomnieć o tym wszystkim, co się wokół nich działo, a najlepszym sposobem było zajęcie się zwykłymi sprawami. Nastawiła świeżą kawę w ekspresie, zmieszała wyjęte z opakowań herbatniki, wyjęła bekon z lodówki i zrobiła jajecznicę. Gotowe śniadanie wniosła na tacy do salonu i obudziła Charlesa. Michelle też już nie spała; jej świadomość wydawała się mniej przyćmiona niż w nocy. Nie była jednak głodna, a gdy Cathryn zmierzyła jej temperaturę, okazało się, że ma nieco ponad 39°C.

Odniósłszy naczynia do kuchni, Charles powiedział Cathryn, że boi się wystąpienia u Michelle infekcji, i jeśli gorączka nie spadnie po aspirynie, zacznie podawać antybiotyki.

Kiedy kuchnia została uprzątnięta, pobrał sobie krew, starannie wyizolował z niej populację limfocytów T i zaczął je inkubować ze swymi makrofagami i komórkami białaczkowymi Michelle. Potem metodycznie obejrzał skutek pod mikroskopem kontrastowo-fazowym. Reakcja była zdecydowanie silniejsza niż poprzedniego dnia i, choć wciąż jeszcze niewystarczająca, Charles wykrzyknął uradowany. Zaskoczonej Cathryn oświadczył, że jego zdaniem nadwrażliwość typu późnego rozwinię się u niego w stopniu wystarczającym w ciągu najbliższej doby.

- To znaczy, że nie trzeba będzie ci dziś robić zastrzyku? - spytała z nadzieją Cathryn.

- Chciałbym - odparł. - Ale nie powinniśmy zdawać się na los. Myślę, że i dzisiaj będziesz musiała mi wstrzyknąć antygen.

Frank Neilson zahamował u początku podjazdu do domu Martelów, przy czym wpadł w poślizg i zatrzymał się na błotniku wozu patrolowego, który stał tu przez całą noc. Z samochodu obsypał się śnieg, a po chwili ze środka wyłonił się ociężały od snu Bernie Crawford.

Szeryf wysiadł wraz z Wallym Grabem.

- Spałeś, co?

- Nie - zaprotestował Crawford. - Obserwowałem dom przez całą noc. Ani śladu życia.

Neilson spojrzał w tamtą stronę. Pokryty świeżym śniegiem budynek wydawał się tchnąć spokojem.

- Jak ten gość, który oberwał? - spytał Crawford.

- Dobrze. Zabrali go do szpitala. Mówię ci, Martel teraz dopiero będzie miał kłopoty, po tym, jak postrzelił ochotnika wypełniającego polecenia szeryfa.

- Przecież to nie on strzelał.

- To nie robi różnicy. Facet nie zostałby postrzelony, gdyby nie Martel. Już samo zastawianie pułapek jest przestępstwem.

- Przypominają mi się te żółtki z Wietnamu - prychnął Wally Crab. - Myślę, że trzeba wysadzić ten cały pieprzony dom w powietrze.

- Tylko spokojnie - powiedział Neilson. - Musimy też myśleć o chorym dzieciaku i kobiecie. Przywiozłem karabiny snajperskie. Spróbujemy wyłuskać Martela.

Do południa niewiele się zmieniło. Pod dom przybyli gapie z miasta. Choć było ich mniej niż poprzedniego dnia i tak zebrał się pokaźny tłumek. Szeryf rozdał karabiny i rozstawił ludzi w rozmaitych punktach dookoła domu. Kilkakrotnie wzywał Charlesa przez megafon, by wyszedł na ganek i przedstawił swoje żądania, ale bez skutku. Za każdym razem, kiedy do niego dzwonił, Charles odkładał słuchawkę. Neilson wiedział, że jeśli szybko nie doprowadzi wszystkiego do pomyślnego końca, włączy się policja stanowa i sytuacja wymknie mu się z rąk, tego zaś pragnął za wszelką cenę uniknąć. Chciał, żeby to jemu przypisano zasługę za uporanie się ze sprawą, będącą największym i najgłośniejszym wydarzeniem w okolicy od czasów porwania dziecka właścicieli młynów w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku.

Gniewnie rzuciwszy megafon na tylne siedzenie, Neilson przeszedł na drugą stronę drogi, by kupić sobie bułkę z serdelkiem. Miał właśnie wbić zęby w kanapkę, gdy zobaczył, że zza zakrętu wyłania się, stopniowo zwalniając, długa czarna limuzyna. Wsiadło z niej czterech ludzi. Dwóch z nich ubranych było w eleganckie miejskie ubrania: jeden, siwowłosey, w długie futro, drugi, prawie łysy, w skórzany płaszcz ściśnięty w pasie. Dwaj inni mieli na sobie jakby przyciasne niebieskie garnitury. Zorientował się, że to ochrona.

Zanim mężczyźni podeszli do niego, Neilson ugryzł kęs kanapki.

- Szeryf Neilson? Nazywam się Carlos Ibanez. Miło mi pana poznać.

Neilson uściśnął dłoń mężczyzny.

- To doktor Morrison - powiedział Ibanez, wskazując na swego kolegę.

Szeryf przywitał się z Morrisonem, po czym znów zabrał się do kanapki.

- Z tego, co nam wiadomo, macie tutaj kłopoty. - Ibanez przeniósł spojrzenie na dom Martelów.

Neilson wzruszył ramionami. Nigdy nie należało się przyznawać do kłopotów.

Zwracając się z powrotem ku szeryfowi, Ibanez powiedział:

- Jesteśmy właścicielami drogiego wyposażenia, które wasz podejrzany trzyma w tym domu. Bardzo nam na nim zależy.

Neilson pokiwał głową.

- Przyjechaliśmy zaoferować naszą pomoc - oświadczył wspaniałomyślnie Ibanez.

Frank powiódł spojrzeniem po twarzach przybyszów. Z każdą chwilą ta sprawa stawała się coraz bardziej zwariowana.

- Prawdę mówiąc, przywieźliśmy dwu specjalistów od spraw bezpieczeństwa z firmy Breur Chemicals. Panowie Elliot Hoyt i Anthony Ferullo.

Neilson potrząsnął dłońmi obojwóch ochroniarzy.

- Oczywiście nie wątpimy, że w pełni panuje pan nad sytuacją - zapewnił Morrison. - Sądziłszy jednak, że ci ludzie mogą okazać się przydatni. Przywieźli też trochę sprzętu, który być może uzna pan za interesujący.

Hoyt i Ferullo uśmiechnęli się.

- Decyzja należy oczywiście do pana, szeryfie - dodał Morrison.

- Wyłącznie - potwierdził Ibanez.

- Myślę, że mam w tej chwili dość ludzi - powiedział Frank Neilson z pełnymi ustami.

- Cóż, proszę pamiętać o naszej propozycji - rzekł Ibanez.

Szeryf przeprosił ich i wrócił na swój tymczasowy posterunek dowodzenia. Po spotkaniu z Ibanzem i jego towarzyszami miał zamęt w głowie. Kazał Crawfordowi powiadomić przez krótkofalówkę wszystkich ludzi z karabinami, że mają nie strzelać bez jego rozkazu, i wsiadł do swego wozu. Może pomoc firmy chemicznej nie była

najgorszym pomysłem. Im zależało tylko na wyposażeniu, nie na chwale.

Ibanez i Morrison obserwowali, jak Neilson oddała się, rozmawia krótko z drugim policjantem i wsiada do samochodu. Morrison poprawił swe delikatne szkła w rogowej oprawie.

- To przerażające, że ktoś taki sprawuje tu władzę.

- Zgadza się, to parodia sprawiedliwości - przyznał Ibanez. -
Wracajmy do wozu.

Ruszyli w stronę limuzyny.

- Wcale nie podoba mi się ta sytuacja - powiedział Ibanez. - Prasa może wzbudzić sympatię dla Martela: oto wzorowy Amerykanin broniący swego domu przed siłami z zewnątrz. Jeśli to potrwa jeszcze trochę, wszystko znajdzie się na ekranach telewizorów w całym kraju.

- Masz całkowitą rację - odrzekł Morrison. - Ironia polega na tym, że tak nienawidzący prasy Charles Martel nie potrafiłby stworzyć sobie lepszej płaszczyzny oddziaływania, nawet gdyby chciał. Przeciąganie się tej sprawy może wyrządzić nieodwracalne szkody całemu środowisku onkologicznemu.

- A zwłaszcza instytutowi i kanceranowi - dodał Ibanez. - Musimy namówić tego kretyńskiego policjanta, żeby skorzystał z naszych ludzi.

- Podesunęliśmy mu myśl - powiedział Morrison. - Myślę, że niewiele więcej możemy w tej chwili zwojować. W końcu uzna to za swój pomysł.

Neilsona wyrwało z poobiedniej drzemki stukanie w pokrytą szronem szybę samochodu. Już miał wyskoczyć z auta, ale zaraz oprzytomniał. Opuścił szybę, za którą pojawiła się krzywo uśmiechnięta twarz mężczyzny w okularach przypominających denka butelek po mleku. Włosy wiły się na jego głowie jak pokryty śniegiem krzew. Szeryf pomyślał, że to jeszcze jeden gap z miasta.

- To pan jest szeryf Neilson? - spytał mężczyzna.

- A kto pyta?

- Ja. Jestem doktor Stephen Keitzman, a ze mną przybył doktor Jordan Wiley.

Szeryf spojrział nad ramieniem Keitzmana na drugiego lekarza, zastanawiając się, o co może tym razem chodzić.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytał doktor Keitzman, osłaniając twarz przed śniegiem.

Neilson wysiadł z samochodu, wyraźnie okazując, że wymaga to od niego wielkiego wysiłku.

- Jesteśmy lekarzami małej dziewczynki trzymanej w tym domu - wyjaśnił doktor Wiley. - Czuliśmy, że naszym obowiązkiem jest przybyć tu, na wypadek, gdyby nasza pomoc okazała się potrzebna.

- Ludzie, myślicie, że Martel was posłucha? - spytał Neilson. Doktorzy wymienili spojrzenia.

- Wątpię - powiedział Keitzman. - Sądzę, że nie życzy sobie z nikim rozmawiać. Jest zbyt wrogo nastawiony. Uważamy, że przeżywa fugę psychotyczną.

- Że co? - spytał Neilson.

- Załamanie nerwowe - wyjaśnił Wiley.

- Kapuję - powiedział szeryf.

- W każdym razie - ciągnął Keitzman, zabijając ręce z zimna - bardzo się martwimy o dziewczynkę. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo jest chora. Faktem jest, że każda godzina bez właściwego leczenia przybliży ją do śmierci.

- Fatalnie, co? - powiedział Neilson, spoglądając na dom Martelów.

- Niewątpliwie - rzekł Keitzman. - Obawiamy się, że jeśli będziecie zwlekać zbyt długo, odzyskacie martwe dziecko.

- Boimy się też, że doktor Martel może poddawać córkę eksperymentom - dodał Wiley.

- O rany! - wykrzyknął Neilson. - A to pieprzony skurwiel! Dzięki, że mi o tym powiedzieliście. Chyba przekażę to moim ludziom.

Przywołał Crawforda, porozmawiał z nim chwilę po czym sięgnął po krótkofalówkę.

Po południu tłum stał się większy niż poprzedniego dnia. Do Shaftesbury dotarła pogłoska, że wkrótce coś się ma wydarzyć. Nawet uczniów rozpuszczono wcześniej ze szkół. Joshua Wittenburg, kurator,

zdecydował, że nauka wychowania obywatelskiego płynąca z całej sprawy, jest nie do pogardzenia. W końcu był to największy skandal od czasu, gdy w lodówce Toma Brachmana znaleziono zamrożonego na kość kota wdowy Watson.

Jean Paul błąkał się bez celu na obrzeżach tłumu. Nigdy wcześniej nie był wystawiony na pośmiewisko i teraz przeżywał to bardzo dotkliwie. Zawsze miał wrażenie, że ojciec jest trochę dziwny, ale nie szalony. Teraz zaś wszędzie słyszał, że Charles zwariował. Poza tym nie rozumiał, dlaczego rodzina się z nim nie skontaktowała. Ludzie, u których się zatrzymał, usiłowali go pocieszać, ale było oczywiste, że oni również mają wątpliwości co do stanu umysłowego jego ojca.

Jean Paul chciał podejść do domu, ale bał się zbliżyć do policjantów. Bez trudu dostrzegł, że cała posiadłość jest okrażona. Uchylając się przed śnieżką ciśniętą przez jednego z dawnych kolegów, wmieszał się w tłum i przeszedł na drugą stronę drogi. Po kilku minutach zauważył znajomą sylwetkę. Był to ubrany w podartą i wybrudzoną wojskową kurtkę Chuck. Twarz miał schowaną pod futrzanym kapturem.

- Chuck! - zawołał uradowany.

Tamten spojrział w jego stronę, po czym odwrócił się i pobiegł pud kąpę drzew. Jean Paul ruszył za nim, wołając go kilkakrotnie.

- Na miłość boską! - syknął Chuck, gdy brat dogonił go na małej polance. - Dlaczego wrzeszczysz tak, żeby cię wszyscy słyszeli?

- O co ci chodzi? - spytał zdezorientowany Jean Paul:

- Staram się, żeby nikt mnie nie rozpoznał, bo chcę się dowiedzieć, jak sprawy stoją - odparł Chuck. - A ty się zjawiasz i wołasz mnie po imieniu. Jezu!

Jeanowi Paulowi nie przyszłoby do głowy, żeby ukrywać swoją tożsamość.

- Wiem, co się dzieje - powiedział. - W miasteczku są cięci na tatę, bo myślą, że stara się zamknąć fabrykę. Wszyscy gadają, że zwariował.

- Nie tylko w miasteczku - rzekł Chuck. - Wczoraj wieczór pokazywano to w bostońskiej telewizji. Tata porwał Michelle ze szpitala.

- Naprawdę?! - wykrzyknął Jean Paul.

- Naprawdę. Tylko na tyle cię stać? Myślę, że to cholerny cud, a ty pytasz tylko, czy to prawda. Ojciec wreszcie pokazał wam całemu temu pieprzonemu naukowemu światu. To mi się podoba!

Jean Paul przyjrzał się badawczo twarzy brata. Sytuacja, która jego wytrącała z równowagi, Chucka zdawała się wprawiać w dobry nastrój.

- Wiesz, jeśli będziemy działać wspólnie, może zdołamy mu pomóc - powiedział Chuck.

- Naprawdę? - Jean Paul był zdziwiony. Chuck rzadko proponował komukolwiek swoją pomoc.

- Jezu, zdobądź się na coś bardziej inteligentnego.

- Jak możemy mu pomóc? - spytał Jean Paul.

Pięć minut zabrało im ustalenie, co robić. Następnie przeszli na drugą stronę szosy i zbliżyli się do wozów policyjnych. Chuck, który miał mówić za nich obu, podszedł do Neilsona.

Szeryf nie posiadał się z radości, widząc chłopców. Zanim się pojawili, sądził, że znalazł się w ślepym zaułku. Odrzucił ich prośbę, aby mogli udać się do domu i spróbowali przekonać ojca, namówił ich jednak, by porozmawiali z nim przez megafon. Dobre pół godziny spędził na pouczeniu ich, co mają mówić. Miał nadzieję, że Charles Martel zechce rozmawiać z synami i poda swe warunki. Był mile zdziwiony gotowością współpracy ze strony chłopców.

Wreszcie Neilson wziął do ręki megafon, powitał obecnych i zwrócił się w kierunku domu. Grzmiącym głosem wezwał Charlesa do otwarcia drzwi i porozmawiania z synami.

Opuścił megafon i czekał. W domu nie widać było żadnego ruchu, nie nadbiegł stamtąd żaden dźwięk. Szeryf ponowił wezwanie, z tym samym skutkiem. Zakławszy pod nosem, przekazał urządzenie Chuckowi i zachęcił go, by teraz on spróbował.

Drżącymi rękami chłopak ujął megafon. Nacisnął guzik i zaczął mówić:

- Tato, to ja, Chuck. Jest przy mnie Jean Paul. Słyszysz mnie?

Gdy powtórzył to po raz trzeci, pochlapane farbą drzwi uchyliły się

lekko.

- Słyszę cię, Chuck! - zawołał Charles.

W tej samej chwili Chuck odrzucił megafon i przeskoczył przez zderzaki zaparkowanych przy sobie wozów patrolowych. Jean Paul podążył w jego ślady. Wszyscy, włącznie ze zwerbowanymi przez szeryfa pomocnikami, wpatrywali się z natężeniem w dom Martela i nie zauważyli, co się dzieje. Dzięki temu chłopcy zdołali dobiec do podjazdu.

- Łapcie ich! Cholera, łapcie ich! - krzyknął po chwili Neilson. Przez tłum przeszedł szmer. Kilku policjantów z Bernieem Crawfordem na czele rzuciło się biegiem z za zaparkowanych wozów.

Jean Paul, mimo że młodszy, był bardziej wysportowany i szybko prześcignął starszego brata, któremu pokonywanie śliskiej drogi sprawiało więcej trudności. W pewnym momencie Chuck potknął się i upadł ciężko na ziemię. Dysząc starał się podnieść, jednak w tej samej chwili Crawford schwycił go za wystrzępioną wojskową kurtkę. Chłopak usiłował się wyszarpnąć i choć mu się nie udało, zastępca szeryfa stracił równowagę i przewrócił się, pociągając go za sobą. Kościste pośladki Chucka wycisnęły z głośnym sapnięciem powietrze z piersi Crawforda.

Szczepieni ze sobą ześliznęli się kilka stóp w dół, podcinając biegnących za nimi zwerbowanych pomocników. Wszyscy zwalili się na siebie jak w komediowym gagu firnu niemego. Korzystając z zamętu, Chuck uwolnił się, wydostał z zasięgu rąk prześladowców i pobiegł za Jeanem Paulem.

Crawford na pewien czas stracił oddech, natomiast dwaj pozostali pomocnicy szeryfa kontynuowali pościg. Może złapałoby Chucka, gdyby nie Charles, który wystawił dubeltówkę z za drzwi i wypalił z jednej lufy. Tamci od razu stracili ochotę na jakiegokolwiek heroiczne wyczyny i schowali się za pień jednego z okalających podjazd dębów.

Gdy tylko chłopcy dotarli do ganku, Charles otworzył drzwi i obydwaj wpadli do środka. Zatrzasnął za nimi drzwi, zabezpieczył je i wyjrzał przez okna, by się upewnić, czy nikt inny nie zbliża się do

domu. Uspokojony odwrócił się ku synom.

Chłopcy stali zakłopotani przy drzwiach, ciężko oddychając, zaskoczeni przemianą salonu w scenografię z filmu fantastyczno-naukowego. Chuck, zagorzały kinoman, widząc zabite okna zauważył, że pokój wyglądał jak sceneria z filmu o Frankensteinie. Obaj zaczęli się uśmiechać, spoważniali jednak, gdy zobaczyli surowy wyraz twarzy ojca.

- Miałem nadzieję, że przynajmniej o was nie będę się musiał martwić - powiedział Charles. - Cholera, co was tu przyniosło?!

- Myśleliśmy, że potrzebujesz pomocy - zaczął nieśmiało Chuck. - Wszyscy są przeciw tobie.

- Nie mogłem znieść tego, co ludzie o tobie wygadywali - przerwał Jean Paul.

- To nasza rodzina - dokończył Chuck. - Powinniśmy być tutaj, zwłaszcza jeśli możemy pomóc Michelle.

- Jak się ona czuje, tato? - spytał Jean Paul.

Charles nie odpowiedział. Jego gniew na chłopców raptownie zniknął. Słowa Chucka zaskoczyły go w ustach starszego syna, ale przecież chłopak miał rację. Byli rodziną i nie można z niej było wyłączyć obu braci. Nie mówiąc już o tym, że był to najmniej samolubny czyn, na jaki Chuck kiedykolwiek się zdobył.

- Wy małe łobuzy! - Charles niespodziewanie się uśmiechnął.

Zaskoczeni nagłą zmianą nastroju ojca, chłopcy zawahali się przez chwilę, po czym rzucili się, żeby go uściskać.

Charles uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz przytulał do siebie synów. Przypatrująca im się dotąd z boku Cathryn podeszła, by ich ucałować.

Potem wszyscy zbliżyli się do łóżka Michelle. Charles zbudził ją delikatnie. Uśmiechnęła się do nich szeroko, a Chuck pochylił się i objął siostrę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Neilson nigdy jeszcze nie siedział w limuzynie i nie był wcale pewny, czy mu się w niej spodoba. Kiedy jednak już zanurkował przez drzwi i usadowił się na pluszowym siedzeniu, poczuł się jak u siebie w domu: limuzyna wyposażona była w barek. Odmówił koktajlu, tłumacząc się, że jest na służbie, ale przystał na brandy ze względu na jej rozgrzewające działanie.

Kiedy synom Martela udało się przedostać do domu, szeryf musiał przyznać, że znajduje się w coraz gorszej sytuacji. Zamiast odbić zakładników, pozwalał, by ich liczba rosła. Miał teraz do czynienia nie tylko z wariatem, który porwał córkę, ale z całą rodziną zabarykadowaną we własnym domu. Należało natychmiast coś przedsięwziąć. Ktoś zaproponował, żeby wezwać policję stanową, ale tego właśnie Neilson chciał uniknąć. Wydawało się to jednak nieuniknione, jeśli nie uda mu się uporać ze sprawą w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Postanowił więc porozumieć się z dyrekcją Instytutu Weinburgera.

- Doszedłem do wniosku, że nie mogę odrzucić waszej pomocy, wiedząc, jak bardzo chora jest dziewczynka - powiedział.

- Dlatego właśnie przybyliśmy - odrzekł doktor Ibanez. - Panowie Hoyt i Ferullo są na pańskie rozkazy.

Ochroniarze, usadowieni po obydwóch stronach barku, przytaknęli.

- Świetnie - powiedział Neilson.

Kłopot polegał na tym, że nie miał pojęcia, jakie rozkazy wydać. Myśli wirowały mu w głowie, dopóki nie przypomniał sobie wcześniejszych słów Ibaneza.

- Wspominał pan o wyposażeniu specjalnym?

- Oczywiście - Ibanez zwrócił się do Hoyta: - Może je nam pan zaprezentuje?

Hoyt był przystojnym, szczupłym, ale niewątpliwie dobrze umięśnionym mężczyzną. Neilson dostrzegł wybrzuszenie kabury pod jego marynarką.

- Z przyjemnością - odparł tamten, przechylając się w stronę Neilsona. - Co pan o tym sądzi, szeryfie? - Wręczył mu ciężki przedmiot w kształcie konserwy z wystającą z jednej strony rączką.

Neilson obrócił przedmiot w dłoniach i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. To gaz łzawiący czy coś takiego?

Hoyt potrząsnął głową.

- Nie, to granat.

- Granat?! - wykrzyknął Neilson, odsuwając puszkę od siebie.

- Nazywa się to granat ogłuszający. Wykorzystywany przez jednostki antyterrorystyczne do odbijania zakładników. Wrzuca się go do pomieszczenia czy wnętrza samolotu; wybuchając nie wyrządza nikomu żadnej krzywdy - jeśli nie liczyć paru pękniętych bębenków w uszach. Ogłusza wszystkich na dziesięć, dwadzieścia, a czasami trzydzieści sekund. Myślę, że można go z pożytkiem wykorzystać w tej sytuacji.

- Taak, no pewnie - powiedział Neilson. - Tylko że trzeba się dostać do domu, a ten gość zabił wszystkie okna deskami.

- Nie wszystkie - powiedział Hoyt. - Zauważyliśmy, że zostawił dwa okienka na strychu, do których jest łatwy dostęp z dachu. Pozwoli pan, że przedstawię swoją propozycję.

Hoyt rozłożył przed sobą plan domu Martelów i zauważywszy zdumienie szeryfa powiedział:

- To zdumiewające, na co można trafić, jak się trochę poszuka. Proszę popatrzeć, schody ze strychu schodzą na piętro. Myślę, że

takiemu ekspertowi jak Tony Ferullo nie sprawi żadnego kłopotu wrzucenie stamtąd granatu do salonu, gdzie niewątpliwie przebywa podejrzany. Wtedy łatwo będzie sforsować jednocześnie frontowe i kuchenne drzwi i odbić zakładników.

- Kiedy spróbujemy? - spytał Frank Neilson.

- Pan tu jest szefem - odrzekł Hoyt.

- Dziś w nocy?

- Niech będzie dzisiaj.

Neilson wysiadł z limuzyny w stanie tłumionego podniecenia. Morrison zamknął za nim drzwi.

Hoyt zaśmiał się.

- To jak zabieranie cukierka dziecku.

- Zdołacie urządzić wszystko tak, żeby wyglądało to na samoobronę? - spytał Ibanez.

Ferullo wyprostował się.

- Potrafię to upozorować na wszystko, czego sobie panowie życzą.

Punktualnie o dziesiątej Charles wyłączył dializator. Potem ostrożnie, jak gdyby miał do czynienia z najwartościowszym materiałem na kuli ziemskiej, wyciągnął ze środka małą fiolkę. Palce mu drżały, gdy prznosił niewielki pojemnik do sterylizatora. Nie miał pojęcia, jaka jest budowa chemiczna związku, który wyizolował, poza tym, że poddawał się dializie - co stanowiło ostatni etap jego oczyszczania - i że nie działały na niego enzymy rozkładające DNA, RNA i wiązania peptydowe w białkach. Nieznajomość jego struktury była jednak teraz mniej istotna niż wiedza o jego działaniu. Był to ów tajemniczy czynnik przenoszenia odporności, za pomocą którego Charles miał nadzieję przenieść swą nadwrażliwość typu późnego na Michelle.

Tego popołudnia sprawdził raz jeszcze reakcję swych limfocytów T na komórki białaczkowe córki. Limfocyty błyskawicznie zniszczyły komórki białaczkowe. Obserwując rezultaty pod mikroskopem kontrastowo-fazowym, Charles nie mógł się nadziwić szybkości zachodzenia reakcji. Najwidoczniej uczulone na antygen

powierzchniowy komórek białaczkowych Michelle leukocyty były w stanie niszczyć ich błony komórkowe. Kiedy tylko to zobaczył, zaczął krzyczeć z radości.

Stwierdziwszy, że reakcja wreszcie jest wystarczająca, zrezygnował z planowanego wstrzyknięcia sobie kolejnej dawki antygeny. Ucieszyło to Cathryn, dla której kolejne zabiegi stawały się coraz przykrzejsze. Zzieleniała jednak, gdy Charles oświadczył, że chce pobrać pół litra swojej krwi. Tym razem Chuck zdołał pokonać swój wstręt i wraz z Jeanem Paulem pomógł ojcu wykonać jego zamierzenie.

Przed kolacją, przy wykorzystaniu jednego z nowoczesnych urządzeń zabranych z Instytutu Weinburgera, Charles oddzielił z krwi białe krwinki. Wczesnym wieczorem rozpoczął żmudne dzieło izolowania z białych krwinek cząsteczki, którą teraz sterylizował.

Wiedział, że w tej chwili porusza się po całkowicie nie zbadanym gruncie. To, czego dokonał, w prawidłowych warunkach laboratoryjnych opracowywano by przez kilka lat; każdy krok poddawano by krytycznej analizie i setki razy powtarzano. Niemniej coś podobnego uczyniono już przedtem w stosunku do innych antygenów, jak choćby antygenów prątka gruźlicy. Teraz jednak Charles miał przed sobą roztwór nie znanej substancji o nie znanym stężeniu i nie znanej sile działania. Nie było czasu, by ustalić, jak najlepiej ją zastosować. Opierał się wyłącznie na teorii, że w organizmie Michelle funkcjonuje czynnik blokujący, do tej pory uniemożliwiający jej układowi immunologicznemu zwalczanie komórek białaczkowych. Charles wierzył, że podanie Michelle czynnika przenoszenia pozwoli ominąć czynnik blokujący i doprowadzi do powstania odporności na komórki białaczkowe. Ile jednak powinien podać czynnika przenoszenia i jaką drogą? Musiał improwizować i modlić się o pomyślny wynik.

Michelle niechętnie przystała na kolejny zastrzyk dożylny. Cathryn trzymała ją za rękę, próbując odwrócić jej uwagę. Dwaj chłopcy z okien na piętrze wypatrywali jakichkolwiek oznak podejrzanej działalności na zewnątrz.

Nie dzieląc się swymi obawami z Cathryn ani z Michelle, Charles przygotował się wewnątrz na najgorsze skutki podania czynnika przenoszenia odporności. Mimo że rozcieńczył roztwór w wodzie destylowanej, obawiał się skutków ubocznych. Podawszy jej niewielką dawkę, sprawdził tętno i ciśnienie krwi. Z ulgą stwierdził, że się nie zmieniły.

O północy rodzina zebrała się w salonie. Charles podał córce mniej więcej jedną szesnastą czynnika przenoszenia. Jej stan nie uległ widocznej zmianie, z wyjątkiem niewielkiego wzrostu temperatury. Natychmiast po podaniu kroplówki Michelle zapadła w sen.

Zdecydowano się czuwać po dwie godziny. Choć wszyscy byli wyczerpani, Chuck uparł się, że pierwszy obejmie wartę, i poszedł na górę. Cathryn i Charles zasnęli prawie natychmiast. Jean Paul leżał bezsennie jeszcze przez jakiś czas, wsłuchując się w odgłosy kroków brata na górze.

Wydawało mu się, że zaledwie chwilę później Chuck delikatnie potrząsnął jego ramieniem. Okazało się jednak, że jest druga i już kolej na niego.

- Spokojnie, tylko mniej więcej godzinę temu koło wozów policyjnych zaparkowała jakaś furgonetka. Ale nikogo nie widziałem - przekazał mu Chuck.

Jean Paul skinął głową i poszedł do łazienki przemyć twarz. Wróciwszy do pogrążonego w ciemnościach salonu, przez chwilę wahał się, czy zostać na dole, czy też wejść na piętro. Ponieważ w mroku trudno było się poruszać, postanowił pójść do swego pokoju na górze. Powstrzymał się przed pokusą powrotu do łóżka. Zamiast tego wyjrzał między dwoma deskami, którymi było zabite okno. Widział niewiele, nie potrafił nawet orzec, czy jeszcze pada śnieg, czy tylko dmie wiatr. W każdym razie w powietrzu wirowało mnóstwo płatków śniegu.

Powoli, tak jak Chuck, przeszedł po wszystkich pokojach, wyglądając w ciemności na zewnątrz. Panowała zupełna cisza, czasem tylko zakołatały podwójne okna pod wpływem wiatru. Usiadłszy w sypialni rodziców, której okna wychodziły na podjazd, próbował bez

powodzenia wypatrzeć furgonetkę. Po jakimś czasie usłyszał dźwięk przypominający uderzenie metalu o kamień. Zorientował się, że odgłos dobiega od strony kominka, mającego wspólny przewód kominowy z salonem. Po chwili dźwięk się powtórzył.

Nie zwlekając dłużej, zbiegł do salonu.

- Tato - szepnął. - Obudź się.

Charles zamrugał i usiadł.

- Już czwarta? - spytał.

- Nie - wyszeptał Jean Paul. - Usłyszałem hałas w waszej sypialni.

Zdaje się, że dochodzi z kominka.

Charles zerwał się z materaca, budząc Cathryn i Chucka.

- Jemu tylko wydaje się, że coś usłyszał - mruknął Chuck.

- Nie, na pewno coś słyszałem! - zaprotestował Jean Paul z rozdrażnieniem.

- Przestańcie - przeciął Charles. - Słuchajcie, potrzebujemy jeszcze przynajmniej doby. Jeśli spróbują się wedrzeć do środka, trzeba będzie ich powstrzymać.

Podał Cathryn dubeltówkę i wysłał ją pod kuchenne drzwi. Chłopcy stanęli przy drzwiach wejściowych z kijem baseballowym Jeana Paula. Sam Charles z pogrzebaczem ruszył na górę do sypialni. Stanąwszy przy kominku, pogratulował sobie pomysłu zatkania komina. Słysząc było jedynie wycie wiatru pod krokwiemi.

Po kilku minutach Charles przeszedł na drugą stronę korytarza do pokoju Michelle. Widać stąd było szopę, skąd ubiegłej nocy wyruszyli napastnicy. Teraz jednak zobaczył jedynie szumiące na wietrze sosny.

Anthony Ferullo oparł aluminiową drabinę o komin i wszedł na dach. Jak kot zbliżył się do jednego z mansardowych okien strychu. Zabezpieczywszy się liną przed ześlizgnięciem, zsunął się koło okienka i wyciął w nim niewielkie koło. Powoli otworzył okno; owionął go zapach stęchlizny. Włączył latarkę i zajrzał do środka. Jak na każdym strychu pełno tu było skrzyń i kartonowych pudeł. Z ulgą spostrzegł, że

podłoga jest wylana cementem, z rzadka jedynie przetykanym belkami. Bezszelestnie zsunął się do środka.

Znieruchomiał, nasłuchując odgłosów dobywających się z wnętrza domu. Nie spieszyło mu się. Był pewien, że Hoyt kryje się już pod frontowym gankiem, gotów do sforsowania drzwi. Neilson nalegał na współudział dwóch wyznaczonych przez siebie ludzi. Ich zadanie polegało na sforsowaniu kuchennego wejścia po wybuchu, lecz jeśli wszystko poszłoby tak, jak sobie zaplanował Ferullo, nie mieliby już nic do roboty.

Zadowolony, że wszędzie panuje spokój, Ferullo ruszył powoli, przy każdym kolejnym kroku delikatnie naciskając na podłogę stopą przed przeniesieniem na nią całego ciężaru. Znajdował się wprost nad głową Charlesa.

Charles wpatrywał się w szopę jeszcze przez kilka chwil, aż wreszcie zyskał pewność, że nic się tam nie dzieje. Zastanawiając się, co właściwie usłyszał Jean Paul, zawrócił na korytarz. Nagle zaskrzypiały belki sufitu. Wtedy znieruchomiał i wyteżył słuch, mając nadzieję, że dźwięk był jedynie wytworem jego wyobraźni. Po chwili znów usłyszał skrzypienie.

Jego wyczerpane ciało przebiegł dreszcz. Ktoś był na strychu!

Ściskając pogrzebacz i czując, jak pocą mu się dłonie, Charles ruszył w tym samym kierunku, co intruz nad jego głową. Wkrótce dotarł do ściany pokoju Michelle, za którą znajdowały się schody na strych. Wyrzwał na korytarz; w ciemności niewyraźnie rysowały się prowadzące na schody drzwi. Były zamknięte, lecz nie zaryglowane. Z zamka kusząco wystawał klucz uniwersalny. Serce Charlesa zaczęło łomotać, gdy usłyszał pierwszy krok na schodach. Nigdy w życiu nie czuł takiej grozy. Gorączkowo rozważał, czy zamknąć drzwi, czy też czekać na pojawienie się intruza.

Ktokolwiek schodził po schodach, czynił to nieznośnie powoli. Charles z całych sił zacisnął dłonie na pogrzebaczu. Ukradkowe kroki nagle umilkły i zapanowała całkowita cisza. Czekał z narastającą paniką.

Usłyszał, jak na dole Michelle wierci się we śnie. Skrzywił się, mając nadzieję, że nikt go nie zawoła ani, co gorsza, nie wejdzie na górę. Usłyszał, jak Jean Paul szepcze coś do Chucka.

Odgłosy z salonu zdawały się pobudzić do czynu człowieka na strychu. Charles usłyszał jeszcze jeden krok. Ku jego zgrozie gałka w drzwiach zaczęła się powoli obracać. Ścisnął silniej pogrzebacz i uniósł go nad głowę.

Anthony Ferullo wolno uchylił drzwi. Po drugiej stronie krótkiego korytarzyka dojrzał balustradę, skręcającą u szczytu schodów. Wiodła tędy droga prosto do salonu. Sprawdził kaburę, wyjął i odbezpieczył ogłuszający granat.

Charles nie był w stanie wytrzymać dłużej napięcia, zwłaszcza że nie miał pewności, czy uda mu się uporać z intruzem. Kopniakiem zatrzaskał drzwi na strych. Poczłł jedynie nieznaczny opór. Skoczył do przodu, zamierzając przekręcić klucz w zamku.

Nie zdążył dotrzeć do drzwi. Nastąpił ogłuszający wybuch. Drzwi na strych stanęły otworem, a Charlesa odrzuciło do pokoju Michelle. W uszach mu dzwoniło. Podnosząc się z podłogi zobaczył, jak Ferullo pada ze schodów na korytarz.

Cathryn i chłopcy podskoczyli na dźwięk eksplozji. Natychmiast po niej rozległy się łomoczące kroki zarówno na frontowych, jak i kuchennych schodach. Po chwili tuż koło głowy Chucka pękło szkło i drewno drzwi rozwalonych młotem kowalskim. Przez dziurę wsunęła się szukająca klamki ręka. Chuck schwycił ją i szarpnął ku sobie. Jean Paul upuścił kij baseballowy i ruszył na pomoc bratu. Wspólnie wciągnęli ramię intruza do środka, przyciskając je do resztek szkła w ramie. Niewidoczny człowiek wrzasnął z bólu. Rozległ się strzał, z drzwi posypały się drzazgi i chłopcy musieli puścić napastnika.

W kuchni Cathryn zacisnęła dłonie na dubeltówce, podczas gdy dwaj mężczyźni mocowali się z wyważonymi już drzwiami. Udało im się wreszcie zerwać przytrzymującą je linę. Worki z ziemniakami runęły z rozmachem w ich stronę, ale zdołali uskoczyć. Wally Crab schwycił je, gdy w swym wahadłowym ruchu odchyliły się do tyłu, a Brezo

wykorzystał tę chwilę, by wpaść do środka. Mierząc w dół Cathryn nacisnęła spust. Śrut na ptactwo odbił się od linoleum i poleciał w stronę Breza. Ten natychmiast rzucił się do tyłu, pociągając za sobą Craba. Cathryn ponownie naładowała dubeltówkę i wystrzeliła raz jeszcze w pusty otwór drzwiowy.

Wszystko uspokoiło się tak szybko, jak się zaczęło. Do kuchni wpadł Jean Paul i zastał Cathryn znieruchomiałą po tym, co przeżyła. Zamknął kuchenne drzwi i zabezpieczył je, po czym wyjął dubeltówkę z jej dygoczących dłoni. Chuck pobiegł na górę sprawdzić, czy Charlesowi nic się nie stało. Z zaskoczeniem stwierdził, że ojciec nachyla się nad poparzoną, ogłuszonym intruzem.

Wspólnie przenieśli obcego do salonu i przywiązali do krzesła. Cathryn i Jean Paul wrócili z kuchni. Wszyscy usiłowali jakoś dojść do siebie po szarpiących nerwy przejściach. Było oczywiste, że nikt z nich, prócz Michelle, nie zmruży już oka tej nocy. Po kilku minutach chłopcy zgłosili się do podjęcia warty i poszli na górę. Cathryn przeszła do kuchni przygotować świeżą kawę.

Z łomoczącym sercem Charles wrócił do swych urządzeń. Przez wenflon podał Michelle kolejną dawkę czynnika przenoszenia, którą ponownie zniosła bez żadnych widocznych efektów ubocznych. Nawet się nie obudziła. Przekonany, że substancja nie jest toksyczna, Charles wlał resztę do na wpół pustej butelki z płynem do kroplówki, regulując przepływ tak, by spłynęła w ciągu mniej więcej pięciu godzin.

Następnie zajął się więźniem, który odzyskał przytomność. Mimo oparzeń widać było, że to przystojny mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu. W niczym nie przypominał któregoś z miejscowych zbirów, a przecież to ich właśnie należało się spodziewać. Wyglądał na zawodowca i to zaniepokoiło Charlesa. Rewidując go znalazł pod jego pachą kaburę z pistoletem typu Smith and Wesson 0,38 special. Takiej broni nie używali amatorzy.

- Kim jesteś? - spytał Charles.

Anthony Ferullo nie reagował, jak gdyby był z kamienia.

- Co tu robisz?

Milczenie.

Z pewnym zażenowaniem Charles sięgnął do kieszeni intruza i wyjął z niej portfel. Ferullo nawet nie drgnął. W portfelu znajdował się plik studolarówek, karty kredytowe oraz prawo jazdy, wystawione na Anthony'ego Ferullo, Leonia, New Jersey. New Jersey? Wygrzebał też z portfela wizytówkę firmową głoszącą: Anthony Ferullo, Breur Chemicals, Ochrona.

Breur Chemicals!

Poczuł przeszywający go dreszcz lęku. Do tej chwili żywił przekonanie, że ryzyko, jakie podejmuje stawiając czoło zorganizowanej korporacji medyczno-przemysłowej, nie wykracza poza groźbę przegranego procesu. Obecność Anthony'ego Ferullo dowodziła, że zagrożenie było o wiele poważniejsze. Co gorsza, zdał sobie sprawę, że rozciąga się ono na całą rodzinę. W przypadku Ferulla słowo „Ochrona” było najwyraźniej płaszczykiem do stosowania przemocy i przymusu. Na chwilę siedzący przed nim mężczyzna przestał być jednostką, stając się ucieleśnieniem zła i Charles musiał się powstrzymać, by w ślepych gniewie go nie uderzyć. Zamiast tego zapalił wszystkie światła. Miał dość ciemności i skrywania się.

Zawołał chłopców z góry. Cała rodzina zebrała się w kuchni.

- Jutro będzie po wszystkim - oświadczył. - Opuszczamy dom i poddajemy się.

Cathryn najwyraźniej się ucieszyła, ale chłopcy popatrzyli po sobie z konsternacją.

- Dlaczego? - spytał Chuck.

- Przeprowadziłem z Michelle to, o co mi chodziło. Najprawdopodobniej będzie też musiała trafić do szpitala na naświetlanie.

- Wyzdrowieje? - spytała Cathryn.

- Nie mam pojęcia - przyznał Charles. - Teoretycznie nie ma powodów, dla których nie miałyby wyzdrowieć, ale nie uzyskałem jeszcze odpowiedzi na setki pytań. Moja metoda jest całkowicie odmienna od stosowanych przez konwencjonalną medycynę. W tej

chwili możemy mieć tylko nadzieję.

Podszedł do telefonu i zaczął dzwonić do wszystkich środków masowego przekazu, jakie mu przyszły do głowy, łącznie z bostońskimi stacjami telewizyjnymi. Każdemu, kto chciał go wysłuchać, zapowiedział, że w południe wraz z rodziną opuści dom.

Potem zadzwonił na posterunek w Shaftesbury, przedstawił się policjantowi i zażyczył sobie rozmowy z Neilsonem. Pięć minut później usłyszał w słuchawce głos szeryfa. Powiedział mu, że wyjdzie z domu w południe, i że powiadomił o tym środki masowego przekazu. Potem odwiesił słuchawkę. Miał nadzieję, że obecność mnóstwa dziennikarzy i komentatorów telewizyjnych zdoła zapobiec wszelkim aktom przemocy.

Punktualnie o dwunastej Charles zdjął zagradzające frontowe drzwi deski i przekręcił klucz w zamku. Był piękny dzień, na przejrzystym niebieskim niebie wisało blade zimowe słońce. U stóp podjazdu zebrał się tłum ludzi, na przodzie stały dwa wozy policyjne, karetka i kilka furgonetek ekip telewizyjnych.

Charles obejrzał się na swoją rodzinę, czując przyptyw dumy i miłości. Wszyscy okazali się wobec niego bardziej lojalni, niż mógł się spodziewać. Wrócił do prowizorycznego łóżka i wziął Michelle na rękę. Jej powieki zatrzepotały, ale nie otworzyła oczu.

- No dobrze, pan pierwszy - zwrócił się do Ferulla.

Tamten wyszedł na ganek, osłaniając przed słońcem poparzoną twarz. Za nim wyszli chłopcy i Cathryn. Charles z Michelle zamykał pochód. Zwartą grupką ruszyli w dół podjazdu.

Ku swemu zaskoczeniu Charles zauważył stojących wspólnie koło karetki doktorów Ibaneza, Morrisona, Keitzmana i Wileya. Widząc, że nie zanoszą na żadne atrakcje, część zawiedzionych gapiów zaczęła gwizdać, zwłaszcza pracownicy Recycle Ltd. Tylko jedna osoba klaskała: Patrick O'Sullivan, niezmiernie zadowolony, że sprawa wreszcie dobiega końca.

Stojący w cieniu drzew Wally Crab zachowywał spokój. Wsunął prawy palec wskazujący w osłonę spustu swej ulubionej strzelby myśliwskiej i przycisnął zimną kolbę do policzka. Usiłował wycelować, ale ręce mu trochę drżały wskutek wypitego tego ranka bourbona. Znacznie pomogło mu wsparcie się o konar drzewa, pod którym stał, za to wytrącały go z równowagi ponaglania Breza.

Zimową ciszę przerwał ostry dźwięk wystrzału. Tłum zaczął napierać do przodu, gdy ujrzano, że Charles się potyka. Martel nie upadł, lecz powoli osunął się na kolana i złożył na śniegu córkę jak nowo narodzone niemowlę, po czym runął koło niej twarzą w dół. Cathryn odwróciła się z krzykiem i przypadła do męża, chcąc sprawdzić, czy jest poważnie ranny.

Pierwszy oprzytomniał Patrick O'Sullivan. Wiedziony zawodowym odruchem, prawą ręką namacał w kieszeni rękojeść służbowego pistoletu. Nie wyjmując go, przedarł się przez obserwatorów i rzucił biegiem po podjeździe. Stanął nad Cathryn, Charlesem i Michelle i jak jastrząb strzegący swego gniazda zaczął rozglądać się wokół, gotów zareagować na najmniejszy podejrzaný ruch.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Charles nigdy przedtem nie był pacjentem w szpitalu i teraz stwierdził, że to nader nieprzyjemne doświadczenie. Czytał w przeszłości różne artykuły dotyczące opanowania medycyny przez nowoczesną technikę, ale nigdy nie uświadamiał sobie, że wiąże się to z takim poczuciem bezradności i braku bezpieczeństwa. Minęły trzy dni, odkąd został postrzelony i operowany. Rozglądając się po plątaninie przewodów i kabli, monitorów i aparatury rejestrującej pracę jego organizmu, czuł się jak jedno z jego zwierząt doświadczalnych. Na szczęście poprzedniego dnia przeniesiono go z pełnego gorączkowej i budzącej grozę krzątaniny oddziału intensywnej terapii i przewieziono jak polec mięsa do jednoosobowej sali w luksusowej części szpitala.

Usiłując ułożyć się wygodniej, poczuł dźgnięcie bólu przesywającego klatkę piersiową jak ogień. Przez moment wstrzymał oddech obawiając się, że spowodował pęknięcie szwu pooperacyjnego i czekając na powrót bólu. Nic takiego nie nastąpiło, nadal jednak leżał całkowicie nieruchomo, bojąc się nawet drgnąć. Spomiędzy żeber po lewej stronie wychodziła rurka, której koniec znajdował się w szklanym naczyniu koło łóżka. Lewe ramię miał podczipione skomplikowanym układem bloczków i linek do wyciągu. Był całkowicie bezradny i zdany na personel szpitalny przy wykonywaniu nawet najbardziej elementarnych czynności.

Usłyszał ciche pukanie. Zanim zdążył się odezwać, drzwi się

otworzyły. Pomyślał, że to technik, który przychodził co dwie godziny wentylować jego płuca; Charles był pewny, że podobnych tortur nie stosowano od czasów inkwizycji. Okazało się jednak, że to doktor Keitzman.

- Zniesie pan krótką wizytę? - spytał.

Charles skinął głową. Choć nie miał ochoty na rozmowę, bardzo chciał się dowiedzieć, co z Michelle. Cathryn była w stanie powiedzieć mu jedynie tyle, że jej stan się nie pogarszał.

Doktor Keitzman z zakłopotaniem wszedł do środka i przysunął metalowe, obite winylem krzesło do łóżka. Gdy poprawiał okulary, jego twarz wykrzywił pojawiający się zwykle w momentach napięcia tik.

- Jak się pan czuje, Charles? - spytał.

- Lepiej nie można. - Trudno się było powstrzymać od sarkazmu. Mówienie, nawet oddychanie, groziło w każdej chwili nawrotem bólu.

- Hmm. Mam dla pana dobre wiadomości. Być może trochę przedwczesna radość, uważam jednak, że powinien pan wiedzieć.

Charles milczał. Wpatrywał się w twarz onkologa, bojąc się rozbudzać w sobie nadzieję.

- Po pierwsze, Michelle znakomicie zareagowała na naświetlania - powiedział doktor Keitzman. - Już po jednym nacieki białaczkowe w ośrodkowym układzie nerwowym ustąpiły. Jest w pełni przytomna i świadoma.

Charles skinął głową, mając nadzieję, że to nie wszystko, z czym przyszedł Keitzman.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju spiesznie wkroczył technik, pchając przed sobą zniecierpliwiony aparat do oddychania z przerywanym ciśnieniem dodatnim.

- Czas na zabieg, panie doktorze - powiedział pogodnie, jak gdyby chodziło o coś sprawiającego wręcz rozkosz. Ujrawszy doktora Keitzmana zatrzymał się i skłonił głowę z szacunkiem. - Przepraszam, panie doktorze.

- Nic się nie stało - odparł Keitzman, najwidoczniej zadowolony z

jego pojawienia się. - I tak muszę już iść - odwrócił się ku Charlesowi: - Chciałem jeszcze powiedzieć, że komórki białaczkowe Michelle prawie zupełnie zniknęły. Sądzę, że następuje remisja.

Charles poczuł, jak po jego ciele rozlewa się błogie ciepło.

- Boże! To wspaniale! - uśmiechnął się radośnie. Przeszył go krótki ból przypominający, gdzie się znajduje.

- Niewątpliwie - przyznał Keitzman. - Wszyscy się bardzo cieszymy. Proszę mi powiedzieć, Charles, co pan robił z Michelle, kiedy ją pan zabrał do domu?

Charles z trudem pohamowywał radość. Jego nadzieje się spełniły. Może Michelle była wyleczona. Spojrzał na Keitzmana i zawahał się. Doszedłszy do wniosku, że na razie nie ma ochoty wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia, powiedział:

- Usiłowałem tylko pobudzić jej system odpornościowy.

- Chodzi panu o adiuwant taki jak w szczepionce BCG? - spytał Keitzman.

- Coś w tym stylu - zgodził się Charles. Nie był teraz w stanie prowadzić naukowych dyskusji.

- Cóż - rzekł Keitzman ruszając w stronę drzwi - będziemy musieli o tym porozmawiać. Najwyraźniej to, co pan zrobił, wspomogło chemioterapię, którą stosowaliśmy, nim zabrał ją pan ze szpitala. Nie rozumiem, jak to się układało w czasie, ale o tym wszystkim porozmawiamy, gdy będzie pan silniejszy.

- Tak - zgodził się Charles. - Kiedy będę silniejszy.

- W każdym razie na pewno wie pan, że wycofano sprawę o odebranie panu praw rodzicielskich - doktor Keitzman poprawił okulary, kiwnął głową technikowi i wyszedł.

Uniesienie wywołane informacjami Keitzmana złagodziło cierpienia związane z terapią oddechową lepiej niż morfina. Technik stał z boku, podczas gdy urządzenie właczało w płuca zwiększoną ilość powietrza, do czego chory nie byłby sam zdolny ze względu na ból. Zabieg trwał około dwudziestu minut i gdy w końcu technik wyszedł, Charles był zupełnie wyczerpany. Pomimo ćmiącego wciąż bólu zapadł w płytki

sen.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, gdy obudził go jakiś dźwięk dochodzący z drugiego końca pokoju. Odwrócił głowę i z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest sam. Koło łóżka, najwyżej o cztery stopy od niego, siedział doktor Carlos Ibanez. Z włosami w nieładzie i skrzyżowanymi na piersiach kościstymi rękami wyglądał staro i krucho.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się cicho.

Charles poczuł przypływ gniewu, ale zaraz przypomniał sobie wiadomości przekazane przez Keitzmana. Spojrzał na dyrektora obojętnie.

- Cieszę się, że tak szybko dochodzi pan do zdrowia - oświadczył Ibanez. - Chirurdzy powiedzieli mi, że miał pan dużo szczęścia.

Szczęście! Cóż za względne pojęcie, pomyślał z irytacją Charles.

- Pańskim zdaniem miałem szczęście, że dostałem kulą w pierś? - spytał.

- Nie o to mi chodziło - odparł z uśmiechem Ibanez. - Miał pan szczęście, że kula trafiła najpierw w ramię, dzięki czemu ominęła serce.

Charles poczuł lekkie ukłucie bólu. Choć nie uważał się za szczególnego szczęściarza, nie był w nastroju do sprzeczki. Kiwnął głową na znak, że przyjmuje do wiadomości stwierdzenie Ibaneza. Zastanawiał się, po co właściwie stary tu przyszedł.

- Charles! - powiedział Ibanez z naciskiem. - Jestem tu, żeby dojść z panem do porozumienia.

Porozumienia? pomyślał zaskoczony Charles. O czym do diabła on mówi?

- Bardzo dużo o tym wszystkim myślałem - ciągnął Ibanez. - Jestem gotów przyznać, że popełniłem kilka błędów. Chciałbym je naprawić, jeśli zechce mi pan pomóc.

Charles spojrział na butelki nad głową, z których przez mikroporowe filtry skapywały płyny infuzyjne. Powstrzymał się, by nie kazać Ibanezowi iść do diabła.

Dyrektor czekał na jego odpowiedź, widząc jednak, że to daremne, odchrząknął.

- Będę z panem całkowicie szczerzy, Charles. Wiem, że teraz, gdy stał się pan swego rodzaju znakomitością, może pan narobić nam kłopotów. To jednak tylko wszystkim by zaszkodziło. Przekonałem radę dyrektorów, żeby o nic pana nie oskarżać i przyjąć z powrotem do pracy...

- Do diabła z waszą pracą! - rzucił ostro Charles i skrzywił się z bólu.

- W porządku - powiedział ugodowo Ibanez. - Rozumiem, że może pan nie chce wracać do instytutu. Są jednak inne instytucje, w których możemy panu pomóc dostać pracę, na jakiej panu zależy, gdzie bez przeszkód prowadziłby pan swoje badania.

Charles zamknął oczy, zastanawiając się, co właściwie osiągnął u Michelle. Czy rzeczywiście udało mu się coś odkryć? Nie wiedział, ale musiał to sprawdzić. Do tego potrzebował laboratorium z wyposażeniem.

Otworzył oczy i przyjrzał się badawczo twarzy Ibaneza. Nigdy nie czuł do niego takiej niechęci jak do Morrisona.

- Muszę pana ostrzec, że jeśli mamy dojść do porozumienia, przedstawię długą listę żądań.

W gruncie rzeczy Charles w ogóle się nie zastanawiał jeszcze, co będzie robić, gdy wyzdrowieje. Teraz jednak, przyglądając się dyrektorowi, zaczął szybko przebiegać w myślach różne możliwości.

- Jestem gotów na nie przystać, pod warunkiem, że będą rozsądne - rzekł Ibanez.

- A czego wy żądacie ode mnie? - spytał Charles.

- Tylko tego, by nie stawiał pan instytutu w niezręcznej sytuacji. Mieliśmy dość skandali.

Przez chwilę Charles nie był pewien, co Ibanez ma na myśli. Wydarzenia ubiegłego tygodnia dały mu jedynie poczucie własnej bezradności i podatności na ciosy. Pozostając w odosobnieniu najpierw w domu, a potem na oddziale intensywnej terapii, nie zdawał sobie dotąd sprawy, ile uwagi poświęcały mu środki masowego przekazu. Prasa byłaby uszczęśliwiona, gdyby wybitny naukowiec, który zaryzykował życie dla uratowania córki, zechciał wystąpić z krytyką

instytutu, zwłaszcza po tych wszystkich pogłoskach na temat nierzetelności wykonywanych tam badań.

Charles zaczął sobie niejasno uświadamiać, że ma mocne karty przetargowe.

- Dobrze - powiedział powoli. - Chcę stanowiska samodzielnego pracownika naukowego.

- To da się załatwić. Skontaktowałem się już z przyjacielem w Berkeley.

- A co do badań nad kanceranem, wszystkie wyniki muszą pójść do kosza. Lek trzeba przebadać tak, jak gdybyście właśnie dostali go do rąk.

- To już zrozumieliśmy - powiedział Ibanez. - Zaczęliśmy od nowa badania nad toksycznością.

Charles utkwiał spojrzenie w Ibanezie, zaskoczony jego słowami.

- I jeszcze sprawa przetworni. Wylewanie ścieków musi się natychmiast skończyć.

Dyrektor pokiwał głową.

- Pańskiemu prawnikowi udało się wciągnąć do współpracy Agencję Ochrony Środowiska. Z tego, co mi wiadomo, sprawa wkrótce zostanie rozwiązana.

- Chcę też - ciągnął Charles, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć - żeby Breur Chemicals wypłaciło odszkodowanie rodzinie Tada Schonhausera. Ich nazwisko nie musi wypłynąć w sprawie.

- Myślę, że to da się załatwić, zwłaszcza jeśli pozostaną anonimowi.

Zapadła chwila ciszy.

- Coś jeszcze? - spytał Ibanez.

Charles był zdumiony, jak wiele udało mu się osiągnąć. Usiłował wymyślić jeszcze coś, ale bez powodzenia.

- To chyba wszystko - powiedział. Doktor Ibanez wstał i odstawił krzesło.

- Szkoda, że cię tracimy, Charles - rzekł. - Naprawdę żałuję.

Charles patrzył, jak za Ibanezem cicho zamykają się drzwi.

Martel postanowił, że jeśli jeszcze kiedykolwiek przyjdzie mu przejechać pół kraju samochodem, to bez dzieci i z klimatyzacją, a gdyby musiał wybierać mniejsze zło, to w każdym razie wolałby być bez dzieci. Od samego wyjazdu z New Hampshire skakały sobie do gardeł, choć rano były względnie spokojne, jakby onieśmiałone rozległymi pustyniami stanu Utah. Spojrzał we wsteczne lustro. Wprost za nim siedział Jean Paul, wyglądając przez okno, mając u boku znudzoną i rozkapryszoną Michelle. Chuck wymościł sobie gniazdko w głębi odrestaurowanego kombi. Przez większą część drogi czytał - o dziwo - podręcznik chemii. Charles potrząsnął głową, dochodząc do wniosku, że nigdy nie zrozumie tego chłopaka, który zdecydował się zdawać w letniej sesji egzaminacyjnej na uczelni. Może był to jedynie przelotny kaprys, niemniej Charlesa przepęłniała duma, gdy jego starszy syn oświadczył, że chce zostać lekarzem.

Przejeżdżając przez Bonneville Salt Flats na zachód od Salt Lake City, Charles odważył się rzucić z ukosa spojrzenie na siedzącą obok niego Cathryn. Od samego początku podróży zabrała się do robótek ręcznych i wydawała się bez reszty pochłonięta tym zajęciem. Wyczuła jednak spojrzenie męża i ich oczy się spotkały. Mimo hałasujących z tyłu dzieciaków wyczytali w swoim wzroku radość, że wstrząsające przeżycia związane z chorobą Michelle i dramatycznymi wydarzeniami tamtego ranka należą do przeszłości.

Cathryn położyła dłoń na nodze Charlesa. Stracił sporo na wadze, dzięki temu jednak wydawał jej się przystojniejszy niż dawniej. Zniknął też wyraz napięcia widoczny w naciągniętej skórze koło jego oczu. Odprężony, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w roztaczającą się przed nimi drogę i monotony pejzaż.

- Im dłużej rozmyślam nad tym, co się stało, tym mniej to rozumiem
- powiedziała Cathryn.

Charles próbował zmienić pozycję tak, by wygodniej ułożyć lewą rękę, która wciąż jeszcze była w gipsie. Nie doszedł wprawdzie całkiem do ładu z uczuciami, jakie wyzwoliły w nim ostatnie wydarzenia, jednego wszakże był pewien: Cathryn stała się jego najlepszym

przyjacielem.

Już choćby dlatego warto było przeżyć to wszystko.

- Myślałaś nad tym? - spytał, pozwalając żonie podjąć rozmowę, jeśli tylko miała na to ochotę.

Cathryn dalej przeciągała jaskrawe nitki przez płócienną siateczkę.

- W całym zamęcie z pakowaniem i wyjazdem nawet nie miałam czasu, żeby sobie to wszystko poukładać w głowie.

- Czego nie zrozumiałaś? - spytał Charles.

- Tato! - zawołał Jean Paul z tylnego siedzenia. - Czy w Berkeley gra się w hokeja? To znaczy, czy jest tam lód i te rzeczy?

Odwracając się w stronę syna, Charles powiedział:

- Obawiam się że nie. W Berkeley panuje właściwie wieczna wiosna.

- Twoja głupota przechodzi wyobrażenie - burknął Chuck, pukając Jeana Paula w głowę.

- Zamknij się! - krzyknął tamten, obracając się i szarpiąc brata za nogę. - Nie do ciebie mówiłem.

- No dobrze, spokojnie, chłopaki! - zawołał surowo Charles, po czym dodał spokojniej: - Może nauczysz się windsurfingu, Jean Paul.

- Naprawdę? - rozjaśnił się chłopiec.

- Surfing uprawia się tylko w południowej Kalifornii - wtrącił Chuck. - A tam są same świry.

- I kto to mówi - odciął się Jean Paul.

- Dość! - krzyknął Charles, potrząsając głową i rzucając wymowne spojrzenie Cathryn.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Dobrze znów słyszeć, jak dzieciaki się przekomarzają. To mnie przekonuje, że wszystko wróciło do normy.

- Normy? - prychnął Charles.

- Mniej więcej - stwierdziła, odwzajemniając mu spojrzenie. - Nie rozumiem, dlaczego instytut zrobił taką woltę. Prześcigali się w usługowości i chęci pomocy.

- Ja też tego nie rozumiałem - powiedział Charles - dopóki nie przypomniałem sobie, jak sprytny jest w gruncie rzeczy Ibanez. Bał się, że środki masowego przekazu rozdmuchają całą historię. Kręciło się

wokół mnie mnóstwo dziennikarzy, więc był przerażony, że mógłbym któremuś z nich opowiedzieć, co sądzę o takich badaniach nad nowotworami, jakie prowadzi instytut.

- Boże! Gdyby ludzie wiedzieli, co się naprawdę dzieje - powiedziała Cathryn.

- Myślę, że gdybym rzeczywiście potrafił się targować, zażądałbym nowego samochodu.

Nieuważnie przysłuchująca się rodzicom Michelle wyciągnęła z płóciennej torby swoją perukę, zbliżoną w odcieniu do koloru włosów Cathryn. Wprawdzie ojciec i macocha zaklinali ją, by wybrała czarną perukę, w kolorze swych własnych włosów, Michelle jednak nie ustąpiła: chciała wyglądać tak jak Cathryn. Teraz jednak nie była już tego taka pewna. Myśl o nowej szkole była wystarczająco przerażająca, a tu jeszcze te dziwaczne włosy. Uświadomiła sobie w końcu, że nie może być przez parę miesięcy szatynką, a później nagle stać się brunetką.

- Nie pójdę do szkoły, dopóki nie odrosną mi włosy - oświadczyła nagle.

Charles obejrzał się przez ramię, zobaczył, że Michelle obraca w palcach perukę i domyślił się, o co jej chodzi. Już zaczynał ją ganić za niewłaściwy wybór, lecz w porę się powstrzymał i powiedział łagodnie:

- Może po prostu kupimy ci inną perukę? Tym razem czarną, co?

- A co wam się w tej nie podoba? - spytał żartobliwie Jean Paul, wrywając ją z rąk Michelle i wkładając sobie krzywo na głowę.

- Tato, powiedz Jeanowi Paulowi, żeby mi oddał perukę - poskarżyła się Michelle.

- Powinieneś być dziewczynką, Jean Paul - powiedział Chuck. - Tysiąc razy lepiej wyglądasz w peruce.

- Jean Paul! - wykrzyknęła Cathryn, przytrzymując szarpiącą się Michelle. - Natychmiast jej to oddaj!

- Dobra, łysolu - roześmiał się Jean Paul, rzucił perukę w stronę siostry i zasłonił się przed jej ostatnimi nieskutecznymi ciosami.

Charles i Cathryn spojrzeli po sobie; byli zbyt radzi z jej powrotu do

zdrowia, by karcie córkę. Wciąż pamiętali te straszne dni, gdy czekali, czy eksperyment Charlesa się powiedzie, czy Michelle wyzdrowieje. Kiedy już wydobrzała, musieli pogodzić się ze świadomością, że nigdy się nie dowiedzą, czy zawdzięczała to leczeniu stymulującemu układ immunologiczny, czy też chemioterapii, stosowanej zanim Charles zabrał ją ze szpitala.

- Nawet gdyby byli pewni, że to twoja kuracja ją wyleczyła, nigdy by ci tego nie przyznali - powiedziała Cathryn.

Charles wzruszył ramionami.

- Nikt nie może niczego dowieść, włącznie ze mną. W każdym razie mniej więcej za rok będę miał odpowiedź. Instytut w Berkeley zgodził się, żebym prowadził badania nad nowotworami, tak jak mi się podoba. Przy odrobinie szczęścia może zdołam wykazać, że w przypadku Michelle po raz pierwszy udało się zmobilizować organizm do zwalczania w pełni rozwiniętej białaczki. A jeśli...

- Tato! - zawołał Jean Paul z tylnego siedzenia. - Możesz się zatrzymać przy następnej stacji benzynowej?

Charles zabębnił palcami po kierownicy, lecz Cathryn ścisnęła jego ramię i zdjął stopę z pedału gazu.

- Najbliższe miasto jest dopiero pięćdziesiąt mil stąd. Tutaj się zatrzymamy. Wszystkim nam przyda się rozprostować kości.

Zjechał na zakurzone obrzeże drogi.

- No dobrze, wszyscy wysiadać za potrzebą, czy też na co kto ma ochotę.

- Gorąco jak w piecu - stwierdził z przerażeniem Jean Paul, rozglądając się za jakimś ukryciem.

Charles podprowadził Cathryn na niewielki pagórek, z którego roztaczał się widok na zachód. Wyschnięta kamienista pustynia ciągnęła się do postrzępionych szczytów gór widniejących na horyzoncie. Słyszeli, jak Chuck i Michelle, którzy pozostali w samochodzie, sprzeczą się o coś. „Tak - pomyślał Charles. - Wszystko wróciło do normy”.

- Nie wiedziałam, że pustynia może być taka piękna - powiedziała

zauroczona krajobrazem Cathryn.

Charles zaczerpnął głęboko tchu.

- Powąchaj powietrze. Wydaje się, że Shaftesbury jest na innej planecie. - Otoczył ją ramieniem. - Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? - spytał.

- Co?

- Znow zaczynam mieć poczucie, że wszystko jest dobrze.

- Nie przejmuj się - zaśmiała się Cathryn. - Poczekaj, aż dojedziemy do Berkeley bez domu, prawie bez pieniędzy i z trójką zgłodniałych dzieciaków na głowie.

Charles uśmiechnął się.

- Masz rację. Wciąż jeszcze może nas spotkać wiele nieszczęść.

EPILOG

Gdy w strzelistych Górach Białych w New Hampshire stopniały śniegi, do rzeki Pawtomack zaczęły się wlewać spiętrzone wody setek potoków. W ciągu dwóch dni jej poziom podniósł się o kilka stóp i leniwy bieg zamienił się w rwący ku morzu prąd. Przepływając przez miasteczko Shaftesbury, czysta woda z furją biła o stare granitowe nadbrzeża koło porzuconych tkalni, wyrzucając w powietrze pył wodny, w którym tęczowo załamywało się światło słoneczne.

W miarę jak robiło się coraz cieplej, przez glebę nad brzegiem rzeki poczęły przebijać się świeże pędy, również w miejscach, które przedtem były zbyt zatrute, by cokolwiek na nich wyrosło. Nawet w cieniu przetwórci odpadów Recycle Ltd po raz pierwszy od wielu lat pojawiły się kijanki ścigające chyże pająki wodne, a migrujące pstrągi tęczowe ruszyły na południe przez niegdyś toksyczne wody.

Gdy noce stały się krótsze i zbliżało się gorące lato, na złączu rury odprowadzającej jednego z nowych zbiorników substancji chemicznych pojawiła się kropla benzenu. Nikt z nadzorujących instalacje osób nie zdawał sobie w pełni sprawy z jego szkodliwych właściwości. Od pierwszej chwili, gdy w nowych obwodach zaczęła krążyć zjadliwa substancja, gumowe uszczelki na złączach poczęły ulegać rozkładowi.

Minęło mniej więcej dwa miesiące, nim toksyczna ciecz przeżarła gumę i poczęła ściekać po granitowych fundamentach zbiorników. Kiedy to jednak się już stało, proces zaczął przebiegać coraz szybciej.

Trująca substancja zdążyła drogą najmniejszego oporu, spływając przez szczeliny w pozbawionej zaprawy kamieniarce, a później ściekając w dół aż do rzeki. Jedynym dowodem jej obecności był lekko słodkawy zapach.

Najpierw zginęły żaby, później ryby. Gdy pod wpływem letniego żaru poziom wody w rzece zaczął spadać, stężenie trucizny było już olbrzymie.